

MARY WESTMACOTT

CZYLI

AGATHA CHRISTIE

NIEDOKOŃCZONY PORTRET

PRZEŁOŻYŁA BOGUMIŁA MALARECKA

TYTUŁ ORYGINAŁU UNFINISHED PORTRAIT

PRZEDMOWA

Moja droga Mary, wysyłam ci to, ponieważ ja sam nie mam pojęcia, co się z czymś takim robi. Chyba chciałbym, by to coś ujrzało światło dzienne. Przypuszczam, że tylko absolutny geniusz ukrywa swoje obrazy i nie pokazuje ich nikomu. Ja nigdy tak nie postępowiałem, lecz też nigdy nie zaliczałem się do geniuszy; byłem jedynie panem Larrabym, młodym, obiecującym portrecistą.

Cóż, moja droga, ty wiesz najlepiej, co to znaczy być odcięty od wszystkiego, co się lubiło robić i co się dobrze robiło. To dlatego byliśmy przyjaciółmi, ty i ja. No, a na pisaniu z nas dwojga znasz się ty.

Jeśli przeczytasz ten rękopis, zobaczysz, że usłuchałem rady Barge'a. Pamiętasz? Powiedział: „Spróbuj nowego sposobu wyrażania myśli”. To jest swego rodzaju portret — prawdopodobnie piesko zły; nie mam przecież pojęcia o tym moim nowym „sposobie wyrażania myśli”. No więc, jeśli uznasz, że to, co napisałem, to czyste grafomaństwo, uwierzę ci na słowo, lecz jeśli ci się spodoba, choćby odrobinę — cóż, nie widzę powodu, dla którego nie miałyby zostać opublikowane (czyż oboje nie uważamy słowa pisanego za fundament wszelkich sztuk?). Nie odstąpiłem od prawdziwych imion, lecz daję ci wolną rękę — możesz je zmienić. Tylko komu miałyby one przeszkadzać? Przecież nie Michaelowi. A co do Dermota, ten nigdy nie rozpozna samego siebie! To do niego niepodobne. Zresztą, jak powiedziała nie bez racji sama Celia, jej historia jest bardzo zwykłą historią. Mogłaby się przydarzyć każdemu. Mnie nie interesowała historia jako taka. Interesowała mnie sama Celia. Tak, sama Celia...

Widzisz, najchętniej utrwalilibym jej obraz na płótnie, ale ponieważ coś takiego w ogóle nie wchodziło w grę, spróbowałem „uwiecznić” ją w inny sposób. Ale cóż — słowa, zdania, przecinki i kropki to nie moja specjalność. Zauważysz, przypuszczam, que ça se voit!

Przyglądałem się jej dwojako. Po pierwsze zastanawiałem się, jak ja ją postrzegam. Po drugie, interesowało mnie, co ona sama o sobie myśli— mogłem zajrzeć w głąb jej duszy (chwilami), gdy dzięki zbiegowi okoliczności dane mi było spędzić z nią całą dobę. Cóż, dwoje nigdy nie widzi jednakowo. Właśnie to mnie i zwodziło, i jednocześnie fascynowało! Szkoda, że nie jestem Panem Bogiem i nie mogę znać prawdy.

Choć, co tu ukrywać, powieściopisarz, kreując swoje postaci, zachowuje się jak Bóg: może zrobić z nimi wszystko, co zamyśli. Mimo to zdarza się, że ostatecznie spotykają go

z ich strony niespodzianki. Ciekawe, czy prawdziwy Bóg przeżywa to samo... Tak, ciekawe...

No, dość tych bredni. Zrób dla mnie to, co możesz.

Zawsze twój

J. L.

KSIĘGA I

WYSPA

Jest taka wyspa samotna
Zagubiona
Pośrodku morza
Gdzie ptaki odpoczywają chwile
W swym długim locie
Na południe
Odpoczywają noc
A potem lecą dalej
Ku południowym morzom...

Jestem wyspą samotną
Pośrodku morza
A ptak ze stałego lądu
Odpoczywał na mnie...

1. KOBIETA W OGRODZIE

Czy znacie to uczucie, gdy człowiek uświadamia sobie, że oto styka się z czymś, co jest mu dobrze znane, co tkwi w jego pamięci, a jednak w żaden sposób nie potrafi sobie tego przypomnieć ani wyjaśnić?

Ja nie mogłem się pozbyć owego uczucia podczas całej powrotnej drogi do miasteczka. Towarzyszyło mi od pierwszej chwili, to znaczy od kiedy zostawiłem za sobą tamten zawieszony nad morzem cypel, tamte ogrody i tamtą wille, i narastało z każdym krokiem, i z każdym krokiem stawało się coraz bardziej natarczywe. W końcu, w miejscu, gdzie aleja palmowa zbiega ku plaży, zatrzymałem się; zrozumiałem, że należy natychmiast rozprawić się z własną pamięcią i wyrwać z niej to, co przede mną ukrywa, choćby to coś było nie wiedzieć jak zagadkowe i mgliste. Wyrwać i przyszpilić. Natychmiast. Inaczej mogłoby być za późno.

Postąpiłem tak, jak ludzie zwykle postępują, kiedy usiłują coś sobie przypomnieć; prześledziłem w myślach fakt po fakcie.

Spacer w tamtą stronę, z miasteczka, w białym kurzu i w rozgrzewającym moje plecy słońcu. Nic, nad czym warto byłoby się zastanawiać.

Tereny wokół domu — chłód i świeżość, rysujące się na tle nieba ciemne, wysokie cyprysy. Zielona trawa ścieżki prowadzącej na cypel, ku ławce z widokiem na morze. Następnie... tak, następnie zaskoczenie i lekkie zdenerwowanie: jedyną ławkę, cel mojej wycieczki, zajmowała jakaś kobieta. Przez chwilę poczułem się niezręcznie. Ona obróciła głowę i popatrzyła na mnie. Angielka. Wiedziałem, że wypada coś powiedzieć, coś, co wytłumaczyłoby mój natychmiastowy odwrót.

— Ładny stąd widok.

Tylko tyle. Kilka banalnych, stereotypowych słów. Słowa i ich ton były dokładnie takie, jakimi posługuje się na co dzień ktoś dobrze wychowany.

— Urzekający — powiedziała. — A przy tym taki uroczy dzień.

— Choć, aby się tu znaleźć, trzeba się długo wspinać. Zgodziła się ze mną i powiedziała, że istotnie spacer zakurzoną, wijącą się drogą nie należał do najkrótszych.

I to wszystko. Zwykła wymiana uprzejmości między Anglikami za granicą, którzy nie spotkali się nigdy przedtem i którzy prawdopodobnie nie spotkają się nigdy potem. Wycofałem się z tamtego miejsca, obszedłem kilka razy willę, podziwiając pomarańczowe berberysy (mam nadzieję, że używam właściwej nazwy) i ruszyłem w drogę powrotną.

To było absolutnie wszystko, choć — no właśnie: wszystko, a jednak nie wszystko. Bo inaczej skąd wzięłoby się we mnie to uczucie, że jest jeszcze coś, czego nie potrafię sobie przypomnieć?

Czy to coś odnosiło się do tamtej kobiety, do sposobu, w jaki zwróciła ku mnie głowę, czy może do jej spojrzenia? Nie, tamta kobieta zachowała się absolutnie normalnie, co więcej, sympatycznie. Zachowała się tak, jak zachowałoby się dziewięćdziesiąt dziewięć kobiet na sto.

Poza tym, że... ależ tak, to prawda, poza tym, że nie spojrzała na moje ręce.

No i proszę! Patrzę sobie na swój tekst i sam się dziwię powyższym słowom. Są niedorzeczne. A jednak... a jednak zastąpienie je właściwymi nie oddałoby tego, co zamierzam przekazać czytelnikowi.

Nie popatrzyła na moje ręce, a przecież wszystkie kobiety patrzą na nie. Kobiety są bystre. I mają miękkie serca. Przyzwyczailem się do wyrazu ich twarzy, który w takich momentach przybierają i który sprawia, że klnę je w duchu i jednocześnie błogosławię;

współczują mi, lecz są dyskretne i absolutnie zdeterminowane, aby nie pokazać, że coś zauważyły. No a przy tym ta natychmiastowa zmiana w ich zachowaniu, ta delikatność...

Kobieta z ławki na cyplu niczego nie zauważyła, ani nawet na nic nie spojrzała.

Zacząłem myśleć o niej intensywniej. Dziwne, lecz w chwili, kiedy odwróciłem się od niej, chcąc odejść, jej łsy natychmiast zatarły się w mojej pamięci. Nijak nie potrafiłbym jej opisać. Mógłbym jedynie powiedzieć, że była urodziwa i że miała około trzydziestu lat — to wszystko. A mimo to przez całą drogę powrotną ze wzgórza obraz jej twarzy i postaci powoli odzyskiwał swe barwy i kontury, na podobieństwo zjawiska, które zachodzi w ciemnej piwnicy przy wywoływaniu kliszy fotograficznej. (To jedno z moich najwcześniejszych wspomnień: ciemna piwnica, ja i mój ojciec, i wywoływanie negatywów).

Nigdy nie zapomnę tamtego dreszczyku emocji. Pusta, biała powierzchnia na dnie naczynia z wywoływaczem, I nagle ni stąd, ni zowąd pojawia się na niej malusieńka plamka, która gwałtownie się poszerza i ciemnieje. Tamten dreszczyk podniecenia i... niepewności. Klisza ciemnieje gwałtownie, lecz wciąż jeszcze nie zdradza utrwalonej na sobie tajemnicy. Czerń przeplata się z bielą. I nagle... i nagle... tak, to znajoma ci gałąź drzewa albo czyjaś twarz, albo oparcie krzesła i już wiesz, czy negatyw leży do góry nogami, czy nie, a jeśli tak, to go odwracasz i przyglądasz się całemu obrazowi, wyłaniającemu się z nicości, przyglądasz się i przyglądasz, aż ten obraz zaczyna ciemnieć i znów znika ci z oczu.

Tak, to najlepszy sposób na opisanie tego, co mi się przydarzyło. Przez całą drogę powrotna do miasta twarz tamtej kobiety robiła się coraz wyraźniejsza. Oto jej małe uszy, ciasno przylegające do głowy, a w ich płatkach długie kolczyki z lapis-lazuli, oto fala bardzo płowych włosów, zataczająca łagodny łuk tuż nad czubkiem jednego ucha, oto zarys jej twarzy, rozstawienie oczu, oczu bardzo jasnych, oczu nieskazitelnie niebieskich, oto krótkie, bardzo gęste, ciemnobrązowe rzęsy i lekko podkreślona ołówkiem linia brwi, a w samych brwiach wyraz lekkiego zaskoczenia, oto w całej swej krasie mała, poważna twarz z bruzdą goryczy wokół ust.

Szczegóły tej twarzy pojawiały się przed moimi oczami powoli, jeden po drugim, dokładnie tak jak w ciemnej piwnicy odkrywała swe tajemnice fotograficzna klisza.

Nie potrafię wytłumaczyć tego, co następnie się zdarzyło. Proces wywoływania właściwie dobiegł końca; dotarłem do punktu, kiedy mój obraz zaczynał ciemnieć.

Lecz, proszę zauważyć, tym razem miałem do czynienia nie z kliszą fotograficzną, lecz z ludzką istotą. Zatem wywoływanie trwało. Odkrywałem ciągle nowe punkty na białej płaszczyźnie i widziałem wszystko coraz wyraźniej — jakby wewnątrz kliszy i poza nią; nie potrafię tego zjawiska dokładniej wytłumaczyć.

Prawdopodobnie znałem prawdę cały czas, od pierwszej chwili, to znaczy od kiedy stanąłem na tamtym cyplu i spojrzałem w tamtą twarz. I prawdopodobnie przez ten cały czas zachodził we mnie proces wywoływania. Obraz, który jak za zwolnieniem migawki w aparacie fotograficznym zapadł w moją podświadomość, teraz wypływał na powierzchnię świadomego myślenia...

Prawdopodobnie znałem prawcie, lecz nie wiedziałem, że ją znam, aż nagle mi się objawiła. Wystrzeliła z czarnej bieli! Mała plamka, a po niej obraz.

Ponownie, tym razem prawie biegiem, pokonałem pokrytą kur/cm drogę. Byłem w całkiem niezłej kondycji, a mimo to tempo mojego ni to biegu, ni to marszu zdawało mi się zbyt wolne. Jeszcze furtka w ogrodzeniu, jeszcze rząd cyprysów, trawiasta ścieżka...

Kobieta siedziała dokładnie tam, gdzie ją zostawiłem.

Nie mogłem złapać tchu. Ciężko dysząc, opadłem na ławkę, obok niej.

— Proszę posłuchać — powiedziałem. — Nie wiem, kim pani jest. Niczego o pani nie wiem. Lecz nie musi pani tego robić. Słyszysz pani? Nie musi pani tego robić.

2. WEZWANIE DO DZIAŁANIA

Przypuszczam, że najdziwniejszą rzeczą (przyszło mi to na myśl później) było to, że nie próbowała żadnej uświęconej zwyczajem obrony. Mogła powiedzieć: „Jak pan śmie?” lub „Chyba pan sam nie wie, o czym pan mówi”. Albo mogła po prostu popatrzeć. Zmrozić mnie spojrzeniem.

Mogła, lecz prawcie mówiąc, nie obchodziły ją już żadne konwenanse. Była skrajnie przygnębiona i całkiem możliwe, że w tamtej chwili nic nie mogłoby jej zaskoczyć.

Na jej twarzy malował się absolutny spokój i zdeterminowanie i właśnie to przerażało mnie najbardziej. Można uporać się ze złym nastrojem — złe nastroje mijają. Lecz spokój i determinacja to zupełnie inna historia — spokój i determinacja kumulują się wolno i nie należy się spodziewać, że miną same z siebie.

Popatrzyła na mnie w zamyśleniu. Nie odezwała się.

— A przynajmniej — nie ustępowałem — proszę mi powiedzieć dlaczego?

Pochyliła głowę, jak gdyby przyznając mi słuszność.

— Dlatego — rzekła — że uważam to za najlepsze rozwiązanie.

— I tu się pani myli. Kompletnie i całkowicie. Moje gwałtowne słowa wcale jej nie poruszyły. Była opanowana i daleka duchem.

— Sporo o tym rozmyślałam — powiedziała. — To naprawdę jest najlepsze rozwiązanie. Proste, łatwe i... takie prędkie. No i niekłopotliwe dla innych.

Ostatnie zdanie dobitnie świadczyło o tym, że moja rozmówczyni odebrała, jak to się mówi, „dobre wychowanie”. „Wzgląd na innych”, czy chciała tego czy nie, po prostu był jej drugą naturą.

— A potem? Co będzie potem? — zapytałem.

— Cóż, to istotnie jest ryzyko.

— Wierzy pani w to „potem”? — zapytałem z ciekawością.

— Obawiam się — zaczęła wolno — że tak. Wierzę. Odejście w nicość byłoby czymś zbyt pięknym, aby mogło być prawdziwe. Zasnąć spokojnie i nie obudzić się? Nie, to byłoby zbyt piękne.

Przymknęła oczy w rozmarzeniu. — Jaki kolor miały tapety w pani pokoju dziecięcym? — zapytałem z nienacką.

— Fiołkoworóżowy. Fiołkoworóżowe irysy wijące się wokół kolumny... — Urwała. — Jak pan na to wpadł? Skąd pan wiedział, że właśnie o tym myślę?

— Po prostu zgadłem. To wszystko. — Indagowałem dalej: — A co pani sądziła o niebie, będąc dzieckiem?

— Zielone pastwiska... zielone doliny z owcami i pasterzami. Wie pan, jak w tamtym psalmie.

— Kto go pani czytał? Matka czy niania? — Niania... — uśmiechnęła się leciutko. — Dobry

Pasterz... Wie pan, chyba nigdy nie widziałam pasterza. Za to na polu blisko naszego domu były jagnięta. — Dodała: — Teraz pole jest zabudowane.

Dziwne, pomyślałem. Gdyby tamto pole nie zostało zabudowane, możliwe, że la kobieta nie znalazłaby się tutaj. — Miała pani szczęśliwe dzieciństwo?

— O tak! — zapewniła pośpiesznie, z głębokim przekonaniem. — Aż nazbyt.

— Jak to?

— Ano tak. Zbyt wiele szczęścia sprawia, że nie jest się przygotowanym na rzeczy, które potem się zdarzają. Bo i jak można być przygotowanym na coś, czego sobie nawet nie wyobrażamy?

— Zapewne przeszła pani przez tragiczne doświadczenia... — zasugerowałem.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, nie sędzę. Raczej nie. Przytrafiła mi się banalna historia, coś, przez co przechodzi wiele kobiet. Nie byłam nieszczęśliwa w jakiś szczególny sposób. Byłam po prostu głupia. Tak, właśnie głupia. A na tym świecie nie ma miejsca dla głupców.

— Moja droga — powiedziałem — niechże pani mnie posłucha. Wiem, o czym mówię. Kiedyś byłem w pani położeniu i zdawało mi się, że życie jest nic niewarte. Doświadczyłem na własnej skórze tego uczucia ślepej rozpacz, kiedy to człowiek widzi przed sobą tylko jedno jedyne wyjście. Zapewniam jednak panią, moje dziecko, że to mija. Smutek nie trwa wiecznie. Nic nie trwa wiecznie. Jest tylko jeden prawdziwy pocieszyciel i uzdrowiciel. Jest nim czas. Trzeba dać mu szansę.

Och, moim słowom nie brakowało żarliwości, a jednak, co było oczywiste, popełniłem błąd.

— Pan mnie nie rozumie — usłyszałem w odpowiedzi. — Wiem, o czym pan myśli. Wiedziała od początku. Istotnie, podjęłam kiedyś taką próbę, lecz bez powodzenia. Zresztą, ku mojemu późniejszemu zadowoleniu. Tym razem chodzi o coś innego.

— Zatem słucham.

— Do stanu ducha, w jakim się obecnie znajduję, dochodzi się całkiem powoli. Widzi pan, nawet nie wiem, jak to panu wyjaśnić. Mam trzydzieści dziewięć lat, jestem silna i zdrowa. Prawdopodobnie mogłabym dożyć siedemdziesiątki, a może mogłabym żyć dłużej. Otóż ja nie jestem w stanie udźwignąć na swych barkach kolejnych długich, pustych trzydziestu lat. To wszystko.

— Ależ moja droga, one wcale nie musiałyby być puste. Tu właśnie pani się myli. Być może coś by je znów wypełniło.

Popatrzyła na mnie.

— To jest to, czego obawiam się najbardziej — powiedziała półgłosem. — I to myśli o tym nie potrafię stawić czoła.

— W gruncie rzeczy jest pani tchórzem.

— Tak — zgodziła się ochoczo. — Zawsze nim byłam. Czasami śmiałam się w duchu, że inni ludzie nie widzą tego tak wyraźnie jak ja sama. Ma pan rację. Ja się boję, boję się, boję.

Zapadła cisza.

— A czy nie sądzi pan — podjęła wątek na nowo — że strach powinien być wiernym towarzyszem człowieka? Jeśli z ognia wyskoczy węgielek i oparzy psa, pies już zawsze będzie się bał ognia. Nigdy nie będzie wiedział, kiedy ten go znów oparzy. Pies jest na swój sposób inteligentny. Natomiast kompletny głupiec traktuje ogień jako coś przyjemnego i ciepłego. Nic nie wie o parzących węgielkach.

— Tak naprawdę — odrzekłem — tym, z czym pani nie chce stanąć twarzą w twarz, jest ewentualne szczęście.

Zabrzmiało to dziwnie, a jednak byłem przekonany o prawdziwości swoich słów. Miałem trochę doświadczenia, jeśli chodzi o nerwy i psychikę ludzka. Trzech z moich najlepszych przyjaciół wyszło z wojny z nerwicą. Dobrze wiem, co znaczy dla mężczyzny być okaleczonym fizycznie; wiem, co takie okaleczenie może z niego zrobić. Wiem także, że ktoś może być okaleczony umysłowo. Szkody nie muszą być widoczne, kiedy rana jest zaleczona, a jednak są. Zawsze pozostaje jakieś słabe miejsce, jakaś skaza, a to sprawia, że jest się ułomnym na całe życie.

— To wszystko z czasem przeminie — powiedziałem do niej z przekonaniem, choć za bardzo nie wierzyłem w to, co mówię. Powierzchowne zaleczenie nigdy nie prowadzi do niczego dobrego. Cięcie idzie głębiej. — Nie chce pani podejmować jednego ryzyka, za to podejmuje pani inne, i to kolosalne.

— Bo też jedno i drugie jest krańcowo różne, krańcowo — odparowała bez chwili namysłu. — Nie chcę ryzykować, bo znam tę rzecz, dla której nie chcę ryzykować. Natomiast ryzyko nieznane kusi, to rodzaj przygody. Mimo wszystko, śmierć może być niczym...

Śmierć... Należało się spodziewać, że prędzej czy później to słowo zostanie wypowiedziane.

Moja rozmówczyni przekręciła odrobinę głowę i zapytała, nagle zaciekawiona:

— A właściwie to skąd pan wiedział?

— Wiedziałem? Wcale bym tego tak nie ujął. Widzi pani, ja sam przeszedłem przez coś takiego. Trochę się na tym znam...

— Rozumiem — odparła.

Nie okazała żadnego zainteresowania rodzajem mojego doświadczenia i, jak myślę, to w tamtej chwili postanowiłem, że zaopiekuję się nią. Otóż mnie już dość okazano pomocy. Dość już miałem kobiecego współczucia i czułości. A potrzebą mojego serca, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy, było nie branie, lecz dawanie.

Celia nie miała w sobie ani iskielki czułości czy współczucia dla innych. Roztrwonila je dawno temu, zmarnowała tak jedno, jak drugie. Doszła do takiego stanu duszy, w którym widzi się jedynie swoje nieszczęście. A o tym, że była nieszczęśliwa i że wiele przecierpiała, świadczyła niezaprzeczalnie gorzka bruzda wokół jej ust. Nie musiałem jej długo tłumaczyć, że i mnie „coś się przydarzyło”. Zrozumiała to od razu. Nie litowała się nad sobą i nie widziała sensu w tym, by litować się nade mną. Moje nieszczęście było dla niej wystarczającym wytłumaczeniem faktu, że odgadłem coś, co pozomie zdawało się nie do odgadnięcia.

W owej chwili zrozumiałem, że mam do czynienia bardziej z dzieckiem niż z kobietą. Jej prawdziwym światem był ten, którego granice sama sobie wytyczyła. Świadomie wróciła do świata dzieciństwa, znajdując w nim schronienie przed okrucieństwem świata dorosłych.

Przyznaję, ta jej postawa podziałała na mnie niezwykle stymulujące. To było to, czego potrzebowałem przez ostatnie dziesięć lat. To było... to było jak wezwanie do działania.

No cóż, poszedłem za nim. Zacząłem działać. Bałem się o nią, więc nie spuszczałem jej z oka. Przyssałem się do niej jak przysłowiowa pijawka. Nie musiałem jej długo namawiać, by wróciła razem ze mną do miasteczka. Przystała na to dość chętnie. Miała w sobie dużo zdrowego rozsądku. Zdawała sobie sprawę, że jej zamiary, przynajmniej chwilowo, spaliły na panewce. Nie zarzuciła ich, zaledwie odłożyła na później. Domyślałem się tego bez słów.

Nie będę wchodził w detale, to, co piszę bowiem, nie pretenduje do miana kroniki czy czegoś takiego. Nie widzę zatem potrzeby rozwodzenia się nad osobliwościami małego hiszpańskiego miasteczka czy nad posiłkiem, który zjedliśmy razem w hotelowej restauracji, czy choćby nad sposobem, w jaki potajemnie przeniosłem walizki z mojego hotelu do tego, w którym ona się zatrzymała.

Nie, przedstawiam tu jedynie sprawy zasadnicze. Wiedziałem, że nie powinienem jej odstępować aż do czasu, kiedy coś się wydarzy, kiedy w jakiś sposób ulegnie i poniecha swoich zamiarów.

Tak więc trwałem uparcie przy jej boku. Kiedy udawała się do swojego pokoju, powiedziałem:

— Daje pani dziesięć minut, potem wchodzę do środka.

Nie ośmieliłbym się dać więcej. Dlaczego? Ano dlatego, że jej pokój znajdował się na czwartym piętrze, mogła zatem zlekceważyć sobie ów „wzgląd na innych”, będący częścią jej wychowania i przysporzyć kłopotu prowadzącemu hotel skokiem z okna, zamiast ze skalnego urwiska.

Zrobiłem, jak zapowiedziałem. Wszedłem do środka. Siedziała w łóżku z odrzuconymi do tyłu, płowozłotymi włosami. Nie sądzę, by w tym, co robiliśmy, dopatrywała się czegoś dziwnego. Ja tym bardziej. Natomiast co myśleli sobie inni, tego nie wiem. Jeśli służba hotelowa zauważyła, że wszedłem do tamtego pokoju o dziesiątej wieczorem, a wyszedłem o siódmej następnego ranka, zapewne doszła do jednego i tylko jednego wniosku. Jednak nie dbałem o to.

Starłem się ocalić czyjeś życie i nie mogłem przejmować się czymś takim jak reputacja. No więc, usiadłem na jej łóżku i zaczęliśmy rozmawiać.

Rozmowa trwała całą noc. Dziwną noc. Taką, jakiej jeszcze nigdy nie przeżyłem.

Wcale nie zainteresowałem się jej kłopotami, jakiegokolwiek by one były. Zamiast tego zaczęliśmy od początku, od fiołkoworóżowych irysów na jej tapetach i od jagniąt na polu, i od doliny w pobliżu stacji kolejowej, i od kwitnących w tej dolinie pierwiosnków...

Wkrótce to ona mówiła, nie ja. Aby ją ocalić, ograniczyłem się do roli automatu w ludzkiej postaci, który znajdował się tam po to, aby do niego mówić.

Mówiła tak, jak się rozmawia jedynie z samym sobą albo z Bogiem. Bez jakiegokolwiek żaru, bez uniesienia. Ot, po prostu, wspominała jeden po drugim, nie związane ze sobą incydenty z przeszłości. To było tak, jakby za ich pomocą wznosiła gmach swego życia, jakby budowała coś w rodzaju mostu, którego filarami były właśnie one, owe incydenty.

To dziwna sprawa, jakby się nad tym zastanowić, ten nasz wybór rzeczy do zapamiętania. Ponieważ jakiegoś wyboru zawsze się dokonuje, choćby całkiem nieświadomie. Spróbujcie cofnąć się myślą w przeszłość; spróbujcie wybrać jakiś rok z waszego dzieciństwa, a okaże się, że pamiętacie pięć, może sześć incydentów. I to prawdopodobnie nie najważniejszych. Dlaczego zapamiętaliście właśnie te, spośród wszystkich, które wydarzyły się w ciągu trzystu sześćdziesięciu pięciu dni? Niektóre z nich nie znaczyły dla was wiele nawet wówczas. A jednak to one w jakiś sposób przetrwały w waszej pamięci. I to one szły z wami w dalsze lata...

To od tamtej nocy, którą teraz 'wspominam, mam swoją prywatną, wewnętrzną wizję Celi. Do pisania o tej kobiecie, jak już powiedziałem, zabieram się z punktu widzenia Boga... Dołożę wszelkich starań, aby tego dokonać.

Otóż Celia powiedziała mi wszystko: zarówno to, co miało znaczenie, jak i to, co znaczenia nie miało. Nie usiłowała ułożyć tego w jakąś spójną opowieść.

Ona nie, za to ja — tak. Ja usiłowałem! Ja odnosiłem wrażenie, że między jednym a drugim zdarzeniem z jej życia chwytam, jakiś wątek, którego ona sama nie była w stanie dostrzec.

Była siódma, kiedy opuszczałem tamten pokój. Ona przekręciła się na bok i zasnęła jak dziecko... Niebezpieczeństwo minęło.

Można by powiedzieć, że ciężar, jaki dźwigały jej ramiona, został teraz przerzucony na moje. Ona była bezpieczna...

Później, tego ranka, odprowadziłem ją na statek i pożegnałem.

Właśnie wtedy zdarzyło się to, co, jak mi się zdaje, spięło niby klamrą całą historię...

Może się myłę... Może był to jedynie zwykły, nic nie znaczący przypadek...

Tak czy inaczej, nie chcę teraz o tym pisać...

Nie teraz: najpierw zmierzę się z rolą Boga i albo poniosę klęskę, albo odniosę sukces.

Nie teraz, nie. Najpierw spróbuję utrwalić jej obraz za pomocą nowego, nie znanego mi środka wyrazu... za pomocą słowa...

Za pomocą kolejno nizanych paciorków słów...

Żadnych pędzli, żadnych tub z farbami, nic z drogiego memu sercu, starego, dobrze mi znanego warsztatu.

Portret w czterech wymiarach, ponieważ w twoim zawodzie, Mary, czas istnieje tak samo jak przestrzeń.

KSIĘGA II

PŁÓTNO

Przygotujmy płótno. Motyw już mamy.

1. DOM

1

Celia leżała w dzieciennym łóżeczku i przyglądała się fiołkoworóżowym irysom na ścianie. Czując się szczęśliwa i senna.

W nogach jej łóżeczka stał parawan. Chronił ją od światła lampy, przy której, niewidoczna dla Celi, siedziała nianusia i czytała Biblię. Lampa nianusi była wyjątkową lampą — solidną, mosiężną, z kloszem z różowej porcelany. Nigdy nie pachniała naftą, ponieważ Susan, pokojówka, bardzo o nią dbała. Celia wiedziała, że Susan to z gruntu poczciwa dziewczyna, aczkolwiek czasami mawiano do niej, że „mogłaby się tak nie miotać”. Kiedy Susan się „miotła”, prawie zawsze potrafiła jakieś małe cacko znajdujące się w bezpośrednim zasięgu jej dużego, krzepkiego ciała, a zwłaszcza jej łokci koloru surowej wołowiny. Celi kojarzyły się one z tajemniczymi słowami „urobić sobie ręce po łokcie”.

Za parawanu dobiegał monotony, kojący pomruk słów nianusi. Nianusia nie umiała czytać bezgłośnie.

W momencie, kiedy powieki Celi opadały, otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Susan z tacą. Pokojówka usiłowała poruszać się bezszelestnie, lecz przeszkadzały jej w tym ciężkie, skrzypiące buty.

— Przepraszam, proszę niani. Spóźniłam się z kolacją — powiedziała półgłosem. — Ciiicho. Dziecko już śpi — mruknęła niania.

— Och, nie zbudziłabym jej za żadne skarby, broń Panie Boże. — Susan, sapiąc, zerknęła przez szczelinę w parawanie. — Toż to takie śliczne i mądre maleństwo. Gdzie tam mojej siostrzeniczce do naszej panienki — przyznała pogodnie i ruszyła pośpiesznie w stronę stołu.

Na podłogę upadła łyżka.

— Nie powinnaś się tak miotać, moja droga — łagodnie upomniała ją niania.

— To tak niechcący, proszę niani — odparła Susan płaczkliwym tonem.

Opuściła pokój na palcach, przez co jej buty zaskrzypiały głośniejszym niż przedtem.

— Nianusiu — szepnęła Celia.

— Tak, kochanie?

— Ja nie śpię, nianusiu.

— Tak, kochanie — zgodziła się nianusia, która najwyraźniej nie chciała zrozumieć aluzji.

Celia nie rezygnowała. Po chwili milczenia szepnęła raz jeszcze:

— Nianusiu?

— Słucham, kochanie.

— Smakuje ci kolacja, nianiusiu?

— Bardzo, kochanie.

— A co to takiego?

— Gotowana ryba i placek z melasą.

— Och! — westchnęła Celia niemal z ekstazą.

Znów zapadło milczenie. Nianusia obeszła parawan i stanęła obok Celi. Była to drobna, leciwa niewiasta z siwymi włosami ukrytymi pod związanym pod brodą batystowym czepeczkiem. Trzymała w ręku widelec. Na jego czubku znajdował się maleńki kawałek placka z melasą.

— No, a teraz będziesz dobrą dziewczynką i natychmiast zaśniesz — powiedziała niania ostrzegawczo i zniknęła za parawanem.

— Och, tak! — przytaknęła żarliwie Celia.

Okruszyna placka z melasą znalazła się w jej ustach. Niewiarygodne pyszności! Coś niebiańskiego!

Celia zwinęła się w kłębek. Na ścianie tańczące w blasku płonącego w kominku ognia, fiołkowo— różowe irysy. W ustach miły smak placka z melasą. Kojące, szeleszczące odgłosy Kogoś w pokoju. Pełnia szczęścia.

Celia zasnęła...

2

Trzecie urodziny Celi. Podwieczorek w ogrodzie. Były ptysie. Celia musiała się zadowolić tylko jednym. Cyril zjadł aż trzy. Cyril był jej bratem. Był dużym chłopcem, miał jedenaście lat. Chciał jeszcze jednego, lecz matka powiedziała: „Wystarczy, Cyrilu”.

Potem nastąpiła typowa wymiana zdań. Cyril jak zwykle dopytywał się w nieskończoność, „dlaczego?”

Po białym obrusie przebiegł mały, czerwony pajaczek.

— Popatrzcie — powiedziała matka. — Pająk przynoszący szczęście. Biegnie do Celi, ponieważ to jej urodziny. To zapowiedź wszelkiej pomyślności.

Celia, podekscytowana, poczuła się wyjątkowo ważna. Dociekliwy Cyril zainteresował się jednak czym innym. — Dlaczego pająki przynoszą szczęście, mamusiu? W końcu Cyril poszedł sobie i Celia została sama z matką. Miała ją tylko dla siebie. Matka

uśmiechnęła się do niej przez szerokość stołu. Uśmiechnęła się miło i wcale nie dlatego, że ona, Celia, była małą, zabawną dziewczynką. Matka zawsze uśmiechała się miło.

— Mamusiu, opowiedz mi historyjkę — poprosiła Celia.

Uwielbiała historyjki wymyślane przez matkę. One wcale nie przypominały historyjek opowiadanych jej przez innych ludzi. Inni ludzie, poproszeni, opowiadali jej o Kopciuszku, o Jacku na pęczku fasoli, o Czerwonym Kapturku. Nianusia opowiadała o Józefie i jego braciach, o Mojżeszu w sitowiu. (Celia zawsze wyobrażała sobie sitowie* w postaci drewnianych szop wypełnionych bykami). Czasami opowiadała o dzieciach kapitana Strettona w Indiach. Ale mamusia!

Trzeba zacząć od tego, że nigdy, ale to przenigdy się nie wiedziało, o czym będzie kolejna historyjka. Mogła być o myszce albo o dzieciach, albo o księżniczkach. O wszystkim... Jediną wadą mamusini historyjek było to, że mamusi nie zdarzało się powtarzać jednej dwa razy. Mówiła, że nie potrafi ich zapamiętać (dla Celi było to absolutnie nie do pojęcia).

— Świetnie — powiedziała mamusia, uśmiechając się do niej. — Tylko o czym? Może mi podpowiesz?

Celia wstrzymała oddech.

— O myszce Błyszczące Oczka — podpowiedziała bez chwili zastanowienia. — I o Długim Ogonku i serze.

— Och! Zupełnie już je zapomniałam. Nie, zaczniemy nową historyjkę. — Zapatrzyła się przed siebie. W jej inteligentnych, orzechowych oczach zatańczyły wesołe błyski; mały, lekko wygięty nosek zadarł się odrobinę wyżej, a delikatna, owalna twarz nabrała wyrazu skupienia.

— Już wiem... — zawołała, nagle przytomniejąc. — Nasza historyjka będzie się nazywać Dziwna Świeczka...

— Och! — Celia była tak zachwycona, że niemal wstrzymała oddech. Z góry wiedziała, że historyjka ją zaintryguje, że urzeknie... Dziwna Świeczka!

3

Celia była poważną małą dziewczynką. Wiele rozmyślała o Bogu i o byciu dobrą i świętą. Kiedy razem z Cyrilem wróżyła sobie z kości kurczaka, jej życzenie zawsze

brzmiało tak samo: „Obym była dobra”. Oczywiście świadczyło to o zwykłej zarozumiałości, lecz przynajmniej, trzeba to przyznać, Celia kryła się z nią przed innymi.

Niekiedy bała się straszliwie, że jest osobą „światową” (słowo zatrwajające, tajemnicze!). Bała się zwłaszcza wtedy, kiedy wystrojona w wykrochma— loną muślinową sukienkę przewiązaną wielką, zło— cistożółtą szarfą schodziła na dół na deser. Jednak na ogół była z siebie zadowolona. Była jedną z „wybranych”. Była „oszczędzona”.

To prawda, ona tak. Lecz co z rodziną? To straszne, nie mieć absolutnej pewności co do matki. Przypuśćmy, że mamusia nie pójdzie do nieba? Co wtedy? Dręcząca, bolesna myśl...

Wszelkie reguły były raz na zawsze ustalone. W niedzielę nie godziło się grać na pianinie (chyba że pieśni religijne). W niedzielę nie godziło się grać w krokieta. Celia raczej wolałaby umrzeć lub być poddaną torturom, niż dotknąć młotka w „dzień Pański”, mimo że w inne dni nie posiadała się z radości, kiedy pozwalano jej wybić z trawnika kilka przypadkowych piłek.

Jej matka grywała w krokieta w niedzielę i to samo robił jej ojciec. A ojciec ponadto grywał na pianinie i śpiewał piosenki o kimś, kto „na herbatkę do pani C wskoczył, kiedy pan C do miasta wyskoczył”. Na pewno nie była to religijna pieśń!

To Celię martwiło. Ze swym zmartwieniem udała się do nianiusi. Nianiusia, poczciwa i szczerza z natury, znalazła się w kłopotliwym położeniu.

— Ojciec i matka, to ojciec i matka — odparła. — Wszystko, co oni robią, jest dobre i słuszne, i żebyś mi nie myślała inaczej.

— Ale gra w krokieta w niedzielę jest czymś złym — upierała się Celia.

— Tak, kochanie. Dzień Pański powinno się święcić.

— No więc... no więc...

— To nie twoje zmartwienie, kochaneczko. Wystarczy, jak wypełniasz swoje obowiązki.

No więc którejś niedzieli Celia odmówiła ojcu, kiedy ten uprzejmie zaproponował jej jedno uderzenie młotkiem.

— Dlaczego, na miły Bóg? — zapytał zdziwiony. — To sprawka niani. Powiedziała małej, że to coś złego — mruknęła jego żona, po czym dodała, zwracając się do Celi: — W porządku, skarbie, nie graj, jeśli nie chcesz.

Jednak czasami matka Celi mawiała mniej więcej tak:

— Wiesz, kochanie, Pan Bóg stworzył dla nas wspaniały świat i chce, żebyśmy byli szczęśliwi. Jego dzień jest dniem szczególnym, dniem, który powinniśmy traktować

inaczej niż pozostałe dni tygodnia, to znaczy, że nie powinniśmy kazać pracować innym ludziom, na przykład służbie. Jeśli sami spędzamy go pogodnie i radośnie, to naprawdę nie ma w tym niczego złego.

Jednak, mimo głębokiej miłości do matki Celia nie zachwiała się w swych przekonaniach. Powinno być tak, jak powinno, nianusia wie, co mówi.

Mimo to przestała zamartwiać się matką. Jej matka miała na ścianie obraz świętego Franciszka, a przy łóżku maleńką książeczkę pod tytułem Naśladowanie Chrystusa. Bóg, jak się Celii zdawało, mógł w takiej sytuacji patrzeć przez palce na grę w krokieta w niedzielę.

Natomiast nadal żywiła poważne obawy co do ojca. Ojciec często żartował z rzeczy świętych. Któregoś dnia podczas lunchu opowiedział zabawną historię o wikarym i o biskupie. Dla Celii nie było w niej nic zabawnego. Celia uznała, że opowieść ojca jest po prostu okropna.

W końcu pewnego dnia wyszlochała swoje koszarne lęki do matczynego ucha.

— Ależ kochanie, twój ojciec jest bardzo dobrym człowiekiem. I bardzo religijnym. Klęka i odmawia pacierz każdego wieczoru, jak dziecko. To jeden z najlepszych ludzi na świecie.

— On się śmieje z duchownych — powiedziała Celia. — I gra w różne gry w niedziele i śpiewa piosenki, światowe piosenki. Tak bardzo się boję, że spali go ogień piekielny.

— Co ty wiesz o czymś takim jak ogień piekielny?— powiedziała matka ze złością.

— Wiem, ogień piekielny to jest takie miejsce, gdzie trafiają niegodziwi ludzie.

— A któż to cię straszy takimi opowieściami?

— Ja się wcale nie boję — powiedziała Celia, zdziwiona. — Przecież ja tam nie trafię. Ja zawsze będę dobra i pójdę prosto do nieba. Ale — wykrzywiła żałośnie usta — ja chcę, żeby tatuś też poszedł do nieba.

Wtedy matka powiedziała jej o miłości Boga do ludzi i o jego dobroci, i o tym, że Bóg nie mógłby! zachować się tak brzydko, by wtrącać ludzi do ognia j na całą wieczność.

Celia nie dała się przekonać ani trochę. Było piekło i było niebo, były owce i były kozły. Niechby chociaż... tak, niechby chociaż miała te absolutnie; absolutną pewność, że tatuś nie jest kozłem!

Oczywiście, było piekło, tak samo jak było niebo. To jedna z niezachwianych prawd w życiu, prawd tak prawdziwych jak pudding ryżowy lub konieczność wymywania brudu z za uszu, lub mówienia: „tak, proszę” i „nie, dziękuję”.

4

Celii śniło się dużo snów. Niektóre z nich były po prostu śmieszne i dziwne; stanowiły przemieszanie wszystkiego, co się jej przydarzyło za dnia.

Za to kilka innych sprawiało jej szczególną przyjemność. To były sny o miejscach, które istniały naprawdę, i ona o tym wiedziała, lecz w jej snach wyglądały całkiem inaczej.

Trudno wyjaśnić, dlaczego właśnie te miejsca miałyby być tak ekscytujące, lecz jakoś (w snach) tak się działo.

Obok stacji kolejowej była dolina. W rzeczywistości tę dolinę przecinała kolej żelazna, lecz w dobrych snach Celi płynęła tamtędy rzeka, a na jej brzegach i w pobliskim lasku rosły pierwiosniki. Celia, zapytana za dnia o rzekę, odpowiedziałaby z czarującym zdziwieniem: „Rzeka w dolinie? Ależ skąd... przecież wiem, że tamtędy biegnie kolej żelazna”. Przemilczałaby istnienie ślicznej, zielonej doliny i błyszczącej pośród niej tafli wody.

Następnym miejscem, o którym często śniła, było pole w jakimś najdalszym zakątku ogrodu, gdzie tak naprawdę stał zwykły, brzydki dom z czerwonej cegły. Jednak tym snem, który dostarczał jej największego dreszczyku emocji, był sen o tajemniczych pokojach w jej własnym domu. Czasami dostawała się do nich przez spiżarnię, a czasami w najbardziej niezwykły sposób, bo przez gabinet tatusia. Śniły jej się często, lecz za każdym razem inaczej i za każdym razem odkrywaniu owych pokoi i ich tajemnic nieodmiennie towarzyszyła dziwna, sekretna radość...

Oczywiście Celia miewała także sny nieprzyjemne. Najgorszym, najstraszniejszym, najbardziej przerażającym był sen o Uzbrojonym Bandycie. Uzbrojony Bandyta miał upudrowane włosy, niebieskie oczy, czerwony mundur i strzelbę. I, co najgorsze, z rękawów jego munduru zamiast rąk wystawały kikuty. Kiedy zjawiał się we śnie, budziła się z krzykiem. Tak było najbezpieczniej, okazywało się bowiem, że leży w swoim łóżeczku, że nianusia jest tuż obok i że wszystko jest jak zawsze.

Prawdę mówiąc, nie było istotnego powodu, by aż tak bardzo bać się Uzbrojonego Bandyty. Przecież nie mógłby jej zastrzelić. Jego strzelba była tylko symbolem. A jednak bała się. Bała się tego czegoś, co kryło się w jego twarzy, w jego zimnych, intensywnie niebieskich oczach, bała się jadu jego spojrzenia. Bała się tak, że dostawała mdłości.

Następnie trzeba przejść do rzeczy, które się działy w ciągu dnia. Nikt nie wiedział, że kiedy Celia, jak przystało na grzeczną dziewczynkę, spaceruje statecznym krokiem po ścieżce, to w istocie dosiada białego rumaka (jej wyobrażenia o rumaku były dość mgliste: zgodnie z nimi rumak miał być jakimś nadzwyczajnym koniem o rozmiarach słonia); że kiedy idzie obok wąskiego murku z cegieł, ogradzającego grządki z ogórkami, tak naprawdę balansuje nad bezdenną przepaścią; że się przeistacza w różne postaci i że raz jest księżną, raz królowną, raz gęsiareczką, a jeszcze innym razem żebraczką. I tak, z jednej strony Celia żyła we własnym, bardzo interesującym świecie, a z drugiej... Z drugiej dorodzi nazywali ją „dobrym dzieckiem”, mając na myśli to, że jest cicha i spokojna, że umie się sama bawić i że się im nie naprzykrza.

Lalki? Tak, obdarowywano ją lalkami, lecz nie przepadała za nimi. Bawiła się lalkami posłusznie tylko wówczas, gdy nianusia podsuwała jej taką myśl, choć i wówczas bez większego entuzjazmu.

— Dobrze z niej dzieciątko — powiedziała kiedyś nianusia. — Bez żadnej wyobraźni, ale wiadomo, nie można mieć wszystkiego. Panicz Tommy, najstarszy synek kapitana Strettona, ten tak, ten zawsze zadreślał mnie pytaniami.

Celia rzadko zadawała pytania. Miała swój własny świat. Świat zewnętrzny niezbyt ją interesował.

5

Coś, co wydarzyło się kiedyś w kwietniu, sprawiło, że zaczęła się bać tego zewnętrznego świata.

Razem z nianusia wybrały się na pierwiosnki. Dzień był jasny i słoneczny, z nielicznymi chmurkami na błękitnym niebie. Przeszły przez tory kolejowe (tam, gdzie w snach Celi płynęła rzeka), wspięły się na pobliskie wzgórze i znalazły się w zagajniku, gdzie pierwiosnki pokrywały ziemię żółtym dywanem. Zrywały ich całe naręcza. To był naprawdę śliczny dzień, a pierwiosnki miały delikatny, cytrynowy zapach, dokładnie taki, jaki Celia uwielbiała.

I wtedy, prawie jak we śnie o Uzbrojonym Bandyce, ni stąd, ni zowąd, ktoś łyknął opryskliwie:

— Hej, co wy tam robicie?

Był to mężczyzna, ogromne chłopisko o czerwonej twarzy. Na sobie miał sztruksowe ubranie. Popatrywał na nie spode łba.

— To prywatny teren. A jak tak, to wiadomo, że obcym wstęp wzbroniony.

— Bardzo mi przykro, naprawdę. Nie wiedziałam o tym — powiedziała niania.

— Jazda stąd. Ale to już. — Gdy odchodziły, jeszcze usłyszały za plecami: — Ugotuję was żywcem. Ugotuję jak nic. Niech mi tylko jedna z drugą nie wyjdzie z tego zagajnika w trzy minuty! Celia parła do przodu co sił w nogach, niecierpliwie ciągnąc za sobą nianiusię. Dlaczego nianiusia nie przyśpieszy kroku? Jeszcze trochę, a— tamten człowiek ruszy za nimi w pogoń. Złapie je. Ugotuje żywcem w olbrzymim garze. Robiło jej się niedobrze ze strachu... Parła, potykając się, byle dalej, byle do przodu, a jej małe ciało drżało z przerażenia. On nadchodzi... jest tuż-tuż... za chwilę wrzuci je do wrzątku... Prędeż... och, prędeż!

Kiedy znalazły się na drodze, z gardła Celi wydarło się głośne westchnienie ulgi.

— On... on już nas nie złapie — mruknęła do siebie.

Niania, widząc jej śmiertelnie bladą twarzyczkę, zapytała przestraszona:

— Co ci jest, kochaneczko? — Nagle zrozumiała. — Chyba nie wystraszyłaś się tego gadania o gotowaniu? Przecież to był tylko żart. Naprawdę nie wiedziałaś?

— Tak, nianiusiu. Wiedziałałam, że to był żart — skłamała Celia dla świętego spokoju.

Upłynęło sporo czasu, nim potrafiła zapanować nad tamtym strachem. Odczuwała go jednak przez j całe życie. Był przerażająco realny.

6

Na czwarte urodziny Celia dostała kanarka, którego nazwano banalnym imieniem Złotko. Bardzo prędko się oswoił i chętnie przysiadł na palcu Celi. Kochała go. Karmiła ziarnem. Był jej i tylko jej. Poza tym miała w nim nieodłącznego towarzysza sekretnych przygód. W wyobraźni Celi kanarek był księciem o imieniu Dicky. Książę Dicky, bardzo przystojny młodzian, nosił szaty ze złotego aksamitu z czarnymi rękawami.

Mniej więcej po roku Dicky dostał żonę o imieniu Daphne. Daphne była wielkim, nastroszonym ptaszyskiem o brązowym upierzeniu. Nie miała wdzięku księcia ła była niezdarna. Rozlewała swoją wodę i przewracała wszystko, na czym przysiadła. Nigdy nie oswoiła się tak jak Dicky. Z racji jej niezdarności i „miotania się” ojciec Celi nazywał ją Susan.

Susan natomiast lubiła poszturchiwać ptaki zapalką, aby, jak mawiała, „zobaczyć, co też one zrobią”. Ptaki bały się jej i na jej widok trzepotały skrzydłami o klatkę. Susan wszystko wydawało się zabawne. Susan potrafiła się śmiać nawet z mysiego ogonka przytrzaśniętego pułapką.

Susan przepadała za Celia, i uwielbiała bawić się z nią w chowanego. Kryła się za zasłoną i wyskakiwała z za niej z głośnym krzykiem. Celia jednak nie odwzajemniała jej uczuć — Susan była dla niej za duża, za hałaśliwa i za energiczna. Celia wolała kucharkę, panią Rouncewell, którą nazywała zdrobniale Rouncy. Rouncy, kobieta o monumentalnych kształtach, była uosobieniem spokoju. Rouncy nie znała, co to pośpiech. Krążyła po kuchni pełna godności i z powagą dopełniała kuchennych rytuałów. Nigdy nie narzekała i nigdy nie traciła głowy. Podawała posiłki równo z wybiciem godziny. Nie miała wyobraźni. Kiedy matka Celii pytała: „No więc co proponujesz dzisiaj na lunch?”, zawsze odpowiadała jednakowo: „Więc, proszę pani, moglibyśmy zjeść smacznego kurczaka i imbirowy pudding”. Pani Rouncewell mogła, oczywiście, podać suflety, vol-au-vent, śmietanę, dzikie ptactwo, najróżniejsze paszteciki i najbardziej wyszukane francuskie potrawy, lecz nigdy nie zaproponowała nic poza kurczakiem i imbirowym puddingiem.

Celia uwielbiała chodzić do kuchni, która była taka sama jak Rouncy — ogromna wszerek i wzdłuż, błyszcząca czystością, bardzo ułudzona. Nad całym tym ładem i w ogóle nad całym miejscem panowała niepodzielnie Rouncy. Jej szczęki pracowały nieustannie, ponieważ stale coś jadła. Mały kawałek tego, tamtego i jeszcze czegoś.

— Chciałabym wiedzieć, panienko Celio, dlaczego panienka tak tutaj myszkuje — mawiała zwykle, a jej szeroka twarz powoli rozciągała się w uśmiechu. Następnie podchodziła do kredensu, otwierała puszkę i wsypywała do nadstawionych rączek pełną garść rodzynek. Czasami trafiały się Celii porzeczeki, czasami kromka chleba z melasą, a jeszcze innym razem nadłamany rożek placka z konfiturą. Nigdy nie zdarzyło się, by wyszła z kuchni z niczym.

Celia unosiła swój łup do ogrodu i zaszywała się i w krzakach pod ogrodowym murem, aby przetnie— j nić się w ściganą przez wrogów księżniczkę, którą oddana świta pod osłoną nocy zaopatruje w jedzenie...

Tymczasem jej nianusia siedziała w pokoju dzieciennym i jak zwykle coś szyła. To takie miłe, myślała sobie, że panienka Celia ma do zabawy przyjemny, bezpieczny ogród, a nie jakieś tam stawy czy inne tego rodzaju miejsca. Nianusia, im była starsza, tym bardziej lubiła siedzieć i szyć, a przy tym rozmyślać o różnych rzeczach... o małych Strettonach,

którzy dawno przestali być małymi chłopcami i małymi dziewczynkami... o małej panience Lilian, która już zdążyła wyjść za mąż... o paniczu Rodericku z Winchesteru i o paniczu Philu, też z Winchesteru... Nianusia lubiła wracać myślami ku minionym latom...

7

Zdarzyło się coś strasznego. Zginął Złotko. Zdążył się już tak bardzo oswoić, że drzwiczki jego klatki zawsze były otwarte. Zwykle fruwał tu i tam po pokoju dzieciennym. Siadywał na czubku głowy nianusi i szczypał dziobkiem jej czepeczek. „No, no, paniczu Złotko, to mi się ani trochę nie podoba”, przemawiała łagodnie nianusia. Przysiadł też na ramieniu Celi i wyjmował ziarna z jej warg. Był jak rozpuszczone dziecko. Jeśli nie zwracało się na niego uwagi, wpadał w złość i głośno się wydzierał.

No i tamtego strasznego dnia Złotko zginął. Okno w pokoju było otwarte. Na pewno wyfrunął na dwór!

Celia płakała i płakała. Nianusia i matka pocieszały ją.

— Może jeszcze wróci, moja duszko.

— Pewnie chciał pofruwać na wolności. Lepiej będzie, jak wystawimy klatkę za okno.

Do Celi nie docierały żadne słowa pociechy. Ptaki zadziobią go na śmierć. Przecież sama słyszała, jak ktoś tak mówił. Złotko nie żyje, leży gdzieś pod drzewem, a ona już nigdy nie poczuje uszczypnięcia jego małego dziobka. Rozpaczała cały dzień. Nie jadła obiadu ani podwieczorku. Klatka Złotka, wystawiona za okno, wciąż była pusta.

Wreszcie przyszła pora na spanie. Celia leży w swoim małym, białym łóżeczku. Jeszcze wstrząsa nią łkanie. Trzyma matkę za rękę. Bardzo mocno. Chce mamusi, nie nianusi. Nianusia powiedziała, że tatuś może jej podarować innego ptaszka. Mamusia wie lepiej. Mamusia rozumie, że ona nie chce innego ptaszka (poza tym jest przecież Daphne). Mamusia rozumie, że ona chce swojego kanarka, Och! Złotko, Złotko, Złotko... Ona kocha Złotko, a Złotko przepadł, Złotko jest zadziobany na śmierć! Szaleńczo ściska rękę matki. Matka oddaje jej uścisk.

I nagle, pośród ciszy przerywanej jedynie ciężkim oddechem Celi, rozlega się nieśmiały ptasi świergot.

To panicz Złotko raczył sfrunąć z karnisza, gdzie przesiedział cicho cały dzień.

Przez całe życie Celia pamiętała niewyobrażalnie cudowną radość tamtej chwili...

Od tamtej pory, gdy w domu ktoś się zaczynał smucić, ktoś inny mawiał: „No, no, dość tych żalów. Nie pamiętasz Dicky’ego i jego karnisza?”

8

Tymczasem sen o Uzbrojonym Bandycie zmienił się. Stał się jeszcze bardziej przerażający.

Zaczynał się całkiem zwyczajnie, jakimś piknikiem czy proszonym przyjęciem. I nagle, pośród najlepszej zabawy, ogarniało Celię jakieś dziwne uczucie. Coś było nie tak... Co takiego? No jasne, wśród gości pojawiał się Uzbrojony Bandyta. Nawet nie musiał być sobą — mógł być jednym z gości...

Tak, najbardziej przerażające było to, że mógł się wcielić w każdego. Celia powoli lustrowała każdą twarz. Wszyscy byli w wyśmienitym nastroju i dobrze się bawili. I nagle wiedziała. Mogła to być mamusia czy tatuś, czy nianusia, ktoś, z kim w najlepsze rozmawiała. Patrzyła w twarz mamusi — oczywiście, to jest mamusia — a widziała jasne, stalowoniebieskie oczy. Patrzyła na sukienkę mamusi, a tu z rękawa mamusinej sukienki — och, ratunku! — wystaje kikut. To nie jest mamusia, to jest Uzbrojony Bandyta... Budziła się z krzykiem.

No i nie potrafiła nikomu wytłumaczyć swoich lęków: ani mamusi, ani nianusi; nie potrafiła, bo sen opowiedziany nie wydaje się już tak przerażający. Ktoś głaskał ją i mówił: „Dobrze już, dobrze, miałaś, kochaneczko, zły sen”. Wkrótce zasypiała, choć wcale nie lubiła zasypiać, bo jej sen znów mógł powrócić.

Zanurzona w mrok nocy, powtarzała sobie w kółko, rozpaczliwie: „Mamusia nie jest, naprawdę nie jest Uzbrojonym Bandytą. Nie jest. Nie jest. Wiem, że nie jest. Ona jest zwyczajną mamusią. Moją mamusią”.

— Panienska Celia znów miała zły sen, proszę pani.

— Wiesz o czym, nianiu?

— Chyba o jakimś obcym człowieku i o jego strzelbie, proszę pani.

— Nie, mamusiu — włączała się Celia. — Nie o obcym człowieku ze strzelba. O Uzbrojonym Bandycie. O moim Uzbrojonym Bandycie.

— Czy bałaś się, że cię zastrzeli, kochanie? Tego się bałaś?

Celia, dygocząc, potrząsała przecząco głową. Nie potrafiła wyrazić swoich lęków. Matka nie nalegała. Mówiła łagodnie: — Jesteś absolutnie bezpieczna, kochanie. Jesteś wśród swoich. Nikt nie może cię skrzywdzić. To było pokrzepiające.

9

— Nianiusiu, jakie to jest słowo? O tam, to duże na afiszu?

— „Pokrzepiającą”, kochanie. „Poczęstuj się pokrzepiającą filiżanką herbaty”.

I tak było każdego dnia. Celia wykazywała niezwykle zainteresowanie znaczeniem słów. Miała swoje książeczki, lecz jej matka żywiła nieuzasadnioną niechęć do zbyt wczesnej nauki czytania.

— Celia zacznie się uczyć czytać dopiero wtedy, kiedy skończy sześć lat.

Cóż, teorie dotyczące kształcenia dzieci nie zawsze pokrywają się z praktyką. Zanim Celia skończyła pięć i pół roku, czytała wszystkie bajeczki z półki w dzieciennym pokoju, a także wszystkie słowa na afiszach. Choć prawdą jest, że czasami myliły jej się pojedyncze słowa. Bywało, że przychodziła do niani z zapytaniem: „Proszę nianiusi, czy to słowo «chciwy» czy »samolubny»? Wciąż zapominam”. Działo się tak dlatego, że Celia czytała całe słowa, a nie przykładała znaczenia do pisowni. Pisownia miała jej sprawiać kłopot przez całe życie.

Uwielbiała czytać. Ta umiejętność otworzyła przed nią nowy świat, świat baśni, czarownic, chochlików, trolli. Pasjonowała się baśniami. Opowiadania o życiu dzieci z krwi i kości nie bardzo ją interesowały.

W otoczeniu Celi było niewielu rówieśników, z którymi mogłaby się bawić. Jej dom stał na uboczu, a samochody stanowiły nie lada rzadkość. Od czasu do czasu jej rodzice zapraszali na podwieczorek Margaret McCrae, dziewczynkę starszą od Celi o rok. I również od czasu do czasu Celia była zapraszana do Margaret. Przy takich okazjach usilnie błagała o pozostawienie jej w domu.

— Dlaczego, kochanie? Czyżbyś nie lubiła Margaret?

— Nie, mamusiu. Lubię ją.

— No więc?

Celia uparcie potrząsała głową.

— Ona się wstydzi — rzucał pogardliwie Cyril.

— To absurd nie chcieć się bawić z innymi dziećmi — wtrącał się do rozmowy ojciec. — To wręcz nienaturalne.

— Może Margaret się z nią drażni? — dociekała matka.

— Nie! — wołała Celia i wybuchała płaczem.

Nie mogła im tego wytłumaczyć. Po prostu nie mogła. A przecież było to takie oczywiste. Margaret straciła wszystkie przednie zęby. Mówiła bardzo niewyraźnie, i Celia prawie niczego nie rozumiała. Szczytem wszystkiego stał się pewien wspólny spacer. Margaret powiedziała: „Opowiem ci psyjemną historyjkę, Celio”, i natychmiast przystąpiła do dzieła, poświsując i sepleniąc o „księżnicce i satrutyh słodycach”. Celia słuchała w mękach. Od czasu do czasu Margaret przystawała, pytając: „Podoba ci się, prafda?” Celia, przemilczając mężnie fakt, że nie ma pojęcia, o czym ta mówi, starała się odpowiadać inteligentnie. Lecz w duchu, jak to było w jej zwyczaju, uciekała się do modlitwy. „Och, proszę, Panie Boże, proszę, daj, bym już była w domu, i nie pozwól, by wyszło na jaw, że niczego nie zrozumiałam. Och, żebyśmy już wróciły do domu, błagam, Panie Boże”.

W jakiś niejasny sposób zdawała sobie sprawę, że Margaret nie powinna się dowiedzieć o swojej wadzie wymowy, że to byłoby dla niej okrutne. Miała potwornie napięte nerwy. Wróciła do domu błada i bliska łez. Wszyscy myśleli, że nie lubi Margaret, podczas gdy w rzeczywistości było całkiem inaczej. Tak bardzo ją lubiła, że bała się ją zranić.

Dlaczego nikt mnie nie rozumie, zapytywała w duchu. Czowała się w takich chwilach przygnębiona i bardzo samotna.

10

W czwartki odbywały się lekcje tańca. Kiedy Celia znalazła się tam po raz pierwszy, była bardzo wystraszona. Pokój był pełen dzieci, dużych dzieci w połyskliwych jedwabnych spódniczkach.

Pośrodku pokoju, ubrana w długie, białe rękawiczki, królowała panna Mackintosh, osoba, zdawało się Celii, jednocześnie i fascynująca, i budząca lęk, ktoś, kogo nie potrafiłaby porównać z nikim innym. Zdawało się jej również, że panna Mackintosh jest najwyższym człowiekiem na świecie. (Kiedyś, dużo później, bo po wielu latach, Celia ze zdziwieniem zauważyła, że panna Mackintosh jest zaledwie średniego wzrostu, a swój wygląd zawdzięcza falującym spódnicom, wyprostowanej sylwetce i silnej osobowości).

— Ach! — powiedziała panna Mackintosh łaskawym tonem. — A więc to jest Celia. Panno Tenderden?

Panna Tenderden — zastraszone z wyglądu stworzenie, które tańczyło wyśmienicie, lecz nie posiadało wyraźnej osobowości — podbiegła skwapliwie jak spragniony pochwały terier.

Celia została jej przekazana i niebawem znalazła się w grupie małych dzieci gimnastykujących się za pomocą „rozciągaczy”, czyli elastycznych, w kolorze królewskiej purpury, taśm z uchwytyami. Po „rozciągaczach” przysła kolej na zgłębianie tajemnic polki, a potem małe dzieci usiadły i obserwowały błyszczące stworzenia w jedwabnych spódniczkach, tańczące fantazyjny taniec z tamburynami.

Kiedy zapowiedziano lansjera, do Celi podbiegł chłopczyk o ciemnych, roześmianych oczach.

— Chcesz być moją partnerką?

— Nie mogę — odparła z żalem Celia. — Nie wiem, jak się tańczy lansjera.

— Och, jaka szkoda. Panna Tenderden czuwała.

— Nie umiesz tańczyć lansjera? Nic nie szkodzi, skarbie, zaraz się nauczysz. Popatrz, mam dla ciebie partnera.

Celia stanęła w parze z piegowatym chłopcem o żółtawych włosach. Naprzeciw nich stanął ów ciemnooki chłopiec ze swoją partnerką. Kiedy spotkał się z Celią podczas wykonywania jednej z figur, rzekł z wyrzutem:

— No wiesz, że mną nie chciałaś zatańczyć. Nie sądzisz, że to nieładnie?

Celia cierpiała męki, takie, jakie miała znosić w późniejszych latach. Jak mu to wyjaśnić? Jak po— wiedzieć: „Ależ chciałam. Bardzo chciałam. To zwykłe nieporozumienie”.

To było pierwsze negatywne doświadczenie wieku dziewczęcego — niewłaściwy partner!

Kolejna figura lansjera rozdzieliła ich. Spotkali się raz jeszcze w wielkim korowodzie, lecz chłopiec jedynie uściśnął jej dłoń i obrzucił pełnym wyrzutem spojrzeniem.

Już nigdy więcej nie pojawił się na lekcji tańca i Celia nigdy nie poznała jego imienia.

Kiedy Celia skończyła siedem lat, odeszła stara niania. Niania miała starszą siostrę i ta siostra podupadła na zdrowiu. Niania musiała się nią zaopiekować.

Celia była niepokieszona. Zalewała się łzami i codziennie zasiadała do pisania kolejnego listu. Wszystkie miały mniej więcej tę samą treść, wszystkie były krótkie, chaotyczne, z okropnymi błędami, a ich skomponowanie sprawiało jej nie lada trudność.

— Wiesz, kochanie — powiedziała kiedyś matka — nie sądzę, byś musiała pisywać do nianiusi codziennie. Ona naprawdę nie oczekuje tego. Dwa listy tygodniowo zupełnie wystarczą.

Celia potrząsnęła przecząco głową.

— Nianusia mogłaby sobie pomyśleć, że zapomniałam o niej. A ja jej nie zapomnę. Nigdy.

— To dziecko jest bardzo stałe w swoich uczuciach — powiedziała matka Celi do swego męża. — A szkoda. W pewnym sensie, oczywiście.

— Na szczęście nie można tego powiedzieć o paniczu Cyrilu — zaśmiał się ojciec.

Cyril nigdy nie pisał ze szkoły do rodziców, chyba że mu kazano albo był w potrzebie. Jednak Cyril miał swoisty wdzięk i uchodziły mu płazem drobne wykroczenia.

Uporczywe dochowywanie przez Celię wierności starej niani wciąż nie dawało spokoju jej matce.

— To nienaturalne — upierała się przy swoim zdaniu. — W jej wieku powinno się łatwo zapominać.

Na urząd nianiusi nie wstąpiła żadna nowa niania. Celia, łącznie z jej wieczorną kąpielą i poranną toaletą, od tej pory miała zajmować się Susan. Rankiem, kiedy Celia była już ubrana i uczesana, udawała się do pokoju matki, gdzie mogła liczyć na mały kawałek grzanki z marmoladą (matka zawsze jadła śniadania w łóżku). Następnie brała do ręki małą, pękatą kaczuszkę z porcelany i wkładała ją do matczynej miednicy z wodą. Ojciec w tym czasie przebywał obok, w swojej ubieralni. Czasami wołał ją do siebie i dawał pensa, którego miała wrzucić do małej drewnianej skarbonki. Po każdym zapełnieniu skarbonki, pensy Celi miały być wpłacane do kasy oszczędności, a po uskładaniu z tych pensów „okrągłej sumki”, Celia miała sobie kupić coś naprawdę wspaniałego, za naprawdę własne pieniądze. Pytanie, co by to mogło być, stałe zaprzętało myśli Celi, a związane z tym marzenia przybierały coraz to inny kształt. Najpierw miał to być wysoki, szylkretowy grzebień, z ozdobnymi guzami, który jej matka wpinałaby w swoje czarne włosy. To Susan pokazała go Celi na wystawie sklepowej. „Na takie grzebienie stać utytułowane damy i

nikogo więcej”, powiedziała głosem pełnym szacunku. Szylkretowy grzebień zastąpiła układana w harmonijkę sukienka z białego jedwabiu, w której Celia mogłaby chodzić na lekcje tańca. Tylko dzieci, które tańczyły skirta, ubierały się w układane w harmonijkę sukienki. Być może upłyną lata, nim Celia będzie odpowiednio duża, aby tańczyć skirta, lecz, niewykluczone, że taki dzień kiedyś nadejdzie. Następnym marzeniem była para pantofelków z prawdziwego złota (Celia nie miała wątpliwości, że takie pantofelki istnieją). Po pantofelkach z prawdziwego złota nastąpiła era marzeń o altanie w lasku, a jeszcze potem o kucyku. Jedna z tych rozkosznych rzeczy miała czekać na nią w dniu, kiedy w kasie oszczędności jej pensy zamienią się w „okrągłą sumkę”.

W ciągu dnia Celia bawiła się w ogrodzie, tocząc kółko (które mogło wyobrażać absolutnie wszystko, co jeździ, począwszy od dylizansu, a skończywszy na pociągu ekspresowym), wspinając się na drzewa (ostrożnie i bez większego przekonania) i wynajdując w gęstych zaroślach kryjówki, gdzie, przez nikogo nie niepokojona, mogła sobie spokojnie leżeć i snuć zmyślane historyjki.

Jeśli padał deszcz, czytała w pokoju dziecinnym albo kolorowała stare egzemplarze „Queen”. Między podwieczorkiem a kolacją bawiła się z matką. Czasami była to zabawa w domy, czyli pełzanie, tam i z powrotem, pod rozciągniętymi na krzesłach ręcznikami, a czasami puszczanie baniek mydlanych. Nigdy nie wiedziało się z góry, co będzie tym razem, niemniej każda zabawa okazywała się znakomita — taka, jaką trudno wymyślić samemu i jaka była możliwa jedynie z mamą.

Ponieważ podrosła, rankami odbywały się tak zwane lekcje, i to one sprawiły, że Celia poczuła się bardzo ważna. Lekcje zaczynały się od arytmetyki, a nauczycielem tego przedmiotu był sam tatuś. Celia kochała arytmetykę i była bardzo dumna, słysząc jego pochwały: „To dziecko jest obdarzone ścisłym umysłem. Nie będzie w przyszłości liczyło na palcach, tak jak ty to robisz, Miriam”. Na co matka odpowiadała ze śmiechem: „Nigdy nie miałam głowy do cyfr”. Celia przeszła przez dodawanie, odejmowanie, mnożenie (bardzo, według niej, zabawne) i dzielenie, choć to z kolei wydawało się jej za dorosłe i za trudne, aż zatrzymała się na czarownych stronicach „Zagadek”. Wprost uwielbiała zagadki. Byli w nich chłopcy, były jabłka w ogrodzie i owce na polach, i ciastka, byli robotnicy, i choć w istocie chodziło o zwykłe działania arytmetyczne, to przecież dzięki chłopcom czy jabłkom, czy owcom rozwiązywanie zagadek dostarczało niezwykłych emocji. Po arytmetyce zaczynała się nauka kaligrafii i tu do akcji wkraczała matka. Pisała u góry zeszytu rząd literek, a Celia uzupełniała nimi, linijka po linijce, całą stronę. Celia nie

przepadała za kaligrafią, przykładła się do niej dopiero wówczas, kiedy mamusi zdarzyło się napisać jakieś zabawne zdanie w rodzaju: „Zezowate koty mają z kaszlem kłopoty”. Krok w krok za kaligrafią szła ortografia, lecz z tą było najwięcej biedy i ta kosztowała Celię najwięcej wysiłku. Obawiając się błędów, potrafiła wstawić w krótkie, proste słowo tak dużo niepotrzebnych liter, że w rezultacie zatracalo ono swoje pierwotne znaczenie.

Wieczorami, kiedy Susan uporała się z kąpielą, do pokoju dziecinnego przychodziła mamusia, aby „otulić” ją na noc. Celia nazywała to „mamusinym otuleniem” i starała się nie poruszyć, aby „mamusine otulenie” przetrwało aż do rana. Jednak tak się jakoś działo, że rano nie było po nim ani śladu.

— Zostawić ci światło, skarbie? A może nie zamykać drzwi?

Celia nie chciała światła. Ciemność miała dla niej swój urok. Ciemność była ciepła, wygodna i przyjazna.

— Widzę, że nie jesteś żadnym strachajłem — mawiała przy takiej okazji Susan. — Nie to, co moja mała siostrzeniczka. Spróbuj zostawić ją po ciemku, a zapłacze ci się na śmierć.

Mała siostrzeniczka Susan, myślała sobie Celia w skrytości ducha, na pewno jest bardzo niegrzeczną małą dziewczynką, no i przy tym bardzo głupią. Dlaczego ktoś miałby bać się ciemności? Przecież bać się można jedynie snów. A sny są straszne dlatego, że czynią zamęt we wszystkim, co dzieje się naprawdę. Jeśli Celia, obudzi się z krzykiem, wyrwana ze snu o Uzbrojonym Bandytce, to przecież zawsze może wyskoczyć z łóżka i, znając drogę na pamięć, przebiec korytarzem do pokoju matki nawet w najciemniejszych ciemnościach. A wówczas matka przyprowdzi ją z powrotem do dziecinnego pokoju, przysiadzie przy jej łóżeczku i powie: „Ależ, skarbie, tu nie ma żadnego Uzbrojonego Bandyty. Jesteś całkiem bezpieczna, zapewniam cię”. A wtedy Celia zaśnie ponownie, wiedząc, że jeśli mamusia tak mówi, to na pewno nic złego nie może jej się przytrafić, i w niecałe kilka minut znów będzie spacerowała po dolinie, nad rzeką, zrywając pierwiosnki i mówiąc do siebie z triumfem: „Wiedziałam, że to nie jest żadna kolej żelazna. Przecież ta rzeka płynie tędy od zawsze”.

2. ZAGRANICA

Pół roku po odejściu nianiusi matka podzieliła się z Celia bardzo ekscytującą nowiną. Wyjeżdżają za granicę, do Francji.

— Ja też?

— Tak, kochanie, ty też.

— A Cyril?

— Cyril też.

— A Susan i Rouncy?

— Nie. Tylko my czworo: tatuś, ja, Cyril i ty. Tatuś nie najlepiej się czuje i lekarz poradził, abyśmy spędzili zimę w jakimś ciepłym kraju.

— To Francja jest ciepłym krajem? — Południe Francji, kochanie. — Jak tam jest, mamusiu?

— No, są tam góry. Ze śniegiem. — Dlaczego ze śniegiem? — Ponieważ są bardzo wysokie. — Jak wysokie?

Matka przystąpiła do wyjaśnień, jak wysokie bywają góry, lecz Celia się poddała; zabrakło jej wyobraźni.

Znała kopiec Woodbury. Żeby znaleźć się na jego szczycie, trzeba było iść dobre pół godziny. Jednak kopiec Woodbury chyba w ogóle nie zasługiwał na miano góry.

Wszystko było niezmiernie podniecające, wszystko, a zwłaszcza torba podróżna. Prawdziwa walizka, jej własna, z ciemnej, zielonej skóry, a w niej butelki i szczotka, i grzebień, i szczotka do ubrania, i mały podróżny zegarek, i nawet kałamarz podróżny!

Celia była pewna, że ta walizka to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zdarzyło jej się mieć na własność.

Sama podróż też dostarczyła niemało wrażeń. Najpierw przeprawiali się przez Kanał. Mamusia, bojąc się choroby morskiej, poszła się położyć, a Celia została z ojcem na pokładzie, dzięki czemu poczuła się bardzo dorosła i ważna.

Francja, kiedy w końcu dobili do jej wybrzeży, nieco ją rozczarowała. Wyglądała jak każde inne miejsce. Za to ubrani w niebieskie uniformy bagażowi mówiący po francusku, przyprawili ją o dreszczyk emocji, tak samo zresztą jak wysoki pociąg i to, że w czasie podróży miało się w nim spać.

Ona i jej matka zajęły jeden przedział, a ojciec i Cyril sąsiedni. Cyril, jakżeby inaczej, był ponad wszystko. Cyril miał szesnaście lat i poczytywał sobie za punkt honoru niczym się nie ekscytować. Zadawał pytania jakby od niechcenia, lecz nawet jemu trudno było ukryć podziw i ciekawość, jakie wzbudzała wielka francuska lokomotywa.

— Czy tam naprawdę będą góry, mamusiu? — zapytała Celia.

— Tak, kochanie.

— A czy będą bardzo, ale to bardzo wysokie? — Tak.

— Wyższe niż kopiec Woodbury?

— I to o wiele. Tak wysokie, że na ich szczytach zawsze leży śnieg.

Celia zamknęła oczy i spróbowała to sobie wyobrazić. Góry. Wielkie wzgórza, pnące się coraz wyżej, wyżej, wyżej — tak wysoko, że być może nie da się zobaczyć ich szczytów. Celia odchyliła głowę do tyłu, jeszcze trochę i jeszcze. W wyobraźni już błędziła po stromych górskich zboczach.

— Czy coś ci się stało, kochanie? Może masz skurcz w karku?

Celia potrząsnęła głową z emfazą.

— Myślę o wielkich górach — powiedziała.

— Głupi dzieciak — rzucił Cyril z dobroduszną pogardą.

Niebawem trzeba było iść do łóżka. Do łóżka w pociągu! Rano, kiedy się obudzą, będą na południu Francji!

Do Pau przybyli o jedenastej następnego ranka. Przy zbieraniu bagaży było mnóstwo zamieszania; rodzina wyruszyła w podróż z niezliczonymi skórzanymi walizkami i z co najmniej trzynastoma wielkimi kuframi o wypukłych wiekach.

W końcu jakoś udało im się opuścić dworzec. Jechali do hotelu. Celia wykręcała głowę na wszystkie strony.

— Gdzie są te góry, mamusiu?

— Tam, córeczko. Czy widzisz tamten łańcuch ośnieżonych szczytów?

Ach, to! Istotnie, na niebie rysował się zygzak czegoś białego, co swoim wyglądem najbardziej przypominało wycinankę z papieru. Gdzie były wyniosłe monumenty, pnące się ku niebu daleko, hen ponad głową Celii?

— Och! — powiedziała Celia, rozczarowana. Góry! Też mi coś...

2

Celia przeżyła rozczarowanie z powodu gór, lecz w samym Pau bardzo jej się podobało. Podniecały ją posiłki. Lunch, zwany z niewiadomych powodów tabbeldotem*, podawano przy wspólnym, długim stole, a dania były wprost niezwykle. W hotelu przebywały bliźniaczki o rok starsze od Celii. Ona, Bar i Beatrice wszędzie chodziły razem. To przy

bliźniaczkach Celia odkryła (po raz pierwszy w poważnym wieku swoich ośmiu lat) radość płynącą z płatania figli. Na przykład stawały wszystkie trzy na balkonie apartamentu, zjadały pomarańcze, a pestki wypluwały na przechodzących ulicą żołnierzy, wystrojonych w barwne niebieskie i czerwone mundury. Kiedy ci, zezłoszczeni, zadzierali głowy, balkon był już pusty. Usypywały (ku irytacji Victora, starego kelnera) kopczyki z soli i pieprzu na talerzach rozłożonych do „tabbeldotu”. Chowwały się w niszy pod schodami i długim pawim piórem łaskotały nogi gości hotelowych, schodzących na obiad. Ich popisowy numer przypadł na ów dzień, kiedy to wyjątkowo dały się we znaki energicznej pokojówce z jednego z wyższych pięter. Deptały jej po piętach przez dłuższy czas, aż wreszcie wcisnęły się za nią do małego sanktuarium, gdzie trzymała miotły, wiadra i szczotki do szorowania. Ta odwróciła się ze złością i wylewając potoki słów w swoim niemożliwym do zrozumienia języku, wypadła ze schowka, zatrzasnęła za sobą drzwi i przekręciła klucz w zamku. Dziewczynki zostały uwięzione.

— Ale nas urządziła — powiedziała gorzko Bar.

— Ciekawe, jak długo tu sobie posiedzimy. Popatrywały posępnie jedna na drugą. Nagle oczy Bar rozblęły buntowniczo.

— Nie zniósę, by nad nami triumfowała. Musimy coś wymyślić.

Bar była prowodyrką w każdej sytuacji. Jej wzrok powędrował ku mikroskopijnej szczelinie okna, jedynej, jakie było w schowku.

— Ciekawe, czy udałoby się przez to jakoś precyzyjnie. Żadna z nas nie jest gruba. Celio, wyrzyj! Jest tam coś na zewnątrz?

Celia zakomunikowała, że na zewnątrz jest rynna.

— I wystarczająco duża, żeby nią przejść — dodała.

— Świetnie. No to policzmy się z Suzanne. Ale się wścieknie na nasz widok.

Trochę się mocowały z oknem, lecz w końcu je otworzyły i jedna po drugiej prześliznęły się na zewnątrz. Rynna miała mniej więcej stopę szerokości, a jej krawędź była nie wyższa niż dwa cale. Cała scena rozgrywała się na wysokości piątego piętra. Belgijka spod numeru 33 wysłała do Angielki spod numeru 54 grzeczny bilecik z zapytaniem, czy madame jest świadoma faktu, że jej mała córeczka razem z dwiema dziewczynkami madame Owen spaceruje po parapacie piątego piętra?

Celia nie mogła zrozumieć, dlaczego z powodu tego drobnego incydentu, podniesiono całkiem niepotrzebną wrzawę. To było niesprawiedliwe. Nikt jej nigdy nie powiedział, że nie chodzi się po parapetach.

— Mogłaś spać. Mogłaś się zabić.

— Och nie, mamusiu. W rynnie było mnóstwo miejsca. Mieściły mi się obie stopy razem.

Ów incydent pozostał w jej pamięci jako jedno z tych niewytłumaczonych zjawisk, wokół których dorośli robią wiele zamieszania bez istotnego powodu.

3

Celia oczywiście miała się uczyć francuskiego. Do Cyrila przychodził codziennie pewien młody Francuz. Celią z kolei miała zajmować się młoda dama, która każdego dnia miała ją zabierać na spacer i rozmawiać z nią po francusku. Młoda dama w rzeczywistości była Angielką, córką właściciela angielskiej księgarni, lecz całe życie spędziła w Pau i mówiła po francusku doskonale.

Młoda dama, panna Leadbetter, była osobką niezwykle dystyngowaną, a jej angielszczyzna okazała się afektowana i pretensjonalna. Wymawiała słowa powoli, odrobinę protekcyjnym, ugrzecznonym tonem.

— Popatrz, Celio, to jest sklep, gdzie się piecze chleb. Boulangerie.

— Tak, panno Leadbetter.

— Spójrz, Celio, mały piesek przekracza ulicę. Un chien qni traverse la rue. On'est-ce qu'il fait? To znaczy: co on robi?

Panna Leadbetter miała pecha. Psy są stworzeniami niedelikatnymi i mają wrodzoną skłonność do zawstydzania nad wyraz dystyngowanych młodych kobiet. Ów przykładowy pies poniechał „przekraczania” ulicy i zajął się czymś zupełnie innym.

— Nie wiem, jak się mówi po francusku na to, co ten piesek robi — powiedziała Celia.

— To niezbyt ładny widok. Popatrz w drugą stronę, kochanie. Mamy przed sobą kościół. Voil? une église.

Spacery były długie, nudne i monotonne. Po dwóch tygodniach matka Celi dała pannie Leadbetter wypowiedzenie.

— Ona jest nie do zniesienia — powiedziała do męża. — Zanudziłaby nam dziecko na śmierć.

Ojciec Celi zgodził się z żoną i dodał, że dziecko powinno uczyć się języka francuskiego poci okiem Francuzki. Celi nie bardzo podobał się pomysł z Francuzką. Celia do wszystkich cudzoziemców odnosiła się z typową wyspiarską nieufnością. Chociaż, jeśli lekcje miałyby się ograniczać jedynie do spacerów... Poza tym wierzyła matce, a jej

matka powiedziała, że mademoiselle Mauhourat na pewno da się polubić. Mademoiselle Mauhourat, takie nadzwyczajnie zabawne nazwisko...

Mademoiselle Mauhourat była wysoka i tęga. Zawsze narzucała na siebie mnóstwo przeróżnych pelerynek, które powiewały wokół jej ramion i przewracały stojące na stołach przedmioty.

Celia była przekonana, że nianusia na pewno zaliczyłaby mademoiselle do osób „miotających się”.

Mademoiselle Mauhourat była bardzo wylewna i przesadnie czuła.

— Oh, la chère mignonne! — wołała od progu. — La chère petite mignonne. — Klękała przed Celią i usiłowała ją rozśmieszyć, lecz Celia nieodmiennie zachowywała brytyjską powściągliwość. Celia czuła się zakłopotana.

— Nons allons nous amuser. Ah, comme nous allons nous amuser!

Znów zaczęły się spacery. Celia grzecznie wsłuchiwała się w nieprzerwany bulgot niezrozumiałych słów. Mademoiselle Mauhourat była bardzo uprzejma. Mademoiselle Mauhourat była coraz bardziej uprzejma, a Celia coraz mniej ją lubiła.

Po dziesięciu dniach Celia się przeziębiła. Miała podwyższoną temperaturę.

— Myślę, że lepiej będzie, jak nie wyjdiesz dzisiaj na dwór — powiedziała matka. — Mademoiselle może zabawiać cię tutaj.

— Nie — wybuchnęła Celia. — Nie. Odpraw ją. Odpraw!

Matka popatrzyła na nią uważnie. Było to spojrzenie, które Celia dobrze знаła, spojrzenie, przed którym nic się nie dało ukryć.

— W porządku, skarbie, odprawię ją.

— Nawet nie pozwól, by tu weszła — błagała Celia dalej.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi do salonu i stanęła w nich mademoiselle wraz ze swymi niezliczonymi pelerynkami.

Nim zdążyła się odezwać, matka Celi rzuciła kilka zdań po francusku. Mademoiselle z okrzykami żalu i współczucia przypadła do Celi.

— Ah, la pauvre mignonne — wołała. — La pauvre, pauvre mignonne/

Celia spojrzała na matkę błagalnie i wykrzywiła buzię w okropnym grymasie. Odpraw ją, mówił ten grymas. Odpraw ją w tej chwili.

Szczęśliwie jedna z wielu pelerynek mademoiselle Mauhourat zahaczyła o flakon z kwiatami i przewróciła go. Mademoiselle, przepaszając za wyrządzoną szkodę, zaczęła wycofywać się z pokoju. Koniec końców, drzwi się za nią zamknęły.

— Kochanie — powiedziała łagodnym tonem matka — nie powinnaś robić takich min. Mademoiselle Mauhourat miała jak najlepsze intencje. Mogłaś zranić jej uczucia.

Celia popatrzyła na matkę najwyraźniej zdziwiona.

— Ależ mamusiu, przecież to były miny angielskie.

Nie zrozumiała, dlaczego jej matka wybuchła śmiechem. Tamtego wieczoru Miriam powiedziała do męża:

— Ta kobieta również jest do niczego. Celia jej nic lubi. Zastanawiam się...

— Słucham?

— Ach, nic takiego. Przyszła mi na myśl taka jedna dziewczyna, pomocnica w firmie krawieckiej.

Przy następnej przymiarce Miriam zagadnęła ową dziewczynę. Dziewczyna dopiero uczyła się krawieckiego fachu, a jej cała praca sprowadzała się do podawania szpilek. Miała około dziewiętnastu lat, starannie upięte w kok ciemne włosy, zadarty nosek i różową, sympatyczną twarz.

Jeanne była bardzo zaskoczona, kiedy angielska dama zapytała, czy chciałaby pojechać do Anglii. To zależy, odparła, co na to powie matka. Miriam poprosiła ją o adres matki. Rodzice Jeanne prowadzili niewielką kawiarenkę, bardzo przyjemną i bardzo czystą. Madame Beaugé wysłuchiwała propozycji angielskiej damy z nie ukrywanym zdziwieniem. Jeanne miałyby pracować u kogoś jako pokojówka i zajmować się małą dziewczynką? Jeanne raczej nie ma doświadczenia. Jeanne jest dość niezdarna i niezręczna. Jeśli miałyby kogoś polecić, to już raczej Berthe, starszą córkę. Angielka jednak chciała Jeanne, i tylko Jeanne. Nie obyło się bez konsultacji z monsieur Beauge. Ten stwierdził, że nie powinni się sprzeciwiać woli Jeanne, zwłaszcza że, jak słyszy, jej zarobki będą o wiele lepsze niż w firmie krawieckiej.

Trzy dni później Jeanne, niezmiernie przejęta i zdenerwowana, podjęła nową pracę. Wyraźnie bała się małej Angielki, która od tej pory miała być pod jej opieką. Nie знаła angielskiego. Nauczyła się jednego jedyne go zdania i chciała się nim popisać.

— Dzień dobry, panienko.

Niestety, Celia nie rozumiała z tego ani słowa. Była to kwestia akcentu. Poranna toaleta przebiegała w milczeniu. Celia i Jeanne mierzyły się wzrokiem jak dwa nieznanne psiaki. Jeanne szcztokowała loki Celi ostrożnie, nawijając je na palce, a Celia nie przestawała jej się przyglądać.

— Mamusiu — zapytała przy śniadaniu. — Czy Jeanne w ogóle nie mówi po angielsku?

— Nie, kochanie, nie mówi.

— To zabawne.

— A podoba ci się?

— Ma bardzo śmieszny twarz. — Namyslała się przez minutę: — Powiedz jej, żeby mi mocniej szczotkowała włosy.

Pod koniec trzeciego tygodnia Celia i Jeanne potrafiły się ze sobą porozumieć. Pod koniec czwartego spotkały na spacerze trzodę krów.

— Mon Dieu!— zawołała Jeanne. — Des vaches, des vaches! Maman, maman.

— Co się stało? — zapytała Celia. — J'ai peur des vaches.

Celia spojrzała na nią życzliwie.

— Jeśli jeszcze kiedyś spotkamy krowy — powiedziała — ja pójdę przodem.

Po tej małej przygodzie zostały przyjaciółkami już na dobre. Celia znalazła w Jeanne wspaniałą towarzyszkę zabaw. Jeanne na przykład ubierała kilka laleczek Celi i wdawała się z nimi w prześmieszne pogawędki. Po kolei wcielała się w la femme de chambre (bardzo impertynencką), w mamusię, w tatusia (który prężył dumnie pierś i podkręcał wąsa) i w każde z trojga nieznośnych dzieci. Innym razem, udając monsieur le cure, proboszcza, wysłuchiwała spowiedzi całej lalczanej rodziny, po czym wszystkim po kolei zadała straszliwą pokutę. Celia była oczarowana. Zawsze błagała o powtórkę.

— Non, non, panienko, c'est tr?s mal ce que j'ai fait !?

— Pourquoi?

— Przedrzeźniałam monsieur le cure — wyjaśniła. — A to przecież grzech!

— Och, Jeanne, jeden jedyny raz, proszę. To było takie zabawne.

Jeanne miała miękkie serce i powtarzała całą scenkę jeszcze zabawniej, tym samym wystawiając swoją nieśmiertelną duszę na poważne niebezpieczeństwo.

Celia wiedziała wszystko o jej rodzinie. O Berthe, która była tr?s sérieuse, o Louisie, który był si gentil, o Edouardzie, który był spirituel, i o la petite Lise, która właśnie przystąpiła do pierwszej komunii, i o bardzo zwinnym kocie, który potrafił zwijać się w kłębek między szklankami tak, że nigdy żadnej nie potrafił. Celia z kolei opowiadała Jeanne o Złotku i o Rouncy, o Susan, o ogrodzie i o tych wszystkich rzecz/ach, które będą wspólnie robić, kiedy Jeanne przyjedzie do Anglii. Jeanne nigdy nie widziała morza. Pomysł z przeprawą przez Kanał nie wydawał się jej najszcześniejszy.

— Je me figure— powiedziała kiedyś — que j'aurais horriblementpeur. N'en parlons pas! Parlez-moi de votre petit oiseau.

4

Pewnego dnia, kiedy Celia była na spacerze z ojcem, pozdrowił ich ktoś siedzący w hotelowym ogródku.

— John! Stary, kogo ja widzę!

— Bernard!

Wielki, jowialnie wyglądający mężczyzna poderwał się i ze wzruszeniem uściśnął rękę jej ojca.

Był to chyba niejaki pan Grant, jeden z najdawniejszych przyjaciół ojca. Nie widzieli się od lat i nie mieli pojęcia, że przebywają w tej samej zagranicznej miejscowości. Grantowie zatrzymali się w innym hotelu, lecz od tej pory obie rodziny spotykały się zwykle po dejeuner na kawie.

Pani Grant w oczach Celi uchodziła za najpiękniejszą istotę na świecie. Miała kunsztownie ułożone, srebrzystobiałe włosy, cudowne ciemnoniebieskie oczy, wyraźne rysy i bardzo czysty, dźwięczny głos. Celia natychmiast wymyśliła nową postać, królową Marise. Królowa Marise posiadała wszelkie cechy pani Grant i była uwielbiana przez wiernych poddanych. Trzy razy napadali na nią zbójcy, lecz za każdym razem ratował ją z opresji młodzieniec o imieniu Colin, którego natychmiast pasowała na rycerza. Jej szaty koronacyjne były uszyte z aksamitu w kolorze szmaragdowej zieleni, a srebrna korona była wysadzana diamentami.

Pan Grant nie został królem. Celia skłonna byłaby uznać, że jest miły, gdyby nie to, że miał zbyt tłustą i zbyt czerwoną twarz. No i ani trochę nie przypominał jej ojca, z jego brązową brodą, którą zadzierał za każdym razem, kiedy się śmiał. Mój ojciec, myślała Celia, jest właśnie taki, jaki ojciec być powinien — zawsze gotów do miłych żarcików, które nikogo nie wprawiają w zakłopotanie, jak to bywało czasami z dowcipami pana Granta.

Grantowie przywieźli ze sobą syna, Jima, piegowatego chłopca w wieku szkolnym. Jim był sympatyczny i zawsze uśmiechnięty. Miał niebieskie i bardzo okrągłe oczy, co sprawiało, że zawsze wyglądał na zdziwionego. Poza tym uwielbiał swoją matkę.

On i Cyril przyglądali się sobie nieufnie. Jim traktował Cyrila z wyraźnym respektem, ponieważ Cyril był od niego dwa lata starszy i chodził do prywatnej szkoły. Jedno, co ich

łączyło, to absolutny brak zainteresowania kimś takim jak Celia. Celia się nie liczyła. Celia była zwykłym dzieciakiem.

Grantowie wrócili do Anglii po trzech tygodniach. Tuż przed ich wyjazdem Celia usłyszała, jak pani Grant mówi do jej matki:

— Przeżyłam wstrząs na widok Johna. Choć, co prawda, powiedział mi, że od kiedy tu przebywa, czuje się znacznie lepiej.

— Mamusiu, czy tatuś jest chory? — spytała później Celia.

Matka chyba trochę się zmieszała. — Ależ skąd — zaprzeczyła po chwili. — Nie, oczywiście, że nie. Tatuś czuje się teraz doskonale. Po prostu w Anglii jest zbyt wilgotno. W Anglii często pada deszcz.

Celia była zadowolona z odpowiedzi. Nie, myślała, niemożliwe, żeby ojciec był chory. Przecież nigdy nie leży w łóżku ani nie kicha i nie miewa ataków żółciowych. Czasami kaszle, ale to tylko dlatego, że za dużo pali. O tym, że ojciec za dużo pali, wiedziała od niego.

A jednak ciekawe, dlaczego mamusia zrobiła taką niepewną minę...

5

Kiedy nadszedł maj, opuścili Pau i najpierw udali się do Argeles, leżącego u stóp Pirenejów, a potem do Caunterets, w góry.

W Argeles Celia zakochała się. Obiektem jej namiętnego uczucia stał się młody windziarz, Auguste. Nie Henri, mały blondynek, który czasami płatał figle razem z nią, Bar i Beatrice (one też przyjechały do Argeles), lecz Auguste. Auguste miał osiemnaście lat, był wysoki, miał ciemne włosy, żółtawą cerę i bardzo ponury wygląd.

Nie interesował się hotelowymi gośćmi, których woził raz w górę, raz w dół. Celia nigdy nie zdobyła się na odwagę, aby go zagadnąć. O jej romantycznej miłości nie wiedział nikt, nawet Jeanne. Nocą, w łóżku, Celia wyobrażała sobie sceny, w których ocala Auguste'owi życie, to chwytając za cugle ponoszącego go konia, to holując go do brzegu po katastrofie morskiej, którą przeżyli tylko oni dwoje.

Czasami Auguste ratował ją z pożaru, jednak Celia zdecydowanie wolała sytuacje odwrotne. Najpiękniejszą sceną w jej marzeniach była ta, w której Auguste, z oczami pełnymi łez, mówi: „Mademoiselle, zawdzięczam pani życie. Czy kiedykolwiek zdołam się odwdzięczyć?”

To była krótka, lecz gwałtowna namiętność. Miesiąc później Celia pojechała wraz z rodziną do Cauterets i tam zakochała się w Janet Patterson.

Janet miała piętnaście lat. Była zwykłą miłą dziewczyną, z brązowymi włosami i łagodnymi, niebieskimi oczami. Nie była ani piękna, ani w jakiś szczególny sposób ujmująca. Wobec młodszych dzieci była uprzejma i bawiąc się z nimi, nie okazywała znudzenia.

Dla Celi jedyną radością w życiu stała się myśl, że kiedyś wreszcie dorośnie i będzie taka jak jej bożyszczce. Któregoś dnia ona też włoży bluzkę w paski z kołnierzykiem i krawat i zaplecie włosy w warkocz, a ten warkocz przewiąże czarną kokardą. No i będzie miała te tajemniczą rzecz — figurę. Janet miała figurę — bardzo widoczną, sterczącą po obu stronach pasiastej bluzki. Celia, niezwykle szczupłe dziecko (Cyril, kiedy chciał siostrę zirytować, nazywał ją chudym kurczakiem, a ten „chudy kurczak”, nie wiedzieć czemu, nieodmiennie doprowadzał ją do łez), była gorącą wielbicielką wszelkiego rodzaju pulchności. Któregoś dnia, któregoś pięknego dnia, ona też dorośnie i będzie miała wspaniałe wypukłości wszędzie tam, gdzie trzeba.

— Mamusiu — zapytała kiedyś — kiedy będę miała wypukłe piersi?

Matka popatrzyła na nią i powiedziała:

— Nie możesz się doczekać, tak?

— O tak — przytaknęła prawie bez tchu.

— Kiedy będziesz miała czternaście, a może piętnaście lat, tak jak Janet.

— Czy wtedy dostanę bluzkę w paski?

— Możliwe, choć nie sądzę, by paski były bardzo ładne.

Celia popatrzyła na matkę z wyrzutem.

— A ja myślę, że tak. Och, mamusiu, powiedz naprawdę, że będę ją kiedyś miała.

— Owszem, dlaczego nie. Jeśli nadal będzie ci się podobać.

Oczywiście, że będzie.

Wyszła popatrzeć na swoje bożyszczce. Ku jej wielkiemu zmartwieniu Janet spacerowała ze swoją francuską przyjaciółką Yvonne Barbier. Celia nienawidziła Yvonne z całej duszy. Yvonne była bardzo łacina, bardzo elegancka i zawsze zadzierała nosa. Miała piętnaście lat, lecz wyglądała na osiemnaście. Szła z Janet pod rękę i coś jej gruchała do ucha.

— Naturellement, je riai rien dit ? maman. Je lui ai répondu...

— Zmykaj stąd, kochanie — powiedziała słodko Janet. — Yvonne i ja jesteśmy teraz zajęte.

Celia, smutna, poszła sobie. Jakże nienawidziła tej okropnej Yvonne Barbier.

Niestety, dwa tygodnie później Janet i jej rodzice opuścili Cauterets. W pamięci Celi jej obraz zatarł się bardzo prędko, lecz od tej pory hodowała w sobie ekstatyczne marzenie o dniu, w którym i ona będzie miała „figurę”.

W Cauterets było cudownie. Miasteczko leżało u samego podnóża gór, choć jeśli chodzi o te ostatnie, nadal nie wyglądały tak, jak je sobie Celia wcześniej wyobrażała. W głębi serca czuła się oszukana, do końca życia miała pozostać obojętna na ich piękno i w ogóle na górską scenerię. Uroki Cauterets na szczęście nie sprowadzały się jedynie do samych gór. Rankami cała rodzina wspinała się mozolnie do Railliere, gdzie rodzice wypijali po szklance obrzydliwie smakującej wody. Następnie kupowało się laski sucre d'orge. Zakręcone laski miały różne kolory i smaki. Celia zwykle dostawała ananasową, matka lubiła zieloną, anyżkową. Ojciec, co dość dziwne, nie lubił ani takiej, ani takiej. Ojciec w ogóle nie lubił lasek z cukierkami. Ojciec natomiast, od kiedy przybyli do Cauterets, sprawiał wrażenie pogodnego i szczęśliwego.

— Ta miejscowość zdecydowanie mi odpowiada, Miriam — powiedział kiedyś. — Zupełnie jakbym się na nowo narodził.

— Zostajemy tutaj tak długo, jak to będzie możliwe — odparła jego żona.

Ona także wyglądała na weselszą i często się śmiała; zmarszczka, która ostatnio coraz częściej pojawiała się na jej czole, jakby się trochę wygładziła. Celia, prawdę mówiąc, prawie się nie zajmowała. Zadowolona, że dziecko jest pod opieką Jeanne, sercem i duszą zwróciła się ku mężowi.

Po porannej wycieczce Celia zwykle wracała do domu w towarzystwie Jeanne. Szły przez las zygzakowaną ścieżką i Celia co jakiś czas zjeżdżała w dół stromego stoku, co sprawiło, że jej majtki były w dość opłakany stan. Jeanne lamentowała:

— Oh, panienko, ce n'est pas gentille ce que vous faites l'? Et vos pantalons. Que dirait madame votre m're?

— Encore une fois, Jeanne. Une fois seulement.

— Non, non. Oh, panienko!

Po lunchu Jeanne na ogół zajmowała się szyciem, a Celia wychodziła na miejski plac, gdzie mogła się bawić z innymi dziećmi. Uważano, że najodpowiedniejszą towarzyszką zabaw dla Celi jest pewna mała dziewczynka o nazwisku Mary Hayes. „Takie miłe dziecko”, mówiła matka Celi. „Dobrze ułożone, a przy tym, och, jakie słodkie. Odpowiednia przyjaciółka dla Celi”.

Celia bawiła się z Mary Hayes tylko wówczas, kiedy nie dało się tego uniknąć. Mary była i miła, i słodka, lecz Celia najzwyczajniej w świecie nudziła się przy niej. Dzieckiem, które podobało się Celii, była mała Amerykanka, Marguerite Priestman. Pochodziła z któregoś z zachodnich stanów i miała okropny nosowy akcent, co dla dziecka urodzonego i wychowanego w Anglii było czymś niezwykle fascynującym. Bawiła się w nie znane dotąd Celii zabawy. Marguerite towarzyszyła zabawna stara niania w olbrzymim czarnym kapeluszu o opadających skrzydłach, która nieodmiennie powtarzała jedno i to samo zdanie: „Masz się pilnować Fanny, słyszysz?”

Fanny przydawała się, kiedy jakiś drobny spór między dziewczynkami zaczynał niebezpiecznie przybierać na sile. Któregoś dnia, dziewczynki, kłócąc się zawzięcie, były bliskie łez.

— No, no, dosyć tego. Fanny chce wiedzieć, o co ta cała awantura.

— Właśnie opowiadałam Celii historyjkę, ale ona mi przerwała. Ona mówi, że to, co ja mówię, to nieprawda. A właśnie, że prawda.

— A o czym była ta twoja historyjka?

— O malej dziewczynce, która żyła sobie sama w lesie, ponieważ pan doktor jej nie znalazł i nie zaniósł w swojej czarnej torbie...

Celia znów jej przerwała.

— To nieprawda. Marguerite mówi, że dzieci znajdują lekarze w jakichś lasach i przynoszą je do matek. To nieprawda. Przynoszą je w nocy aniołki i wkładają do kołyszek.

— Lekarze.

— Aniołki. — Nieprawda.

Fanny uniosła swą dużą dłoń.

— Spokój! Teraz ja mówię.

Dziewczynki zamieniły się w słuch. Małe, czarne oczka Fanny popatrywały na nie ze zrozumieniem i stosowną powagą.

— I o co ta cała awantura? Marguerite ma rację i Celia też. Jedna mówi o tym, skąd się biorą amerykańskie dzieci, a druga o tym, skąd angielskie.

A więc to takie proste! Celia i Marguerite uśmiechnęły się do siebie i znów były przyjaciółkami.

Fanny mruknęła swoje „masz się pilnować Fanny, słyszysz?” i powróciła do robótki.

— Czy mogę dalej opowiadać? — zapytała Marguerite.

— Tak, tak — odparła Celia. — Opowiadaj. Jak skończysz, to ja ci opowiem bajkę o opalowej wróżce, która wyszła z pestki brzoskwini.

Nim Marguerite dobrnęła do końca, Celia znów jej przerwała.

— Co to jest skarapin?

— Skarapin? To ty nie wiesz, co to jest skarapin?

— Nie, nie wiem. Co to takiego?

Tym razem nie poszło łatwo. Z galimatiasu wyjaśnień Marguerite Celia zrozumiała tylko tyle, że skarapin, to nic innego jak skarapin! Skarapin na długo miał pozostać w jej wyobraźni jako legendarna bestia, związana w jakiś sposób z kontynentem amerykańskim.

Dopiero po wielu latach, kiedy była już osobą dorosłą, błysnęła jej w głowie pewna myśl. Oczywiście, skarapin Marguerite Priestman, to nic innego jak zwykły skorpion.

Skarapin odszedł w niebyt, a Celia poczuła się wówczas tak, jakby poniosła jakąś stratę.

6

W Caunterets kolację podawano bardzo wcześnie. o wpół do siódmej. Celi wolno było w niej uczestniczyć. Po kolacji wszyscy wychodzili na zewnątrz i zasiadali przy małych stolikach, a raz czy dwa na tydzień zjawiał się kuglarz ze swymi sztuczkami.

Celia uwielbiała kuglarza. Wiedziała od ojca, że na kuglarza trzeba mówić prestidigitator, i już sama ta nazwa bardzo jej się podobała. Powtarzała sobie bardzo powoli, sylabę po sylabie, o trudne słowo.

Kuglarz był wysokim mężczyzną i miał długą, czarną brodę. Robił najdziwniejsze rzeczy z kolorowymi wstążkami, na przykład wyciągał je z ust, i to całe jardy. Kończąc występ, zwykle zapowiadał małą loterię. Najpierw posyłał w obieg wielki drewniany półmisek, na który każdy z „widzów” składał jakiś datek, polem obwieszczał zwycięskie numery i przyznawał nagrody: papierowy wachlarz, małą latarenkę czy bukietik papierowych kwiatów. Dzieci były uszczęśliwione i prawie zawsze to one zdobywały nagrody. Celia szalenie pragnęła wygrać papierowy wachlarz. Niestety, nie miała szczęścia, choć dwa razy trafiła jej się papierowa latarenka.

Któregoś dnia ojciec zwrócił się do Ccii z propozycją:

— Co myślisz o wyprawie na coś takiego? — Tu wskazał na jedną z gór za hotelem.

— Wzięłybyś mnie tam, tatusiu? Aż na sam czubek?

— Tak. Pojechałabyś na mule.

— Co to jest muł, tatusiu?

Ojciec powiedział, że muł to zwierzę, które trochę jest osłem, a trochę koniem. Celia zadrżała z radości na myśl o przygodzie. Jej matka zachowała się powściągliwie.

— John, jesteś całkiem pewien, że to bezpieczna wyprawa? — zapytała.

Ojciec Celi zlekceważył jej obawy. Oczywiście, że dziecku nic się nie stanie.

W góry miała wyruszyć ona, ojciec i Cyril.

— Och! — ten ostatni prychnął lekceważąco. — Zabieramy toto ze sobą? Jak nic zamęczy nas na śmierć.

Cyril żywił dla Celi dużo braterskiego uczucia, lecz wyprawa z dzieckiem uraziła jego męską dumę. W czymś takim, jak zdobywanie górskich szczytów, nie powinny uczestniczyć kobiety i dzieci. Kobiety i dzieci powinny siedzieć w domu.

W dniu wielkiej wyprawy Celia już od wczesnego ranka stała na balkonie i wypatrywała mułów. W pewnej chwili zza rogu ulicy wybiegły truchtem jakieś wielkie zwierzęta, bardziej przypominające konie niż osiołki. Celia natychmiast znalazła się na dole. Przenikało ją radosne podniecenie. Jej ojciec rozmawiał z niskim mężczyzną o ogorzalej od stoń— ca twarzy, w berecie na głowie. Mężczyzna właśnie zapewniał, że tej petite mademoiselle nie stanie się nic złego i że najlepiej będzie, jak on sam się nią zaopiekuje. Najpierw ojciec i Cyril dosiedli swoich wierzchowców, potem przewodnik usadził w siodle Celię. Och, z jakiej wysokości patrzyła teraz na świat, i jakie to było ekscytujące!

Ruszyli. Stojąca na balkonie matka pomachała im na pożegnanie. Celię przeszywał dreszcz dumy. Czuła się jak ktoś dorosły. Obok niej biegł przewodnik. Usta mu się nie zamykały, lecz mówił z tak silnym hiszpańskim akcentem, że dziewczynka niewiele z tego rozumiała.

To była cudowna jazda. Pięli się w górę zakosami, po coraz to bardziej stromym stoku. Po jednej stronie mieli skalistą ścianę, a po drugiej pionowy uskoki. W miejscach najbardziej niebezpiecznych muł Celi przystawał, jakby zadumany, i leniwie grzebał w ziemi kopytem. Bardzo miły konik, jemu, tak jak mnie, też pewnie się podobają spacerki nad przepaścią, myślała Celia. Anyżek... jakie to dziwne imię dla konia...

Było południe, kiedy znaleźli się na szczycie. Stało tam malusieńkie schronisko ze stołem na zewnątrz. Usiedli przy nim. Kobieta ze schroniska przyniosła im bardzo smaczne jedzenie: omlet, smażonego pstrąga, ser śmietankowy i chleb. Po posiłku Celia bawiła się z dużym, kudłatym psem.

— Cest presque im Anglais — powiedziała kobieta ze schroniska. — Il s'appelle Milor.

Milor był bardzo przyjazny i pozwolił Celi robić ze sobą wszystko, co chciała.

Niebawem ojciec popatrzył na zegarek i powiedział, że powinni wracać. Wezwał przewodnika.

Ten podszedł do nich uśmiechnięty.

— Patrzcie, co przed chwilą złapałem — powiedział. — W zamkniętych dłoniach trzymał dużego, pięknego motyla. — To dla panienki.

Po czym prędko i zręcznie, nim Celia się zorientowała, wyciągnął skądś szpilkę i przyszpilił nią motyla do cienka jej słomianego kapelusza.

— Voil? que mademoiselle est chic — powiedział pełen uznania dla własnego dzieła.

Następnie sprowadzono muły. Całe towarzystwo wspięło się na nie i zaczęło się schodzenie w dół.

Celia poczuła się nieszczęśliwa. Słyszała, jak motyl trzepoce skrzydłami o jej kapelusze. Motyl jest żywy, żywy! Nadziany na szpilkę! Po jej policzkach zaczęły spływać łzy.

W końcu nie uszło to uwagi ojca.

— Co się stało, dziecinko?

Celia potrząsnęła głową. Jej płacz przeszedł w łkanie.

— Czy coś cię boli? Może głowa? Może jesteś zmęczona?

Celia coraz gwałtowniej potrząsała głową.

— Ona się boi konia — powiedział Cyril.

— Nieprawda, nie boję się.

— Więc dlaczego beczysz?

— La pet ile mademoiselle est fatiguée — zasugerował przewodnik.

Łzy z oczu Celi popłynęły jeszcze prędezej. Celia rozpaczała w duchu, że wszyscy na nią patrzą, wszyscy ją wypytują, lecz czyż wolno jej powiedzieć, co się stało? Przecież zraniłaby uczucia przewodnika. Przewodnik chciał być uprzejmy. Złapał motyla specjalnie dla niej. I z jaką dumą przyszpilił go do kapelusza. Jak mogła powiedzieć, że uważa taką rzecz za okropną? A teraz za późno. Teraz nikt nie zrozumie przyczyny jej płaczu. Nikt nie zrozumie! Nikt i nigdy! Wiał wiatr, a na wietrze skrzydełka motyla trzepotały jeszcze głośniejsze. Celia płakała niepowstrzymanie, myśląc sobie, że chyba na całym świecie nie ma gorszego nieszczęścia od tego, jakie ją spotkało.

— Będzie lepiej, jak się pośpieszymy — powiedział ojciec. — Jej matka miała rację. Za wiele wrażeń, jak na dziecko.

Celia chciała zawołać: „Nieprawda, wcale nie za wiele”. Nie zrobiła tego. Zdawała sobie sprawę, że zaczęto by ją przepytawać od nowa: „No to o co ci chodzi?”

Płakała przez całą drogę. Płakała, kiedy zdejmowano ją z muła, i nawet wówczas, kiedy ojciec wniósł ją do salonu i powiedział do matki:

— Miałaś rację, Miriam. Za wiele wrażeń, jak na dziecko. Nawet nie mam pojęcia, czy ją coś boli, czy płacze ze zmęczenia.

— Nieprawda, wcale się nie zmęczyłam — zaprzeczyła Celia.

— Wystraszyła się schodzenia po stromym stoku — uznał Cyril.

— Nieprawda, niczego się nie wystraszyłam.

— No więc co ci jest? — dopytywał się ojciec.

Celia wpatrywała się w matkę bez słowa. Wiedziała, że nie powie prawdy nikomu. Powód jej niedoli pozostanie na zawsze w jej sercu, na zawsze. Chciała wyznać całą prawdę — och, jak bardzo chciała — lecz nie potrafiła się do tego zmusić. Jej usta pieczętował jakiś tajemny zakaz milczenia. Gdyby tak mamusia sama zgadła. Mamusia na pewno by ją zrozumiała. Ale ona nie powie tego nawet mamusi. Wszyscy jej się przyglądali, wszyscy oczekiwali, że coś powie. A ona cierpiała straszne męki. Patrzyła w rozpacz na matkę. „Pomóż mi”, mówiło jej spojrzenie. „Och, pomóż mi wreszcie”.

Miriam przyjrzała się córce uważnie.

— Jestem pewna, że Celii nie podoba się ten motyl na kapeluszu — powiedziała. — Kto go tam przyszpilił?

Och, jaka ulga, jaka cudowna ulga.

— Nonsens... — rzucił ojciec, lecz Celia nie pozwoliła mu dokończyć. Przerwała się w niej jakaś tama. Zaczęła krzyczeć.

— Nienawidzę tego! Nienawidzę! Ten motyl trzepoce. On żyje. Jego to boli.

— Dlaczego, u licha, nie powiedziałaś tego na górze, ty głupi dzieciaku? — obruszył się Cyril.

— Przypuszczam, że nie chciała zranić uczuć przewodnika — odpowiedziała za nią matka.

— Och, mamusiu!

W tych dwóch słowach zawierało się wszystko. Ulga, wdzięczność i całe dziecięce oddanie. Matka ją zrozumiała!

3. BABUNIA

1

Następnej zimy ojciec i matka Celi udali się do Egiptu. Nie uważali, by zabranie ze sobą Celi było dobrym posunięciem, stąd ona i Jeanne wylądowały u babuni.

Babunia mieszkała w Wimbledonie i Celi bardzo się u niej podobało. Do domu babuni przylegał uroczy ogród — kwadratowy, wielkości chusteczki do nosa splachetek zieleni, obrzeżony krzewami róż. Celia uwielbiała róże i nawet zimą często je wspominała: „To jest Różowa Francja, coś dla ciebie, Jeanne”. Jednak prawdziwą dumą i chlubą ogrodu był wielki jesion, z którego konarów za pomocą odpowiednich podpórek zrobiono coś w rodzaju altany. W swoim domu Celia nie miała czegoś takiego, stąd też ów jesion zyskał w jej oczach rangę jednego z najwspanialszych cudów świata. Kolejną osobliwością domu babuni była toaleta z bardzo wysokim, staromodnym mahoniowym sedesem. Celia zamykała się w tym zacisznym miejscu zaraz po śniadaniu. Bezpiecznie odizolowana od reszty domowników natychmiast wchodziła w rolę królowej i kłaniała się łaskawie wyimaginowanym dworzanom czy podawała im dłoń do pocałunku. Gdyby z toalety nie korzystali inni domownicy, tego rodzaju dworskie sceny trwałyby zapewne w nieskończoność”. No i była jeszcze spiżarnia, usytuowana przy drzwiach do ogrodu, niepodzielne dominium babuni. Babunia, podzwaniając pękiem kluczy, odwiedzała ją każdego ranka z punktualnością właściwą dzieciom, psom czy lwom w porze karmienia. Zdejmowała z półek torby cukru, masło, jajka albo słoiki konfitur. Wszystko to odbywało się przy akompaniamencie zaciekłych dyskusji ze starą Sarah, kucharką. Sarah stanowiła absolutne przeciwieństwo Rouncy. Była tak chucią, jak tamta gruba; mała staruszcza o twarzy przypominającej łupinę włoskiego orzecha. Służyła u babuni od pół wieku i od pół wieku poranne spory miały ten sam przebieg. Były swoistym rytuałem. Zużyto zbyt dużo cukru. Albo: co się stało z ostatnim funtem herbaty? W ten sposób babunia grała rolę skrupulatnej gospodyni. Służba jest tak marnotrawna! Trzeba ją krótko trzymać! Kiedy rytuał dobiegał końca, babunia udawała, że dopiero teraz zauważa Celię.

— No, no, kogo ja tu widzę? — pytała z wielkim zaskoczeniem. — Mam nadzieję, że to dziecko niczego ode mnie nie chce.

— Ależ chcę, babuniu, chcę.

— Dobrze już, dobrze. Niech no zobaczę, co my tutaj mamy. — Babunia zniknęła w zakamarkach spiżarni. Myszkowała po półkach bez pośpiechu, lecz nigdy nie wracała z

pustymi rękami. Dla jej małej dziewczynki zawsze coś się znalazło: czasami garść suszonych śliwek, czasami laseczka dzięglu albo konfitura z pigwy.

Babunia była bardzo przystojną starą damą. Miała białoróżową cerę, po dwie fale białych, ufryzowanych włosów na skroniach i duże, dobroduszne usta. Miała majestatyczną figurę z wydatnym biustem i imponującymi biodrami. Ubierała się w aksamitne albo brokatowe suknie z sutym dołem, mocno ściągnięte w talii.

— Zawsze miałam świetną figurę, kochaneczko — mawiała do Celi. — Zabawne, moja siostra, ta o najładniejszej twarzy w całej rodzinie, nie mogła się nią poszczycić. Ona jej po prostu nie miała! Była płaska jak deska. Wystarczyło, bym się pokazała, a mężczyźni odwracali od niej wzrok.

Mężczyźni byli po większej części tematem wszystkich rozmów babuni. Dorastała w czasach, kiedy płeć męską uważało się za pępek świata. Kobiety istniały właściwie tylko po to, aby dogadzać tym wspaniałym stworzeniom.

— Trudno byłoby o przystojniejszego mężczyznę od mojego ojca. Miał sześć stóp wzrostu. Oczywiście, my, dzieci, bałyśmy się go. Był bardzo srogi.

— A jaka była twoja matka, babuniu?

— Ach, biedaczka, miała zaledwie trzydzieści dziewięć lat, kiedy jej się zmarło. A nas, dzieci, było dziesięcioro. Niezła gromada głodomorów, kochaneczko. Po urodzeniu dziecka, kiedy jeszcze nie wstawała z łóżka...

— A dlaczego leżała w łóżku, babuniu? — To taki zwyczaj, kochaneczko.

Celia nie zadawała dalszych pytań. Dawne zwyczaje znajdowały się poza orbitą jej zainteresowań.

— No więc nie wstawała. Miała „swoją miesiąc” — ciągnęła babunia. — Cieszyła się nim, bo tylko wtedy mogła odpocząć, biedaczka. Jadła śniadanie w łóżku i dostawała gotowane jajko. Choć nie powiem, by miała z niego wiele pożytku. My, dzieci, zawsze ją o to jajko zamęczałyśmy. „Czy mogę spróbować odrobinę, mamusiu? Czy mogę zjeść

tylko sam czubek?” Po tym, jak każde dziecko spróbowało, ile mogło dla niej zostać? Moja matka była zbyt uległa, zbyt dobra. Umarła, kiedy ja, najstarsze dziecko w rodzinie, miałam czternaście lat. Biedny ojciec załamał się. Stanowili bardzo oddaną sobie parę. Poszedł za nią do grobu pół roku później. Celia pokiwała głową. Tak powinno być. Dzięki książeczkom z pokoju dziecinnego nieobce jej były sceny, rozgrywające się przy łożu śmierci. Na ogół umierało jakieś szczególnie święte i anielsko dobre dziecko.

— A na co chorował?

— Miał galopujące suchoty — odparła babunia.

— A twoja mamusia, babuniu?

— Popadła w niemoc, kochaneczko. Zwyczajnie popadła w niemoc. Zawsze osłaniaj szyję, kiedy wychodzisz na wschodni wiatr. Zapamiętaj to sobie, Celio. To wschodni wiatr zabija, nie inny. Weźmy naszą biedną pannę Sankey. Przecież jeszcze miesiąc temu jadła ze mną podwieczorek. Że też zachciało jej się chodzić na te dzisiejsze nieprzyzwoite baseny. Ostatnim razem wyszła na dwór bez boa na szyi, a jakże, no i trzeba trafu, że wiał wschodni wiatr. Zawinęła się w tydzień, biedactwo.

Prawie wszystkie opowiadane przez babunię historie, a także jej wspomnienia, miały taki, a nie inny koniec. Babunia była najpogodniejszą osobą na świecie, a mimo to delectowała się opowieściami o nieuleczalnych chorobach, nagłych zgonach czy tajemnych dolegliwościach. Celia tak się do tego przyzwyczaiła, że dopytywała się, przejęta, już w połowie kolejnej historii: „A potem on umarł, prawda, babuniu?” A babunia odpowiadała: „Ach, tak, umarł, biedaczek”. Czasami umierał chłopiec, czasami dziewczyna czy kobieta, zależnie od przypadku. Tak czy inaczej żadna z babcinych przypowieści nie kończyła się szczęśliwie. Możliwe, że cudza śmierć była w jakimś sensie pożywką dla zdrowego organizmu babuni i podtrzymywała w niej siły witalne.

Poza tym babunia miała w zanadrzu wiele tajemnych przestrog.

— Jeśli ktoś obcy, kogo nie znasz, częstuje cię słodyczami, zawsze powinnaś odmówić. A kiedy podrośniesz, pamiętaj, podróżując, nigdy nie wsiadaj do jednego przedziału z samotnym mężczyzną.

Ta ostatnia przestroga zbiła Celię z tropu. Celia była nieśmiałym dzieckiem. Jeśli miałoby się nie wsiadać z samotnym mężczyzną do jednego przedziału, to najpierw trzeba by go było zapytać, czy jest żonaty, czy też nie. Przecież nie wystarczy spojrzeć na mężczyznę, by o tym wiedzieć.

— Nie odważyłabym się na coś takiego, babuniu. W tym momencie goszcząca na podwieczorku przyjaciółka babuni mruknęła, Celia nie zwróciła na to zupełnie uwagi.

— No wiesz, to całkiem niemądre, mówić przy niej takie rzeczy.

— Te, które zostały w porę ostrzeżone, uniknęły nieszczęścia — odparowała babunia gromkim głosem. — Młodzi ludzie powinni wiedzieć o pewnych sprawach. Możliwe, moja droga, że nigdy nie słyszałaś o czymś, o czym dawno temu opowiadał mi mój mąż. Mój pierwszy mąż. (Babunia miała trzech mężów. Po pierwsze, z powodu atrakcyjności swej figury, a po drugie dlatego, że umiała dbać o pleć męską. Wszystkich trzech pochowała

jak należy: pierwszego ze łzami, drugiego z rezygnacją, trzeciego z godnością). — Mój pierwszy mąż był zdania, że kobiety powinny wiedzieć o takich rzeczach.

Ściszyła głos do poświstującego szeptu.

To, co Celia usłyszała, wydało się jej nudne. Poszła zatem do ogrodu...

2

Jeanne była nieszczęśliwa. Coraz bardziej tęskniła za Francją i za swoją rodziną. Angielskie służące, powiedziała Celi, wcale nie są uprzejme.

— Cuisiniere, Sarah, jest gentille, choć nazywa mnie papistką. Lecz te inne, Mary i Kate, śmieją się ze mnie, ponieważ nie wydaję pieniędzy na stroje, tylko wszystko, co zarobię, wysyłam mamam.

Babunia wzięła się za pocieszanie Jeanne.

— Postępujesz jak rozsądna dziewczyna — powiedziała. — Nie słyszałam, żeby ktoś złapał przyzwoitego męża na stroje. Rób tak, jak robisz, a łatwiej ci będzie uwić przyszłe gniazdko. Schludny, prosty strój jest o wiele bardziej odpowiedni dla służby niż pstrokate fatałaszki. Powtarzam ci, postępujesz rozsądnie i obyś w tym wytrzymała.

Mimo to Jeanne czasami nie mogła powstrzymać łez. Tak Mary, jak i Kate często pozwalały sobie na złośliwe przytyki czy na zwykłą nieuprzejmość. Młode Angielki nie lubiły cudzoziemek. Jeanne na domiar złego była papistką, a przecież wiadomo, że rzymscy katolicy modlą się do nierządnic.

Szorstkie zachęty babuni nie zawsze były właściwym lekiem na otwarte rany.

— Trwanie przy swojej wierze to całkiem słuszna rzecz, moja panno. Co nie znaczy, że ja sama aprobeuję religię rzymskokatolicką. Nie, nie aprobeuję. Większość rzymskich katolików, których znam, to kłamcy. Może lepiej by było, gdyby ich księża się żenili. A te zakony! A te wszystkie młode dziewczęta zamknięte w nich na amen! Chciałabym wiedzieć, co też się z nimi dzieje. Księża, być może, znają odpowiedź” na to pytanie.

Na szczęście dzięki brakom w angielszczyźnie Jeanne daleka była od uchwycenia sensu tego rodzaju uwag.

Madame jest bardzo miła, powiedziała. Ona spróbuje wcale się nie przejmować tym, co mówią inne dziewczęta.

Następnie oberwało się Mary i Kate. Babunia nie przebierała w słowach. Jak mogły być tak nieuprzejme wobec Bogu ducha winnej biedaczki w obcym kraju?! Mary i Kate

potulnie wysłuchały tyrady. Zdawały się całkowicie zaskoczone. Niesłychana rzecz, takie zarzuty. Że też ta Jeanne potrafi aż tak zmyślać.

Babunia miała przy tym trochę satysfakcji: niechcący nadarzyła się okazja, by odmówić Mary, która upierała się, aby służyć sprawić rower.

— Dziwię ci się, Mary, że masz czelność mówić mi o czymś takim. Żadna z moich służących nigdy nie wsiądzie na coś tak niestosownego.

Mary, z nadąsaną miną, mruknęła pod nosem, że jej kuzynowi Richmondowi nie odmówiono, kiedy zwrócił się z podobną prośbą.

— Żebym o tym więcej nie słyszała — zakończyła dyskusję babunia. — A poza tym rowery są dla kobiet niebezpieczne. Jazda na czymś tak obrzydliwym już niejedną pozbawiła możliwości cieszenia się własnym dzieciątkiem. Rowery to nic dobrego dla kobiecych wnętrzności.

Mary i Kate odeszły nadąsane. Oczywiście mogły odejść ze służby, lecz zdawały sobie sprawę, że trafiły w dobre miejsce. Jedzenie domowe. Pierwsza klasa. Kuchnia nie je, jak gdzie indziej, sklepowych ochłapów. Praca nieciężka. Starsza pani, wiadomo, tyran, ale w nieszczęściu czy w domowych kłopotach zawsze poratuje. A jak już przyjdzie Boże Narodzenie, to nie ma od niej hojniejszej. Co tu mówić, nawet ze starą Sarah da się wytrzymać. Zrzędzi bo zrzędzi, za to gotuje pierwszorzędnie.

Podobnie jak wszystkie dzieci, Celia lubiła myszkować po kuchni. Starej Sarah, w przeciwieństwie do Rouncy, do wielu rzeczy brakowało cierpliwości, ale Sarah naprawdę była przeraźliwie stara. Gdyby ktoś powiedział Celi, że Sarah ma sto pięćdziesiąt lat, Celia przyjęłaby to za dobrą monetę. Nikt, w co święcie wierzyła, nie jest tak stary jak Sarah.

Sarah bywała nieobliczalna. Można ją było urazić w najbardziej nieoczekiwany sposób. Pewnego dnia, na przykład, Celia weszła do kuchni i zapytała Sarah, co gotuje.

— Zupę na podróbkach, panienko Celio.

— Co to są podróbki, Sarah? Sarah zacisnęła usta.

— To jest coś takiego, o co młoda dama nie powinna pytać.

— Ale co? — Celia była już na dobre zaciekawiona.

— Nie, doprawdy, tego już za wiele, panienko Celio. Taka młoda dama jak panienka, naprawdę nie powinna pytać o takie rzeczy. — Sarah, Sarah... — Celia zawirowała, a wraz z nią jej płowe loki. — Co to są podróbki? Sarah, co to są podróbki? Podróbki, podróbki, podróbki...

Rozjuszona Sarah ruszyła na nią z patelnią. Celi nie pozostało nic innego, jak się wycofać. Po kilku minutach wsunęła głowę w drzwi i powtórzyła swoje:

— Sarah, co to są podróbki?

Za minutę pokazała się w oknie.

Sarah z twarzą pociemniałą ze złości mruknęła coś pod nosem i nawet na nią nie spojrzała.

W końcu, zmęczona tego rodzaju zabawą, Celia dopadała babunię.

Babunia na ogół przesiadywała w pokoju stołowym, którego okna wychodziły na krótki podjazd przed domem. Ten pokój Celia potrafiłaby opisać jeszcze dwadzieścia lat później. Ciężkie firany z nottinghamskiej koronki, czerwono–złote tapety, półmrok, delikatny zapach jabłek, ciche godziny południa. Szeroki wiktoriański stół, przykryty kordonkowym obrusem, masywny mahoniowy kredens, mały stoliczek przy kominku ze stertą przeczytanych gazet, parę ciężkich brązowych figurek na kominku („twój dziadek, kochaneczko, dał za nie siedemdziesiąt funtów na wystawie w Paryżu”), obciążona czerwona, błyszcząca skórą sofa, na której Celia czasami „odpoczywała”, i która była tak śliska, że z trudem dawało się na niej uleżeć, szydełkowa imitacja gobelinu zawieszona naci sofą, ręczne windy przy parapetach okiennych, zatłoczonych przeróżnymi bibelotami, obrotowa biblioteczka na okrągłym stole, czerwone aksamitne krzesło na biegunach, w którym Celia kołysała się kiedyś tak gwałtownie, że przeleciała przez oparcie i nabiła sobie na głowie guza wielkości jajka, rząd obitych skórą krzesel pod ścianą i w końcu wielkie krzesło babuni z wysokim oparciem. To na nim babunia siadała najchętniej z robótką w ręce, wydając od czasu do czasu różne polecenia.

Babunia nigdy nie próżnowała. Pisała listy, długie listy pełne najeżonych zawijasów, przeważnie na połówce papieru listowego, ponieważ w ten sposób wykorzystywała go do końca. (Babunia nie znosiła marnotrawstwa. „Kto dba, ten ma, Celio”). Robiła na szydełku szale, przyjemne szale w niebieskich i fiołkoworóżowych kolorach. Przeznaczała je na ogół dla krewnych służby. Robiła na drutach, zużywając przy tym wielkie kłębki miękkiej, puszystej wełny, praktyczne ciepłe stroiki dla czyichś maleństw. Spod jej rąk wychodziły serwetki — małe krążki adamaszku obrobione delikatną jak pianka koronkową falbanką — na których, w czasie podwieczorku, układano ciastka i herbatniki. Robiła kamizelki dla starszych dżentelmenów, swoich znajomych. Robiła je z włochatego, grubego materiału na ręczniki, a szwy ozdabiała haftem z różnokolorowej bawełnianej przędzy. Całkiem możliwe, że to owe kamizelki były ulubioną robótką babuni; babunia mimo swoich

osiemdziesięciu jeden lat, wciąż jeszcze interesowała się mężczyznami. Oprócz kamizelek robiła dla nich na drutach skarpetki do łóżka.

Pod nadzorem babuni Celia zrobiła komplet mat na umywalkę. Miały być niespodzianką na powrót mamusi. Aby je zrobić, trzeba było wyciąć z materiału na kąpielowe ręczniki różnych rozmiarów krążki, obrzucić brzegi, a potem szydełkiem wykończyć kolorową wełną. Celia obrobiła swój komplet jasnoniebieską włóczką. Obie, tak ona, jak i babunia, były niezmiernie zachwycone ostatecznym rezultatem jej pracy.

Po sprzątnięciu stołu po podwieczorku, babunia i Celia grywały w bierki albo w cribbage'a*. Obie przejmowały się grą w jednakowym stopniu i obie posługiwały tymi samymi odżywkami: „Jeden góra, dwa dół, piętnaście dwa, piętnaście cztery, piętnaście sześć; sześć i sześć to dwanaście”.

— Czy wiesz, dlaczego cribbage jest taką dobrą grą, kochaneczko? — Nie, babuniu.

— Ponieważ, grając w nią, uczysz się liczyć. Babunia nigdy nie zapomniała o wygłoszeniu tego rodzaju krótkiej przemowy. Uważała, że żadna przyjemność nie powinna służyć wyłącznie czystej przyjemności. Je się dlatego, że jedzenie w taki czy inny sposób służy zdrowiu. Kompot z wiśni, uwielbiany przez babunię napój, pojawiał się na jej stole prawie każdego dnia. Miał „dobrze robić na nerki”. Ser, kolejny przysmak, miał „przyśpieszać trawienie”. „Musze słuchać lekarza”, słyszała Celia, kiedy przy deserze pojawiał się kieliszek porto. Picie alkoholu (przez słabą płeć) wymagało wyjątkowo mocnego uzasadnienia. „Naprawcie nie lubisz go, babuniu?” dopytywała się Celia. „Nie, kochaneczko”, odpowiadała babunia, wykrzywając twarz przy pierwszym łyczku. Lecz kiedy już padło sakramentalne: „pije go dla zdrowia”, pozwalała sobie opróżnić kieliszek z wszelkimi oznakami ukontentowania. Było jednak coś, ze słabością do czego babunia się nie kryła. Tym czymś była kawa. „Bardzo mauretańska ta kawa” mawiała, mrużąc w rozmarzeniu oczy. „Bardzo mauretańska”. Śmiała się, zadowolona ze swego niewinnego dowcipu, i częstowała się kolejną filiżanką.

Po drugiej stronie hallu był salonik, gdzie siadywała biedna panna Bennett, szwaczka. O panie Bennett nigdy nie mówiło się inaczej, jak tylko dodając słówko „biedna” przed nazwiskiem.

— Biedna panna Bennett — mawiała babunia. — Daję jej zajęcie ze zwykłego miłosierdzia. Zdaje mi się, że są takie dni, kiedy biedaczka nie ma co do garnka włożyć.

Jeśli stawiano na stole jakieś szczególne przysmaki, zawsze posyłano stosowną część biednej panie Bennett.

Biedna panna Bennett była niską kobietą z mnóstwem zmierzwionych, siwych włosów, owiniętych wokół głowy tak przedziwnie, że jej fryzura (jeśli ktoś chciałby koniecznie użyć tej nazwy) przypominała wyglądem ptasie gniazdo. Trudno byłoby powiedzieć, która, jeśli w ogóle któraś, część jej ciała jest zdecydowanie zdeformowana, a mimo to biedna panna Bennett sprawiała wrażenie osoby niekształtnej. Biedna panna Bennett mówiła przesadnie dystygowanym głosem, mizdrząc się i nazywając babunię madame. Biedna panna Bennett nie potrafiła niczego uszyć poprawnie. Sukienki, które uszyła dla Celi, zawsze były tak obszerne, że ich rękawy opadały aż na dłonie, a pachy wisały gdzieś w okolicach łokci.

Trzeba było bardzo, ale to bardzo uważać, by nie zranić uczuć biednej panny Bennett. Wystarczyło byle słowo, byle spojrzenie—, a biedna panna Bennett już podrzucała głową i z wypiekami na policzkach gwałtownie przypadała do swego szycia.

Biedna panna Bennett miała za sobą bliżej nie sprecyzowaną, Niefortunną Historię. Jej ojciec, jak zwykła to wszystkim powtarzać, był bardzo dobrze skoligacony.....W istocie (choć myślę, że nie powinnam o tym mówić, a zatem proszę o całkowitą dyskrecję) był prawdziwym dżentelmenem. Moja matka zawsze to mówiła. Wdałam się w niego. Być może zwróciła pani uwagę na kształt moich dłoni i uszu, ten zwykle nieomylny dowód na szlachetne urodzenie. Jestem pewna, że przeżyłby wstrząs, gdyby zobaczył, w jaki sposób zarabiam na życie. Och, oczywiście, nie chodzi o pracę u pani, madame. Praca u pani, madame, to coś zupełnie innego od upokorzenia, które muszę znosić ze strony Pewnych Osób! Żeby mnie traktować prawie jak jakąś służącą! Mnie! Pani, madame, podchodzi do wszystkiego ze zrozumieniem”.

Babuni zatem nie pozostawało nic innego, jak pilnie dbać, by biedna panna Bennett była właściwie traktowana i by posiłki podawano jej na tacy. No cóż. Biedna panna Bennett traktowała służące bardzo wyniośle i wyżywała się w rozkazywaniu. Z jedynym, zresztą nietrudnym do przewidzenia skutkiem: służące szczerze jej nie cierpiały.

— Udawać Bóg wie kogo — stara Sarah pomrukiwała pod nosem. — Toż to zwykły bękart. Nawet nie zna nazwiska swego ojca.

— Co to takiego „bękart”, Sarah?

— Coś, na co nie powinna nadstawiać uszu młoda dama, panienko Celio.

— Czy bękart ma coś wspólnego z podróbkami? — zapytała Celia z nadzieją w głosie.

Stojąca w pobliżu Kate wybuchnęła śmiechem, lecz natychmiast została ofuknięta przez Sarah. Kate miała trzymać język za zębami.

Do saloniku przylegał salon. Było w nim chłodno, mroczno i nieswojo. Przebywano w nim tylko wówczas, kiedy babunia wydawała przyjęcia. Był pełen stołów, wyściełanych aksamitem krzesel, brokatowych sof i ciężkich komód, przeladowanych do granic możliwości figurkami z porcelany. W jednym rogu stało pianino z głośnymi basami i cieniutkimi, słodkimi sopranami. Okna salonu wychodziły na cieplarnię, a przez nią na ogród. Stalowa krata w kominku i przybory do palenia (oczko w głowie starej Sarah) zawsze były wyczyszczone do połysku, tak że prawie można było się w nich przejrzeć. Na piętrze był pokój dziecinny, niski i długi, z widokiem na ogród, nad piętrem poddasze, zamieszkane przez Mary i Kate, a jeszcze parę stopni wyżej były trzy najlepsze sypialnie i mała, duszna klitka, należąca do Sarah.

Celia osobiście uważała, że „trzy najlepsze sypialnie” są najwspanialszymi pomieszczeniami w całym domu. Stały w nich trzy okazałe garnitury mebli — jeden z cętkowanego, popielatego drewna, dwa inne z mahoni. Sypialnia babuni znajdowała się nad pokojem stołowym. Była wyposażona w szerokie łóże z baldachimem, wielką, zajmującą całą ścianę mahoniową szafę, piękną umywalnię i równie piękną toaletkę oraz w przepaścisty kufer z szufladami. Każda szuflada w sypialni babuni była wypełniona przeróżnymi paczuszkami, pozawijanymi i poukładanymi w należyтым porządku. Czasami szuflady nic dały się zasunąć i babunia przeżywała ciężkie chwile; w sypialni babuni wszystko musiało być szczelnie pozamykane. Na wewnętrznej stronie drzwi do sypialni, oprócz zwykłego zamka był solidny rygiel i dwie mosiężne zaszczepki. Zamknąwszy się bezpiecznie, babunia szła do łóżka, obok którego, w zasięgu jej ręki, leżał zawsze policyjny gwizdek oraz specjalna kołatka. Za ich pomocą babunia mogła podnieść natychmiastowy alarm, gdyby jacyś niecni włamywacze chcieli zakraść się nocą do jej fortecy.

Na szafie w szklanej szkatułce leżał okazały wieniec z białych woskowych kwiatów, kwietny hołd złożony pośmiertnie pierwszemu mężowi. Na ścianie po prawej stronie wisiał w ramach program nabożeństwa żałobnego za drugiego męża. Na ścianie po lewej stronie znajdowała się wielka fotografia okazałego marmurowego grobowca, wzniesionego trzeciemu mężowi.

Babunia spała pod pierzyną i przy zamkniętych oknach. Nocne powietrze, mówiła, bywa wielce szkodliwe. Babunia w gruncie rzeczy traktowała jako pewien element ryzyka powietrze wszelkiego rodzaju. Poza najgorętszymi dniami lata rzadko wychodziła do ogrodu, a jej dalsze wypady sprowadzały się do zakupów w Army and Navy Stores —

dorożką do stacji kolejowej, pociągiem do Victoria Station i kolejną dorożką do domu handlowego. Przy takich okazjach była dobrze okutana w swoje „mantyki”, a poza tym przed przeziębieniem chroniło ją boa z piór, wielokrotnie ciasno owinięte wokół szyi.

Babunia nikomu nie składała wizyt. To inni przychodzili do niej. Kiedy przybywali goście, na stole pojawiały się ciasta i słodkie herbatniczki, i różnego rodzaju likiery babcinej roboty. Babunia najpierw pytała panów, na co mają ochotę. „Musicie skosztować mojej wiśniówki, przecież wiem, że gustują w niej wszyscy dżentelmeni”. Potem częstowała damy: „Doprawdy, tylko kropelkę, na rozgrzewkę”. Albo, jeśli rzecz działa się po południu: „Przekonacie się, moje złociutkie, że po likierze lepiej się trawi”. Taki sposób zachęty ułatwiał życie prawdziwym damom. Prawdziwa dama nijak nie mogłaby się przyznać publicznie do tak grzesznych gustów. Jeśli goszczący u babuni dżentelmen nie posiadał jakimś trafem zrobionej przez nią kamizelki, babunia czym prędzej demonstrowała swoje wyroby i mawiała z figlarnym błyskiem w oku: „Podarowałabym ci jedną, tylko nie jestem pewna, co na to powie szanowna małżonka”. Szanowna małżonka wykrzykiwała: „Och, doprawdy, podaruj mu. Będę zachwycona”. „Nie chciałabym być przyczyną jakichś kłopotów”, krygowała się dalej babunia. „Cała przyjemność po mojej stronie”, ucinął sprawę stary dżentelmen i dodawał szarmancko, że jest zachwycony perspektywą noszenia czegoś, co jest dziełem tak uroczych rączek.

Po wizycie babunia trzymała się wyjątkowo prosto, a jej policzki płonęły podwójnym rumieńcem. Babunia uwielbiała okazywać gościnność, i to na wszelkie sposoby.

3

— Babuniu, czy mogę pobyć z tobą trochę?

— Dlaczego? Czyżbyś nie miała co robić na górze, z Jeanne?

Celia myślała przez kilka minut, co powiedzieć, by nie rozminąć się z prawdą, a jednocześnie nie skłamać.

— W pokoju dzieciennym nie jest dzisiaj bardzo miło — mruknęła w końcu.

Babunia zaśmiała się.

— No cóż, przypuśćmy, że taka odpowiedź mnie zadowala.

Za każdym razem (choć tych razów nie było wiele), kiedy poróżniły się z Jeanne, Celię ogarniało przygnębienie. Tego popołudnia nic nie zapowiadało nadchodzącej burzy.

Od kilku chwil toczyły ze sobą niewinny spór o właściwe rozstawienie mebli w domku dla lalek i Celia w końcu zawołała: „Mais, ma pauvre fille...” Stało się. Z oczu Jeanne trysnęły łzy, a z jej ust popłynął wartki potok francuskich słów.

Tak, bez wątpienia, ona jest pauvre fille, jak to Celia przed chwilą powiedziała, lecz jej rodzina, choć istotnie niebogata, to przecież jest uczciwa i ma swój honor. Jej ojciec cieszy się szacunkiem w całym Pau. Sam monsieur le maire się z nim przyjaźni.

— Wcale tak nie powiedziałam...

Jednak żalom i wymówkom Jeanne nie było końca.

Niech Celia nie zaprzecza, już ona, Jeanne, wie swoje. La petite panienka, taka bogata i tak ślicznie ubrana, z tymi swoimi podróżującymi po świecie rodzicami i z tymi swoimi jedwabnymi sukienkami, uważa ją, Jeanne, za jakąś pierwszą lepszą żebraczkę...

— Nieprawda, wcale tak nie uważam...

Lecz nawet les pauvres filles mają swoje uczucia. Ona, Jeanne, ma swoje uczucia i ona, Jeanne, czuje się zraniona. I to do żywego.

— Ależ ja cię kocham, Jeanne! — zawołała Celia zdesperowanym głosem.

Jeanne nie ciała się ułagodzić. Wyciągnęła z szuflady wymagające największego skupienia szycie, czyli płócienny podkład poci kołnierz do szlafroka dla babuni, i zaczęła go w milczeniu fastrygować, potrząsając głową i odmawiając odpowiedzi na wszelkie błagania Celi. Naturalnie Celia nie miała pojęcia o pewnych uwagach, rzuconych przy południowym posiłku przez Mary i Kate, ich treść była mniej więcej taka, że rodzina Jeanne niewątpliwie jest biedna, skoro wysyła do pracy wszystkie swoje córki.

Nie umiejąc zmierzyć się z niezrozumiałą dla siebie sytuacją, Celia cichutko wyniknęła się za drzwi i pobiegła na dół, wprost do pokoju stołowego.

— No więc, co byś chciała robić, kochaneczko? — zapytała babunia, wpatrując się w nią znad okularów. Z kolan babuni spadł na podłogę wielki kłębek wełny. Celia podniosła go.

— Opowiedz mi o dawnych czasach, babuniu. o tym, jak byłaś małą dziewczynką, i jak to było, kiedy po podwieczorku szłaś do rodziców.

— Schodziliśmy na dół wszyscy razem i pukaliśmy do drzwi pokoju stołowego. Mój ojciec mówił: „Proszę”. Dopiero wtedy wchodziliśmy do środka i zamykaliśmy za sobą drzwi. Cicho, wyobraź sobie. Pamiętaj, żebyś zawsze zamykała drzwi cicho. Żadna dama nie trzaska drzwiami. Po prawdzie, za moich młodych lat, żadna dama w ogóle nie

zamykała drzwi. Zamykanie drzwi psuło kształt dłoni. No więc na stole stało imbirowe wino i każde z nas, dzieci, dostawało kieliszek.

— A wtedy ty mówiłaś... — odpowiedziała Celia, która знаła tę starą historię na wrywki. — Mówiliśmy wszyscy po kolei: „Z całym szacunkiem, ojciec i matka”.

— A oni...?

— Oni odpowiadali: „Z całego serca, dzieci”.

— Och! — Celia kręciła się na krześle z zachwytem, choć nie potrafiłaby powiedzieć, co jej się w tej historii tak bardzo podoba.

— Opowiedz mi o hymnach w kościele — odpowiedziała. — I o wujku Tomie.

Szydełkując zawzięcie, babunia jeszcze raz powtórzyła wielokrotnie opowiadaną historię.

— No więc była taka duża tablica z numerami hymnów. Intonował je zwykle pomocnik pastora. Miał doskonały, doniosły głos. „A teraz zaśpiewajmy ku czci i chwale Boga. Hymn numer...”, tu zatrzymał się, ponieważ tablica była ustawiona odwrotną stroną. Zaczął od początku: „A teraz zaśpiewajmy ku czci i chwale Boga. Hymn numer...” Potem powiedział po raz trzeci: „A teraz zaśpiewajmy ku czci i chwale Boga. Hymn numer... Ej, ty tam, Bill, obróć no te tablice”.

Babunia była dobrą aktorką. Przechodziła na cockney w niezrównany sposób.

— A ty i wujek Tom roześmialiście się — odpowiedziała Celia.

— Tak, roześmialiśmy się oboje, a mój ojciec na nas spojrział. Tylko spojrział. Lecz kiedy wróciliśmy do domu, wysłano nas prosto do łóżka, bez lunchu. A to było na świętego Michała, kiedy się jadło gęś.

— A wy nie dostaliście ani jednej kosteczki — powiedziała Celia, przejęta grozą.

— A my nie dostaliśmy ani jednej kosteczki. Celia rozmyślała przez dłuższą chwilę nad karą, jaka spotkała babunię. Wreszcie, ciężko wzdychając, zaproponowała:

— Babuniu, pobawmy się w kurczaka. — Jesteś już na to za duża.

— Och nie, babuniu, pobawmy się. Babunia odłożyła na bok robótkę i okulary. Przedstawienie rozpoczęło się od wkroczenia do sklepu pana Whiteleya z prośbą, o sprzedanie szczególnie pięknego kurczaka na bardzo niecodzienny obiad. Czy pan Whiteley mógłby go osobiście wybrać? Babunia raz była sobą, a raz panem Whiteleyem. Kurczaka zawijano (zawijało się Celię w gazetę), niesiono do domu, faszerowano (z tym było więcej zachodu), przekłuwano szpikulcem (okrzyki zachwytem), wsuwano do piecyka, podawano na półmisku i... I wtedy następował punkt kulminacyjny: „Sarah... Sarah, chodźże tu prędko, ten kurczak jest żywy!”

Och, z pewnością niewielu było kompanów do zabawy, którzy mogliby dorównać babuni. Prawda była taka, że babunia cieszyła się zabawą tak samo jak Celia. No i poza tym babunia była dobra. W jakiś sposób nawet lepsza od mamusi. Jeśli się ją o coś prosiło wystarczająco długo i wystarczająco często, ustępowała. Potrafiła zgodzić się nawet na coś, co było zupełnie niewłaściwe.

4

Od mamusi i tatusia przysły dwa listy, napisane bardzo wyraźnym pismem.

Mój kochany skarbeczku,

Jak się ma moja mała dziewczynka? Czy chodzisz z Jeanne na przyjemne spacerki? I jak Ci się podoba nauka lanca? Tutaj ludzie mają prawie czarne twarze. Dochodzą mnie słuchy, że babunia chce Cię zabrać na pantomimę. Czy to nie jest miłe z jej strony? Jestem pewien, że okażesz jej swą wdzięczność i zrobisz wszystko, co w Twojej mocy, żeby miała z Ciebie pożytek. Nie wątpię, że jesteś bardzo dobrą dziewczynką dla kochanej babuni, która okazuje Ci tyle dobroci. Daj Złotku ode mnie trochę ziania konopnego.

Twój kochający
tatuś

Moje najdroższe kochanie,

Bardzo za Tobą tęsknię, lecz wierzę, że spędzasz szczęśliwe chwile z babunią, która jest dla Ciebie niezwykle dobra. Myślę, że też jesteś dobra i robisz wszystko, by sprawić babuni radość. Tutaj świeci śliczne, gorące słońeczko i kwitnie dużo pięknych kwiatów. Czy mogę liczyć na to, że moja bardzo mądra mała dziewczynka napisze w naszym imieniu do Rouncy? Zaadresowanie koperty zostawmy babuni. Poproś Rouncy, by ścięła róże bożonarodzeniowe i wysłała je babuni. I niech na Boże Narodzenie da Tommy'emii duży spodek mleka.

Mnóstwo całusów, moje najdroższe jagniątko, moja nieopierzona gołąbeczko, od twojej mamusi.

Śliczne listy. Dwa śliczne, najśliczniejsze na świecie listy. Zatem dlaczego Celia ma ściśnięte gardło? Bożonarodzeniowe róże (na grządce pod żywopłotem); mamusia układa je w naczyniu z mchem; mamusia mówi: „Popatrz na ich piękne, szeroko rozchylone płatki”. Mamusi głos...

I Tommy, wielkie, białe kocisko, i Rouncy, wiecznie coś chrupiąca...

I dom, ona chce do domu. Dom, a w nim mamusia... Najdroższe jagniątko, nieopierzona gołąbeczka, wołała mamusia. Mamusia śmiała się. Mamusia obdarzała ją krótkim, mocnym uściskiem.

Och, mamusiu... mamusiu... Babunia, wchodząc na górę, zapytała: — Co ja widzę? Łzy? Płaczesz, jakbyś nie miała nic lepszego do roboty.

To był taki żart babuni. Babunia zawsze tak żartowała.

Jednak tym razem żart nie udał się. Celii tym bardziej zachciało się płakać. Kiedy była nieszczęśliwa, nie potrzebowała babuni. Nie potrzebowała babuni w ogóle. W obecności babuni było jej jeszcze gorzej.

Ominęła babunię i pobiegła schodami w dół, do kuchni.

— Dostałaś list od mamusi? — zapytała Sarah, obrzuciwszy ją krótkim spojrzeniem.

Celia kiwnęła głową. Znów miała w oczach łzy. Och, pusty, samotny świecie...

Sarah nadal wyrabiała chleb.

— Mamusia niedługo wróci, duszko, wróci do domu, zobaczysz. Tylko pilnie przyglądaj się liściom na drzewach. — Jej głos brzmiał jak z oddali. Niósł ze sobą ukojenie. Oderwała od ciasta małą grudkę. — Zrób sobie kilka bocheneczków, duszko. Upiekę je razem z moimi.

— Strucelki i domki?

— Strucelki i domki.

Celia połknęła ostatnie łzy. Wzięła się do roboty. Na strucelki roluje się trzy długie kielbaski, potem się je splata, a potem mocno zaciska końce, powtarzała sobie w myślach. Na domki trzeba zrobić dwa krążki, jeden większy i jeden mniejszy, i ten mniejszy trzeba położyć na wierzchu tego większego, a potem — chwila pełna emocji — potem prędko wbija się kciuk i robi się nim dużą, okrągłą dziurę. W ten sposób zrobiła pięć strucelek i sześć domków.

— Nieszczęście dla dziecka, takie rozdzielenie z rodzoną mamusią — mruknęła do siebie Sarah.

Teraz jej oczy wypełniły się łzami.

Sarah umarła jakieś czternaście lat później. Dopiero wówczas wyszło na jaw, że równie wytworna, jak wyniosła siostrzenica, która od czasu do czasu przyjeżdżała w odwiedziny do swojej ciotki, w rzeczywistości była jej córką, „owocem grzechu”, jak to się za młodych lat Sarah mówiło. Sarah dobrze ukrywała swą historię, jej pani bowiem, u której przesłużyła ponad sześćdziesiąt lat, o niczym nie miała pojęcia. Jedyne, co sobie przypominała, to bliżej nie sprecyzowaną chorobę młodej pokojówki, chorobę, która spowodowała jej późniejszy powrót z jakichś nieczęstych wakacji. To, a także jej wyjątkowa szczupłość po tymże powrocie. Przez jakie męki ciasnego sznurowania się i tajemnej rozpaczki musiała przejść młoda Sarah, miało na zawsze pozostać jej tajemnicą. Pilnowała swego sekretu aż do śmierci.

Komentarz J. L.

To dziwne, jak słowa — zwykle, niepowiązane ze sobą słowa — mogą pobudzić czyjaś wyobraźnię. Jestem przekonany, że widzę tych ludzi o wiele wyraźniej niż sama Celia, kiedy opowiadała mi swoją historię. Mam przed oczami tamtą starą kobietę, babkę Celii — pełną animuszu i woli życia przedstawicielkę wymierającego pokolenia — razem z jej rabelaisowskim widzeniem świata, tyranizowaniem służby czy uprzejmością wobec biednej szwaczki. Cofam się trochę w czasie i widzę jej matkę — ową delikatną, cichą istotę, cieszącą się „swoim miesiącem”. Przy okazji zauważam zasadniczą różnicę w opisywaniu mężczyzny i kobiety, żona umiera z niemocy, męża wpędzają do grobu galopujące suchoty (w tamtych czasach unikało się używania budzącego grozę słowa „gruźlica”). Kobiety opadają z sił, mężczyźni galopują ku śmierci. Malownicze. Zauważam także (bo jest to tak godne zauważenia, jak i zabawne) energię, życiową potęgę tych chorych rodziców. Z całej dziesiątki dzieci, jak powiedziała Celia, kiedy ją zapytałem, tylko troje zmarło wcześniej, a i tak były to śmierci przypadkowe: marynarza zabija żółta febra, jedna z sióstr ginie w katastrofie, druga żegna się z tym światem podczas porodu. Zatem siedmioro dożyło co najmniej siedemdziesiątki. Czy my rzeczywiście wiemy cokolwiek o swoim dziedzictwie?

Cieszy mnie tamten obraz domu z nottinghamskimi koronkami, z imitacją gobelinu i solidnymi, błyszczącymi mahoniowymi meblami. No cóż, były to czasy, kiedy domy miały swój charakter. Tamto pokolenie wiedziało, czego chce. Ludzie z tamtego pokolenia mieli to, czego chcieli, a tym, co mieli, potrafili się cieszyć. Ludzie z tamtego pokolenia szli przez życie z doskonale wykształconym instynktem samozachowawczym.

Zauważ, że Celia maluje obraz tamtego domu, domu jej babki, o wiele wyraźniej niż obraz własnego. Prawdopodobnie przebywała w nim w wieku, kiedy budzi się w dziecku wrażliwość na otaczający świat. Jej wiosny dom to bardziej ludzie— mniej miejsce: to niania, Rouncy, to pełna wigoru Susan, to Złotko w swojej klatce.

Potem dostrzega matkę. Zabawne, wydaje się bowiem, że nie dostrzegała jej przedtem.

A przecież Miriam, jak sądzę, miała bardzo silną osobowość. Poznałem ją — można by tak to ująć — w przelocie, a mimo to zdążyła mnie oczarować. Miriam miała, podejrzewam, pewien urok, urok, który nie stał się dziedzictwem Celi. Nawet spomiędzy stereotypowych linijek jej listu do małej dziewczynki (jakie to „oddalenie w czasie”, takie listy pełne nacisku na moralną postawę dziecka), nawet, powiedziałbym, spomiędzy stereotypowych wezwań do dobroci, przeziara ślad prawdziwej Miriam. Podobają mi się tamte pieścizotliwe określenia: najdroższe jagniątko, nieopierzona gołąbeczka. Podoba mi się jej sposób okazywania dziecku czułości: krótki, mocny uścisk. To nie jest jakaś ckliwa, przesadnie wylewna czy afektowana osóbką. Nie, Miriam to kobieta o niezwyklej intuicji, to kobieta kierująca się rozumem.

Ojciec jest mglisty. Celia go postrzega jako rudobrodego olbrzyma: leniwego, dobrodusznego i dowcipnego. Chyba nie był podobny do swojej matki; prawdopodobnie bardziej przypominał dziadka Celi, który w jej relacji pojawia się jedynie raz, i to nie tyle on, co pośmiertna pamiątka po nim: wieniec z woskowych kwiatów, przechowywany — w szklanej szkatule. Ojciec Celi był, jak przypuszczam, typową „duszą towarzystwa”, człowiekiem przez wszystkich lubianym i zapewne cieszył się większą popularnością niż Miriam. Celia, myślę, wrodziła się w niego. Celia — z tą jej pogodą ducha, jej zrównoważeniem, jej słodyczą.

Mimo to odziedziczyła coś po Miriam, mianowicie— niebezpieczną intensywność uczuć.

Oto, jak ja to widzę. Choć możliwe, że po prostu zmyślam... Ci ludzie, mimo wszystko, stali się moją własnością.

4. ŚMIERĆ

1

Celia wracała do domu!

Jakie to podniecające!

Niecierpliwiła się okropnie. Nie cieszyła jej ani ładna książka do czytania, ani to, że cały przedział był do ich dyspozycji. Podróż pociągiem zdawała się nie mieć końca.

— No i co, kruszynko ty moja, cieszysz się, że znów będziesz w domu? — powiedział ojciec i uszczypnął ją żartobliwie.

Był taki wielki i brązowy, o wiele większy, niż Celia dotychczas myślała. Jej matka za to była o wiele mniejsza. Że też kształty i rozmiary wciąż zdają się zmieniać.

— Tak, tatusiu, bardzo — odparła sztywnym głosem. Dziwne bolesne wzruszenie nie pozwoliło jej powiedzieć niczego więcej.

Ojciec wyglądał na lekko rozczarowanego. Kuzynka Lottie, która jechała do nich z wizytą, zauważyła:

— Jakież z niej poważne maleństwo!

— Dziecko ma łatwość zapominania... — stwierdził ojciec, a na jego twarzy pojawił się cień smutku.

— Ona nie zapomniła niczego. Ani trochę. W niej po prostu wszystko się gotuje — rzekła Miriam, ściskając lekko dłoń Celi. Jej oczy śmiały się do oczu córki, jak gdyby obie łączył wspólny sekret.

Kuzynka Lottie, osóbką pulchna i pociągająca, powiedziała:

— Chyba nie ma dużego poczucia humoru, prawda?

— Nie ma go w ogóle — odparła Miriam i dodała posepnie: — Ja też nie mam. A przynajmniej John tak mówi.

— Mamusiu — szepnęła Celia — czy to już zaraz?

— Co ma być zaraz, skarbie?

— Morze.

— Mniej więcej za pięć minut.

— Pewnie chciałyby mieszkać nad samym brzegiem i bawić się w piasku — powiedziała kuzynka Lottie.

Celia nie zareagowała. Jak to wytłumaczyć? Widok morza zawsze oznaczał, że się jest blisko domu.

Pociąg przejechał przez jakiś tunel. Ach, oto jest, ciemnobłękitne i migoczące. Jechali już wzdłuż brzegu, wpadając i wypadając z kolejnych tuneli. Błękitne, błękitne morze, jakże ono błyszczący. Celia mimo woli zamknęła oczy.

Kiedy pociąg skręcił w głąb lądu, wiedziała, że za chwilę będą w domu!

2

Znów te rozmiary! Dom jest ogromny! Po prostu ogromny! Wielkie, obszerne pokoje, a w nich tak mało mebli... A może jej się tak tylko zdaje — po tamtym domu w Wimbledonie. I wszystko jest tak ekscytujące, że sama nie wie, od czego zacząć...

Ogród. Tak, przede wszystkim ogród, przecież to prawie najważniejsza część domu. Rzuciła się w szaleńczy pęd po stromej ścieżce. Buk! To zabawne, że nigdy przedtem go nie zauważała. A tu mała altanka pod wiecznie zieloną kaliną. Och, wszystko takie wybudane, takie wyrosnięte. A teraz do lasu — możliwe, że kwitną dzwonki. Nie, nie kwitną. Pewno już przekwitły. Drzewo z rozwidlonymi gałęziami, gdzie była kryjówka Królowej. Och! Och! Och! Mały Biały Chłopczyk!

Mały Biały Chłopczyk stał w altance w lasu. Prowadziły do niego trzy nie ociosane schodki. Chłopczyk miał na głowie kamienny kosz, do którego wrzucało się jakąś ofiarę i wypowiadało życzenie. Z Małym Białym Chłopczykiem wiązał się pewien rytuał. Otóż wychodziło się z domu i na hipopotamie przeprowaiało przez trawnik, który był rwącą rzeką. Następnie przywiązywało się hipopotama do różanej pergoli i wchodziło dostojnym krokiem na ścieżkę prowadzącą do lasu. Tam składało się swoją ofiarę, wypowiadało życzenie, robiło głęboki, dworski dyg i wycofywało się tyłem. Aby życzenia się spełniały, w ciągu tygodnia nie należało wypowiadać ich więcej niż jedno. Celia, zainspirowana przez nianiusię, zawsze prosiła o to samo. Wrózenie z kości kurczaka, chłopiec w lasu, srokaty koń — prosiła nieodmiennie: obym była dobra! Nie należało, jak mawiała nianusia, prosić o rzeczy. Bóg sam zsyła ci to, czego naprawdę potrzebujesz, a ponieważ Bóg istotnie był niezwykle szczodry (za pośrednictwem babuni, mamusi i tatusia), Celia trwała z honorem przy swoim pobożnym życzeniu.

Teraz pomyślała: „Muszę, muszę, muszę, po prostu muszę przynieść mu jakąś ofiarę”. Mogłaby to zrobić dawnym sposobem: przekroczyć trawnikową rzekę na hipopotamie, przywiązać hipopotama do różanej pergoli, wejść na ścieżkę, włożyć do kamiennego kosza dwa strzępiaste mleczki i wypowiedzieć życzenie...

Lecz niestety, pozbawiona wpływu nianusi, Celia wyzbyła się swoich dawnych pobożnych pragnień.

— Chcę być zawsze szczęśliwa — wyszeptała teraz.

Następnie pobiegła do ogrodu warzywnego. Ach, oto i Rumbolt, ogrodnik, z nachmurzoną i zagniewaną miną.

— Dzień dobry, Rumbolt, wróciłam do domu.

— Przecie widzę, panienczko. Niechby tak jeszcze panienczka zeszła z tej młodziutkiej sałaty.

Celia przesunęła stopę.

— Czy zostało trochę agrestu, Rumbolt?

— Tam, panienczko, na krzaku. Choć mamie wszystko obrodziło tego roku. Malin jak na lekarstwo...

— Och! — Celia już biegła w ich stronę. — Tylko niech panienczka nie zje wszystkich — zawołał Rumbolt za nią. — Chcę zebrać dobry półmisek na deser!

Celia buszowała w krzewach malin, zajadając się owocami. Jak na lekarstwo, dobre sobie, przecież są ich setki!

Z przyjemnym uczuciem sytości Celia zostawiła krzak malin w spokoju i udała się do swojej sekretnej wnęki w murze, skąd nieraz wyglądała na drogę. Trudno było ją znaleźć, lecz w końcu jakoś się udało...

Wreszcie postanowiła iść do kuchni. Do Rouncy. Kucharka, lśniącą czystością, była chyba jeszcze grubsza niż przedtem, za to jej szczęki poruszały się dawnym rytmem. Kochana, kochana Rouncy, z twarzą przeciętą uśmiechem na pół i z tym swoim pogodnym, gardłowym chichotem...

— No, no, z panienki Celii to już całkiem duża dziewczynka.

— Co jesz, Rouncy?

— Właśnie robię chrupiące ciasteczka na podwieczorek dla kuchni.

— Och! Rouncy, daj mi jedno!

— Panienka nie będzie miała ochoty na swój podwieczorek.

To wcale nie jest protest. Rouncy, kołysząc szerokimi biodrami, zmierza, prosto w stronę pieca. Uchyła drzwiczki i mówi:

— Właśnie się upiekły. Tylko proszę uważać, panienko Celio, są naprawdę gorące.

Och, kochany dom! Zagłębia się w jego chłodne, mroczne korytarze i widzi, przez okno na półpiętrze, zieloną jaskrawość barw — to znowu buk.

Jej matka, wychodząc z sypialni, natyka się na Celię, stojącą w zachwycie u szczytu schodów, z ręką przyciśniętą do talii.

— Co ci jest, dziecinko? Dlaczego trzymasz się za brzuszek?

— To buk, mamusiu. Tylko popatrz, jaki piękny.

— Zdaje mi się, że wszystko odczuwasz swoim brzuszkiem, Celio.

— To takie dziwne, mamusiu. Coś mnie tam boli, choć to taki miły ból, a nie taki naprawdę.

— Więc cieszysz się z powrotu do domu?

— Och, mamusiu!

3

— Rumbolt jest jeszcze bardziej posepny niż zwykle — powiedział ojciec Celi przy śniadaniu.

— Och, nie cierpię tego człowieka — zawołała Miriam. — Żałuję, że go zatrudniliśmy.

— To pierwszorzędny ogrodnik, moja droga. Nigdy nie mieliśmy lepszego. Przypomnij sobie zeszłoroczne brzoskwinie.

— Wiem, wiem. Ale nie podobał mi się od samego początku.

Celii nieczęsto się zdarzało słyszeć wzburzenie w głosie matki. No i te jej zaciśnięte dłonie... We wzroku ojca malowała się pobłażliwość. Zwykle to na nią tak patrzył, na Celię.

— Niech ci będzie — powiedział dobrodusznie. — Zwolnię go i przyjmę tego leniwego prostaka, Spinakera.

— Wszystko razem wydaje mi się takie niezwykle — powiedziała Miriam. — I moja niechęć do niego, i sposób, w jaki się u nas znalazł. Ledwo zdążyliśmy wynająć dom i wyjechać do Pau, a już pan Rogers zawiadamia nas listownie, że Spinaker wymawia pracę i że w takim razie on zatrudnia nowego ogrodnika z doskonałymi referencjami, I istotnie, wracamy, a ten już się tu rządzi.

— Doprawdy, nie pojmuję, dlaczego go nie lubisz, Miriam. Owszem, ma dość posepny wygląd, lecz poza tym to całkiem przyzwoity gość.

— Nie wiem, co to jest, ale to „coś” mi się nie podoba. — Otrząsnęła się nerwowo i zapatrzyła przed siebie. W drzwiach stanęła pokojówka.

— Proszę pana, pani Rumbolt chciałaby z panem rozmawiać. Czeka przy frontowych drzwiach.

— Czego chce? Zresztą wszystko jedno. Już idę.

Rzucił na stół serwetkę i wyszedł. Celia cały czas wpatrywała się w matkę. Dlaczego mamusia wygląda tak, jakby się czegoś bała?

— Zdaje się, że Rumbolt nie spał tej nocy w domu — powiedział ojciec, wracając po niedługiej chwili. — Dziwna historia. Chyba ci dwoje często się ze sobą kłóca. Czy ogrodnik był tu dzisiaj rano? — zwrócił się do stojącej przy drzwiach pokojówki.

— Nie widziałam go, proszę pana. Lepiej będzie, jak zapytam panią Rouncewell.

Ojciec po raz drugi wyszedł z pokoju, lecz nie minęło pięć minut, jak był z powrotem. Na jego widok Miriam krzyknęła. Przestraszyła się nawet Celia.

Tatuś wyglądał dziwnie. Wyglądał tak, jakby nagle się postarzał. I chyba z trudem oddychał.

Matka poderwała się z krzesła i przyskoczyła do niego.

— John, co się stało? Powiedz mi, proszę. I usiądź. Przeżyłeś jakiś potworny wstrząs, tak?

— On wisi... W stajni. Właśnie go odciąłem... Za późno, prawdopodobnie zrobił to w nocy...

— Taki wstrząs! To nie dla ciebie, to straszne. — Rzuciła się do kredensu i naląła kieliszek brandy. — Wiedziałam — zawołała. — Wiedziałam, że coś jest nie tak...

Przyklękła przy mężu i przytknęła mu do ust kieliszek. Dopiero wtedy zwróciła uwagę na Celię.

— Biegnij na górę, kochanie, do Jeanne. Nie masz się czego bać. Po prostu tatuś nie czuje się najlepiej. — Powiedziała półgłosem do męża: — Niepotrzebnie się dowiedziała. Taka rzecz może ją prześladować do końca życia.

Celia opuściła pokój niezmiernie zaintrygowana. Na półpiętrze natknęła się na Doris i Susan. Rozmawiały ze sobą i nawet jej nie zauważyły.

— Mówią, że już od dawna się z nią prowadzał i że w końcu jego żona to zwęszyła. Wiadomo, po cichym zawsze można się spodziewać najgorszego.

— Widziałaś go? Miał wywieszony język?

— Nie, pan nie pozwolił tam wchodzić. Żeby tak dostać kawałek sznura. Mówią, że to przynosi szczęście.

— Pan doznał strasznego szoku. On, z tym jego słabym sercem i w ogóle...

— Że też musiało się przytrafić coś takiego.

— A co się przytrafiło? — zapytała Celia.

— Ogródnik powiesił się w stajni — ochoczo poinformowała ją Susan.

— Och! — Celia nie wyglądała na zbyt przejętą. — A po co ci jakiś sznur?

— Sznur wisielca przynosi szczęście.

— To prawda — przytaknęła Doris.

— Och! — powtórzyła swoje Celia.

Dla niej śmierć Rumbolta była jedną z tych rzeczy, które zdarzają się każdego dnia. Nie bardzo go lubiła, a i on nie był dla niej szczególnie miły.

— Mamusiu, czy mogę dostać kawałek sznura, na którym powiesił się Rumbolt? — zapytała później, kiedy matka przyszła ją otulić na dobranoc.

— Kto powiedział ci o Rumbolcie? — zapytała matka ze złością. — Zabroniłam służbie o tym rozmawiać.

Celia otworzyła oczy bardzo szeroko.

— No, powiedziała mi Susan. Mamusiu, czy mogłabym go dostać? Susan mówi, że taki sznur przynosi szczęście. Nagle jej matka wybuchnęła śmiechem.

— Z czego się śmiejesz, mamusiu? — zapytała Celia nieufnie.

— Wiesz, zdążyłam już zapomnieć, co się czuje, kiedy ma się dziewięć lat. To było tak dawno...

Dziwne jest to wszystko, zdążyła pomyśleć Celia, nim opadły jej powieki. Kiedyś, w czasie urlopu, niewiele brakowało, by Susan utopiła się w morzu. Inne służące śmiały się i mówiły: „Kto ma wisieć, nie utonie, moja droga”.

Wisieć albo się utopić... jedno z drugim musi mieć jakiś związek... O wiele, ale to o wiele bardziej wolałabym się utopić...

Kochana Babuniu:(pisała Celia następnego dnia),

Dziękuję Ci bardzo za to, że przysłałaś mi Różową Księgę Baśni. To bardzo miło z Twojej strony. Złotko dobrze się czuje i przesyła ci całuski. Proszę, ucałuj ode mnie Sarah i Mary, i Kate, i biedną pannę Bennett. W moim ogrodzie wyrost mak islandzki. Wczoraj powiesił się w stajni ogrodnik. Tatuś leży w łóżku, bo się nie najlepiej czuje. Tak mówi mamusia. Rouncy też mi pozwoli robić strucelki i domki.

Dużo, dużo, dużo uścisków i całusków

od Celii

4

Ojciec Celii umarł, kiedy miała dziesięć lat. Umarł w domu swojej matki w Wimbledonie. Pozostawał w łóżku od kilku miesięcy i opiekowały się nim dwie pielęgniarki ze szpitala.

Dla Celi jego stan zdawał się czymś normalnym. Jej matka natomiast wciąż planowała, co zrobią, kiedy tatuś poczuje się lepiej.

O tym, że tatuś mógłby umrzeć, Celia nie pomyślała ani razu. Właśnie wchodziła po schodach, kiedy otworzyły się drzwi pokoju chorego i wybiegła z nich matka. Celia jeszcze nigdy nie widziała jej w takim stanie.

Kiedyś, po latach, powiedziała sama do siebie: „Moja matka wyglądała wówczas jak liść pędzony wiatrem”. To prawda. Miriam biegła na oślep, z wyciągniętymi ku niebu ramionami. Z jej piersi wydobywał się szloch. Gwałtownie otworzyła drzwi do swojego pokoju i zniknęła za nimi. Zaraz za nią z pokoju ojca wyszła na korytarz pielęgniarka i podeszła do Celi, która stała nieruchomo, z otwartymi ustami.

— Co się stało mamusi?

— Cicho, moja dziecinko. Twój ojciec... cóż, twój ojciec poszedł do nieba.

— Tatuś? Tatuś umarł i poszedł do nieba?

— Tak. Postaraj się być dobrą dziewczynką. Musisz dodać otuchy swojej mamusi.

Pielęgniarka weszła do pokoju Miriam.

Celia bez słowa powędrowała do ogrodu. Dużo czasu upłynęło, nim zrozumiała, co się stało. Tatuś. Tatuś odszedł. Nie żyje.

Jej świat rozpadł się na kawałki.

Tatuś. Jej tatuś. Nie ma go, a przecież wszystko wokół wygląda tak samo. Zadrzała. To zupełnie jak z Uzbrojonym Bandytą. On się zjawia wtedy, kiedy jej się zdaje, że wszystko jest w najlepszym porządku... Popatrzyła na ogród — jesion, ścieżki — nic się nie zmieniło, a jednak to już nie było to samo. Wszystko może się zmienić, wszystko może się zdarzyć...

Czy tatuś już jest w niebie? Czy jest szczęśliwy?

Och, tatusiu...

Rozpłakała się.

Potem poszła do domu. Była tam babunia; siedziała w pokoju stołowym, przy spuszczonej żaluzji. Pisała listy. Od czasu do czasu po jej policzku spływała łza, a ona wycierała ją chusteczką.

— Czyżby to była moja biedna mała dziewczynka? — zapytała na widok Celi. — No, uspokój się, kochaneczko, nie trzeba się trapić. Wola boska, kochaneczko.

— Dlaczego żaluzje są spuszczone? — zapytała Celia.

Nie lubiła spuszczonej żaluzji; w domu robiło się ciemno i dziwnie.

— To na znak żałoby — powiedziała babunia.

Zaczęła grzebać w kieszeni i po chwili wyciągnęła z niej dwa cukierki, z czarną porzeczką i jujubowy. Wiedziała, że takie Celia lubi najbardziej.

Celia wzięła je, podziękowała, ale nie zjadła żadnego. Nie była teraz w stanie przełknąć niczego.

Ściskając cukierki w garści, usiadła i zaczęła przyglądać się babuni.

Babunia pisała dalej. Pisała i pisała, list po liście, na papierze listowym z czarną obwódką.

5

Malca Celi nie podnosiła się z łóżka prze/ dwa dni. Była bardzo chora. Wykrochmalona od stóp do głów pielęgniarka poszeptywała z babunią:

— Takie długie nerwowe napięcie... wciąż wzbraniała się przed spojrzeniem prawdzie w oczy... no i w końcu ten szok... tak, kiedyś się otrząśnie...

Powiedziały Celi, że może odwiedzić mamusię.

W pokoju panował półmrok. Matka leżała na boku, a jej brązowe, poznaczone nitkami siwizny włosy były bezładnie rozrzucone na poduszce. Miała dziwne oczy, bardzo jasne, i te oczy w coś się wpatrywały, w coś poza Celia.

— Oto mamy kochaną małą córeczkę, proszę pani — powiedziała pielęgniarka swoim naci wyraz irytującym (ja wiem najlepiej) głosem.

Mamusia uśmiechnęła się do Celi, choć jej uśmiech nie był szczery, w każdym razie nie laki, jakiego Celia się spodziewała.

— Mamusiu, tatuś jest szczęśliwy, on jest w niebie. (Nim tu przyszła, babunia i pielęgniarka pouczyły ją, jak należy rozmawiać z kimś tak bardzo chorym). Nie powinnaś przywoływać go z powrotem.

Matka roześmiała się.

— Tak sądzisz? Bo ja nie. Powinam, powiem ci. Właśnie, że powinam! I gdybym mogła go przywołać, wołałabym bez końca, dzień i noc. Johnie, mój najdroższy, wróć do mnie.

Uniosła się na łokciu. Jej twarz była piękna w swym szaleństwie. I jakaś obca.

Pielęgniarka pośpiesznie wyprowadziła Celię z pokoju. Kiedy Celia była już za drzwiami, usłyszała:

— Musi pani żyć dla swoich dzieci, proszę to sobie zapamiętać, moja droga.

Zdażyła też usłyszeć dziwnie łagodną odpowiedź matki:

— Tak, muszę żyć dla dzieci. Niepotrzebnie mi to pani mówi. Sama wiem.

Celia zeszła na dół i udała się do pokoju stołowego. Stała przed ścianą, na której wisiały dwa kolorowe sztychy. Nazwano je „Strapiona matka” i „Szczęśliwy ojciec”. Nad tym drugim Celia nie zastanawiała się długo. Podobna do kobiecej postać wcale jej nie kojarzyła się z ojcem, czy to szczęśliwym, czy też nie. Natomiast kobieta z rozwianymi włosami, przytulająca do siebie bezładną gromadkę dzieci — tak, to właśnie tak wyglądała jej mamusia. Strapiona matka. Celia pokiwała głową ze swego rodzaju satysfakcją.

6

Wypadki potoczyły się teraz szybko, a niektóre wydarzenia w oczach Celii były wręcz ekscytujące. Na przykład kupowanie z babunią czarnych sukien. Celia nic nie mogła poradzić na to, że te czarne suknie nawet przypadły jej do gustu. Żałoba! Ona jest w żałobie! Te słowa miały swoją wagę i brzmiały po dorosłemu. Wyobrażała sobie ludzkie spojrzenia na ulicy. „Popatrz no, to dziecko jest całe w żałobie!” „A tak, dopiero co straciła ojca”. „Och, mój Boże, jakie to smutne. Biedactwo”. Ona, Celia, spuszczała by smutno głowę i stąpała odrobinę dumniej. Takie myśli trochę ją zawstydzaly, mimo to nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wreszcie i ona stała się interesującą i romantyczną postacią.

Do domu przyjechał Cyril. Już na pierwszy rzut oka można było zauważyć, że wydorósł, lecz od czasu do czasu z jego głosem działo się coś dziwnego, a z kolei to coś sprawiało, że natychmiast robił się czerwony. Był burkliwy i nieprzyjemny. Czasami w jego oczach pojawiały się lzy, lecz wpadał w furję, kiedy ktoś je zauważył. Raz przyłapał Celię na mizdrzeniu się przed lustrem. W czarnej sukience.

— Tylko taki dzieciak jak ty potrafi się tak zachowywać — prychnął pogardliwie. — Dla ciebie to po prostu nowa sukienka. Och, w porządku, przypuszczam, że wciąż jesteś za mała, by pojąć, co się stało.

Celia rozplakała się. Uznała, że Cyril jest niegrzeczny.

Cyril unikał matki. Lepiej radził sobie z babunią. Odgrywał przed nią rolę jedyne go mężczyzny w rodzinie, do czego zresztą sama babunia go zachęcała. Radziła się go w kwestii pisanych przez siebie listów i uciekała się do jego sądów w różnych drobnych sprawach.

Celii nie pozwolono pójść na pogrzeb, co potraktowała jako rzecz samą w sobie niesprawiedliwą. Babunia również nic poszła. Poszedł Cyril z matką.

Matka zeszła na dół, po raz pierwszy, rankiem w dniu pogrzebu. Celia z trudem ją rozpoznała w jej wdowim toczku — laka słodka i mała... i... i... och, tak, taka bezradna.

Cyril, natomiast, zachowywał się bardzo po męsku. Opiekuńczo.

— Mam tu kilka białych goździków, Miriam — powiedziała babunia. — Pomyślałam sobie, że może chciałabyś je rzucić na trumnę, kiedy będzie spuszczana.

Miriam potrząsnęła przecząco głową. — Nie — odezwała się cichym głosem — nie chcę robić niczego takiego.

Po pogrzebie podciągnięto żaluzje i życie potoczyło się jak przedtem.

7

Celię nurtowała ciekawość, czy babunia naprawdę lubi mamusię i czy mamusia naprawdę lubi babunie. Nie wiedziała nawet, kto jej podszeptał takie myśli.

Była nieszczęśliwa z powodu matki, która krążyła po domu jak cień i rzadko kiedy się odzywała.

Babunia większą część dnia spędzała na czytaniu otrzymanych listów.

— Miriam — mówiła — jestem pewna, że chciałabyś to usłyszeć. Pan Pikę pisze o Johnie z wielkim uczuciem.

Lecz matka Celii krzywiła się i niecierpliwie odpowiadała:

— Proszę, nie, nie teraz.

— Jak sobie życzysz — odpowiadała babunia oschle, składając list. Jej brwi podjeżdżały leciutko ku górze.

Przy następnej poczcie powtarzała się ta sama scena.

— Ten pan Clark to prawdziwie pocziwy człowiek — mówiła w trakcie czytania listu, lekko pociągając nosem. — Miriam, powinnaś tego posłuchać. Jakże pięknie potrafi ująć w słowa swoje uczucia. Wiesz, on pisze, że nasi drodzy zmarli zawsze są przy nas.

Miriam, nagle wyrwana z zamyślenia i z ciszy, wybuchła krzykiem:

— Nie, nie!

Wymowa tego krzyku była oczywista, nawet dla Celii. Jej matka chciała, by zostawiono ją w spokoju.

Któregoś dnia przyszedł list z zagranicznym znaczkiem... Miriam otworzyła go, usiadła i zabrała się do czytania. Były to cztery kartki drobnego, pochyłego pisma. Babunia obserwowała ją w milczeniu.

— Czy to od Louise?

— Tak.

Babunia zamilkła, lecz przyglądała się białym, zapisanym kartkom z coraz większą pożądlivością.

— I co pisze? — zapytała w końcu.

Miriam złożyła list.

— Nie sądzę, by interesowało to kogokolwiek poza mną — odpowiedziała z absolutnym spokojem. — Louise... Cóż, ona mnie rozumie.

Tym razem brwi babuni uniosły się niemal do samych włosów.

Kilka dni później matka Celi wyjechała. Z kuzynką Lottie. Dla odmiany, jak się mówiło w domu. Celia została u babuni.

Po miesiącu Miriam wróciła i zabrała Celię. Życie potoczyło się dalej. Nowe życie — Celia i jej matka same w dużym domu z ogrodem.

5. MATKA I CÓRKA

1

Matka tłumaczyła Celi, że od tej pory będzie u nich trochę inaczej. Kiedy żył tatuś, sądzili oboje, że są stosunkowo bogaci. Teraz, po jego śmierci, prawnicy utrzymują, że zostało im bardzo mało pieniędzy.

— Będziemy musiały żyć: bardzo, bardzo skromnie. Doprawdy, powinnam sprzedać ten dom i rozejrzeć się za czymś dużo mniejszym.

— Och, nie, mamusiu, nie!

Miriam uśmiechnęła się na tak gwałtowny protest.

— Aż tak go kochasz?

— O tak.

Celia wpadła w popłoch. Sprzedać dom, ich własny dom? Och, tego to by już nie zniosła.

— Cyril mówi to samo... Sama nie wiem... Prowadząc tak duże gospodarstwo, musielibyśmy żyć bardzo oszczędnie...

— Och, proszę, mamusiu. Proszę, proszę, proszę.

— Dobrze, kochanie. Poza wszystkim innym to szczęśliwy dom.

Tak, ich dom był szczęśliwym domem. Po wielu latach, patrząc wstecz, Celia musiała to przyznać. W tamtym domu była jakaś szczególna atmosfera. Szczęśliwy dom i szczęśliwie spędzone w nim lata.

Oczywiście, nie obeszło się bez pewnych zmian. Jeanne wróciła do Francji. Ogrodnik przychodził tylko dwa razy w tygodniu i tylko po to, by zachować w ogrodzie względny porządek. Ciepłarnie stopniowo podupadały, aż w końcu straciły rację bytu. Odeszła Susan i odeszła pokojówka. Pozostała jedynie Rouncy, beznamiętna i stanowcza. Matka Celi długo z nią rozmawiała. — Powinnaś wiedzieć, że czeka cię o wiele cięższa praca. Poza tobą stać mnie będzie jedynie na pokojówkę. Nie licz na żadną dochodzącą pomoc. — W porządku, proszę pani, zostaję. Nie lubię zmian. Przyzwyczyłam się do mojej kuchni i to miejsce mi odpowiada.

Żadnych aluzji do wierności, do przywiązania. Jakakolwiek wzmianka o czymś takim zawsze wprawiała Rouncy w zakłopotanie.

Rouncy pozostała, mimo że Miriam obniżyła jej pensję. Później Celia zdała sobie sprawę, że matka chyba wolałaby, by jej nie było. Dlaczego? Dlatego, że Rouncy była kucharką starej daty. Dlatego, że jej przepisy zaczynały się mniej więcej tak: „Weź pół kwarty tłustej śmietany i tuzin świeżych jaj”. Gotować skromnie, ekonomicznie i składać małe zamówienia — to przekraczało sztywne ramy jej wyobraźni. Nadal wypiekała blachy chrupkich ciasteczek na podwieczorek dla kuchni i w dalszym ciągu do kubła dla świń wrzucała całe bochenki czerstwego chleba. Składanie długich, różnorodnych zamówień kupcom, napawało ją swego rodzaju dumą. Niewątpliwie, w jej przekonaniu, podnosiły one prestiż domu. Rouncy cierpiała dotkliwie, kiedy Miriam przejęła na siebie ten zakres domowych obowiązków.

Jako pomoc domowa do wszystkiego została przyjęta starsza kobieta, niejaka Gregg. Gregg była kredensową Miriam w początkach jej małżeństwa. — Jak tylko zobaczyłam ogłoszenie w gazecie, proszę pani, natychmiast przybiegłam. Nigdzie nie byłam tak szczęśliwa jak w tym domu.

— Gregg, teraz to nic to samo. Prowadzę inne gospodarstwo.

Gregg nawet nie chciała tego słuchać. Zdecydowała się, więc tak czy inaczej, zostaje.

To prawda, Gregg była kompetentną kredensową, lecz jej umiejętności nie zostały ani razu poddane egzaminowi — w domu Miriam już się nie urządzało proszonych przyjęć.

Natomiast jako pomoc domowa nie przydawała się na wiele — niestaranna, niedokładna, obojętna na pajęczynę i pobłażliwa dla kurzu, żyła przeszłością. „Panienki tatuś i mamusia zasiadali do kolacji w dwadzieścia cztery osoby. Dwie zupy, dwa dania rybne, cztery przystawki, pieczone, sorbet, dwa rodzaje deseni, sałatka z homara i pudding lodowy!”, raczyła Celię długimi opowieściami o blasku i chwale dawnych dni. „Kiedyś to były czasy”, mawiała z ciężkim westchnieniem, wnosząc z nie ukrywaną odrazą zapiekanekę z makaronu, jedyne kolacyjne elanie Miriam i Celi.

Miriam nabrała zainteresowania ogrodem. Nie znała się na ogrodnictwie i bynajmniej nie zamierzała się go uczyć. Poprzestawała na eksperymentach, które, o dziwo, kończyły się na ogół równie fantastycznym, jak nieuzasadnionym sukcesem. Sadziła kwiaty i cebulki o niewłaściwej porze roku. Na niewłaściwej głębokości. Siała nasiona, gdzie popadło. Ale wszystko, czego się dotknęła, rosło i kwitło.

— Mamusia panienki ma dobrą rękę — powiedział kiedyś posepnie stary Ash.

Stary Ash, ogrodnik pracujący na godziny, przychodził dwa razy w tygodniu. Na pewno znał się jako tako na ogrodnictwie, niestety, w przeciwieństwie do Miriam, miał ciężką rękę. Wszystko, co wsadził do ziemi, obumierało. Przycinał drzewa niefortunnie. Jeśli jakaś roślina nie zdążyła zgnić od nadmiernego podlewania, stawała się ofiarą wczesnych przymrozków. Dawał Miriam rady, z których ona nigdy nie korzystała.

Usilnie przekonywał Miriam, by trawnik na skarpie przekopać pod klomby. „Parę rombów, parę półkoli, posieje się jednoroczne kwiaty i zaraz się zrobi ładniej”. Był szczerze zmartwiony gwałtowną odmową Miriam. Kiedy powiedziała, że lubi duże przestrzenie niczym nie zmaczonej zieleni, burknął: „Klomby wyglądają po jaśniepańsku. Chyba pani nie zaprzeczy”.

Celia i Miriam prześcigały się w wymyślaniu jak najpiękniejszych bukietów. Przez jakiś czas robiły kompozycje wyłącznie z białych kwiatów: jaśminu, upojnie pachnącego groszku, białych floksów i lewkonii. Potem Miriam zasmakowała w maleńkich egzotycznych bukietkach z heliotropów liliowych i z delikatnych polnych róż.

Zapach staroświeckich polnych róż miał Celię przypominać matkę przez całe życie.

Celia irytowała się, że jej bukiety nigdy nie dorównują matczynym, chociaż na ich ułożenie poświęcała wiele czasu. Miriam zestawiała kwiaty, ich barwy i kształty, z przedziwną łatwością. Jej kompozycje były niepowtarzalne, jak również nie miały nic wspólnego z ówczesną kwiatową modą.

Czy Celia w ogóle się uczyła? Tak, uczyła się, choć jej edukacja była kwestią czystego przypadku. Miriam z góry założyła, że z matematyką Celia musi sobie radzić sama. W tej dziedzinie wiedzy ona nie była, nie jest i nigdy nie będzie dobra! I tak Celia wróciła do małej książeczki w brązowych okładkach, tej samej, z której uczył ją ojciec.

Niestety, pozbawiona jego pomocy, raz za razem pogrążała się w otchłani niepewności. Skąd miała wiedzieć, czy otrzymany wynik odnosi się do owiec czy do mężczyzn? Pytania dotyczące działań przestrzennych w ogóle przeskakiwała. Były zbyt trudne, by się z nimi zmierzyć.

Miriam hołdowała własnym teoriom nauczania. Była dobrą nauczycielką, posiadała dar zwięzłego i jasnego wykładania myśli i potrafiła wzbudzić w Celi entuzjazm do każdego wybranego przez siebie przedmiotu.

Pasjonowała się historią, i to pod jej kierunkiem Celia odbywała podróże w czasie. Miriam nudził stopniowy, jednostajny rozwój państwowości angielskiej, lecz takim postaciom, jak Elżbieta, Karol V, Franciszek I, Piotr Wielki, potrafiła nadać żywe, realne kształty. Znow ożywał splendor starożytnego Rzymu. Znow ginęła Kartagina, a Piotr Wielki czynił starania, by Rosja nie była już krajem barbarzyńskim, lecz pięknym i nowoczesnym.

Miriam wybierała książki związane tematycznie z aktualnie omawianym okresem historii i czytała je Celi na głos (Celia zawsze uwielbiała, jak jej ktoś czytał na głos). Bezwstydnie pomijała w nich pewne partie; Miriam kompletnie brakowało cierpliwości do wdawania się w nudne szczegóły. I tak matematyka i historia, ta ostatnia ze szczyptą wiedzy geograficznej (rzecz sama przez się zrozumiała) wyczerpywały repertuar lekcyjny Celi. No i jeszcze Miriam robiła co w jej mocy, by poprawić ortografię Celi, tę ortografię bowiem, jak na dziewczynkę w jej wieku, można było określić tylko jednym jedynym słowem, a słowo to brzmiało „hańba”.

Do nauki gry na pianinie Miriam zaangażowała pewną Niemkę. Szybko wyszło na jaw, że Celia ma prawdziwy talent muzyczny i szczerą chęć do grania i że z własnej woli ćwiczy więcej, niż przewidywała wyznaczona norma.

Margaret McCrae opuściła już ich sąsiedztwo, lecz raz w tygodniu przychodziły do Celi na podwieczorek dwie panny Maitland — Ellie i Janet. Ellie była starsza od niej, Janet młodsza. Bawiły się w „kolory” i w „kroczi babuni” i założyły tajne stowarzyszenie pod nazwą „Bluszcz”. Po wymyśleniu hasła, specjalnego uścisku dłoni i napisaniu kilku depeesz sympatycznym atramentem stowarzyszenie „Bluszcz” spoczęło na laurach.

Były także dwie małe panny Pine.

Obie młodsze od Celi, obie jednakowo tłuściutkie i obie jednakowo sapiące przez zatkane trzecim migdałem nosy. Dorothy i Mabel. Zdawało się, że ich ulubionym zajęciem jest jedzenie. Zwykle jadły za dużo i zwykle, nim zdążyły wyjść od Celi, było im niedobrze. Od czasu do czasu zapraszały Celię na lunch do siebie. Pan Pine był wielkim grubasem o czerwonej twarzy. Pani Pine była wysoka i koścista, z koszmarną czarną grzywką naci czołem. Oboje bardzo się kochali i oboje, podobnie jak ich córki, uwielbiali jeść.

— Percwalu, ta baraninka jest wyborna. Wprost rozplywa się w ustach.

— Zatem jeszcze odrobinę, kochanie. Dorothy, ty też?

— Dziękuję, papo. — Mabel?

— Nie, dziękuję, papo.

— No, co z wami, dziewczynki? Mamusia ma rację, ta baraninka jest naprawdę wyborna.

— Cała w tym zasługa Gilesa, kochanie. (Giles był rzeźnikiem).

Ani małe panny Pine, ani małe panny Maitland nie wpłynęły w żaden sposób na życie Celi. Zabawy, w które bawiła się sama, były dla niej o wiele prawdziwsze.

Nadal doskonaliła swoje zdolności w grze na pianinie. Spędzała wiele godzin w dużym, tak zwanym szkolnym pokoju, pochłonięta całkowicie wertowaniem i odczytywaniem zakurzonych stert nut. Śpiewała czystym, dźwięcznym głosem stare pieśni: W dolinie, Senne marzenie, Skrzypce i ja.

Można nawet powiedzieć, że pyszniła się swoim głosem.

Kiedyś, kiedy była mała, postanowiła poślubić księcia. Nianusia uznała rzecz za możliwą, choć pod jednym warunkiem: Celia powinna prędzej zjadać oblaci.

— Bo widzisz, moja droga, w książęcym domu ktoś, kto tak się ślimaczy przy jedzeniu, zawsze chodzi głodny.

— Naprawdę?

— Tak, w książęcym domu lokaje bezustannie krążą wokół stołu i zbierają talerze bez względu na to, czy ktoś skończył jeść, czy też nie.

Od tej pory Celia dość szybko zjadała swoje posiłki, przygotowując się w ten sposób do życia na książęcym dworze.

Teraz, po raz pierwszy, zaczęła się chwiać w swych postanowieniach. Możliwe, że ostatecznie nie poślubi księcia. Nie, raczej nie. Będzie primadonną jak Melba.

Celia nadal większość czasu spędzała na samotnych zabawach. Owszem, małe panny Maitland i Pine przychodziły do niej na podwieczorki, i to dość często, a jednak nie zdawały się Celii tak rzeczywiste jak „dziewczynki”.

„Dziewczynki” były tworem jej wyobraźni. Wiedziała o nich wszystko — jak wyglądają, jak się ubierają, co czują i co myślą.

Pierwszą wymyśloną dziewczynką, była Ethelred Smith: bardzo wysoka, ciemnowłosa i bardzo, bardzo zdolna. Świetnie też grała w różne gry. W istocie Ethel była dobra we wszystkim, a poza tym bezspornie miała „figurę” i nosiła bluzki w paski. Ethel skupiała w sobie te wszystkie cechy i miała to, czego nie uosabiała lub nie miała Celia. Po Ethel powstała Annie Brown, jej najserdeczniejsza przyjaciółka, jasnowłose, kruche i subtelne stworzenie. Ethel pomagała jej w lekcjach, a Annie wpatrywała się w nią jak w obrazek. Następnie przyszła na świat rudowłosa, brązowooka piękność — Isabella Sullivan — dziewczynka bogata, wyniosła i arogancka. Zawsze chciała pokonać Ethel w krokieta, lecz Celia robiła wszystko, by do tego nie dopuścić. Czasami czuła się podle, kiedy z rozmysłem nie trafiała w piłki Isabelli. Z kolei Elsie Green była jej kuzynką, bardzo biedną kuzynką, z ciemnymi loczkami, oczami jak bławatki i uśmiechniętą buzią.

Ella Graves i Sue de Vete były dużo młodsze od pozostałych, miały zaledwie po siedem lat. Ella była dzieckiem bardzo poważnym i pilnym, o brązowych włosach opadających na czoło i o niezbyt wyrazistej buzi. Często zdobywała nagrody w łamigłówkach arytmetycznych, a to dlatego, że ciężko pracowała. Celia wiedziała, że cechuje ją duże poczucie sprawiedliwości, lecz poza tym nigdy tak do końca nie rozgryzła jej charakteru i nigdy nie potrafiła zdecydować się co do jej wyglądu. Vera de Vete, czternastoletnia siostra przyrodnia Sue, była w szkółce Celii uosobieniem wszelkiego romantyzmu. Miała tajemniczą przeszłość, włosy koloru słomy, a oczy niebieskie jak niezapominajki. Celia postanowiła, że w przyszłości okaże się lady Verą, dzieckiem podmienionym przy urodzeniu, córką jednego z najdumniej— szych, najszlachetniejszych i najzamożniejszych obywateli kraju. Korowód dziewczynek zamykała Lena, a jedną z najbardziej ulubionych zabaw Celii polegała na przyjmowaniu Leny do szkółki.

Miriam wiedziała o zmyślonych dziewczynkach, lecz nigdy nie zadawała zbędnych pytań, za co Celia była jej niewypowiedzianie wdzięczna. W deszczowe dni dziewczynki dawały koncert w pokoju szkolnym, wcielając się w różne postaci. Celie denerwowały ciągłe sukcesy Isabelli — obsadzonej w najtrudniejszych rolach — a także własne potknięcia w roli Ethel, która marzyła po nocach, by choć raz być górą nad ambitną

koleżanką. Niestety, Isabella wszędzie i zawsze musiała być najlepsza. Isabella miała szczęśliwą passę nawet grając w cribbage'a.

Czasami, kiedy Celia przebywała u babuni, ta zabierała ją na jakąś komedię muzyczną. Wyruszały dorożką na stację, przyjeżdżały pociągiem na Victoria Station, brały kolejną dorożkę i jechały do Army and Navy Stores, gdzie babunia realizowała niezmiernie długą listę zakupów w dziale towarów kolonialnych u swego ulubionego starego kupca. Następnie szły na piętro na lunch, który kończył się „małą kawą w dużej filiżance” (babunia lubiła dolewać do kawy morze mleka). Później udawały się do działu ze słodyczami i kupowały pół funta pralinek kawowych, a potem, potem... jeszcze raz wsiadały do dorożki, ale tym razem jechały prosto do teatru, który lubiła zarówno babunia, jak i Celia.

Po skończonej sztuce babunia na ogół kupowała Celi partyturę, a to otwierało przed dziewczętami nowe pole do popisu: teraz uczennice Celi mogły przeistoczyć się w gwiazdy komedii muzycznej. Isabella i Vera były obdarzone przez naturę sopranami — Isabella dźwięczniejszym, za to Vera słodszy. Ethel miała cudowny kontralt, Elsie po prostu ładniutki głosik. Annie, Ella i Sue dostawały partie najskromniejsze, wręcz nic nie znaczące, lecz Sue, bardzo się starając, doszła z czasem do roli subretki. Ulubionym dziełem muzycznym Celi była Wieśniaczka. Nie wyobrażała sobie, by istniało coś piękniejszego niż pieśń „Poci cedrami himalajskimi”. Śpiewała ją aż do ochrypnięcia. Obsadzając Wieśniaczkę, rolę księżniczki powierzyła Verze i dzięki temu sama mogła ją śpiewać, a rolę heroiny zostawiła dla Isabelli. Inną ulubioną sztuką Celi była Cejlonka, w której solową partię miała śpiewać Ethel. Miriam, która stale cierpiała na bóle głowy, a której sypialnia znajdowała się poci pokojem z pianinem, ostatecznie zabroniła Celi grywać na nim dłużej niż trzy godziny dziennie.

2

W końcu Celia zaspokoila swoje dawne ambicje. Miała układaną w harmonijkę sukienkę do tańca i przeszła do klasy dziewcząt tańczących skirta. Była teraz jedną z wybranych. Nie musiała już tańczyć z Dorothy Pine, która przychodziła na lekcje w skromnej, białej sukni wizytowej. Dziewczęta w układanych w harmonijkę sukienkach, jeżeli nie były zbyt nieśmiałe, dobierały się w pary. Celia i Janet Maitland (wspaniała tancerka) zawsze tańczyły w jednej parze walca i na ogół partnerowały sobie także w marszu, choć zdarzało

się, że przy tym ostatnim rozdzielano je w sposób bezwzględny: Celia była o półtorej głowy wyższa od Janet, a panna Mackintosh lubiła, by maszerujące pary wyglądały symetrycznie. Przy polce panowała moda na tańczenie z niższą partnerką, stąd każda starsza dziewczynka rozglądała się za młodszym dzieckiem. Do skirta potrzebnych było sześć dziewcząt. Celię zawsze ustawiano w drugim rzędzie i za każdym razem przeżywała gorzkie rozczarowanie. Nic zazdrościła stojącej w pierwszym rzędzie Janet, ponieważ ta tańczyła lepiej od wszystkich innych dziewczynek, lecz dlaczego panna Mackintosh wyróżniała choćby taką Daphne? Daphne tańczyła źle i bez przerwy się myliła. Według Celi panna Mackintosh była niesprawiedliwa. Nie przyszło jej nigdy na myśl, że panna Mackintosh do przodu wysuwa niższe dziewczynki.

Przy wyborze koloru sukienki Miriam była równie podniecona jak Celia. Dyskutowały między sobą zawzięcie i długo, aż w końcu zdecydowały się na ognistą czerwień. Celia była wprosi oczarowana.

Od śmierci męża Miriam rzadko wychodziła z domu i równie rzadko przyjmowała gości. Trzymała jedynie z tymi rodzinami z sąsiedztwa, które miały dzieci w wieku Celi, a także z kilkorgiem dawnych przyjaciół. Taki był jej wybór. Jednak to, że pozostali tak łatwo się od niej odsunęli, napawało ją odrobiną goryczy. Ot i cała różnica, jaką powodują pieniądze. Wszyscy ci ludzie, którym nigdy nie było dość nadszkarowania jej i Johnowi! Proszę, oto ledwo pamiętają, że ona jeszcze żyje. Nie zależało jej na sobie, zwłaszcza że z natury była osobą chętnie usuwającą się w cień. Nie, jeśli pędziła do stada, to jedynie ze względu na Johna. John uwielbiał gości i uwielbiał składać wizyty. Nigdy nie wpadłby na to, że Miriam nienawidzi takiego sposobu spędzania czasu. Nie wpadłby, bo ona potrafiła dobrze grać swoją rolę. Teraz, kiedy z własnej woli uwolniła się od niechcianych obowiązków, poczuła się urażona obojętnością innych. Choćby przez wzgląd na Celię. Kiedy dziecko dorasta, z pewnością jest mu potrzebne obycie towarzyskie.

Wspólne wieczory były i dla matki, i dla córki najszczęśliwszą porą dnia. Wcześniej jadły kolację, o siódmej, a potem szły do pokoju szkolnego, gdzie Celia wymyślała sobie różne zajęcia i gdzie matka czytała jej różne książki. Jednak głośne czytanie bardzo prędko przyprawiało Miriam o senność. Jej głos stawał się dziwnie powolny i niewyraźny, a głowa leciała do przodu...

— Mamusiu — Celia mówiła z wyrzutem — ty zasypiasz.

— Ależ skąd — odpowiadała oburzona Miriam. Prostowała się w fotelu i kolejnych kilka stron czytała bardzo wyraźnie i głośno. Potem nagle oświadczała:

— Chyba masz rację — i zamknąwszy książkę, natychmiast zapadała w sen.

Spała nie dłużej niż trzy, cztery minuty. Potem budziła się i brała za czytanie z nową energią. Czasami Miriam, zamiast czytać, opowiadała Celii historie ze swych młodych lat. Na przykład jak doszło do tego, że zamieszkała u babuni, dla której była zaledwie daleką kuzynką.

— Moja matka nie zostawiła mi po śmierci żadnych pieniędzy i wówczas babunia wielkodusznie zaofiarowała się mnie zaadoptować.

Jeśli przyjęła tę wielkoduszność z niejaką rezerwą, to na pewno nie okazała jej słowami, co najwyżej tonem głosu. Pod maską nieufności czy powściągliwości skrywała swą samotność i tęsknotę za utraconą matką. W końcu się rozchorowała i wezwano lekarza. Ten powiedział: „To dziecko czymś się gryzie”. „Och, skądże”, zaprzeczyła kategorycznie babunia. „Miriam jest całkiem szczęśliwa. To przecież taka mała, wesoła istotka”. Lekarz nie powiedział nic więcej, lecz kiedy babunia wyszła z pokoju, przysiadł przy jej łóżku i wyciągnął ją na zwierzenia. Wówczas załamała się i przyznała do długich napadów płaczu każdej nocy.

Babunia, usłyszawszy o tym, naprawdę była zaskoczona.

— Coś podobnego! Nigdy mi o tym nie mówiła. Od tej pory było lepiej. Czasem samo przyznanie się do swej niedoli może przynieść ulgę.

— A potem w domu babuni poznałam twojego ojca. — Jej głos złagodniał. — Zawsze był dla mnie miry.

— Opowiedz mi o tatusiu.

— Miał osiemnaście lat, był dorosły i nieczęsto przyjeżdżał do domu. Nie przepadał za swoim ojczymem.

— Czy od razu go pokochałaś?

— Tak, od pierwszego wejrzenia. Dorastałam, kochając go, lecz nawet mi się nie śniło, że kiedykolwiek mógłby o mnie pomyśleć.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Bo widzisz, twój ojciec zawsze lubił przebywać w towarzystwie eleganckich, dorosłych dziewcząt. Flirtował z nimi. Chyba, jak myślę, uważany był za bardzo dobrą partię. Nigdy bym się nie spodziewała, że jego wybór padnie na mnie. Oczywiście, kiedy zjawiał się w domu, był bardzo miły, przynosił mi kwiaty, słodycze i broszki, lecz widział we mnie po prostu „małą Miriam”. Przypuszczam, że trochę schlebiało mu moje wierne oddanie. Zwierzył mi się kiedyś, już po naszym ślubie, że

pewna stara dama, matka jednego z jego przyjaciół, powiedziała mu: „Myślę, Johnie, że w końcu ożenisz się z tą swoją małą kuzyneczką”. A on na to, ze śmiechem: „Z Miriam? Przecież to tylko dziecko”. Wtedy chyba kochał się w pewnej bardzo pięknej dziewczynie. Na moje szczęście nic z tego nie wyszło... Byłam jedyną kobietą, którą poprosił o rękę, to prawda... Lecz zanim się tak stało, czy wiesz, jakie myśli chodziły mi po głowie? Otóż wyobrażałam sobie, że kiedy on się ożeni, ja się zamknę w sobie, będę leżała na sofie i opadała z sił, aż któregoś dnia zostanie po mnie ledwo cień. Umrę! Ta romantyczna wizja (beznadziejna miłość i leżenie na sofie) towarzyszyła mi przez wszystkie lata dorastania. Umierałam, lecz o mojej miłości nie wiedział absolutnie nikt aż do chwili, kiedy to ktoś z domowników znalazł pakiecik jego listów, z zasuszonymi niezapominajkami. Wszystko razem przewiązane błękitną wstążką... Tak, Celio, teraz to brzmi głupio, choć, czy ja wiem, może na swój sposób te marzenia mi pomogły... Pamiętam dzień, w którym twój ojciec powiedział niespodziewanie: „Jakie śliczne oczy ma to dziecko”. Zawsze uważałam siebie za przeraźliwie nijaką, więc nic dziwnego, że nagle znalazłam się w siódmym niebie. Wspięłam się na krzesło i długo przeglądałam się w lustrze. W końcu pomyślałam sobie, że moje oczy są rzeczywiście ładne...

— Kiedy tatuś poprosił cię o rękę?

— Miałam dwadzieścia dwa lata, kiedy wyjechał z kraju aż na rok. Wysłałam mu bożonarodzeniowe życzenia, a wraz z nimi wiersz, napisany specjalnie dla niego. Od tamtej pory zawsze nosił go w swoim notatniku. Był tam nawet po jego śmierci... No więc, kiedy mi się oświadczył, byłam niewyobrażalnie zaskoczona. Powiedziałam: nie.

— Ale dlaczego, mamusiu?

— To trudno wytłumaczyć... Wychowano mnie tak, bym była wobec siebie krytyczna, toteż nigdy nie wmawiałam sobie, że jestem, powiedzmy, piękna i wysoka. Wręcz przeciwnie, uważałam, że jestem krępa i przysadzista. Bałam się, że rozczaruję go po ślubie. No cóż, przemawiała przeze mnie przeraźliwa skromność.

— A wtedy wujek Tom... — podpowiedziała Celia, która знаła tę część historii prawie tak samo dobrze jak Miriam — wtedy wujek Tom...

Miriam uśmiechnęła się.

— Tak, wujek Tom. W tym czasie byliśmy z wujkiem Tomem w hrabstwie Sussex. Wujek był starym i bardzo mądrym człowiekiem. Grałam na pianinie, pamiętam, a on siedział przy kominku. „Miriam, John poprosił cię o rękę, prawda to?” „Tak”, powiedziałam. „A ty, mimo że go kochasz, odmówiłaś, jak mi się zdaje?” „Tak”, powtórzyłam. „Nie mów

«nie» następnym razem. Poprosi cię drugi raz, ale nie poprosi trzeci. To dobry człowiek, Miriam. Nie odrzucaj swojego szczęścia”.

— I tatuś cię poprosił, a ty powiedziałaś „tak”.

Miriam skinęła głową. Miała promienne spojrzenie, które Celia tak dobrze знаła.

— Opowiedz, jak to się stało, że zamieszkaliście w tym domu.

To była inna dobrze znana historia. Miriam uśmiechnęła się.

— Wynajmowaliśmy niewielkie mieszkanie. Mieliśmy dwoje malutkich dzieci: twoją siostrzyczkę Joy, tę, która umarła, i Cyrila. Twój ojciec wybierał się do Indii w interesach. Nie mógł zabrać mnie z sobą, a ponieważ nam obojgu podobała się ta miejscowość, postanowiliśmy rozejrzeć się za jakimś domem do wynajęcia. Na okres jednego roku. Razem z babunią udałam się na poszukiwania. Kiedy twój ojciec przyszedł na lunch, powiedziałam mu: „John, kupiłam dom”. „Co takiego?!” Babunia dorzuciła: „Nie denerwuj się, mój synu, to będzie całkiem dobra inwestycja”. Bo widzisz, mąż babuni, a ojczym twojego ojca, umierając, zapisał mi trochę pieniędzy. Obejrzałam wiele domów, lecz ten był jedynym, który mi się spodobał. Zdał mi się taki spokojny, wręcz szczęśliwy. Okazało się jednak, że właścicielka, bardzo łagodna i przemiła starsza pani, kwakierka, przeznaczyła go wyłącznie na sprzedaż. Spytałam babunię, która była moim powiernikiem z litery prawa, czy mogłabym go kupić za własne pieniądze. „Dom to dobra inwestycja. Kupuj”, usłyszałam w odpowiedzi. Stara kwakierka potraktowała mnie nadzwyczaj serdecznie. Powiedziała: „Da Bóg, że będziesz tutaj, moja droga, bardzo szczęśliwa. Ty, twój mąż i twoje dzieci...” Wiesz, Celio, to zabrzmiało jak błogosławieństwo.

Cała Miriam. Ta nieobliczalność. Ten pośpiech w podejmowaniu decyzji.

— I ja się tutaj urodziłam, tak?

— Tak.

— Och, mamusiu, nie pozwól, by nasz dom został kiedykolwiek sprzedany...

Miriam westchnęła.

— Nie wiem, czy postąpiłam słusznie. Lecz ty i Cyril tak go kochacie... No i być może w przyszłości będziesz miała dokąd wracać...

3

Znów przyjechała kuzynka Lottie. Tymczasem zdążyła wyjść za mąż i miała własny dom w Londynie. Potrzebowała pewnej odmiany i wiejskiego powietrza. Tak mówiła Miriam.

Kuzynka Lottie nie czuła się dobrze. To było oczywiste. Dużo czasu spędzała w łóżku i okropnie wymiotowała.

Mówiła coś o jedzeniu i o rozstrojonym żołądku. Ale tydzień minął, a wymiotom nie było końca.

— Niechby wreszcie wyzdrowiała — niecierpliwiła się Celia. Kiedy ma się rozstrój żołądka, to kładzie się do łóżka i zażywa rycynę, a następnego dnia albo jeszcze następnego jest po kłopotach.

Miriam popatrzyła na Celię z dziwnym wyrazem twarzy. Tak patrzy ktoś, komu zdarzy się coś przeszkrobać, pomyślała sobie Celia.

— Kochanie, chyba lepiej będzie, jak ci powiem. Kuzynka Lottie wymiotuje, ponieważ spodziewa się dziecka.

Celia jeszcze nigdy w życiu nie była tak bardzo zdziwiona. Od tamtej kłótni z Marguerite Priestman ani razu nie rozważała problemu przychodzenia dzieci na świat.

— Lecz dlaczego miałyby przy tym wymiotować? I kiedy się go spodziewa? Jutro?

Matka zaśmiała się.

— Och nie, dopiero jesienią — powiedziała.

Nie skończyła na tym. Właściwie wygłosiła całą przemowę. O tym, jak długo czeka się na dziecko, a także o czymś, co nazwała naturalnym procesem rozwoju. Celia w całym swoim dotychczasowym życiu nie słyszała czegoś bardziej zdumiewającego czy godnego uwagi.

— Tylko nie zdradź się z niczym przed kuzynką Lottie. Widzisz, małym dziewczynkom nie wypada mówić o takich rzeczach.

Następnego dnia Celia przybiegła do niej wielce podniecona.

— Mamusiu, mamusiu, wiesz co mi się śniło? Śniło mi się, że babunia będzie miała dziecko. Myślisz, że to się może sprawdzić? Może napiszemy list i zapytamy ją?

Kolejne zdziwienie i zaskoczenie. Mamusia się śmiała. Och, jak się śmiała.

— Sny naprawdę się sprawdzają — powiedziała Celia z wyrzutem. — Tak mówi Biblia.

4

Ekscytacja przyszłym dzieckiem kuzynki Lottie trwała przez tydzień. Celia miała cichą nadzieję, że dziecko, mimo wszystko, zjawi się w tych dniach, a nie jesienią. Ostatecznie mamusia też może się mylić.

Potem kuzynka Lottie wróciła do Londynu, a Celia zupełnie o nim zapomniała. Jesienią przebywała u babuni. Któregoś dnia stara Sarah wyszła do niej do ogrodu i powiedziała:

— Twoja kuzynka Lottie ma małego chłopczyka. Cieszysz się, prawda?

Celia, zdumiona i zaskoczona, popędziła do domu, wprost do pokoju stołowego. Babunia siedziała z telegramem w ręku i rozmawiała z panią Mackintosh, swoją serdeczną przyjaciółką.

— Babuniu, babuniu — zawołała — czy kuzynka Lottie naprawdę ma dziecko? Jakie ono jest? Jak duże?

Babunia sięgnęła po odłożoną robótkę (tym razem były to skarpetki do łóżka) i śmiało odmierzyła przypuszczalną długość noworodka na jednym z drutów.

— Tylko takie? — Nie, to zdawało się Celi nie do uwierzenia.

— Moja siostra Jane była tak mała, że włożono ją do skrzynki na mydło — powiedziała babunia z dumą w głosie.

— Do skrzynki na mydło, babuniu?

— Nikt nie przypuszczał, że wyżyje. — Tu dodała półgłosem, pod adresem pani Mackintosh: — Pięciomiesięczny płód, wyobraź sobie.

Celia siedziała cicho, starając się wyobrazić sobie dziecko aż tak małe.

— A jakie to było mydło? — zapytała po jakimś czasie, lecz babunia nie raczyła odpowiedzieć. Babunię całkowicie pochłaniała przyciszona rozmowa z panią Mackintosh.

— Widzisz, moja droga, doktorzy nie byli zgodni co do Charlotte. Przyśpieszyć poród... tak powiedział specjalista. Czterdzieści osiem godzin... pępowina... jeszcze trochę a owinie się wokół szyi...

Babunia mówiła coraz to ciszej. Wreszcie rzuciła spojrzenie na Celię i zamilkła.

Jak zabawnie babunia potrafiła mówić. Jak podniecająco... No a ten jej sposób patrzenia na kogoś... jak gdyby było całe mnóstwo spraw, o których mogłaby ci powiedzieć, gdyby tylko chciała.

5

W wieku piętnastu lat Celia na powrót stała się pobożna. Tym razem była to inna pobożność, bardzo związana z kościołem. Przystąpiła do konfirmacji, a po wysłuchaniu kazania biskupa Londynu, w jednej chwili stała się jego romantyczną wielbicielką. Postawiła na kominku podobiznę swego bożyszczka, codziennie przeglądała gazety, aby

wychwycić jakąkolwiek wzmiankę o nim, a także snuła długie historie na swój i jego temat. W jednej z nich ona pracowała w parafiach na Est Endzie, odwiedzała chorych, a on pewnego dnia ją zauważał. Ostatecznie pobierali się i mieszkali w Fulham Palace*. W innej zostawała zakonnica (odkryła, że są zakonnice nie podporządkowane Rzymowi), żyła w aureoli świętości i miewała wizje.

Po confirmacji wczytywała się w różne książeczki do nabożeństwa i ciodziła w każdą niedzielę do pobliskiego kościoła. Cierpiała, ponieważ matka nie chciała z nią chodzić. Miriam uczęszczała do kościoła tylko z okazji Zielonych Świątek. Zielone Świątki były dla niej największym świętem chrześcijańskim.

— Duch Święty zesłany przez Boga — mówiła. — Pomyśl tylko, Celio. Jaki to wielki cud i jaka wielka i piękna tajemnica. W książeczkach do nabożeństwa niewiele o tym wyczytasz, a i w kazaniach księży Duch Święty rzadko się pojawia. Księża boją się mówić o czymś, co do czego nie mają pewności. Duch Święty, pomyśl tylko.

Miriam oddawała cześć Duchowi Świętemu, a to wprawiało Celię w pewne zakłopotanie. Miriam nie za bardzo lubiła kościoły. Niektóre z nich, mówiła, mają w sobie więcej z Ducha Świętego, inne mniej. To zależy od ludzi, którzy chodzą tam się modlić.

Celia, absolutnie ortodoksyjna w swych przekonaniach, czuła się strapiona. Nic podobało jej się, że matka traktuje sprawy wiary dość wyrzykowo. Tak czy inaczej Miriam była w pewnym sensie mistyczką. Miała zdolność widzenia rzeczy niewidzialnych, a szło to w parze z kłopotliwym dla innych zwyczajem odgadywania cudzych myśli.

Celia zarzuciła pomysł zostania żoną biskupa Londynu, natomiast coraz częściej rozmyślała nad tym, aby pójść do zakonu. W końcu zdecydowała, że powiadomi o swoim zamiśle matkę. Bała się, że to ją unieszczęśliwi. Jednak Miriam przyjęła wiadomość bardzo spokojnie.

— Rozumiem, kochanie.

— Nie sprzeciwiasz się, mamusiu?

— Nie, kochanie. Jeżeli po skończeniu dwudziestu jeden lat nadal zechcesz być zakonnica, to proszę bardzo...

Być może, pomyślała Celia, powinnam przejść na wyznanie rzymskokatolickie. Sama nie wiedziała, jak to się dzieje, lecz rzymskokatolickie zakonnice zdawały się jej bardziej przekonujące.

Miriam powiedziała, że podoba jej się religia rzymskokatolicka.

— Niewiele brakowało, a twój ojciec i ja zostalibyśmy katolikami. Bardzo niewiele. — Uśmiechnęła się ciepło. — Prawie go w to wciągnęłam. Twój ojciec był dobrym człowiekiem i całkiem dobrze odnajdywał się w swojej religii. To ja zawsze odkrywałam taką czy inną i namawiałam go, by ją przyjąć. Sądzę, że to, jaką religię się wyznaje, wiele znaczy w naszym życiu.

Celia zgodziła się z matką, lecz tylko w myślach. Głośna zgoda niewątpliwie byłaby dla jej matki podniecią do kolejnego monologu o Duchu Świętym. Celia wolała się nie mieszać do spraw Ducha Świętego. Duch Święty rzadko pojawiał się na stronach książeczek do nabożeństwa. Teraz wolała odciąć się myślom o dniu, w którym będzie się modlić w swojej celi...

6

To było niedługo po tym, jak Miriam powiedziała Celii, że pora wyjechać do Paryża. Zawsze rozumiało się samo przez się, że Celia będzie nabierać ogłady w Paryżu. Cóż, dość nęcąca perspektywa. Jak do tej pory Celia zdobywała wiedzę jedynie w zakresie historii i literatury. Pozwalano jej, a wręcz zachęcano do czytania wszystkiego, na co miała ochotę. Orientowała się także, i to całkiem nieźle, w bieżących wydarzeniach. Miriam nalegała na czytanie tych artykułów w gazetach, które przyczyniały się do pogłębiania ogólnej wiedzy. Co do arytmetyki, tę lubiła od dawna, a poza tym ostatnio dwa razy w tygodniu chodziła na konsultacje do miejscowej szkoły.

O geometrii, łacinie, algebrze i gramatyce nie wiedziała dokładnie nic. Geografię знаła fragmentarycznie z dawnych lekcji historii z matką i z książek podróżniczych.

W Paryżu miała uczyć się śpiewu, gry na pianinie, rysunku, malarstwa i języka francuskiego.

Miriam wybrała zakład w pobliżu Avenue du Bois, prowadzony wspólnie przez Angielkę i Francuzkę, w którym uczyło się dwanaście dziewcząt.

Pojechała z Celią i postanowiła pozostać w Paryżu tak długo, aż nabierze pewności, że jej dziecko dostosowało się do nowego otoczenia i jest szczęśliwe. Po czterech dniach Celię ogarnęła potworna tęsknota za Miriam. Najpierw nie wiedziała, co się z nią dzieje — to dziwnie ściśnięte gardło, te łzy, które napływają jej do oczu na samą myśl o matce. Wystarczyło, by ułożyła bluzkę, którą uszyła jej Miriam i wyobraziła sobie, jak siedzą we

własnym domu i jak matka tę bluzkę szyje, a już tonęła we łzach. Piątego dnia miała wychodne. Przyjechała po nią matka.

Zeszła na dół, zdawałoby się, opanowana. Wystarczyło jednak, by taksówka, którą udawały się do hotelu Miriam, ruszyła z miejsca, a łzy potoczyły się po jej policzkach jak groch.

— Och, mamusiu, mamusiu — wyszlochała.

— Co się stało, kochanie? Nie czujesz się tam dobrze? Powiedz tylko słowo, a natychmiast cię zabiorę.

— Wcale nie chcę, żebyś mnie zabierała. Podoba mi się tam, naprawdę. Tyle że brakowało mi ciebie.

Pół godziny później niedawne uczucie smutku wydawało się zupełnie nierealne niby jakiś zły sen. Wszystko razem trochę przypominało morską chorobę. Kiedy raz się z niej człowiek podniesie, nie pamięta, że w ogóle ją przechodził.

Wbrew oczekiwaniom Celi potworna tęsknota za matką już nie powróciła. Dlaczego? Jak to możliwe? — roztrząsała nerwowo własne uczucia. Przecież nadal kocha matkę, więcej, uwielbia ją, a mimo to na myśl o niej już nic nie ścisza ją za gardło.

Przyszła do niej jedna z dziewcząt, Amerykanka, Maisie Payne.

— Podobno czujesz się osamotniona — powiedziała, przeciągając słowa. — Moja matka zatrzymała się w tym samym hotelu co i twoja, stąd wiem. Już ci trochę minęło?

— Tak, wszystko w porządku. Głupio się zachowałam.

— Ależ skąd, tęsknota to rzecz całkiem naturalna.

Jej pieszczotliwy, przeciągły sposób mówienia przypomniawszy Celi dawną przyjaciółkę z Pirenejów, Marguerite Priestman. Poczowała, że ogarnia ją miłe uczucie wdzięczności dla tej dużej, ciemnowłosej istoty. Po chwili to uczucie przybrało na sile, albowiem Maisie powiedziała: — Widziałam twoją matkę w hotelu. Jest bardzo ładna. A nawet więcej niż ładna; ona jest... jakby to nazwać... twoja matka jest dystygowana.

Celia pomyślała o swojej matce, po raz pierwszy starając się spojrzeć na nią obiektywnie. Mała, pełna wyrazu twarz, drobne dłonie i stopy, małe delikatne uszy, cienki, zgrabny nos.

Jej matka — och, kogoś takiego jak ona nie ma na całym świecie!

6. PARYŻ

W Paryżu Celia spędziła rok. Czas ten upłynął jej bardzo przyjemnie. Lubiła inne dziewczęta, choć żadna z nich nie zdawała jej się bardzo autentyczna. Może jedna Maisie Payne, lecz ta wyjechała na Wielkanoc po przyjeździe Celii. Jej najlepszą przyjaciółką była wielka, gruba dziewczyna, Bessie West, która sąsiadowała z nią przez ścianę. Bessie lubiła mówić, a Celia słuchać, poza tym łączyła je wspólna namiętność do jabłek. Bessie między jednym a drugim kęsem jabłka snuła długie opowieści o swoich eskapadach i przygodach. Jej historie kończyły się zwykle tak samo: „I wtedy to już całkiem zwariowałam”.

— Lubię cię, Celio — wyznała któregoś dnia. — Jesteś sensowna.

— Sensowna?

— Nie mówisz bez przerwy o chłopcach, no i tych tam sprawach. Dziewczęta takie jak Mabel i Pamela działają mi na nerwy. Za każdym razem kiedy gram na skrzypcach, nic tylko chichoczą i wmawiają mi, że robię słodkie oczy do starego Franza albo on do mnie. Według mnie to jest prostackie. Lubię powyglupiać się z chłopcami jak każda inna, lecz posądzanie mnie o bujanie się w nauczycielach muzyki to czysty idiotyzm.

Celia, której już dość dawno minęła namiętność do biskupa Londynu, teraz przeżywała śmiertelne katusze x powodu pana Geralda du Mauriera. Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, to znaczy od dnia, kiedy to zobaczyła go w Alias Jimmy Valentine. Jednak swego sekretu nie zdradziła nikomu.

Poza Bessie lubiła jeszcze jedną dziewczynę, tę, o której Bessie nie mówiła inaczej jak „kretynka”.

Sybil Swinton była wysoka, miała dziewiętnaście lat, brązowe oczy i całą masę kasztanowych włosów. Była zdecydowanie sympatyczna i zdecydowanie głupia. Wszystko trzeba było jej tłumaczyć dwa razy. Pianino traktowała jak dopust boży. Źle odczytywała nuty i nie miała słuchu. Celia potrafiła siedzieć przy niej godzinami, powtarzając cierpliwie raz za razem: „Nie, Sybil, nie... krzyżyk... źle prowadzisz lewą rękę... d, Sybil, teraz d. Och, Sybil, Sybil, czy ty naprawdę nie potrafisz tego usłyszeć? Naprawcie?” Sybil naprawcie nie potrafiła. Jej rodzinie bardzo zależało, by grała na pianinie jak inne dziewczęta i Sybil robiła co w jej mocy, lecz muzyka wciąż była dla niej jednym wielkim koszmarem. Zresztą nie tylko dla niej. Dla jej nauczycieli także. Madame LeBrun, jedna z dwojga nauczycieli muzyki, była starszą panią, drobną i niską, o białych włosach i dłoniach jak szpony. Siadała bardzo blisko uczennicy, tak blisko, że ta nie mogła

swobodnie poruszać łokciem. Bardzo lubiła sprawdzać postępy dziewcząt na nie znanych im utworach i zwykle przynosiła ze sobą całe pliki duetów a quatre mains. Wszystko szło łatwo, gdy madame LeBrun siedziała przy tym końcu pianina, gdzie był rejestr wiolinowy. Tak bardzo pochłaniała ją własna gra, że zwykle mijało trochę czasu, nim zauważyła, iż akompaniująca jej uczennica wyprzedza ją o kilka taktów albo o kilka się spóźnia. Wtedy wydawała z siebie okrzyk oburzenia: „Mais qu'est-ce que vous jouez !?, ma petite? C'est affreux — c'est tout ce qu'il y a de plus affreux!”

Mimo wszystko Celia lubiła jej lekcje. Co prawda wołała, kiedy madame LeBrun zastępował monsieur Kochter. Monsieur Kochter zajmował się tylko utalentowanymi dziewczętami. Był zachwycony Celia. Chwytał jej dłonie i niemiłosiernie rozsuwając palce, wołał: „Proszę spojrzeć na to rozstawienie! Tak wygląda ręka pianistki. Natura była dla pani łaskawa, panno Celio. A teraz zobaczmy, co pani robi, aby ją wspomagać”. Monsieur Kochter sam grał przepięknie i, jak zwierzył się Celi, dwa razy w roku dawał koncert w Londynie. Chopin, Beethoven i Brahms byli jego ukochanymi mistrzami. Zwykle przyzwalał na to, aby Celia sama dobierała sobie repertuar. Monsieur Kochter zarażał ją tak dużym entuzjazmem, że chętnie ćwiczyła, nie odczuwając przy tym żadnego zmęczenia, sześć godzin dziennie, czyli tyle, ile się po niej spodziewał. Celia kochała grę na pianinie. Pianino przez całe życie było jej przyjacielem.

Na lekcje śpiewu Celia uczęszczała do monsieur Barré — eksśpiewaka operowego. Miała bardzo wysoki, czysty sopran.

— Świetnie radzi sobie pani z górnymi rejestrami — powiedział monsieur Barre. — Nie można ich lepiej zaprezentować. To jest voix de t?te. Niskie rejestry, z piersi, są zbyt słabe, lecz mimo to całkiem niezłe. Natomiast musimy popracować nad médium. Médium, mademoiselle, powstaje na podniebieniu. — Wyciągnął miarę krawiecką. — A teraz sprawdzimy przeponę. Wciągamy powietrze... trzymamy... jeszcze trzymamy... i... prędko wypuszczamy. Kapitalnie, kapitalnie. Ma pani oddech śpiewaczki. — Następnie wręczył Celi ołówek. — Proszę włożyć go między zęby, o tak, w sam kącik ust, i nie pozwolić mu wypaść, kiedy pani zaśpiewa. Nawet nie chcę słyszeć, że to niemożliwe. W ten sposób, zapewniam panią, da się wymówić każde słowo.

Najogólniej biorąc, monsieur Barré był z Celi zadowolony.

— I jeszcze jedno — dociął na koniec. — Zadziwia mnie pani francuski. Bo to nie jest zwykły francuski z angielskim akcentem — ach, do jakiego stopnia cierpię, słysząc to

angielskie Mon Dieu!, tego nikt nie wie! Nie, pani francuski, można by przysiąc, ma akcent méridional. Gdzie się pani uczyła naszego języka?

Celia powiedziała gdzie.

— Ach tak, rozumiem. A pani pokojówka pochodziła oczywiście z południa Francji. To nam wszystko wyjaśnia. Nie szkodzi, nie szkodzi, wkrótce się go pozbędziemy.

Celia ćwiczyła wytrwale. Monsieur Barré nadal był z niej zadowolony, lecz od czasu do czasu uskarżał się na jej angielską twarz.

— Jest pani dokładnie taka sama jak cała reszta pani współziomków. Pani się zdaje, że aby śpiewać, wystarczy otworzyć usta tak szeroko, jak to możliwe, i pozwolić przepływać przez nie głosowi! Nic podobnego. Jest jeszcze skóra. Skóra twarzy, skóra wokół pani ust. Pani nie jest małym chłopcem, śpiewającym w chórze. A przy okazji, przynosi mi tu pani habanerę z Carmen transponowaną na sopran, a arie operowe zawsze powinny być śpiewane w oryginalnej tonacji; wszystko inne nie nadaje się do słuchania i jest zniewagą dla kompozytora. Proszę to sobie zapamiętać. Zaśpiewa pani habanerę, ale przestawię pani głos na mezzosopran. A zatem: jest pani Carmen, ma pani różę w ustach, nie ołówek, śpiewa pani pieśń, która ma zwabić młodego mężczyznę. Pani twarz... Ach, pani twarz! Niechże ona nie będzie drewniana.

Lekcja skończyła się łzami Celi. Monsieur Barré był łaskawy.

— No, no, proszę się uspokoić, po prostu ta aria nie jest dla pani. Tak, teraz to widzę wyraźnie. Pani powinna śpiewać Jeruzalem Gounoda. Alleluja z Cyda. A do Carmen jeszcze kiedyś wrócimy.

Prawie wszystkie dziewczęta najwięcej czasu poświęcały nauce muzyki. Poza tym każdego ranka odbywała się lekcja języka francuskiego. Celia, która mówiła po francusku o wiele lepiej niż cała reszta, zawsze na takiej lekcji czuła się potwornie upokorzona. W dyktandach, w których inne dziewczęta robiły dwa, trzy, a już najwięcej pięć błędów, ona posuwała się do dwudziestu pięciu albo i trzydziestu. Mimo iż przeczytała bardzo dużo francuskich książek, nie miała pojęcia o ortografii. No i pisała wolniej od innych. I jak dla Sybil Swinton koszmarem były lekcje muzyki, tak dla niej dyktanda.

— Doprawdy, to niemożliwe, niemożliwe — załamywała ręce madame. — Jak można mieć aż tyle błędów, Celio! I żeby nie wiedzieć, co to jest imiesłów bierny?!

Niestety, tego właśnie Celia nie wiedziała.

Dwa razy w tygodniu ona i Sybil chodziły na lekcje malowania. Celii żal było odrywać się od pianina. Nienawidziła rysunku, a malowania chyba jeszcze bardziej. Tematem jednej z lekcji były kwiaty. Och, jakiś nędzny bukietek fiołków w szklance wody!

— Cienie, Celio, najpierw kładzie się cienie.

Celia nie widziała żadnych cieni. Jedyne, co mogła zrobić, to zdać się na Sybil i naśladować każdemu pacniecie jej pędzla.

— Ty chyba naprawdę widzisz te jakieś tam cienie, podczas gdy w moich oczach fiołki to po prostu przyjemna plama fioletu.

Sybil nic była szczególnie utalentowana, lecz jeśli chodzi o malowanie, to Celia zasługiwała na miano kretynki.

Coś w jej duszy głośno krzyczało przeciw kopiowaniu natury, wdzieraniu się w tajemnice kwiatów i zamienianiu ich urody w marne plamki kolorów na papierze. Fiołki powinny rosnąć w ogrodach albo omdlewać słodko w wazonach.

— Nie widzę sensu rysowania czegokolwiek — powiedziała któregoś dnia do Sybil. — Po co rysować coś, co już i tak istnieje.

— Co masz na myśli?

— Nie wiem, jak to wyrazić, lecz dlaczego stwarzać rzeczy, które już istnieją? To zwykłe marnotrawstwo czasu. Jeśli ktoś narysowałby kwiat z wyobraźni, taki, który nigdy, nigdzie nie zakwitł, być może byłoby to warte zachodu.

— To znaczy, że chcesz narysować kwiat z głowy?

— Tak, lecz nawet i to uważam za niewłaściwe. Mimo wszystko byłby to kwiat, a przecież nie chodzi o wymyślanie kwiatów, tylko o umiejętność kreślenia ołówkiem na papierze.

— Ale Celio, obrazy, prawdziwe obrazy, sztuka... to coś bardzo pięknego.

— Tak, to prawda, a przynajmniej... — Celia nie dokończyła myśli. Zmieniła zdanie: — Czy jednak na pewno?

— Celio! — zawołała Sybil, dotknięta do żywego taką herezją.

Czyż nie były w Luwrze? Czyż nie oglądały dawnych mistrzów nie dalej jak wczoraj?

Celia zrozumiała, że posunęła się za daleko. O sztuce nie powinno się mówić inaczej, jak tylko z nabożną czcią.

— Chyba wypłam za dużo czekolady — powiedziała na swoje usprawiedliwienie. — Stąd w mojej głowie lęgną się takie obrazoburcze myśli. Ci wszyscy święci ze starych

plócien... wszyscy tacy identyczni... To znaczy — poprawiła się czym prędzej — uważam, że są cudowni, naprawcie.

Jednak jej głos nie zabrzmiał zbyt przekonująco.

— Ty, Celio, ty, która tak bardzo kochasz muzykę, powinnaś kochać sztukę w ogóle.

— Muzyka to co innego. Muzyka to coś samo w sobie, coś, co niczego nie naśladuje. Weź pierwszy lepszy instrument (skrzypce, pianino, wiolonczelę) i wydobądź z niego dźwięki, rozkoszne, nawzajem przenikające się dźwięki. One są niepowtarzalne. Są sobą, są dźwiękami. — Tu Celia obrzuciła Sybil spojrzeniem pełnym rozpacz. — No tak, tylko że ty w ogóle niczego nie słyszysz.

— Ze sposobu, w jaki tamtego ranka malowałaś fiołki, można by pomyśleć, że ty z kolei niczego nie widzisz.

Celia zastygła w bezruchu, tarasując tym samym drogę małej femme de chambre, która im towarzyszyła i która zaszczebotała coś ze złością.

— A wiesz, Sybil — powiedziała — chyba masz rację. Chyba naprawcie niewiele widzę. To dlatego nie radzę sobie z ortografią. I to dlatego nigdy nie wiem, jak co wygląda.

— Tak, i dlatego zawsze wchodzisz prosto w kałuże — dorzuciła Sybil.

Celia zastanowiła się.

— Nie sądzę, by to miało jakieś znaczenie, nie, raczej nie. Oczywiście poza ortografią. Myślę, że liczy się to, co się czuje, nie to, co się widzi. Nieważne są kształty ani sposób powstawania rzeczy.

— Właściwie to o co ci chodzi, Celio?

— No cóż, weźmy choćby taką różę. — Celia wskazała ruchem głowy kwiaciarę, obok której właśnie przechodziły, i naręcze róż. — Jakie to ma znaczenie, ile ona ma płatków i jaki te płatki mają kształt. Róża liczy się jako całość, liczy się jej aksamitność i zapach.

— Nie narysowałabyś róży, nie znając jej kształtu.

— Sybil, ty oślico, czyż nie powiedziałam ci, że nie chcę rysować? Nie lubię róż na papierze. Lubię tylko prawdziwe róże.

Zatrzymała się przed kwiaciarą i za kilka miedziaków kupiła pęk omdlewających, ciemnoczerwonych róż.

— Zapach — powiedziała, podtykając je Sybil pod nos. — Czy nie czujesz wprost niebiańskiego bólu? Nie ściska cię coś w dołku? Bo mnie tak.

— Znów zjadłaś za dużo jabłek.

— Nie, nie zjadłam. Och, Sybil, nie bądź aż tak prozaiczna. Czyż to nie jest boski zapach?

— Owszem, jest. Ale nic mnie od niego nie boli. I nie rozumiem, jak w ogóle można się rozkoszować bólem.

— Mama i ja wzięłyśmy się kiedyś za botanikę — powiedziała Celia — lecz książki prędko poszły

w ką. Nie cierpiałam jej. Poznawanie różnych rodzajów kwiatów, klasyfikowanie ich, no i te słupki, te pręciki; to wszystko razem jest wstrętne. To jak odzieranie tych biedactw z ich szat. Uważam to za odrażające. Niedelikatne.

— A czy wiesz, Celio, że jeśli pójdziesz do klasztoru, zakonnice każą ci się kąpać w koszuli? Słyszałam to od jednej z moich kuzynek.

— Naprawcie? Dlaczego?

— One uważają, że nie wypada przyglądać się własnemu ciału.

— Och. — Celia rozmyślała przez chwilę. — A co z mydłem? Chyba nie grzeszy się przesadną czystością, jeśli się namydla ciało przez koszulę? Jak sądzisz?

2

Dziewczęta z pensji prowadzano do opery, do Comédie Française, a także, zimą, na ślizgawkę do Palais de Glace. Celia lubiła tego rodzaju rozrywki, lecz czymś, co prawdziwie wypełniało jej życie, była muzyka. Napisała do matki, że chciałaby zostać pianistką.

Pod koniec semestru panna Schofield wydawała przyjęcie, na którym występowały najbardziej uzdolnione muzycznie dziewczęta. Celia i grała, i śpiewała. Śpiew poszedł jej całkiem gładko, natomiast przy popisie muzycznym załamała się i z trudem przebrnęła przez pierwsze takty sonaty Patetycznej Beethovena.

Miriam przyjechała do Paiyza w odwiedziny i na życzenie Celi zaprosiła monsieur Kochtera na podwieczorek. Uznała za wskazane wybadać, co o projektach córki myśli jej nauczyciel. Zapytała go o to pod nieobecność Celi.

— Wyznam prawdę, madame. Pani córka ma talent, właściwą technikę i czuje muzykę. Jest moją najbardziej obiecującą uczennicą. Jednak śmiem twierdzić, że nie staje jej temperamentu.

— To znaczy... temperamentu, który pozwalałby na grywanie przed publicznością?

— Właśnie, madame, właśnie. Aby być artystą, trzeba uniezależnić się od świata i jego humorów. Jeśli świat w ogóle chce cię słuchać, masz to odbierać jako zachętę. Mademoiselle Celia jest w stanie sprostać publiczności liczącej najwyżej jedną lub dwie osoby, a tylko przy zamkniętych drzwiach potrafi wygrać na instrumencie swoją duszę.

— Czy pan jej to powie, monsieur Kochter?

— Owszem, ale na pani życzenie, madame. Celia była gorzko rozczarowana. Ratowała ją jedynie myśl o śpiewaniu.

— Chociaż to nie to samo.

— Nie kochasz śpiewać tak jak gry na pianinie?

— Och, nie.

— Może dlatego, że śpiewając, wcale się nie denerwujesz?

— Może. Bo w istocie mam wrażenie, że głos istnieje poza mną, że jest niezależny ode mnie. Natomiast dźwięk wydobywany z pianina... tak, ten zależy wyłącznie ode mnie. Dźwięk jest taki a nie inny dzięki biegłości moich palców. Czy dość jasno się wyrażani, mamó?

Następnie odbyły poważną dyskusję z monsieur Barré.

— Tak, pani córka ma i talent, i głos. A także temperament. Jedynym jej mankamentem jest to, że wkłada w śpiew zbyt mało ekspresji; słuchając jej, odnoszę wrażenie, że popisuje się przecie mną chłopiec, nie kobieta. Ale — tu się uśmiechnął — to z czasem samo przyjdzie. Natomiast głos jest bez zarzutu. Czarujący, czysty i mocny. Oddech również wspaniały. Tak, pani córka może być śpiewaczką. Śpiewaczką koncertową, ma się rozumieć. Do opery ten czarujący głos jest odrobinę za słaby. Kiedy już znalazły się w Anglii, Celia powiedziała:

— Przemyślałam wszystko, mamó. Jeżeli nie mogę śpiewać w operze, nie chcę śpiewać w ogóle. To znaczy, nie zawodowo. — Roześmiała się. — Nie chciałaś tego, prawda?

— Byś została śpiewaczką profesjonalną? Nie, na pewno nie.

— Ale zgodziłabyś się, gdybym się przy tym upierała, prawda? Zgodziłabyś się na wszystko. Wystarczyłoby z mojej strony wystarczająco mocno czegoś pragnąć, a zgodziłabyś się. Wiem to, mamó.

— No, może nie na wszystko — ożywiła się Miriam.

— Ale prawie?

Matka uśmiechnęła się.

— No cóż, kochanie, pragnę twojego szczęścia. — Jestem pewna, że zawsze będę szczęśliwa — powiedziała Celia z niezłomnym przekonaniem.

3

Celia napisała jesienią do matki, że chce zostać pielęgniarką w szpitalu. Bessie ma takie plany i ona również. Ostatnio jej listy były pełne Bessie.

Miriam nie odpowiedziała wprosi. Pod koniec semestru doniosła jedynie, że zgodnie z zaleceniem lekarza ma zamiar spędzić zimę za granicą. Wybiera się do Egiptu i zabiera ze sobą Celię.

Celia wróciła z Paiyża. Miriam przebywała u babuni i w najlepsze zajmowała się przygotowaniami do wyjazdu. Babunia nie wyglądała na zachwyconą pomysłem z Egiptem. Celia dowiedziała się o tym z rozmowy babuni z kuzynką Lottie, która któregoś dnia zjawiła się na lunchu.

— Nie potrafię zrozumieć Miriam. Wyruszać w tak złym stanie zdrowia. No i dlaczego do Egiptu. Egipt! Chyba nie mogła znaleźć droższego kraju! Oto i cała Miriam, nie ma żadnego wyobrażenia o pieniądzach. A poza tym Egipt to jedno z ostatnich miejsc, w których była z biednym Johnem. Doprawdy, trzeba nie mieć serca.

Miriam (tak się przynajmniej Celi zdawało), wyglądała buntowniczo i była podekscytowana. Wybrała się z Celia do sklepu i kupiła jej trzy suknie wieczorowe.

— Jesteś absurdalna, Miriam. Przecież to jeszcze dziecko — skrytykowała ją babunia.

— Najwyższa pora, żeby zaczęło bywać w wielkim świecie. Znosi się jednak na to, że nie zdołam wprowadzić jej do towarzystwa w Londynie. Nie stać nas na to.

— Ależ ona ma dopiero szesnaście lat.

— Prawie siedemnaście. W jej wieku moja matka już była mężatką.

— Nie przypuszczam, byś chciała tego samego dla własnej córki.

— Nie, oczywiście, że nie, ale chcę, by korzystała z uroków życia, dopóki jest młoda.

Suknie wieczorowe były czymś nad wyraz ekscytującym, choć z drugiej strony dostarczyły Celi nowej porcji zgryzoty i radość zaprawiły goryczą. Cóż, upragniona przez nią „figura” nijak nie chciała się zmaterializować. Żadnych krągłych wypukłości, które opinałaby bluzka w paski. Och, mieć biust, mieć wreszcie biust, myślała tęsknie. Biedna Celia — gdyby tylko urodziła się dwadzieścia lat później, jakże byłaby podziwiana za swą naturalną smukłość! Nie potrzebowałaby żadnej wyszczuplającej gimnastyki!

Tymczasem było, jak było. Aby zaradzić niedostatkom natury, staniki wieczorowych sukni wypełniono miękkimi zwiłkami tiulu.

Celia marzyła o czarnej wieczorowej kreacji, lecz Miriam powiedziała „nie” — nie, dopóki nie będzie starsza — i kupiła jej białą suknię z tafty, seledynową z tiulu, przyozdobioną całym mnóstwem maleńkich kokardek, i blad różową z atłasu z pączkami różyczek na ramieniu.

Babunia, jak widać, nie chciała być gorsza. Wygrzebała z dna mahoniowej szuflady kawał olśniewającej turkusowoniebieskiej tafty, z propozycją, by biedna panna Bennett wypróbowała na niej swoją rękę. Miriam taktownie zasugerowała, że być może biedna panna Bennett uzna szycie modnej wieczorowej kreacji za zbyt trudny obowiązek. W ten sposób niebieska tafta trafiła poci inny adres. Następnie Miriam zaprowadziła Celię do fryzjera, gdzie podczas kilku posiedzeń wtajemniczono ją w sztukę układania własnych włosów. Modne uczesanie — luźno puszczone do tyłu loki — wymagało wzniesienia z przodu głowy swego rodzaju konstrukcji. Nie było to łatwe dla kogoś, kto miał, jak Celia, włosy gęste i długie, sięgające daleko poza talię. Celia, przejęta własną osobą, nie zauważyła, iż jej matka wygląda zdrowiej niż zazwyczaj.

Nic uszło to oka babuni.

— Patrzcie państwo — powiedziała babunia. — Miriam dostała bzika na punkcie tego całego kramu.

Miało upłynąć wiele lat, nim Celia zdała sobie sprawę, co w owym czasie czuła jej matka. Miriam miała nieciekawą młodość, i stąd zapewne wzięła sobie za punkt honoru, by jej ukochanej córeczki nie ominęła żadna z podnień właściwych latom dziewczęcym. Jak Celia mogłaby wejść w świat, gdyby ciągle przebywała na wsi, w otoczeniu zaledwie kilku młodych ludzi?

To stąd wziął się pomysł z Egiptem. W Egipcie Miriam miała wielu przyjaciół jeszcze z czasu, kiedy bawiła tam razem z mężem. Aby zdobyć niezbędne fundusze, nie zawahała się sprzedać kilku akcji i udziałów. Celia nie powinna zazdrościć innym dziewczętom, powinna radośnie przeżyć swoje „dobre lata”, których ona, Miriam, nigdy nie miała.

A także, jak przyznała się Celi kilka lat później, Miriam obawiała się jej przyjaźni z Bessie West.

— Widziałam wiele dziewcząt zainteresowanych inną dziewczyną i wymawiających się od bywania w świecie czy od kontaktów z mężczyznami. To jest nienaturalne i niedobre.

— Bessie? Ależ ja nigdy nie kochałam się w Bessie.

— Teraz to wiem, ale dopiero teraz. Wtedy bałam się. No i te nonsensowne pomysły z pracą w szpitalu. Chciałam, byś miała swoje dobre lata i piękne suknie i byś cieszyła się życiem w sposób właściwy młodej dziewczynie.

— No cóż — powiedziała Celia. — Stało się tak, jak chciałaś. Cieszyłam się.

7. DORASTANIE

1

Celia cieszyła się, to prawda, lecz jednocześnie przeżywała katusze, wynikające z jej nadmiernej wstydlivosti. Uczucie wstydu i skrępowania towarzyszyło jej od dziecka, i to ono sprawiało, że nie potrafiła uzewnętrzniać radości i że traciła kontenans, kiedy przyszło jej się zmierzyć z obcym otoczeniem.

Rzadko myślała o swoim wyglądzie. Swój wysoki wzrost, swoją szczupłość i to, że z tymi swoimi płowymi włosami i z tym swoim jasnym, delikatnym skandynawskim kolorytem jest łacina i pełna gracji, przyjmowała jako coś całkiem naturalnego. Miała cudowną cerę, lecz kiedy się denerwowała, robiła się biała jak płótno. W czasach, kiedy makijaż był rzeczą skandaliczną, Miriam każdego wieczoru kładła na policzki córki odrobinę różu. Chciała, by córka wyglądała jak najlepiej.

Lecz Celię nie martwił jej wygląd. Przygniatała ją świadomość własnej głupoty. Nie była dowcipna. A to straszne, nie być dowcipną. Nie potrafiła odezwać się słowem do kogoś, z kim tańczyła. Była poważna i raczej posępna.

Miriam nieprzerwanie ponaglała córkę do rozmowy.

— Mów coś, kochanie. Cokolwiek. Choćby coś głupiego. Rozmowa z dziewczyną, która mówi jedynie „tak” lub „nie”, jest dla mężczyzny strasznie mozolna. Nie psuj sobie i komuś zabawy. Nikt nie potrafił wczuć się w kłopoty Celi bardziej niż jej matka, której przez całe życie przeszkadzała własna nieśmiałość. Nikt nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że Celia jest nieśmiała; brano ją powszechnie za wyniosłą i zarozumiałą. Nikt nie zdawał sobie sprawy, jak skromna jest ta ładna dziewczyna i jak bardzo świadoma swoich towarzyskich niedostatków.

Jeśli mimo wszystko dobrze się bawiła, to zawdzięczała to wyłącznie swojej urodzie. No i jeszcze swoim talentom tanecznym. Do końca zimy zaliczyła pięćdziesiąt sześć zabaw, a co ważniejsze, przyswoiła sobie pewne tajniki sztuki rozmawiania o niczym. Stała się

mniej niezręczna, bardziej pewna siebie i ostatecznie, nie torturowana ciągłymi nawrotami wstydlivości, mogła cieszyć się każdą chwilą.

Żyła jak we śnie. Snem zdawał się każdy taniec, snem było rozproszone, złociste światło czy gra w polo i w tenisa. A także młodzi mężczyźni. Ci wszyscy młodzi mężczyźni, którzy trzymali ją za rękę, flirtowali z nią, pytali, czy wolno im ją pocałować i których zrażała jej rezerwa. Czymś, a raczej kimś realnym był dla Celi jeden jedyny człowiek: posępny, spalony na brąz pułkownik z Pułku Szkockiego. Niestety, ów pułkownik rzadko tańczył i nigdy nie zawracał sobie głowy rozmową z młodymi dziewczętami.

Celia polubiła małego, rudowłosego kapitana Gale'a, który każdego wieczoru tańczył z nią trzy tańce (to była największa dozwolona liczba tańców z jednym kawalerem) i który z niej żartował, że nie musi uczyć się tańczyć, tylko rozmawiać.

— Czy wiesz, że kapitan Gale chciał się z tobą ożenić? — spytała Miriam podczas powrotnej podróży, na statku.

— Ze mną?

— Tak. Poprosił mnie o rozmowę. Był ciekaw, co o tym myślę. To znaczy, czy ma u ciebie jakieś szansę.

— Dlaczego nie zapytał mnie? — Celia czuła się leciutko urażona.

— Sama nie wiem. Może się bał. — Miriam uśmiechnęła się. — Ale ty nie chcesz wyjść za niego, prawda Celio?

— Och nie, to jasne, lecz sądzę, że to mnie się powinno o to pytać, nie ciebie.

To była pierwsza, choć chyba niezbyt satysfakcjonująca propozycja.

I wcale nie chodziło o osobę tego, kto ją złożył. Celia w tamtej chwili nie poślubiłaby nikogo poza pułkownikiem Moncrieffem, a pułkownik najwyraźniej nie miał zamiaru jej się oświadczyć. No cóż, miała jedno wyjście — kochać go sekretnie i na całe życie zostać starą panną.

Nieszczęsny spalony na brąz pułkownik Moncrieff! Nie upłynęło pół roku, jak spotkał go los Auguste'a, Sybil, biskupa Londynu i pana Geralda du Mauriera.

2

Dorastanie okazało się trudne. Podniecające, to prawda, lecz trudne. Kiedy się dorasta, myślała Celia, umiera się co godzinę z najbliższego zdawałoby się powodu. Niewłaściwa

fryzura. Brak „figury”. Nieumiejętność prowadzenia towarzyskiej rozmowy. No i ludzie. Ludzie, a zwłaszcza mężczyźni, którzy sprawiają, że się jest nieustannie skrępowaną.

Celia na całe życie miała zapamiętać pierwszą wizytę w pewnej wiejskiej posiadłości. Już w pociągu była zdenerwowana do tego stopnia, że jej szyja zamieniła się w jedną wielką różową plamę. Czy zachowa się właściwie? Czy (wiecznie powracający koszmar) potrafi rozmawiać? Czy da sobie radę z zakręceniem włosów z tyłu głowy? (Bo te z tyłu zwykle zakręcała Miriam). Czy nie pomyśli sobie, że jest głupia? Czy zabrała odpowiednie suknie?

Nikt na świecie nie mógłby być miłszy od jej gospodarzy. Odetchnęła.

Cóż za wspaniałe uczucie, znaleźć się w wielkiej sypialni i mieć do dyspozycji pokojówkę, która rozpakowuje bagaże i pomaga przy ubieraniu.

Włożyła nową, różową suknię z tiulu i zeszła na dół, a tam — tłumy! Speszyla się kompletnie. Pan domu starał się, jak mógł. Rozmawiał z nią, żartował, nazywał Różyczką. „To dlatego, że zawsze widuję cię w różowych sukniach”, powiedział.

Obiad był wyśmienity, lecz Celia ledwo go skosztowała. Całą uwagę musiała skupić na w miarę zręcznej rozmowie z siedzącymi obok mężczyznami. Po prawej ręce miała małego grubasa o bardzo czerwonej twarzy, po lewej dość zagadkowego, wysokiego, siwiejącego mężczyznę.

Ten ostatni zabawiał ją rozmową o książkach i sztukach teatralnych, a potem o wsi. Zapytał, gdzie mieszka. Usłyszawszy odpowiedź, odparł, że możliwe, iż będzie tamtędy przejeżdżał na Wielkanoc.

Jeśli panna Celia pozwoli, mógłby ją odwiedzić. Panna Celia powiedziała, że będzie jej bardzo miło.

— Naprawdę? Pani mina raczej przeczy słowom — zaśmiał się.

Celia poczerwieniła.

— Powinno być pani miło — powiedział. — Zwłaszcza że jechać tamtędy zdecydowałem się nie wcześniej niż minutę temu.

— O tak, tam są piękne widoki — zapewniła z przejęciem Celia.

— Jeśli faktycznie tam pojedę, to nie dla pięknych widoków.

Czy naprawdę każdy mężczyzna musi rozmawiać w ten sposób? Ona rozpaczliwie kruszyła w dłoniach chleb, a on popatrywał na nią z rozbawieniem. Jakie to jeszcze dziecko! I jak łatwo popada w zakłopotanie!

Celia odczuła niesamowitą ulgę, kiedy w końcu, prawdopodobnie wyczerpawszy cały zasób co bardziej ekstrawaganckich komplementów, zwrócił się do sąsiadki po swojej drugiej stronie, a ją zostawił małemu grubasowi. Mały grubas powiedział, że nazywa się Roger Raynes. Oboje bardzo prędko wdali się w rozmowę o muzyce. Raynes był śpiewakiem, wprawdzie tylko amatorem, lecz często zdarzało mu się występować na scenie. Celia, uszczęśliwiona, wreszcie się rozszczębiotała.

Ledwo zauważała różnorodność potraw na stole, lecz oto nadszedł moment, kiedy zaczęto podawać lody, uformowane w wysmukłą kolumnę w kolorze moreli, przybrane kandyzowanymi fiołkami.

Już, już miały się znaleźć przed nią, kiedy kolumna siadła. Lokaj wrócił z lodami tło kredensu, jeszcze raz odpowiednio je uformował i na nowo podjął rundkę dookoła stołu. Niestety, zawiodła go pamięć. Ominął Celię!

Jej rozczarowanie było tak dogłębne, że głos małego grubasa docierał do niej jak przez mgłę. On sam dostał olbrzymią porcję i zdawał się nią niezmiernie delektować. Celii nie przyszłoby nigdy do głowy, by przywołać lokaja do siebie. Zrezygnowana, pogodziła się ze swoim losem.

Po obiedzie muzykowano. Najpierw śpiewał Roger Raynes, który istotnie był obdarzony przez naturę wspaniałym tenorem. Celia akompaniowała mu z przyjemnością. Była dobrą, życzliwą akompaniatorką. Potem przyszła kolej na nią. Odśpiewała swoją partię jak należy, śpiew bowiem nigdy nie przyprawiał jej o zdenerwowanie. Roger Raynes przyznał uprzejmie, acz krótko, że Celia ma czarujący głos i kontynuował rozmowę o własnym. Poprosił, by Celia zaśpiewała raz jeszcze. „A może pan?“, zapytała uprzejmie. Roger Raynes jakby tylko na to czekał. Celia poszła spać w dość pogodnym nastroju. Przyjęcie wcale nie było tak bardzo straszne, jak się tego spodziewała.

Następny ranek również nie dostarczył jej żadnych przykrych emocji. Wszyscy wyszli rzucić okiem na stajnie i połaskotać świnie po grzbietach, a potem Roger Raynes zapytał Celię, czy nie przeciwczyliby wspólnie kilku pieśni. Przeciwczyliby, dlaczego nie. Po zaśpiewaniu pięciu czy sześciu, Roger Raynes zaprezentował jeszcze jedną, zatytułowaną Lilie miłości, a potem zapytał:

— Co myśli pani o tej pieśni? Tylko szczerze, panno Celio.

— No cóż... — Celia zawahała się. — No cóż, odnoszę wrażenie, że jest okropna.

— Ja również — powiedział Roger Raynes. — A przynajmniej tak mi się zdawało. Jednak dzięki pani wiem to na pewno. Nie podoba się pani, zatem zróbmy z nią porządek.

Przedarł partyturę na pół i rzucił kartki na palenisko. Dawno nic nie wywarło na Celii tak silnego wrażenia, jak ów czyn Rogera Raynesa. Pieśń była podobno ostatnią nowością. Partyturę kupił nie dalej jak wczoraj. I proszę, wystarczyła opinia Celii, by po prostu ją podarł.

Poczuła się całkiem dorosłą i ważną osobą.

3

Wielki bal maskowy, właściwy powód, dla którego sproszone całe towarzystwo, miał się rozpocząć za parę godzin. Celia miała wystąpić jako Małgorzata z Fausta. Cała w bieli, ze spuszczonej na ramiona dwoma płowymi warkoczami, wyglądała bardzo niewinnie (prawdziwa niemiecka Gretchen). Roger Raynes, który przypadkiem przywiózł ze sobą nuty do Fausta, zaproponował jej przećwiczenie jednego z duetów.

Kiedy wyruszali na bal, Celia była mocno zdenerwowana. Zawsze miała kłopoty ze swoim karnecikiem. Brakowało jej przebiegłości, aby zostawić w nim jakieś wolne miejsca na wypadek, gdyby zgłosił się tancerz, którego miała na oku. Z drugiej strony, zostawiając wolne miejsca, można się było przeliczyć. A perspektywa „podpierania ścian” (horror!) wcale nie była nęcąca. Niektóre dziewczęta poczynały sobie nad wyraz sprytnie, to prawda, lecz ona do nich na pewno nie należała, nie należy i nie będzie należeć. Ona nie jest sprytna.

Pani Lukę zajmowała się Celią jak należy i przedstawiała jej kolejnych panów. — Major de Burgh.

Major de Burgh skłonił się. Był wielkim mężczyzną o końskim wyglądzie, długich, jasnych wąsach i czerwonej twarzy. Miał mniej więcej czterdzieści pięć lat.

Od razu zarezerwował sobie trzy tańce i zapytał Celię, czy mógłby towarzyszyć jej przy kolacji.

Celii niełatwo się z nim rozmawiało. Major de Burgh mówił niewiele, za to raczej nie spuszczał z niej wzroku.

Pani Lukę opuściła bal wcześniej. Nie należała do osób o dobrej kondycji fizycznej.

— Wrócisz do domu pod opieką George'a — powiedziała Celi. — A przy okazji, dziecko, zdaje mi się, że podbiłaś serce majora de Burgha.

Celia odetchnęła z ulgą. No proszę, a ona się bała, że major de Burgh zanudził się przy niej na śmierć.

Przetańczyła cały bal. O drugiej nad ranem George podszedł do niej i powiedział:

— Hej, Różyczko, pora zbierać się do domu.

Dopiero w swoim pokoju Celia zdała sobie sprawę, że bez czyjejś pomocy nie zdoła wyplątać się z sukni. Słyszała jeszcze, jak na korytarzu George mówi komuś „dobranoc”. Wypada wezwać go na pomoc? A może nie wypada? Jeśli tego nie zrobi, będzie zmuszona przesiedzieć w sukni do rana. W końcu zabrakło jej odwagi. Zasnęła tak, jak stała, w sukni Małgorzaty.

4

Major de Burgh przyszedł z samego rana. „Nie poluję dzisiaj”, powiedział, słysząc chór witających go zdziwionych głosów. Usiadł, gdzie go posadzono. Nie był rozmowny. Pani Lukę podsunęła myśl, że może chciałby obejrzeć świnię. Wysłała z nim Celię. Przy lunchu Roger Raynes miał bardzo nadąsaną minę.

Następnego dnia Celia wróciła do domu. Przedtem spędziła ciche przedpołudnie ze swoimi gospodarzami. Inni goście wyjechali z samego rana. Ona miała się zabrać popołudniowym pociągiem. Ktoś, o kim mówiono „ten kochany, zabawny Arthur”, przyszedł na lunch. Był (w oczach Celii) dobrze podstarzałym mężczyzną i wcale nie sprawiał wrażenia kogoś zabawnego. Mówił cichym, zmęczonym głosem.

Po lunchu, kiedy pani Lukę wyszła z pokoju i został sam z Celią, zaczął głaskać jej kostki u rąk.

— Czarujące — mruczał. — Czarujące. Nie ma mi pani za złe, prawda?

Oczywiście, że miała. I to bardzo. Lecz czy wypadało protestować? Być może, myślała, coś takiego należy do stałego repertuaru różnych proszonych przyjęć. Nie chciała, by uważano, że brak jej ogłady lub że zachowuje się jak dziecko. Zacisnęła zęby i siedziała bardzo sztywno.

Kochany Arthur niemal niepostrzeżenie objął ją wprawnym ramieniem w talii i pocałował. Celia rzuciła się na niego z furją. Odepchnęła go.

— Nie chcę... och, proszę... proszę, ja nie chcę. Zwyczajne zwyczajami, lecz tego było już za wiele. — Taka słodka, krucha talia — powiedział kochany Arthur, wyciągając po raz drugi swoje wprawne ramie.

Wróciła pani Lukę. Wzburzenie Celii nie uszło jej uwagi.

— Czy Arthur zachowywał się przyzwoicie? — zapytała w drodze do stacji. — Ach, doprawdy, nie można mu wierzyć”, jeśli w grę wchodzi młode dziewczęta. Lepiej go nie zostawiać sam na sam z kimś takim jak ty. Oczywiście, to nieszkodliwy człowiek.

— Czy można pozwolić komuś, by głaskał twoje kostki? — zapytała Celia.

— Oczywiście, że nie, mój ty głuptasku.

— Och — powiedziała Celia i odetchnęła z ulgą. — Taka jestem rada.

— Mój ty głuptasku! — powtórzyła pani Lukę, wyraźnie rozbawiona. Mówiła dalej: — Wyglądasz czarująco w tańcu. Założę się, że jeszcze usłyszysz o Johnnie de Burghu. —
Dodała: — To człowiek bardzo dobrze sytuowany.

5

Nazajutrz Celia dostała duże, różowe pudło czekoladek. Wewnątrz nie było żadnej wskazówki, od kogo. Dwa dni później przyszła pocztą małeńka paczuszka, a w niej małe srebrne puzderko. Na wieczku było wygrawerowane słowo „Małgorzata” i data balu.

Tym razem major de Burgh dołączył swoją wizytówkę.

— Kto to jest, ten major de Burgh, Celio?

— Poznałam go na balu.

— I co o nim powiesz? Jak wygląda?

— Och, jest dość stary i ma czerwonawą twarz. Całkiem miły, tylko niełatwo się z nim rozmawia.

Miriam pokiwała głową w zamyśleniu. Tego wieczoru napisała do pani Lukę. Pani Lukę niczego nie owijała w bawełnę; pani Lukę była urodzoną swatką.

Jest bardzo zamożny. Poluje z B. Mój George niezbyt go lubi, choć sam przyznaje, że trudno mu coś zarzucić. Mam wrażenie, że do cna zawrócił sobie głowę Celia. A to takie kochane dziecko, jeszcze bardzo naiwne. Choć tylko patrzeć, jak wyrośnie na atrakcyjną pannę. Mężczyźni uwielbiają niewinność i spadziste ramiona.

Tydzień później major de Burgh „przypadkiem” przebywał w sąsiedztwie. Czy mógłby złożyć wizytę Celi i jej matce?

Jak zwykle małomówny, siedział i wpatrywał się w Celię, a poza tym podejmował niezręczne wysiłki, by zaprzyjaźnić się z Miriam.

Z jakiegoś powodu, po jego wyjściu Miriam zachowywała się całkiem nieswojo. Rzucała oderwane uwagi, które Celi niewiele mówiły.

— Zastanawiam się, czy warto się o coś modlić... Jak trudno wiedzieć, co jest słuszne...

— A potem, ni stąd, ni zowąd: — Chciałabym, byś wyszła za mąż za dobrego człowieka, za kogoś takiego jak twój ojciec. Pieniądze to nie wszystko, choć wygodne życie naprawdę wiele znaczy dla kobiety...

Celia przytaknęła matce, bynajmniej nie wiążąc jej uwag z wizytą majora de Burgha. Abstrakcyjne uwagi Miriam, rzucane od czasu do czasu, często bez jakiegokolwiek okazji, już dawno przestały Celię zaskakiwać. — Powinnam chcieć, byś poślubiła mężczyznę starszego od siebie — powiedziała Miriam. — Starsi mężowie bardziej dbają o żony.

Myśli Celi poszybowały na krótki moment ku prawie już zapomnianemu pułkownikowi Moncrieffowi. Na balu tańczyła z młodym żołnierzem, który miał sporo ponad sześć stóp wzrostu, i dlatego chwilowo jej ideałem mężczyzny był przystojny, młody olbrzym.

— Kiedy w następnym tygodniu wybierzemy się do Londynu, major de Burgh zabierze nas do teatru. To miło z jego strony, nieprawda?

— Bardzo miło — rzekła Celia.

6

Major de Burgh, oświadczając się Celi, zaskoczył ją kompletnie. Jak zwykle zajęta własnymi myślami, nie brała do siebie ani aluzji pani Lukę, ani uwag matki. Poza tym Celia nie należała do osób, przewidujących przebieg zdarzeń, czasami zdawało się, że nie zauważa nawet własnego otoczenia.

Miriam zaprosiła majora de Burgha na weekend. Na dobrą sprawę major zaprosił się sam, więc Miriam nie pozostawało nic innego, jak wystosować formalne zaproszenie.

Pierwszego wieczoru Celia oprowadzała gościa po ogrodzie. Kosztowało ją to wiele wysiłku. Major de Burgh sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie słuchał tego, co ona mówi, toteż bała się, że zanudza go na śmierć... Oczywiście, ona nie potrafi mądrze rozmawiać, lecz gdyby tylko on chciał jej pomóc... To wtedy, nie czekając, aż ona do końca wygłosi jakąś kwestię, chwycił jej dłonie w mocny uścisk i gardłowym, nieswoim głosem powiedział:

— Małgorzato, moja Małgorzato, tak bardzo cię pragnę. Czy wyjdiesz za mnie?

Z niebieskich oczu Celi przezierало bezdenne zdumienie. Zbladła jak kreda. Nie była zdolna wydusić z siebie choćby słowa. Coś nią silnie poruszyło, coś, co jej dłoniom

przekazywały tamte silne, drżące dłonie. W jej sercu rozszalała się burza uczuć. Wszystko razem było dość przerażające. Było okropne.

— Ja... — wyjąkała — ja... ja nie wiem. Och, nie, nie mogę.

Co się z nią działo? Co on z nią wyczyniał, ten prawie obcy, podstarzały i małowówny mężczyzna? Mężczyzna, którego by nawet nie zauważyła, gdyby nie zwykła próżność z jej strony...

— Przestraszyłem cię, moje kochanie. Moja mała dziewczynko. Jesteś taka młoda, taka niewinna. Tego, co czuję, nie potrafisz jeszcze zrozumieć. Kocham cię. Bardzo cię kocham.

Dlaczego nie wyrwała dłoni z jego uścisku i nie powiedziała od razu, stanowczo i szczerze: „Przykro mi bardzo, lecz nie myślę o panu w ten sposób?” Dlaczego stała tam bezradnie, patrząc na niego i czując pulsowanie krwi w skroniach? Dlaczego, kiedy on ją do siebie przyciągał, ona się nie odsuwała, a choć się wzbraniała, to nie do końca?

— Nie chcę ci się naprzykrzać. Lepiej będzie, jak to sobie przemyślisz — powiedział, uwalniając ją z uścisku.

Celia, nie śpiesząc się, poszła do domu, weszła na górę, położyła się do łóżka, zamknęła oczy i wsłuchiwała się w bicie „własnego serca. Pół godziny później zajrzała do niej matka. Usiadła obok, na łóżku, i wzięła Celię za rękę.

— Czy on ci to powiedział, mamo?

— Tak. Bardzo mu na tobie zależy. A ty? Co ty o tym myślisz?

— Sama nie wiem. Wszystko jest takie dziwne. Nie potrafiła powiedzieć nic więcej. Wszystko było dziwne, wszystko. Dwoje całkiem obcych sobie ludzi mogło zamienić się w kochanków, i to w jednej minucie. Nie potrafiła rozpoznać własnych uczuć i nie wiedziała, czego chce.

Najmniej ze wszystkiego pojmowała rozterki własnej matki.

— Nie jestem zbyt silna. Stale modlę się o to, by zjawił się jakiś zacy mężczyzna i stworzył ci przyzwoity dom, a ciebie uczynił szczęśliwą... Tak mało mamy pieniędzy... Na Cyrila ostatnio idą przeraźliwe sumy... Kiedy odejdę, tobie zostanie niewiele, bardzo niewiele. Wcale nie chcę, byś wychodziła za kogoś bogatego, jeśli tego kogoś nie kochasz. Choć z drugiej strony, ten twój romantyzm... książkę z bajki... Ja to wszystko rozumiem, lecz w życiu takie rzeczy się nie zdarzają. Rzadko która kobieta może pozwolić sobie na zamążpójście z romantycznej miłości.

— Ale ty to zrobiłaś.

— Ja tak. Lecz to nie zawsze jest mądre. Miłość to cierń w sercu... Lepiej być kochaną, niż samej kochać. Wtedy bierze się życie łatwiej. Ja nigdy nie mogłam sobie na to pozwolić. Gdybym tylko więcej wiedziała o tym mężczyźnie... Gdybym była pewna, że go lubię. Możliwe, że pije. Możliwe, że jest po prostu nikim. Czy kochałby ciebie zawsze? Czy na pewno by się o ciebie troszczył? Czy byłby dla ciebie dobry? Przecież ktoś powinien się tobą zajmować, kiedy mnie już nie będzie.

Celia pominęła milczeniem większość matczynych słów. Pieniądze nie znaczyły dla niej nic. Kiedy żył ojciec, byli bogaci; kiedy umarł, stali się biedni. To prawda, lecz ona nie widziała różnicy między tymi dwoma stanami. Wciąż miała dom i ogród, i pianino.

Małżeństwo kojarzyło się jej jedynie z miłością, poetyczną, romantyczną miłością, i z wiecznym szczęściem. Przeczytane książki nie przyniosły jej żadnej wiedzy o życiu. Bo jakież to wielki zamęt powstał w jej sercu, kiedy nie potrafiła odpowiedzieć sobie, czy kocha majora de Burgha, to znaczy Johnniego, czy nie. Minutę przed jego oświadczeniami, zapytana, powiedziałaaby z najgłębszym przekonaniem, że nie. Nie kocha. Lecz teraz? On coś w niej zapalił, coś gorącego i ekscytującego, coś nieokreślonego.

Miriam zarządziła, by major de Burgh wyjechał i dał Celi czas do namysłu. Dwa miesiące. Major de Burgh co prawda podporządkował się takiemu werdyktowi bez słowa sprzeciwu, ale zaczął przysyłać listy, a wtedy okazało się, że małowówny John nie jest mistrzem w pisywaniu listów miłosnych. Jego listy były czasami krótkie, czasami długie, lecz zawsze takie, o jakich marzy każda młoda dziewczyna. Pod koniec drugiego miesiąca Celia pomyślała sobie, że kocha Johnniego de Burgha. Pojechała z matką do Londynu, gotowa mu to wyznać. Kiedy go zobaczyła, w jej uczuciach nastąpił nagły zwrot. Stał przed nią jakiś nieznajomy mężczyzna. Niemożliwe, by to była jej miłość. Nie przyjęła oświadczyn.

7

Johnnie de Burgh niełatwo pogodził się z porażką. Prosił Celię o rękę pięć razy. Pisał listy dłużej niż przez rok. Godził się na „przyjaźń”. Przysyłał prześliczne drobiazgi. Przypuszczał szturm z każdej strony. Nic więc dziwnego, że pewnego dnia jego wytrwałość omal nie przyniosła mu zwycięstwa.

Wszystko razem tchnęło niezwykłym romantyzmem. Tak, a nie inaczej, Celia wyobrażała sobie czyjeś zaloty. Jego listy, słowa, jakimi się w nich posługiwał, były

dokładnie takie, jakie być powinny. Listy, istotnie, stanowiły mocną stronę Johnniego de Burgha. Johnnie był stworzony na kochanka. Był wielbicielem wielu kobiet i wiedział, co się kobietom podoba. Wiedział, jak przypuścić atak na mężatkę i czym przyciągnąć do siebie młodą dziewczynę. To prawda, Celia była prawie zdecydowana na małżeństwo, lecz nie do końca. Gdzieś w głębi niej tkwiło coś, co wiedziało, czego chce, i to coś nie dało się zwieść zbyt pochopnie.

8

Zaloty majora de Burgha wypadły w czasie, kiedy Miriam podsuwała Celi francuskie powieści. Dla wprawy w języku, mówiła, i wskazywała na dzieła Balzaka i innych francuskich pisarzy realistycznych. A także na pewne współczesne książki, które tylko nieliczne angielskie matki podsuwały swoim córkom.

Miriam działała celowo.

Miriam postanowiła sobie, że Celia, tak rozmarzona, tak żyjąca w obłokach, nie powinna być ignorantką, jeśli chodzi o pewne dziedziny życia...

Celia połykała podsuwane przez matkę książki i natychmiast o nich zapomniała.

9

Celia miała innych konkurentów, choćby Ralpa Grahama, tamtego piegowatego chłopca z dawnej klasy tańca, obecnie plantatora herbaty na Cejlonie. Ralph Graham od dziecka interesował się Celią. Przyjechał z Cejlonu na urlop, zobaczył dorosłą pannę i oświadczył się już w pierwszym tygodniu. Celia odrzuciła jego oświadczenia bez chwili wahania. Ralph Graham przywiózł ze sobą przyjaciela i po pewnym czasie ów przyjaciel przysłał Celi list, w którym wyznawał, że zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, tylko że nie chciał „bruździć” Ralphowi. Czy może mieć jakąś nadzieję? Celia potraktowała go tak samo jak Ralpa. Obaj byli jej zupełnie obojętni.

Podczas rocznych zalotów Johnniego de Burgha Celia zaprzyjaźniła się z Peterem Maitlandem. Peter był o kilka lat starszy od swojej siostry. Służył w wojsku, a jego pułk przez wiele lat stacjonował za granicą. Teraz na pewien okres Peter został oddelegowany do służby w kraju, a jego powrót zbiegł się w czasie z zaręczynami Ellie. Na jej weselu Celia i Janet wystąpiły w roli druhen, i to na tym weselu Celia poznała Petera.

Peter Maitland był wysoki i ciemnowłosy. A także wstydlivy, aczkolwiek swoją wstydlivość zřęcznie skrywał za sympatycznym rozleniwieniem. Maitlandowie z natury byli dobroduszni, towarzyscy i niefrasobliwi. Nie umieli się śpieszyć. Jeśli któreś z nich spóźniło się na pociąg, machało lekceważąco ręką; wiadomo, przecież przyjedzie następny. Żadne nie zamartwiała się ewentualnym spóźnieniem na lunch; wiadomo, w domu zawsze jest coś do zjedzenia. Maitlandowie nie byli ambitni ani energiczni. To właśnie w Peterze, jak w zwierciadle, odbijały się wszystkie najbardziej charakterystyczne rodzinne cechy. Nikomu nie zdarzyło się zobaczyć, by Peter gdziekolwiek się śpieszył. „Nie warto pędzić do wieczności”, mawiał zwykle.

Wesele Ellie nie odbiegało niczym od panujących u Maitlandów zwyczajów. Pani Maitland była osobą tęgą, dobroduszną i niezdecydowaną. Raczej nie zdarzało jej się wstawać przed południem i często zapominała wydać rozporządzenia co do posiłków. „Ubrać mamusię w strój weselny” stało się głównym zawołaniem tamtego ranka. Skutkiem niechęci mamusi do przymiarek, jej atłasowa, z zamierzenia obcisła suknia najzwyczajniej w świecie w ogóle na nią nie weszła. Pannie młodej, która robiła, co mogła, by jakoś wbić matkę w atłas, przyszły z pomocą nożyczki i gałazka orchidei (ta ostatnia do zatuszowania niedoborów materiału). Celia stawiała się do pomocy w domu weselnym odpowiednio wcześnie i pierwszą myślą, jaka jej przyszła do głowy, było to, że prawdopodobnie Ellie zrezygnowała z zamążpójścia albo że jej samej pomyliła się data ślubu przyjaciółki. W chwili, kiedy powinna po raz ostatni przeglądać się w lustrze, panna młoda, jak gdyby nigdy nic, była jeszcze w koszuli i spokojnie malowała sobie paznokcie.

— Miałam zamiar zrobić to wczoraj wieczorem — wyjaśniła. — Ale jakoś nie starczyło mi czasu.

— Powóz zajechał, Ellie.

— Czyżby? Och, w takim razie niech ktoś zadzwoni do Toma i powie mu, że zjawię się mniej więcej za pół godziny. On jest taki poczciwy. Nie chciałabym, żeby drżał w kościele ze strachu, że zmieniałam zamiary.

Ellie była bardzo wysoka. Mierzyła prawie sześć stóp. Pan młody mierzył pięć stóp i pięć cali. „Mówię ci”, zapewniała Celię Ellie, „wesolutki jak skowronek i choć go do rany przyłóż”.

Nim Ellie ostatecznie zdecydowała się skończyć ze swą toaletą, Celia wyszła do ogrodu, gdzie kapitan Peter Maitland spokojnie pykał ze swojej fajki, ani trochę nie przejmując się opieszalnością siostry.

— Thomas to rozsądny gość — powiedział. — Wie, z kim się żeni, i na pewno nie spodziewa się po Ellie punktualności.

Peter, zwracając się do Celii, był trochę zawstydzony, lecz, co się często zdarza dwojgu nieśmiałym ludziom, już po chwili rozwiązały się im języki.

— Przypuszczalnie uważasz nas za dość zwariowaną rodzinę — powiedział Peter.

— No, na pewno za taką, która zatraciła poczucie czasu — zaśmiała się Celia.

— W imię czego miałyby się żyć w ciągłym pośpiechu? Życie trzeba brać lekko. Życiem trzeba się cieszyć.

— A czy w ten sposób można dokądś dojść?

— Niby dokąd i niby do czego? W życiu jedna rzecz niewiele się różni od drugiej.

Peter Maitland, przebywając w domu na urlopie, na ogół nie przyjmował żadnych zaproszeń. Twierdził, że nie widzi siebie w roli bawidamka. Nie tańczył, a w tenisa grywał w męskim gronie lub z siostrami. Tych sióstr od wesela Ellie jakby mu przybyło: Peter najwyraźniej traktował Celię jako jeszcze jedną dodatkową siostrę. Przez jakiś czas on, ona i Janet tworzyli nierozłączne trio. Potem Ralph Graham, pozbierawszy się po odrzuceniu go przez Celię, zaczął zalecać się do Janet i z tria powstał kwartet, a ten z kolei rozpadł się na dwie pary: jedną tworzyli Janet i Ralph, drugą Celia i Peter. Peter uczył Celię gry w golfa.

— Pamiętaj, nigdzie się nie śpieszymy. Po prostu załatwiamy kilka dołków, a potem, kiedy robi się za gorąco, siadamy w cieniu i spokojnie wypalamy fajkę.

Taki program bardzo Celii odpowiadał. Celia nigdy nie przejawiała szczególnego talentu w żadnej dziedzinie sportu, co działało na nią tak samo deprymująco jak brak właściwej „figury”. To dzięki Peterowi przestała się tym przejmować.

— Chyba że ktoś chce zostać profesjonalistą albo łowcą nagród. Normalnemu człowiekowi wystarczy trochę zabawy, i to wszystko — mówił Peter, choć on sam miał naturalną smykałkę do wszystkich gier. Gdyby nie wrodzone lenistwo, mógłby zasilić szeregi pierwszej ligi. Lecz Peter wolał sport dla czystego sportu. W imię czego, pytał, miałbym zamieniać doskonałą zabawę w mozolne rzemiosło?

Peter był w dobrej komitywie z matką Celii. Miriam uwielbiała całą rodzinę Maitlandów, a leniwy, pełen ujmującego wdzięku i towarzyskiej ogłady Peter był jej prawdziwym ulubieńcem.

— Nie powinna się pani martwić o Celię — powiedział za którymś razem, zapraszając Celię na wspólną przejażdżkę. — Będę się nią opiekował. Naprawdę będę.

Miriam właściwie odczytała sens jego słów. Czowała, że Peterowi Maitlandowi można zaufać.

Peter niewiele wiedział o tym, jak się układają sprawy między Celia a jej majorem. Ogródkami, ostrożnie, dał jej pewną radę.

— Dziewczyna taka jak ty, Celio, powinna wyjść za mąż za kogoś przy tak zwanej forsie. Należysz do tego typu kobiet, które wymagają opieki. Co nie znaczy, że twoim mężem powinien zostać jakiś wstrętny, zarozumiały żydowski smarkacz. Nic z tych rzeczy. Wystarczy ci przyzwoity gość, który lubi polowania i takie tam inne, i który zadba o ciebie pod każdym względem.

Kiedy Peterowi skończył się urlop i dołączył do swojego pułku stacjonującego w Aldershot, Celia bardzo za nim tęskniła. Napisała do niego, a on jej odpisał. Ich listy przypominały ich rozmowy. Były niefrasobliwe, lekkie i bardzo rozgadane.

Kiedy ostatecznie Johnnie de Burgh pogodził się z odprawą, Celia w pierwszej chwili poczuła się jak po ciężkim, męczącym biegu. Jak widać, niemało ją kosztowało długie stawianie oporu. Niemniej jednak dopiero teraz zaczęła zastanawiać się na dobre, czy mimo wszystko nie straciła czegoś istotnego... Możliwe, że odtrącony konkurent zajmuje w jej sercu więcej miejsca, niż przypuszczała. Możliwe... I czy nie żal jej będzie listów, budzących dreszczyk emocji, ciągłych prezentów i ciągłego szturmowania jej serca?

Nie była pewna, jaką postawę przyjmie jej matka. Czy Miriam odetchnie z ulgą? A może wprost przeciwnie, może się rozczaruje? Celia brała pod uwagę to jedno, to drugie, albo i jedno, i drugie, i w gruncie rzeczy nie myliła się.

Miriam najpierw odczuła ulgę. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie lubiła Johnniego de Burgha i nigdy mu do końca nie ufała, choć trudno byłoby jej wskazać źródło swojej nieufności. Wszak na pewno był oddany Celii. Nie szokował też nikogo jakaś szczególnie odrażającą przeszłością, a zresztą i tak Miriam miała wpojone przekonanie, że najlepszym materiałem na męża jest mężczyzna, który wyszumi się za młodu.

Czymś, co martwiło ją najbardziej, było jej własne zdrowie. Ataki sercowe, na które do niedawna cierpiała od przypadku do przypadku, teraz powtarzały się znacznie częściej. Na podstawie pomruków, pochrząkiwań i dyplomatycznego języka lekarzy wyrobiła sobie pogląd, że równie dobrze może żyć długo, jak umrzeć nagle. A wtedy? Co wtedy stanie się z Celią? Mają tak mało pieniędzy. Jak mało, wiedziała tylko ona, Miriam.

Mają tak mało... tak mało pieniędzy. Komentarz J. L.

Dzisiaj uderzyłoby nas jedno: „Dlaczego, na miły Bóg, Jeśli mieli tak mało pieniędzy, Miriam nie nauczyła Celi jakiegoś zawodu?”

Choć nie sądzę, by kiedykolwiek mogła wpaść na taki pomysł. Miriam była, jak sobie wyobrażani, bardzo podatna na nowe myśli i idee, lecz z tą szczególną — nauzenia dziecka praktycznego zawodu — chyba nie miała okazji zetknąć się w ogóle. A jeśli nawet, to nie sądzę, by w niej zasmakowała.

Przyjmuję, że znała słabe punkty Celi. Wolno ci oczywiście powiedzieć, że czegoś takiego można się wyzbyć za pomocą odpowiedniego treningu, lecz ja w to niezupełnie wierzę. Jak wszyscy ludzie, którzy mają swoją wewnętrzną wizję świata, Celia była szczególnie niepodatna na wpływy zewnętrzne. Głupiała, kiedy trzeba było się zmierzyć z rzeczywistością.

Myślę, że Miriam była świadoma niedostatków własnej córki. Myślę, że dokonywany przez nią wybór książek (ze szczególnym wskazaniem na Balzaka i innych francuskich powieściopisarzy) nie był przypadkowy. Francuzi to wielcy realiści. Myślę, że chciała, by Celia brała życie i ludzką naturę takimi, jakie są w rzeczywistości — prozaiczne i zmysłowe, wzniosłe i nikczemne, tragiczne i skrajnie komiczne. Nie udało jej się, ponieważ natura Celi szła w parze z jej powierzchownością — Celia była skandynawska w swych uczuciach. Pasowała do długich sag, do heroicznych opowieści o podróżach i bohaterach, I tak jak trwała przy bajkach w dzieciństwie — kiedy dorosła, sięgnęła po Maeterlincka, Fionę MacLeod i Yeatsa. Czytała inne książki, lecz te inne zdawały się jej nieprawdziwie, tak jak dla człowieka myślącego praktycznie, zdają się denerwujące wszelkie baśnie i wszelkie fantastyczne historie.

Jesteśmy tacy, jacy się rodzimy. W Celi wciąż się odzywał jakiś skandynawski przodek. Silna duchem babunia, wesoły i jowialny John, bystra i inteligentna Miriam — tak, jedno z nich przekazywało dalej sekretny gen, o którego posiadaniu nawet nie wiedziało.

To ciekawe, jak kompletnie z narracji Celi wypada jej brat. A przecież Cyril na pewno pojawiał się w domu. Choćby od czasu do czasu. Choćby podczas wakacji czy urlopu.

Cyril wstąpił do armii i wyjechał do Indii, zanim Celta opuściła dom. Nigdy nie zajmował w jej życiu zbyt wiele miejsca. Tak samo zresztą w życiu Miriam. Cyril był, jak się domyślam, studnią bez dna, w której Miriam topiła pieniądze, zwłaszcza na początku jego służby wojskowej. Potem się ożenił, pożegnał się ze swoim pułkiem i wyjechał na farmę do Rodezji. Jako osobowość znikł z życia Celi.

8. JIM I PETER

1

Obie, tak Miriam, jak i jej córka, wierzyły w moc modlitwy. Modlitwy Celi początkowo były sumienne, oparte na świadomości grzechu, dopiero potem stały się uduchowione i ascetyczne. Jednak, takie czy inne, towarzyszyły Celi zawsze. Celia nigdy nie zarzuciła dziecięcego zwyczaju modlenia się o powodzenie wszystkiego, co się miało zdarzyć. Nigdy nie weszła do sali balowej, nie szepnąwszy krótkiego: „Och, Boże, żebym się tylko nie wstydziła. Och, proszę, Panie Boże, nie pozwól na to. I nie pozwól, by moja szyja pokryła się czerwonymi plamami”. Podczas proszonego przyjęcia modliła się: „Proszę Cię, Panie Boże, spraw, bym miała coś do powiedzenia”. Modliła się, żeby jej karnecik wypełnił się należycie i żeby tańczyła z tym, z kim chciała tańczyć. Wybierając się na piknik, modliła się, żeby nie było deszczu.

Modlitwy Miriam odznaczały się większą głębią i większą butą. Butą, bo Miriam była butną kobietą. Jeśli jej dziecku, jej małemu skarbów było coś potrzebne, ona nie prosiła o to Boga, ona żądała! Jej modlitwy były tak bardzo głębokie, tak bardzo żarliwe, że nie wierzyła, by Bóg na nie nie odpowiedział. Być może większość z nas, mówiąc, że nasze modlitwy pozostały bez odpowiedzi, w istocie ma na myśli to, że odpowiedź Boga brzmiała: „nie”. Miriam nie była pewna, czy Johnnie de Burgh był odpowiedzią na jej modlitwę, natomiast nie wątpiła w to, że był nią Jim Grant. Jim rwał się do pracy na ziemi i jego rodzina wysłała go do posiadłości leżącej w pobliżu domu Miriam, z nadzieją, że ta będzie miała na niego oko i że powstrzyma go ocl zrobienia jakiegoś głupstwa.

Jim w wieku dwudziestu trzech lat był dokładnie taki sam jak w wieku lat trzynastu. Miał te same wysokie kości policzkowe, te same okrągłe, ciemnoniebieskie oczy, ten sam olśniewający uśmiech, tak samo, wybuchając śmieciem, odrzucał do tyłu głowę, był tak samo pogodny i tak samo dobrze ułożony.

Jim miał dwadzieścia trzy lata i nadal był kawalerem. Była wiosna, a on był silnym, zdrowym mężczyzną. Często przychodził do domu Miriam. A ponieważ natura jest tylko naturą, a Celia była młoda, delikatna i piękna, zakochał się.

Celia znalazła w nim kolejnego przyjaciela, z tą różnicą, że pełna była podziwu dla charakteru Jima. Peter według niej chyba przesadzał w tej swojej „powolności”, a poza tym brakowało mu ambicji. Tymczasem Jima ambicja rozsadzała. Jak na swój wiek, podchodził do życia bardzo poważnie. Słowa: „Życie trzeba brać na poważnie”, mogłyby

być jego dewizą. Pragnął zajmować się wiejskim gospodarstwem nie dlatego, że nosił w sercu, z dziada pradziada, miłość do ziemi. Nie. Jima po prostu interesowało praktyczne, fachowe podejście do uprawy ziemi. Uważał, że rolnictwo w Anglii może być bardziej opłacalne, lecz żeby tak się stało, trzeba zainwestować w nie fachową wiedzę. I silną wolę, dodawał, a tej mu nie brakowało. Jim nawet miał książki o tym, jak kształtować ją w sobie, i pożyczał je Celi. Jim uwielbiał pożyczanie książek. Poza tym interesował się teozofią, bimetalizmem, ekonomią i naukami chrześcijańskimi.

Lubił Celię, ponieważ Celia potrafiła uważnie słuchać. No i czytała wszystkie pożyczone od niego książki. Nie dość na tym. Ona je inteligentnie komentowała.

Jeśli zaloty Johnniego de Burgha odbywały się w sferze doznań fizycznych, to zaloty Jima Granta miały podłoże całkowicie intelektualne. W tym okresie swojej kariery Jim po prostu kipiał najróżniejszymi poważnymi pomysłami i ideami. Kipiał, wrzał i pęczył z dumy, żeby nie powiedzieć — robił się zarozumiały. Celia natomiast lubiła go najbardziej nie wtedy, kiedy wdawał się w śmiertelnie poważne rozważania o etyce czy pani Eddy*, lecz kiedy odrzucał do tyłu głowę i śmiał się.

Konkury Johnniego de Burgha były dla Celi kompletnym zaskoczeniem, natomiast z tego, że Jim poprosi ją o rękę, zdała sobie sprawę o wiele wcześniej, niż to zrobił.

Czasami Celia brała życie za prosty tkacki wzór: przewijasz się tu i tam jak czółenka, posłuszna czyjejś ręce. Jim, zaczynała przypuszczać, był częścią tkanego dla niej wzoru. Był jej przeznaczeniem od kołyski. No i jakim szczęściem płonęły w tamtych dniach oczy jej matki.

Jim był kochany, lubiła go ogromnie. Niedługo zapewne poprosi ją o rękę i wtedy będzie czuła to samo, co czuła, kiedy oświadczał się jej major de Burgh (major miał dla niej na zawsze pozostać majorem de Burghiem, nie mężczyzną o imieniu John— nie), będzie leciutko podniecona i trochę zmieszana, a jej serce będzie uderzało przyśpieszonym rytmem...

Jim oświadczył się jej pewnego niedzielnego popołudnia. Zaplanował to sobie kilka tygodni wcześniej. Lubił snuć plany i lubił je realizować. Uważał, że to jest dobry sposób na życie.

To było deszczowe popołudnie. Siedzieli w pokoju szkolnym. Byli po podwieczorku. Celia grała na pianinie i śpiewała. Jim lubił utwory Gilberta i Sullwana*.

Później usiedli na sofie i dyskutowali o socjalizmie i o szczęściu rodzaju ludzkiego. Potem nagle zapadła cisza. Celia rzuciła parę słów o pani Desant*, lecz Jim bąknął coś od rzeczy.

Znów zapadła cisza i nagle Jim poczerwieniał i oświadczył:

— Spodziewam się, że wiesz, jak bardzo mi na tobie zależy, Celio. Czy chciałabyś się ze mną zaręczyć, czy wolałabyś trochę poczekać? Myślę, że bylibyśmy razem bardzo szczęśliwi. Mamy tak wiele wspólnych zainteresowań.

W istocie wcale nie był tak opanowany, na jakiego chciał wyglądać. Gdyby Celia była starsza, potrafiłaby to zauważyć. Dostrzegłaby lekkie drżenie ust i nerwowość rąk, podskubujących leżącą na sofie poduszkę.

Ale było, jak było, a ona musiała coś odpowiedzieć.

Nie wiedziała co. A ponieważ nie wiedziała, nie odpowiedziała w ogóle.

— Spodziewam się, że mnie lubisz, prawda? — Jim brnął dalej.

— Czy lubię? Och, oczywiście, że lubię — przytaknęła skwapliwie.

— No to najważniejsze mamy za sobą. Dwoje bliskich sobie ludzi powinno się nawzajem lubić. To uczucie trwa zawsze. Namiętność (tu Jim spłonął panieńskim rumieńcem), namiętność nie. Myślę, że ty i ja, Celio, bylibyśmy ze sobą idealnie szczęśliwi. Chcę się młodo ożenić. — Przerwał, a po chwili dodał: — Wiesz co, najuczciwiej postąpimy, zaręczając się na próbę, na pół roku. Nie musimy mówić o tym nikomu, poza twoją matką i moją rodziną. Potem, po pół roku, podejmiesz ostateczną decyzję.

Celia namyślała się chwilę.

— Istotnie sądzisz, że tak będzie najlepiej? A jeśli ja, jeśli ja nawet wówczas...

— Jeśli wówczas nie przyjmiesz moich oświadczeń, to, rzecz jasna, nie pobierzemy się. Ale przyjmiesz. Jestem przekonany, że nasze sprawy dobrze się ułożą.

Ileż w nim było spokojnej pewności siebie. Jim był przekonany. Jim wiedział.

— Świetnie — odparła Celia i uśmiechnęła się.

Ona spodziewała się, że on ją pocałuje, ale nie pocałował. On bardzo tego pragnął, lecz się wstydził. Wrócili do dyskusji o socjalizmie i o szczęściu rodzaju ludzkiego, choć tym razem ich wywody nie były tak logiczne jak chwilę wcześniej.

W końcu Jim powiedział, że na niego pora i podniósł się.

Chwilę stali naprzeciw siebie skrępowani.

— Zatem do zobaczenia. Pokażę się w najbliższą sobotę. Może wcześniej. I napiszę. — Zawahał się. — Czy... czy mógłbym cię pocałować, Celio?

Pocałowali się. Dość niezdarnie...

Zupełnie tak, jakby pocałował mnie Cyril, pomyślała Celia. Choć co prawda Cyril nigdy nikogo nie chciał całować...

No więc stało się. Była zaręczona z Jimem.

2

Miriam promieniała. Jej entuzjazm udzielił się nawet samej Celii.

— Och, kochanie, jaka jestem szczęśliwa. To taki zacny chłopiec. Uczciwy i męski, i zaopiekuje się tobą. No i Grantowie są naszymi starymi przyjaciółmi. Uwielbiali twego drogiego ojca. To wprost niewiarygodne, wprost cudowne, że do tego doszło. Kto by pomyślał: ich syn i nasza córka. Och, Celio, teraz mogę ci się przyznać, że zamartwiałam się cały czas, gdy o twoją rękę starał się major de Burgh. Czułam, czułam, że coś jest nie tak... że major de Burgh nie jest odpowiednim człowiekiem... — Dodała całkiem nieoczekiwanie: — No i bałam się o siebie.

— O siebie?

— Tak, a to dlatego, że rozpaczliwie pragnęłam zatrzymać cię przy sobie. Nie chciałam, byś wychodziła za mąż. Byłam samolubna. Przy mnie, mówiłam sobie, wiodłabyś bardziej bezpieczny żywot;

żadnych trosk, żadnych dzieci, żadnych kłopotów... I gdyby nie to, że mogłam ci zostawić tak mało, o wiele za mało, byś mogła się z tego utrzymać, nie wiem, czy zdołałabym się oprzeć pokusie... Matce naprawdę trudno nie być samolubną.

— Nonsens — ucięła krótko Celia. — Za każdym razem, kiedy któraś z moich rówieśnic wychodziła za mąż, ty przeżywałabyś potworne upokorzenie.

Celia z niejakim rozbawieniem przyjmowała skrajną zazdrość matki. Wystarczyło, by jakaś dziewczyna była lepiej ubrana albo dowcipniejsza w rozmowie, a Miriam natychmiast popadała — w chorobliwe rozdrażnienie. Miriam prawie się pochorowała na wieść o ślubie Ellie Maitland. Jedynymi dziewczętami, o których potrafiła mówić życzliwie, były te, które w żaden sposób nie mogły rywalizować z Celia. Najmniej zadbane albo najbardziej nijakie. Celia irytowała się i jednocześnie wzruszała. Kochane stworzenie, jakże śmieszne z tym swoim stroszeniem piórek niby jakaś ptasia mama! I jak absurdalnie

nielogiczne... Mimo wszystko, myślała Celia, trzeba przyznać, że to bardzo miłe z jej strony. A że nie umie powstrzymywać emocji? No cóż, jej matka zawsze miała emocjonalny stosunek do życia.

Celia cieszyła się, widząc, jak matka jest szczęśliwa. Istotnie jej zaręczyny z Jimem można było uznać za cudowne zrządzenie losu. To przecież miło wejść do rodziny „starych przyjaciół”. Nie miała wątpliwości, że lubi Jima bardziej niż kogokolwiek z grona swoich znajomych, bardziej, o wiele, wiele bardziej. Jim po prostu był mężczyzną idealnie pasującym do jej wyobrażeń o mężu: był młody, władczy, pełen ideałów. Czy z okazji własnych zaręczyn dziewczęta zawsze ogarnia coś w rodzaju depresji? Możliwe, że tak. Zaręczyny to coś tak ostatecznego, tak nieodwołalnego.

Ziewnęła, sięgając po książkę pani Besant, ale teozofia też wpędzała ją w depresję. No i zdawała się taka głupia...

To już chyba lepszy bimetalizm...

Wszystko było dość nudne... o wiele nudniejsze niż dwa dni temu.

3

Następnego dnia na tacy leżał list zaadresowany ręką Jima. Na policzki Celii wypłynęły rumieńce. List od Jima. Jej pierwszy list od kiedy...

Po raz pierwszy poczuła dreszczyk emocji. Jim nie powiedział wiele, lecz, być może, w liście...

Otworzyła go dopiero w ogrodzie.

Najdroższa Celio (pisał Jim), przyszedłem na kolację bardzo spóźniony. Stara pani Cray burczała pod nosem, lecz stary Cray zdawał się rozbawiony. Powiedział żonie, żeby nie robiła zamieszania— , „uderzał w koperczaki”, dodał (to było o mnie). To para naprawdę bardzo miłych, prostych ludzi. Ich żarty zawsze są życzliwe. Co prawda wolałbym, żeby byli bardziej przychylni nowym ideom — w gospodarstwie oczywiście. On nie wygląda mi na człowieka, który by cokolwiek czytał na ten temat; z całkowitym samozadowoleniem prowadzi gospodarstwo tak, jak to robił jego pradziadek. Moim zdaniem rolnictwo zawsze jest najbardziej zacofanym sektorem w ekonomice kraju. Cóż, tkwienie korzeniami w ziemi to nic innego jak odwieczny instynkt pewnych warstw społecznych.

Być może wczoraj, przed wyjściem, powinienem był porozmawiać z Twoją matką. Napiszę do niej. Mam nadzieję, że pogodzi się z myślą o Waszym rozstaniu. Wiem, że wiele dla niej znaczysz, lecz zdaje mi się, że całkiem mnie lubi.

Możliwe, że przyjdę w czwartek, choć to zależy od pogody. Jeśli nie, to w sobotę.

Mnóstwo uścisków

twój kochający Jim

Po listach Johnniego de Burgha nie była to epistoła obliczona na wzniecenie porywów ducha w dziewczynie!

Jim zaczynał Celię irytować. Czują całym sercem, że mogłaby go z łatwością pokochać; niechby tylko był choć trochę inny!

Podarła list na drobne kawałki i wyrzuciła go do kosza.

4

Jim nie był typem kochanka. Brakowało mu śmiałości. Poza tym miał na każdy temat własną teorię.

Co więcej, Celia ani trochę nie była kobietą, która mogłaby poruszyć w nim to, co było do poruszenia. Inna, doświadczona, potrafiłaby go ośmielić i sprawić, by stracił głowę — ze zbawiennym dla niego skutkiem.

Nie było innej, i Celia nie była inna, stąd też ich wzajemne stosunki nie satysfakcjonowały ani jej, ani jego. Wyglądało na to, że stracili poprzednią łatwość przestawiania ze sobą na płaszczyźnie przyjacielskiej, nic w zamian nie zyskując. Celia nadal podziwiała Jima za jego charakter, nadal nudziły ją ich rozmowy, nadal doprowadzały do szału jego listy i nadal, ogólnie rzecz biorąc, przygnębiało ją życie.

Tym, z czego czerpała prawdziwą radość, było szczęście jej matki.

Dostała list od Petera Maitlanda, któremu (w tajemnicy) doniosła o swoich zaręczynach.

Wszystkiego najlepszego, Celio (pisał Peter). On sprawia na mnie wrażenie całkiem rozsądnego gościa. Nie piszesz, czy dysponuje jakimś kapitałem. Mam nadzieję, że tak. Dziewczęta nie myślą o takich sprawach, lecz zapewniam Cię, droga Celio, że to się liczy. Jestem od Ciebie sporo starszy i wiem, jak wygląda kobieta, która boryka się z codziennością, a nawet wiem, jak wygląda jej mąż, ów wiecznie skonany mężczyzna,

zamartwiający się na śmierć z powodu problemów finansowych. Chciałbym, żebyś żyła jak królowa. Nie jesteś stworzona do niewygód.

To wszystko, co miałbym dopowiedzenia. Przyjrzę się temu młodemu człowiekowi, kiedy przyjadę we wrześniu, i stwierdzę, czy jest Ciebie wart. Choć Ciebie, Celio, oczywiście, nikt nie jest wart!

Jeszcze raz wszystkiego najlepszego, moja staruszko, i obyś nigdy nie miała większych zmartwień.

Twój, jak zwykle, Peter

5

Dziwne to, a jednak prawdziwe, że największą radość związaną z narzeczeństwem sprawiała Celii myśl o przyszłej teściowej. Znow zawładnął nią dawny, dziecinny podziw dla pani Grant. Ta, choć zdążyła poświęcić, nadal miała ten sam co niegdyś królewski wdzięk, te same piękne, niebieskie oczy i gibką figurę, ten sam czysty, piękny głos, tę samą władczą osobowość.

Adoracja Celii, której nie sposób było nie zauważyć, najwyraźniej sprawiała pani Grant przyjemność. Możliwe, że nie całkiem była usatysfakcjonowana wiadomością o zaręczynach. Możliwe, że czegoś jej w tym wszystkim brakowało. Zgodziła się z decyzją dwojga młodych, że zaręczyny zostaną ogłoszone dopiero za pół roku, a ślub odbędzie się rok później.

Jim uwielbiał swoją matkę, cieszył się, że jego żona też ją będzie uwielbiać.

Babunia była bardzo zadowolona z narzeczeństwa Celii, choć to jej wcale a wcale nie przeszkadzało w robieniu aluzji co do trudności pożycia dwojga małżonków, poczynając od biednego Johna Godolphina, który nabawił się raka przelyku podczas miodowego miesiąca, kończąc na starym admirale Collingwayu, który zaraził swoją żonę brzydką chorobą, a potem zadał się z guwernantką. „W końcu, moja droga, doszło do tego, że biedactwo nie mogło trzymać w domu żadnych pokojówek. Admirał wyskakiwał na nie z za drzwi, i to kompletnie nagi. Naturalnie, w takiej sytuacji nie mogły tam pozostać”.

Celia zauważyła, że Jim jest aż nazbyt zdrowy na to, by móc dostać raka przelyku („Ach, moja droga, ale to zdrowi go dostają”, wtrąciła swoje babunia) i że brakuje jej wyobraźni, by zobaczyć statecznego Jima w roli podstarzałego satyra, wyskakującego z za drzwi i napadającego na własne służące.

Babunia lubiła Jima, aczkolwiek w głębi ducha była nim odrobinę rozczarowana. Młody mężczyzna, który nie pije, nie pali i który wygląda na skrępowanego, kiedy ktoś w jego obecności opowiada dowcipy, nie pasował do jej wyobrażeń o młodych mężczyznach. To prawda, babunia gustowała w bardziej męskich młodych mężczyznach.

— Choć — powiedziała ożywiona nagłą nadzieją — widziałam, jak wczoraj wieczorem podniósł pełną garść żwiru z tarasu, z miejsca, po którym stąpałaś.

Na próżno Celia usiłowała przekonać babunię, że owa garść żwiru była argumentem w dyskusji o geologii. Babunia nie zamierzała dać się zwieść.

— To się tylko tak mówi, kochaneczko. Ale ja znam młodych mężczyzn. Młody Planterton nosił moją chusteczkę na sercu przez siedem lat, a przecież tylko raz mnie spotkał, na balu.

Skutkiem niedyskrecji babuni o zaręczynach dowiedziała się pani Lukę.

— Słyszę, że dopięłaś celu, jeśli chodzi o twojego młodzieńca. Dobrze zrobiłaś, odmawiając Johnniemu de Burghowi. George powiedział, by ci go nie odradzać, bo to dobra partia, lecz mnie osobiście Johnnie zawsze kojarzył się z dorszem. — Oto i cała pani Lukę. Mówiła dalej: — Ale, ale. Wciąż się o ciebie dopytuje Roger Raynes. Osobiście odradzałabym go. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie jest dobrze sytuowany. To dlatego nigdy nie zajmie się na serio swoim głosem. A szkoda, mógłby być profesjonalistą. Nie przypuszczam jednak, by ci się podobał, jest taki mały i taki okrągłutki. No i jada steki na śniadanie i zawsze się zacina przy goleniu. Nie cierpię mężczyzn, którzy się zacinają przy goleniu.

6

Któregoś czerwcowego dnia zjawił się Jim. Był niezwykle podniecony. Pewien bardzo bogaty człowiek, przyjaciel jego ojca, wybierał się w podróż dookoła świata, i to w podróż, która między innymi, a może nawet przede wszystkim, stawiała sobie za cel przeprowadzenie dogłębnych badań nad rolnictwem odwiedzanych po drodze krajów. Zaproponował Jimowi, aby ten się z nim zabrał.

Jim mówił z przejęciem przez pewien czas. Był wdzięczny Celi za jej żywe zainteresowanie podróżą, jak również za wyrażoną przez nią zgodę. Przecież miał prawo żywić obawy, że mogłaby być niezadowolona z jego wyjazdu.

Wyjechał, robiąc przy tym wiele hałasu, dwa tygodnie później. Telegram pożegnalny został nadany w Dover:

Najserdeczniejsze pozdrowienia, dbaj o siebie, Jim.

Jaki piękny był ów sierpniowy poranek...

Celia wyszła na frontowy taras i rozejrzała się wokół. Było wcześnie, rosa błyszcząca na trawie — na tym długim zielonym stoku, którego Miriam nie pozwoliła przekopać na klomby. Był buk, większy niż zwykle, rozłożysty, ciemnozielony. Było błękitne niebo... błękitne jak morska woda.

Celii zdawało się, że jeszcze nigdy nie była aż tak szczęśliwa. Jej serce ścisnęło się dawnym, znajomym bólem. Tak, wokół było pięknie aż do bólu...

Och, piękny, piękny świecie...

Rozległ się gong. Poszła na śniadanie.

— Wyglądasz bardzo szczęśliwie — zauważyła matka.

— Jestem szczęśliwa. Taki piękny dzień, mamo. — Chyba nie o to chodzi. Jesteś szczęśliwa, bo Jim wyjechał. Prawda?

Celia aż do tej minuty niezupełnie to sobie uświadamiała. Ulga, dziku, ogromna ulga. Nie będzie zgłębiać tajników teozofii czy ekonomii aż przez długie dziewięć miesięcy. Przez długie dziewięć cudownych do szaleństwa miesięcy będzie żyła zgodnie z własnymi upodobaniami, będzie czuła to, co naprawdę czuje. Była wolna, wolna, wolna!

Popatrzyła na matkę, a matka odwzajemniła jej spojrzenie.

— Nie musisz wychodzić za niego. Nie, jeśli jest tak, jak widzę... Nie zdawałam sobie sprawy...

— Ja sama nie zdawałam sobie sprawy — przerwała jej Celia. — Myślałam, że go kocham. Tak. Tak myślałam. On jest najmiłszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam. Jest wspaniały pod każdym względem. Miriam skinęła smutno głową. To była ruina jej świeżo osiągniętego spokoju.

— Wiedziałam, że nie zakochałaś się w nim od pierwszej chwili, lecz liczyłam na to, że miłość przyjdzie podczas narzeczeństwa. Stało się inaczej... Nie powinnaś wychodzić za mąż za kogoś, kto cię nudzi. — No wiesz, mamo, nudzi! — oburzyła się Celia. — Przecież on jest niezwykle inteligentny, jakże zatem mógłby mnie nudzić?

— Niestety, Celio. — Westchnęła i dodała: — Jim jest jeszcze bardzo młody.

Możliwe, pomyślała wówczas, że gdyby tych dwoje spotkało się trochę później, kiedy Jim wkroczyłby w prawdziwą dojrzałość, wszystko skończyłoby się dobrze. Miriam nigdy

nie opuściło przekonanie, że Jim i Celia zaprzepaścili swą miłość prawie bez powodu. A jednak zaprzepaścili...

I oto, wbrew jej rozczarowaniu i wbrew obawie o przyszłość Celi, w Miriam coś się rozśpiewało. Bardzo radośnie: „Ona mnie jeszcze nie opuści. Ona mnie jeszcze nie opuści...”

7

Celia nie czekała na przyjazd Jima, aby z nim zerwać. O tym, że go nie poślubi, doniosła mu listownie i natychmiast poczuła się tak, jak gdyby zrzuciła z ramion straszny ciężar.

Kiedy Peter Maitland przyjechał we wrześniu, zdumiał się jej dobrym samopoczuciem i jej urodą.

— Zatem rzuciłaś swojego konkurenta, Celio?

— Tak.

— Biedny gość. Nie wątpię jednak, że wkrótce znajdziesz kogoś, kto bardziej przypadnie ci do serca. Pewnie wielu prosi cię o rękę. Mam rację?

— Och, wcale nie tak wielu.

— A ilu?

Celia zamyśliła się.

Ten mały, zabawny kapitan Gale w Kairze i ów głuptas na statku w drodze powrotnej (jeśli można ich liczyć), i major de Burgh oczywiście, i Ralph, i jego przyjaciel z plantacji herbaty (który, nawiasem mówiąc, zdążył się już ożenić z inną dziewczyną), i Jim — no i jeszcze ta śmieszna historia z Rogerem Raynesem zaledwie tydzień temu.

Pani Lukę dowiedziała się o zerwaniu zaręczyn przez Celię, dopiero po swoim telegramie, w którym zapraszała ją do siebie. Właśnie zapowiedział się Roger, a Roger zawsze prosił George'a o zaaranżowanie spotkania z Celia. Cała rzecz zapowiadała się interesująco. Celia i Roger śpiewali razem przez godzinę w salonie.

— Gdyby potrafił wyśpiewać swoje oświadczyzny, możliwe, że przyjąłaby go — powiedziała pani Lukę.

— A dlaczego miałyby nie przyjąć? — zdziwił się George. — Raynes to świetny gość.

Pani Lukę nie miała ochoty na wdawanie się z mężem w dłuższą polemikę. Mężczyźni są mało pojętni: nigdy nie rozumieją, co kobieta w nich „widzi” albo „nie widzi”.

— No, może trochę za okrągły — przyznał George po chwili refleksji. — Lecz jeśli chodzi o mężczyzn, to wygląd się nie liczy.

— To powiedzenie wymyślił chyba mężczyzna — odparowała pani Luke.

— Daj spokój, Amy, wiadomo, że kobiety nie gustują w męskich podobiznach wystawianych w oknach zakładu fryzjerskiego.

George obstawał przy swoim: Rogerowi należy dać szansę.

Istotnie, choć nie wiadomo, czy Roger zdawał sobie z tego sprawę, czy też nie, najlepszą, a właściwie jedyną jego szansą było wyśpiewanie Celi swoich oświadczeń. Roger miał wspaniały, ujmujący głos. Słuchając jego śpiewu, Celia była bliska wmówienia sobie, że go kocha. Jednak wraz z ostatnim taktem Roger odzyskiwał swoją zwykłą osobowość.

Celię odrobinę denerwowały zapędy pani Luke co do swatania. Widząc wiadomy błysk w jej oku, Celia manewrowała tak, aby ani przez chwilę nie zostać sam na sam z Rogerem. Nie chciała wyjść za niego, więc dlaczego miałaby mu pozwolić na jakieś czułe słówka?

Lecz tak pani, jak i pan Luke, oboje zagięli parol na „danie Rogerowi szansy”. Zorganizowali jakiś piknik i Celia została niemal na siłę zapakowana do dwukółki i posadzona obok Rogera.

Od początku przejażdżki nie zanosilo się na nic dobrego. Roger nie przestawał zachwalać uroków życia w rodzinie, a Celia przekornie obstawała przy zaletach mieszkania w hotelu. Roger powiedział, że pragnąłby zamieszkać gdzieś na wsi, choć nie dalej niż godzinę jazdy od Londynu.

— A gdzie absolutnie nie chciałby pan mieszkać? — zapytała Celia.

— W Londynie. Tam po prostu bym nie mógł.

— Zabawne. Bo ja mogłabym tylko tam. — Popatrzyła na niego chłodno. Oczywiście nie było tak, jak mówiła.

— Och, przypuszczam, że mógłbym i ja — powiedział Roger i westchnął. — Gdybym tylko znalazł idealną kobietę. Myślę, że chyba ją znalazłem. Ja...

— Muszę panu powiedzieć coś zabawnego, coś, co zdarzyło mi się przed paroma dniami — przerwała mu desperacko.

Roger nie słuchał anegdoty. Kiedy tylko się skończyła, powiedział:

— Czy wie pani, Celio, że od kiedy spotkałem panią po raz pierwszy...

— Widzi pan tamtego ptaka? Przysięgłabym, że to szczygieł.

Nic z tego. W pojedynku, w którym mężczyzna jest zdecydowany oświadczyć się, a kobieta jest zdecydowana go nie przyjąć, zawsze zwycięża mężczyzna. Im bardziej Celia odwodziła go od tematu, tym uporczywiej on do niego wracał. Potem był mocno dotknięty lakoniczną odprawą, z jaką się spotkał. Celia była zła, że nie potrafiła się uchronić przed niepotrzebną sceną. Co więcej, rozzłościło ją szczere zdziwienie Rogera, że ktoś może nie chcieć wyjść za niego. Przejazdźka dobiegła końca w chłodnym milczeniu. Potem Roger powiedział George'owi, że chyba szczęśliwie udało mu się wywinąć, bo jak mu się zdaje, lepszy z niej numerek... To wszystko przemknęło Celii przez myśl, kiedy zastanawiała się nad pytaniem Petera.

— Chyba siedmiu — odpowiedziała w końcu. — Lecz liczyło się tylko dwóch.

Siedzieli na polu golfowym, pod żywopłotem, tam, skąd rozciągał się widok na klif i na morze.

Peter zapomniał o fajce. Skubał palcami główki stokrotek.

— Wiesz, Celio — zaczął dziwnie nieswoim głosem — możesz mnie dopisać do tej listy, kiedy tylko zechcesz.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Ciebie, Peterze?

— Tak, czyżbyś o tym nie wiedziała?

— Nie, zapewniam cię. Ani trochę.

— No cóż, to mnie dopadło chyba na samym początku naszej znajomości... Wiedziałem o tym, jak mi się zdaje, już na weselu Ellie. Kłopot w tym, że ja nie jestem dla ciebie odpowiednim mężczyzną. Tobie potrzebny jest ktoś, kto jest energiczny, ktoś, kto ma głowę na karku. O tak, nie zaprzeczaj. Wiem, jak powinien wyglądać twój idealny mężczyzna, albo raczej, jak nie powinien. Nie powinien być leniwy ani niefrasobliwy, a ja taki właśnie jestem. Do niczego nie dojdę. Nie zrobię kariery. Odsłużę spokojnie wojsko i pójdę na emeryturę. Żadnych fajerwerków. No i mam bardzo mały kapitał. Pięć czy sześć setek na rok. Z tego musielibyśmy żyć. — Nie dbam o to.

— Tak, wiem, że ty nie dbasz. Ale ja myślę za ciebie. Ponieważ ty nie wiesz, jak to jest, a ja wiem. Tobie należy się „wszystko, co najlepsze, Celio, absolutnie najlepsze. Nie mam zamiaru ciągać cię za swoim pułkiem. Armia to żaden prawdziwy dom, to ciągłe pakowanie się i przenoszenie z miejsca na miejsce. Nie, ja muszę milczeć i pozwolić, byś miała takiego męża, jaki należy się pięknej dziewczynie. Po prostu tak tylko sobie

pomyślałem, że ty... że ja... ech, w porządku, może pewnego dnia będę miał jakąś szansę...

Celia położyła nieśmiało swoją wysmukłą, różową dłoń na tej drugiej, dużej i brązowej. Brązowa dłoń zacisnęła się ciepło wokół jej dłoni. Jej dłoń w dłoni Petera. Jakie to miłe uczucie...

— Nie wiem, czy słusznie robię, mówiąc ci to teraz. Lecz nasz pułk znów dostał rozkaz opuszczenia kraju. Woląłem zatem, żebyś знаła prawdę o mnie, nim wyruszę. Przypuśćmy, że nie pojawi się Ten Właściwy... Wówczas, Celio, pamiętaj, jestem tu zawsze, czekam...

Peter, drogi, drogi Peter... W jakiś sposób Peter był częścią pokoju dziecinnego i ogrodu, i Rouncy, i buka. Bezpieczeństwo... szczęście... dom...

Jakże była szczęśliwa, siedząc tutaj i patrząc na morze, z ręką w dłoni Petera. Z Peterem zawsze mogłaby być szczęśliwa. Kochany, niefrasobliwy, łagodny Peter.

Nie spojrzał na nią ani razu, przez cały czas. Siedział tuż obok, z dość posępną miną, ze spiętą twarzą... z bardzo śniadą, bardzo opaloną twarzą. — Bardzo cię kocham, Peterze. Chciałabym wyjść za ciebie...

Odwrócił się ku niej powoli. Peter wszystko robił powoli. Wziął ją w objęcia i pocałował. Ani niezdarnie jak Jim, ani namiętnie jak Johnnie. Pocałował ją tkliwie, tak jak tego oczekiwała.

— Moje słodkie kochanie — rzekł. — Och, moje słodkie kochanie...

8

Celia chciała wyjść za Petera od razu i wyjechać z nim do Indii. Lecz Peter odmówił kategorycznie. Upierał się, że jest jeszcze bardzo młoda, że ma dopiero dziewiętnaście lat i że nie powinna podejmować pochopnie tak ważnej decyzji.

— Czuję się wprost nieprzyzwoicie, gdybym skwapliwie skorzystał z okazji. Może jeszcze zmienisz zdanie. Może spotkasz kogoś, kto spodoba ci się bardziej niż ja.

— Nie, Peterze, nie.

— Tego przecież nie wiesz. Niejedna dziewczyna szaleje za chłopakiem, kiedy ma dziewiętnaście lat, i niejedna za trzy, cztery lata zastanawia się, co w nim widziała. Nie zamierzam cię ponaglać. Masz przed sobą mnóstwo czasu; musisz być absolutnie pewna, że się nie mylisz.

Mnóstwo czasu. Maitlandowie nigdy się nie śpieszyli. Maitlandowie zawsze mieli mnóstwo czasu. W ten sposób Maitlandowie spóźniali się na pociągi i tramwaje, na spotkania i na posiłki, a zdarzało się, że czasami umykało im sprzed nosa coś bardziej istotnego.

Peter to samo powiedział Miriam.

— Pani wie, jak bardzo kocham Celię. Przypuszczam, że zawsze pani wiedziała. To dlatego mogłem liczyć na pani zaufanie, kiedy ją zabierałem tu i tam. Ja z kolei wiem, że nie o takim mężu dla córki myśli matka...

— Chcę jej szczęścia — przerwała mu. — Sądzę, że z tobą byłaby szczęśliwa.

— Oddałbym życie, by tak się stało. Jednak nie chcę jej ponaglać. Może pewnego dnia zjawi się ktoś, kto będzie miał pieniądze, i jeśli jej się spodoba...

— Pieniądze to nie wszystko, choć przyznaję, w głębi duszy życzyłam Celii, by nie była biedna. Ale skoro jesteście w sobie zakochani... Wiem, że wiele nie masz, lecz przy rozsądnym gospodarowaniu powinieneś ją utrzymać.

— To pieskie życie dla kobiety. No a poza tym byłaby daleko od pani.

— Jeśli Celia ciebie kocha...

— Słusznie pani mówi, „jeśli”. Celia jest zbyt młoda, i tak naprawdę jeszcze sama nie wie, czego chce. Przyjadę na urlop za dwa lata. Jeśli jej uczucia nie zmienią się...

— Mam nadzieję, że tak będzie.

— Pani wie najlepiej, jaka ona jest piękna. Być może powinna dokonać słuszejszego wyboru. Ja jestem marną partią.

— Och, to już przesada — obruszyła się Miriam. — Nie należy być zbyt skromnym. Kobiety nie doceniają skromności.

— Możliwe, że ma pani rację.

Celia i Peter spędzili razem dwa szczęśliwe tygodnie. Dwa lata powinny minąć w oka mgnieniu.

— I obiecuję być ci wierną, Peterze. Obiecuję, że będę na ciebie czekała.

— Niczego mi nie obiecuj. Jesteś całkowicie wolna.

— Nie chcę być wolna.

— Ale jesteś. Ja ci to mówię.

— Gdybyś naprawdę mnie kochał — powiedziała Celia z nagłą złością — ożeniłbyś się ze mną od razu i zabrał mnie ze sobą.

— Och, moje kochanie, moja maleńka, czy nie rozumiesz, że postępuję w ten sposób tylko dlatego, że cię kocham?

Celia spojrzała w jego poruszoną uczuciem twarz. Tak, kochał ją. Kochał ją bardzo. Taka miłość, pomyślała, to skarb, po który aż strach wyciągnąć rękę.

Trzy tygodnie później Peter odpłynął.

Po upływie roku i trzech miesięcy Celia poślubiła Dermota.

9. DERMOT

1

Peter wchodził w życie Celi stopniowo; Dermot wszedł, jak to się mówi, z marszu.

Poza tym, że on też był żołnierzem, trudno byłoby sobie wyobrazić dwóch bardziej różnych mężczyzn.

Celia spotkała go na balu, którego wydawał jego pułk w Yorku. Pojechała tam z Luke'ami. Kiedy przedstawiono jej wysokiego mężczyznę o intensywnie niebieskich oczach, ów powiedział:

— Proszę o trzy tańce.

Kiedy przetańczyli drugi, poprosił o trzy dalsze. Karnecik Celi był pełen.

— Nie szkodzi — rzekł. — Kogoś się pozbędziemy. — Wyjął jej z rąk karnecik i wykreślił trzy pierwsze lepsze nazwiska. — No i po kłopotcie. Tylko proszę o mnie pamiętać. Zjawię się wystarczająco wcześnie, by zdążyć panią porwać.

Smagły, wysoki, z ciemnymi, kręconymi włosami. Z bardzo niebieskimi oczami, które rzucały szybkie, skośne spojrzenia fauna. Zdecydowane ruchy, atmosfera pewności siebie, pewności wyboru własnej drogi bez względu na okoliczności.

Na koniec balu zapytał, jak długo Celia zamierza bawić w tych okolicach. Powiedziała, że odjeżdża nazajutrz. Zapytał, czy bywa w Londynie.

W następnym miesiącu zatrzyma się u babki. Dała mu adres. — Możliwe, że będę tam wówczas. Zadzwoń.

— Proszę bardzo.

Nie wzięła jego słów na serio. Miesiąc to dużo czasu. Poczęstował ją szklanką lemoniady. Celia piła łyček po łyczku. Rozmawiali o życiu. Dermot zauważył, że można mieć wszystko, czego się pragnie, byleby pragnąć dostatecznie mocno.

Celia czuła się trochę nie w porządku z powodu tamtych skreślonych nazwisk. Coś takiego nie leżało w jej zwyczaju, lecz co miała zrobić... On już taki był.

Poczuła żal, że być może więcej go nie spotka.

Jednak, szczerze mówiąc, w ogóle o nim nie pamiętała, kiedy wchodząc któregoś dnia do domu w Wimbledonie, zobaczyła babunię wychyloną do przodu w swoim wielkim krześle i z ożywieniem rozmawiającą z młodym mężczyzną. Jego twarz płonęła; najwyraźniej był skrępowany.

— Mam nadzieję, że mnie nie zapomniałaś — wymamrotał Dermot i zaczerwienił się jeszcze bardziej.

Celia powiedziała, że nie, a babunia, zawsze odnosząca się z sympatią do młodych mężczyzn, zaprosiła go na obiad. Dermot przyjął zaproszenie. Po obiedzie przeszli do salonu, gdzie Celia śpiewała dla niego.

Zanim wyszedł, przedstawił plan na następny dzień. Ma bilety na popołudniówkę; czy Celia poszłaby z nim? Kiedy się okazało, że ma na myśli wyjście we dwoje, babunia zaprotestowała. Nie sądziła, by coś takiego spodobało się matce Celii. Młody człowiek jednakże potrafił podejść babunię. Babunia poddała się, choć pod jednym warunkiem: żadnej herbaty po teatrze. Celia ma wrócić prosto do domu.

Celia spotkała się z nim w teatrze, wystawiana sztuka zachwyciła ją bardziej niż wszystko, co dotychczas widziała, a potem poszła z Dermotem na herbatę do dworcowego bufetu, ponieważ Dermot powiedział, że to nic takiego.

Nim Celia wróciła do rodzinnego domu, gościł u babuni jeszcze dwa razy.

Trzeciego dnia po powrocie była na podwieczorku u Maitlandów, kiedy poproszono ją do telefonu. Dzwoniła jej matka.

— Kochanie, musisz zaraz wrócić. Pojawił się tu na motocyklu jakiś młody człowiek, podobno twój znajomy, a przecież wiesz, że rozmowa z młodymi ludźmi przyprawia mnie o ból głowy. Nawet nie wiem, jak się nazywa. Nie słyszę, kiedy ludzie mamrocą pod nosem. Przychodź jak najprędzej i zajmij się nim sama.

Kto to może być, zastanawiała się Celia, idąc do domu.

To był Dermot. Speszony i zdeterminowany, wyglądał jak ostatni nieszczęśnik. Nie był zdolny sklecić jednego sensownego zdania; mrucał jakieś monosylaby i unikał jej spojrzenia.

Powiedział, że pożyczył motocykl, bo przyszło mu do głowy, że dobrze byłoby przewietrzyć się trochę za miastem i zrobić kilkudniową rundkę. Zatrzymał się w gospodzie. Wyjeżdża jutro rano. Czy przedtem mogłaby z nim pójść na spacer?

Następnego dnia był w bardzo podobnym nastroju. Cichy, z żalosną miną, unikający jej spojrzenia. W pewnym momencie powiedział:

— Kończy mi się urlop i wracam do Yorku. Coś trzeba postanowić. Muszę cię znów zobaczyć. Chcę się z tobą widywać. Zawsze. Chcę, żebyś wyszła za mnie. Celia znieruchomiała. Zatrzymała się w pół kroku. Owszem, nie uszło jej uwagi, że podoba się Dermotowi, lecz nawet nie przyszło jej na myśl, by młody, dwudziestotrzyletni porucznik mógł rozważać sprawę małżeństwa.

— Przykro mi, i to bardzo, lecz nie mogę... Och, nie, nie mogę.

Bo i jak by mogła? Przecież była zaręczona z Peterem. Kochała Petera. Tak, wciąż jeszcze kochała Petera... chociaż... chociaż Dermota też...

Zdała sobie sprawę, że chce poślubić Dermota, że chce tego bardziej niż czegokolwiek w świecie.

— No cóż, przynajmniej cię zobaczyłem... Jak sądzę, moje oświadczyzny były przedwcześnie... Ale nie mogłem czekać...

— Widzisz, chodzi o to, że... że jestem już z kimś zaręczona...

Spojrzał na nią jednym z tych swoich ukośnych spojrzeń i natychmiast odzyskał pewność siebie.

— No to co? Po prostu go rzucisz. Kochasz mnie? — Chyba... chyba tak.

Tak, kochała Dermota bardziej niż kogokolwiek na świecie. Wolała być nieszczęśliwa z nim niż szczęśliwa z kimś innym. Lecz skąd te myśli? Dlaczego miałyby być nieszczęśliwa z Dermotem? Prawdopodobnie dlatego, pomyślała, że niczego o nim nie wiem... On jest obcy...

Dermot, jękając się, brnął dalej:

— Ja... ja... Och! To wspaniale! Pobierzemy się od razu. Nie mogę czekać...

Peter, pomyślała. Nie mogłabym zranić Petera...

Ale już wiedziała, że Dermot w takiej sytuacji nie wahałby się ani przez chwilę, i wiedziała, że zrobi to, co Dermot jej każe.

Spojrzała mu w oczy, które po raz pierwszy nie umknęły spojrzeniem w bok.

Bardzo, bardzo niebieskie oczy... Pocałowali się wstydliwie, niepewnie...

2

Miriam odpoczywała na sofie w swojej sypialni, kiedy zjawiała się Celia. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na córkę, aby wiedzieć, że stało się coś niezwykłego. Miriam poraziła nagła myśl: „Ten młodzieniec. On mi się nie podoba”.

— Czy coś się stało, kochanie? — spytała.

— Och, mammo... on chce się ze mną ożenić... a ja chcę wyjść za niego, mammo... — powiedziała Celia i skryła twarz w ramionach matki.

Wsluchując się w gwałtowne, bolesne uderzenia swego nadwerężonego serca, Miriam myślała rozpaczliwie: „To mi się nie podoba... To mi się nie podoba... Ale to zwykły egoizm... to strach, że ona ode mnie odejdzie”.

3

Kłopoty zaczęły się prawie od razu. Dermotowi udało się dość szybko usidlić Celię, lecz Miriam nie dała się tak łatwo omotać. Trzymał się w ryzach, ponieważ nie chciał mieć w niej wroga już na samym początku. Mimo to drażniła go każda nuta sprzeciwu w jej głosie.

Sam przyznał, że — poza żoldem — jego dochody to jedynie osiemdziesiąt funtów rocznie, a mimo to zirytował się, kiedy Miriam zapytała, jak on i Celia zamierzają żyć. Odparł, że o tym jeszcze nie miał czasu pomyśleć. To jasne, jakoś sobie poradzą; poza tym nie sądzi, by Celi miało przeszkadzać ubóstwo. Kiedy Miriam powiedziała, że zakładanie rodziny przez kogoś, kto jest dopiero porucznikiem, jest dość nietypowe, odparł niecierpliwie, że w takim razie on należy do tych, którzy zachowują się nietypowo.

— Zdaje się, że twoja matka wszystko sprowadza do funtów, szylingów i pensów — powiedział z goryczą do Celi.

Był jak dziecko, któremu odmawia się czegoś, czego gorąco pragnie, i które nie chce zrozumieć powodów odmowy.

Kiedy odjechał, Miriam poczuła się bardzo przygnębiona. Wyobraziła sobie długie narzeczeństwo, z bardzo małą nadzieją na zawarcie małżeństwa w najbliższych latach. Możliwe, że w ogóle nie powinna pozwolić na zaręczyny... Lecz czy mogłaby sprawić Celi ból?

— Mamo, muszę wyjść za Dermota — powiedziała Celia. — Muszę. Nigdy nie pokocham nikogo innego. Któregoś dnia okaże się, że miałam rację. Och, powiedz, że tak będzie.

— To wszystko wydaje się takie beznadziejne, kochanie. Niczego o sobie nie wiecie. A on jest taki młody...

— Zobaczysz mamo, któregoś dnia...

— No cóż, może...

— Nie lubisz go. Dlaczego?

— Ależ lubię. Uważam, że to atrakcyjny mężczyzna, nawet bardzo. Szkoda, że taki nierozważny...

W nocy Miriam zamiast spać, przeliczała w myślach swoje małe dochody. Czy mogłaby Celi coś wyasygnować? Coś, niechby nawet niewiele... Gdyby sprzedała dom...

Tak, lecz dopóki go ma, przynajmniej nie musi płacić czynszu, a wydatki na bieżące naprawy, po tym, jak zredukowała je do minimum, wcale nie są takie duże. Poza tym dom jest w złym stanie... Poza tym chwilowo nie ma popytu na takie posiadłości.

Leżała rozbudzona, przewracając się z boku na bok. Jak dać dziecku to, czego serce dziecka pragnie?

4

Jak wyznać Peterowi prawdę?

Jej list był niezdarly, długo namyślała się nad każdym słowem. Czym miała usprawiedliwić swoją zdradę?

Odpowiedź Petera była tak bardzo podobna do niego samego, że Celia aż się popłakała.

Nie obwiniaj siebie, Celio (pisał Peter). To całkowicie moja wina. Mogłoby stać się inaczej, gdyby nie ten mój fatalny zwyczaj odkładania wszystkiego na potem. Cała moja rodzina jest taka sama. To dlatego nigdy nie zdążamy na autobusy. Miałem jak najlepsze intencje. Chciałem dać Ci szansę poślubienia kogoś bogatego, a tu proszę, zakochujesz się w kimś jeszcze biedniejszym ode mnie.

Prawda jest taka, że on ma więcej charakteru niż ja. Powinienem wziąć Cię za słowo, kiedy chciałaś wyjść za mnie, i zabrać tu ze sobą... Wyszedłem na cholernego głupca. Straciłem Ciebie z własnej winy. On jest lepszym człowiekiem niż ja, ten twój Dermot...

Nie wątpię, że to porządny gość; wiem, że inny by Ci się nie spodobał. Życzę Wam obojgu dużo szczęścia. I nie smuć się przeze mnie. To moje zmartwienie, nie Twoje... Powinienem ogłosić wszem i wobec, jaki ze mnie osioł. Niech Cię Bóg błogosławi, moja kochana...

Kochany Peter... kochany, kochany Peter...

Z Peterem byłabym szczęśliwa. Bardzo szczęśliwa. Przez całe moje życie, pomyślała. Ale z Dermotem jej życie miało być wielką przygodą.

5

Rok narzeczeństwa Celi i Dermota był bardzo burzliwy.

Na przykład dostawała od Dermota list tej oto treści:

Teraz to widzę — Twoja matka miała absolutną rację. Jesteśmy zbyt biedni, żeby się pobierać. Nie powinienem Cię o to prosić. Zapomnij o mnie tak prędko, jak potrafisz.

A dwa dni później Dermot przyjeżdżał na pożyczonym motocyklu, brał zapłakaną Celię w ramiona i oznajmiał, że nie potrafiłby się jej wyrzec. Coś musiało się wydarzyć. Musiało.

Tym, co się wydarzyło, była wojna.

6

Dla Celi, jak i dla większości ludzi, wojna była niczym grom z jasnego nieba. Zastrzelenie arcyksięcia, gazety straszące wojną — to wszystko ledwo docierało do jej świadomości.

I nagle — Niemcy i Rosja toczą ze sobą wojnę. I nagle — inwazja na Belgię. To, co zdawało się do niedawna czystą fantazją, teraz zaczęło nabierać realnych kształtów.

List od Dermota:

Wygląda na to, że i my w to wdepniemy. Choć mówi się, że jeśli tak, to na Boże Narodzenie będzie po wszystkim. Moim zdaniem wojna potrwa dłużej niż dwa lata, ale ja podobno jestem pesymistą...

No i stało się: Anglia przystąpiła do wojny...

Dla Celi to wydarzenie miało jeden wydźwięk — Dermot może zginąć...

Potem telegram, z którego wynikało, że Dermont nie zdąży się pożegnać. Czy Celia mogłaby z matką przyjechać do niego?

Perony były zamknięte, lecz Miriam miała kilka pięciofuntowych banknotów. (Szkola babuni: „Powinno się zawsze mieć w torebce pięciofuntowy banknot, moja droga”.) Kasa biletowa nie chciała przyjmować banknotów. Przeszły zatem przez rampę towarową, przez tory i weszły do pociągu. Rzędy bileterów: „Bez biletu?” „Nie, proszę pani, nie mogę przyjąć banknotu pięciofuntowego...” Nie kończące się, bezsensowne, wypisywanie nazwisk i adresów....

Wszystko było koszmarem. Nic nie było realne. Nic, poza Dermotem.

Dermot w mundurze koloru khaki — całkiem inny Dermot — gwałtowny i bezceremonialny, z rozbieganymi oczami. Nikt nic nie wie o tej nowej wojnie... wojna, z której, być może, nikt nie wróci... niszczycielskie maszyny... gazy... nikt nic nie wie o gazach... Celia i Dermot tulili się do siebie jak dzieci.

Obym wyszedł z tego cało...

O Boże, niech on wróci do mnie...

Nie liczyło się nic więcej.

7

Potworna niepewność pierwszych tygodni. Kartki pocztowe, nabazgrane ołówkiem, ledwo czytelne.

Nie wolno nam pisać, gdzie jesteśmy. Wszystko idzie dobrze. Kocham,

Nikt nie wiedział, co się dzieje.

Szok spowodowany pierwszymi wykazami poległych.

Przyjaciele. Chłopcy, z którymi się tańczyło — zabici...

Lecz Dermot jest bezpieczny. Liczy się tylko to. Dermot jest bezpieczny.

Wojna dla większości kobiet to los jednej osoby.

8

Po dwóch tygodniach niepewności przyszła pora, aby czymś się zająć. Obok domu Celi i otwarto szpital Czerwonego Krzyża, lecz od wolontariuszek wymagano zaświadczenia o zdanym egzaminie z pierwszej pomocy i z ogólnych zasad pielęgniarstwa. Kursy przygotowujące do egzaminów prowadzono w sąsiedztwie babuni. Zatem Celi i nie pozostawało nic innego, jak u niej zamieszkać.

Drzwi otworzyła Gladys, nowa, przystojna pokojówka. To ona, wspólnie z równie młodą kucharką, prowadziła babcine gospodarstwo. Nie było już starej Sarah.

— Dzień dobry, panienko — powiedziała.

— Dzień dobry, Gladys. Gdzie jest babunia? Chichot.

— Wyszła, panienko Celio. — Wyszła? Czyżby?

Babunia? Zbliżająca się do dziewięćdziesiątki, bardziej ostrożna niż dawniej, jeśli chodzi o jakikolwiek kontakt ze świeżym powietrzem, wyszła z domu?

— Udała się do Army and Navy Stores, panienko Celio. Zapowiedziała, że wróci przed panienki przyjazdem. Och, chyba właśnie wraca.

Pod furtkę podjechała rozklekotana dorożka. Babunia, obwieszona sznurami dżetów, kołyszącymi się na mantylce i odbijającymi promienie wrześnieowego słońca, wyglądała nad wyraz rześko.

— A więc jesteś, kochaneczko — powiedziała.

Jej delikatna starcza twarz przywodziła na myśl zmięte płatki róży. Babunia była bardzo zakochana w Celii i już robiła na drutach skarpetki dla Dermota, aby nie marzły mu nogi w okopach.

Kiedy spojrzała na Gladys, jej głos się zmienił. Babunia znajdowała coraz to większą satysfakcję w tyranizowaniu służących (które w obecnych czasach doskonale umiały zadbać o własne interesy, i jeździły na rowerach, czy babuni to się podobało, czy nie!).

— A cóż to, Gladys — rzuciła ostro — nie raczysz wyjść i pomóc temu człowiekowi przy pakunkach? Tylko pamiętaj, nie zanoś ich do kuchni. Poskładaj je w saloniku.

W saloniku już od dość dawna nie królowała biedna panna Bennett.

W saloniku leżała cała sterta worków wypełnionych mąką, obok stały tuziny puszek rybnych, ryż, tapioka, sago. Szczercząc zęby od ucha do ucha, pojawił się dorożkarz. Niósł pięć szynek. Gladys szła za nim i też niosła szynki. Razem, w babcinym skarbcu, złożono szesnaście szynek.

— Mogę sobie mieć dziewięćdziesiąt lat — powiedziała babunia (jeszcze nie miała, ale wyprzedzając to wydarzenie, nadawała swym słowom większego dramatyzmu) — i tak nie pozwolę, by Niemcy wzięli mnie głodem!

Celię ogarnął histeryczny śmiech.

Babunia zapłaciła dorożkarzowi, dała mu nadzwyczaj solidny napiwek i przykazała, by lepiej karmił swojego konia.

— Ma się rozumieć, szanowna pani, dziękuję szanownej pani.

Dotknął czapki i wciąż szczerząc zęby, odjechał.

— Ach, co za dzień, moja droga — powiedziała babunia, rozwiązując tasiemki swojego czepeczka. Nie przejawiała żadnych oznak zmęczenia i najwyraźniej była z siebie zadowolona. — Żebyś widziała ten tłok w magazynach.

Najwidoczniej inne leciwe damy też chciały wrócić do swoich domów z szynkami.

9

Celia nigdy nie podjęła pracy w Czerwonym Krzyżu.

Wydarzyło się parę rzeczy. Najpierw wymówiła Rouncy. Wyjechała na stałe do brata. Prowadzenie domu spadło na barki Celi i Miriam, no i Gregg, choć ta kręciła nosem i w ogóle „nie wytrzymała”, z tą całą wojną i z paniami, które biorą się do nie swojej roboty.

Potem przyszedł list od babuni. Do Miriam.

Najdroższa Miriam,

Parę lat temu podsunęłaś mi myśl, że mogłabym zamieszkać razem z tobą. Odmówiłam wówczas, bo zdawało mi się, że jestem za stara na przeprowadzki. Jednak doktor Holt (nie masz pojęcia, cóż to za zdolny lekarz, a przy tym lubi ciekawe anegdotki — obawiam się, że żona jak nic go nie docenia), no więc doktor Holt mówi, że powoli tracę wzrok i że nic się na to nie poradzi. Jak widać, taka jest wola boska i ja się z nią godzę, lecz doprawdy nie wyobrażam sobie, bym mogła zdać się na łaskę służących. Dzisiaj czyta się o bardzo niegodziwych przypadkach, no i czy dasz marę, sama ostatnio straciłam kilka osobistych drobiazgów. Proszę Cię, nie wspominaj o tym, kiedy będziesz do mnie pisała — one mogą otwierać moje listy. Tylko pomyśl, do czego doszło — otwierać moje listy! Ten wysyłam osobiście. Zatem myślę, że najlepiej by było, gdybym zjechała do Ciebie. Przy okazji wsparłabym Cię moimi dochodami. Nie podoba mi się to, że Celia zajmuje się domem. To kochane dziecko powinno oszczędzać swoje siły. Czy pamiętasz Evę pani Pinchin? Równie delikatne stworzenie jak Celia. Przepracowała się, biedaczka, i teraz przebywa w sanatorium w Szwajcarii. Ty i Celia musicie przyjechać i pomóc mi zlikwidować dom. Obawiam się, że to będzie koszmarny interes.

Istotnie, to był koszmarny interes. Babunia przeżyła w swoim domu pięćdziesiąt lat i jako prawdziwy produkt tamtej zapobiegliwej generacji nigdy nie wyrzucała niczego, bo wszystko kiedyś mogło się „jeszcze przydać”. W domu babuni były mahoniowe, solidne i przepaściste szafy i komody, a w każdej szufladzie i na każdej półce piętrzyły się sterty

porządnie zapakowanych kuponów przeróżnych tkanin, jak również całe tuziny bezwartościowych drobiazgów. Niezliczone ścinki krawieckie, przedziwnej długości kawałki jedwabiu i atlasów, i wzorzystej lub gładkiej bawełny; tuziny kartoników z igłami („pordzewiały biedactwa, a takie to były poręczne prezenty dla służących na Boże Narodzenie”); zdekompletowane i postrzępione stare suknie; listy i papeteria, i pamiątniki, i przepisy kulinarne, i wycinki z gazet; czterdzieści cztery poduszeczki na szpilki i trzydzieści pięć par nożyczek. Były też szuflady, wszystkie pełne delikatnej lnianej bielizny, poprzecieranej, lecz zachowanej, „bo koronki są jeszcze dobre, moja droga”.

Najsmutniejszą częścią domu była spiżarnia (ach, to urocze dzieciństwo Celii!). To w spiżarni babunia poddała się. Od dawna nie starczało jej sił, by penetrować jej wnętrze. Od dawna nikt nie dobierał się do starych zapasów, ponieważ na ich wierzchu już zdążono zgromadzić nowe. Zarażona wołkiem zbożowym mąka, pokruszone herbatniki, spleśniałe konfitury, lepkie bryły suszonych owoców, wszystko, co do okruszka i co do słoika, zostało wygrzebane z najciemniejszych zakamarków, wymiecione i, przy akompaniamencie głośnych lamentów i protestów, wyrzucone.

— Doprawdy, Miriam, to bezwstydnym marnotrawstwem. Czy nie dałoby się z tego robić puddingów dla kuchni?

Biedna babunia, tak utalentowana, energiczna i zapobiegliwa pani domu, została pokonana przez wiek i słabnący wzrok, i zmuszona do bezczynnego siedzenia i przyglądania się, jak obce oczy szacują rozmiary jej porażki...

Walczyła zawzięcie o każdy kolejny skarb, tak ochoczo wyrzucany na śmietnik przez to młodsze, bezwzględne pokolenie.

— Tylko nie moją brązową aksamitną suknię. Tylko nie brązowy aksamit. Szyła mi go w Paryżu madame Bonserot. Paryski szyk! Wszyscy mnie w niej podziwiali.

— Przecież jest zupełnie zniszczona, kochanie. Aksamit już się wytarł. I o, proszę, dziura na dziurze.

— Da się naprawić. Jestem pewna, że da.

Biedna babunia, była stara, bezbronna, na łasce młodszej rodziny, tak wzgardliwej, tak nudnej z tym swoim nieustannym: „To już na nic, wyrzucamy”.

Ją wychowano w duchu poszanowania dla każdej rzeczy. Tak, kiedyś wrócą tamte czasy, na pewno, tyle że ta jej młoda rodzina jeszcze o tym nie wie.

Starały się być uprzejme. Tak dalece ulegały jej życzeniom, że zapełniły tuzin staroświeckich kufrów ścinkami i sztukami materiałów i star ymi, zjedzonymi przez mole

futrami, wszystkim tym, czego nie miało się już nigdy użyć — lecz dlaczego miałyby się denerwować starszą panią bardziej niż to konieczne?

Babunia uparła się, że sama zapakuje jakieś dawno wyblakłe fotografie staroświeckich dżentelmenów.

— To przecież drogi pan Harty... i pan Lord... jaką piękną tworzyliśmy w tańcu parę! Wszyscy to mówili.

Och, to babuni pakowanie! Pan Harty i pan Lord przybyli do celu podróży zasypani odłamkami szkła. A przecież swego czasu babunia słynęła ze sztuki pakowania. Nic, co pakowała, nigdy się nie stłukło. Od czasu do czasu, kiedy myślała, że nikt nie widzi, babunia ukradkiem odyskiwała mały skrawek szamerunku, błyskotkę z dżetów, kawałeczek riuszki z tiulu, próbkę szydełkowej robótki. Upychała je w swojej głębokiej kieszeni, a potem potajemnie wkładała do jednego z wielkich niby arka Noego kufrów, które stały w jej sypialni i czekały na jej osobiste pakowanie.

Biedna babunia. Przeprowadzka omal jej nie zabiła. Ale tylko — omal. Babunia miała w sobie wolę życia. To wola życia popchnęła ją do tego, aby opuścić dom, w którym spędziła pół wieku. I wcale nie chodziło o Niemców. Niemcy nie zamierzali brać jej głodem ani straszyć nalotami. Chodziło o to, że babunia zamierzała żyć dalej i cieszyć się życiem. Kiedy się dojdzie do dziewięćdziesiątki, wtedy się wie, że życie to niewyobrażalnie dobra zabawa. To jest to, czego nie rozumieją młodzi. Młodym się zdaje, że każdy stary człowiek jest na pół martwy i godny litości. Młodym się zdaje, że starzy są głupi, natomiast starzy wiedzą, że młodzi są głupi! Jej ciotka Caroline powiedziała to w wieku osiemdziesięciu pięciu lat i jej ciotka Caroline miała rację.

Babunia nie zaprzętała sobie głowy dzisiejszymi młodymi ludźmi. Nie sądziła, by grzeszyli wytrwałością lub tężyzną fizyczną.

— Wystarczy popatrzeć na tych tam — tu wysunęła brodę w kierunku czterech osiłków mocujących się z jej komodą — jak nic poproszą, żebym opróżniła szuflady. Poprosili.

— Była wniesiona do domu z zasuniętymi szufladami, co do jednej — powiedziała babunia.

— To, szanowna pani, solidny mahoń. A w szufladach jest dużo ciężkich rzeczy.

— Tak samo było wtedy! No, ale wtedy byli mężczyźni. Dzisiaj człowiek ma do czynienia wyłącznie ze słabeuszami. Tyle zamieszania z byle powodu.

Komoda w końcu drgnęła. Młodzi ludzie, szczerząc zęby, znieśli ją na dół i załadowali na wóz meblowy.

— To już lepiej — powiedziała babunia z aprobatą w głosie. — Żeby wiedzieć, co się potrafi, trzeba najpierw spróbować.

Pośród rzeczy, które wyniesiono z domu babuni, znalazło się trzydzieści gąsiorów domowego likieru. U celu podróży rozładowano tylko dwadzieścia osiem...

Czy możliwe, by był to odwet na babuni za tamtą komodę?

— Hultaje — powiedziała babunia. — Hultaje, ot co. A mówili, że są abstynentami. I proszę, co za zuchwałość.

Mimo to tragarze dostali suty napiwek, a babunia tak naprawdę wcale nie była niezadowolona. Cokolwiek by powiedzieć, był to subtelny komplement pod adresem jej domowego likieru.

10

Dopiero kiedy babunia wprowadziła się i urządziła, przyjęto na miejsce Rouncy nową kucharkę. Była to dwudziestoosmioletnia dziewczyna, imieniem Mary. Miała pogodne usposobienie i życzliwie odnosiła się do starszych ludzi. Gawędziła z babunią o młodym człowieku, który się do niej zalecał, i o swoich krewnych, którzy nieustannie na coś cierpieli. Babunia wprost delectowała się opowieściami o bolących nogach, żylakach i innych dolegliwościach tychże krewnych i posyłała im przez Mary butelki własnych medykamentów, a także szale.

Celia znów zaczęła rozmyślać o podjęciu jakiegoś wojennego zajęcia, lecz babunia sprzeciwiła się temu stanowczo. Celia nie powinna się „przepracowywać”. Przepracowanie bywa dla młodych dziewcząt katastrofalne w skutkach. Tu babunia sypała jak z rękawa odpowiednimi przykładami.

Babunia kochała Celię. Dawała jej tajemnicze przestrogi i pięciofuntowe banknoty. Babunia szła przez życie z ugruntowanym przekonaniem, że zawsze trzeba, mieć pod ręką pięć funtów.

— I nie pozwól, by twój mąż dowiedział się o tym. Kobieta nigdy nie wie, kiedy może jej się przydać po cichu uskładana sumka... Pamiętaj, kochaneczko, mężczyźni są nie po to, aby im wierzyć. Dżentelmen nie dżentelmen, nie wierz żadnemu, chyba że trafisz na skończoną fujarę, choć — wcale ci tego nie życzę.

11

Przeprowadzka i okoliczności z nią związane szczęśliwie odwróciły uwagę Celi od wojny i Dermota.

Teraz, kiedy babunia już się zadomowiła, Celię zaczęła irytować własna bezczynność. Jak powstrzymać się od myślenia o Dermocie?

W rozpaczy zaczęła wydawać za mąż „swoje dziewczęta”. Isabella poślubiła bogatego Żyda. Elsie jakiegoś odkrywcę. Ella została nauczycielką w szkole. Wyszła za starszego mężczyznę, który miał w sobie coś ułomnego i który był oczarowany jej dziewczęcym szczebiotem. Ethel i Annie prowadziły wspólny dom. Vera zaangażowała się w romantyczny, morganatyczny związek z jakimś księciem, po czym, — w dniu własnego ślubu oboje tragicznie zginęli w wypadku samochodowym.

Planując wesela, wybierając suknie dla panien młodych, aranżując muzykę pogrzebową dla Very, Celia zapominała o otaczającej ją rzeczywistości.

Brakowało jej jakiejś ciężkiej pracy. Jakiegokolwiek. Tyle że każda praca oznaczała opuszczenie domu... Czy Miriam i babunia obeszłyby się bez niej? Babunia wymagała opieki. Celia czuła, że nie powinna zostawiać matki samej.

To Miriam zaczęła ponaglać Celię do opuszczenia domu. Świetnie zdawała sobie sprawę, że ciężka, fizyczna praca to jedyna rzecz, która w obecnej sytuacji mogłaby na Celię dobrze działać.

Babunia szlochała, jednak Miriam była stanowcza.

— Celia musi odejść.

Nie odeszła. Nie podjęła żadnej wojennej pracy.

Dermot został ranny w ramię i wrócił do domu. Lecząco go w szpitalu. Kiedy wyzdrowiał, został przeniesiony do służby obronnej i skierowany do Ministerstwa Wojny. On i Celia pobrali się.

10. MAŁŻEŃSTWO

1

Celia miała dość ograniczone wyobrażenia o małżeństwie. Było dla niej czymś w rodzaju „a potem żyli długo i szczęśliwie”, było szczęśliwym zwieńczeniem całej historii, jak w jej ulubionych bajkach. Nie przewidywała w nim ani żadnych kłopotów, ani katastrof.

Ludzie, którzy się kochają, są szczęśliwi. Nieszczęśliwe małżeństwa, a oczywiście wiedziała, że jest takich wiele, brały się z braku wzajemnej miłości.

Ani babuni rabelaisowskie opisy charakteru płci męskiej, ani przestrogi matki (ach, jakież one staroświeckie!), typu: „należy trzymać mężczyznę”, ani jakakolwiek liczba przeczytanych realistycznych książek z nikczemnym bohaterem i nieszczęśliwym zakończeniem tak naprawdę nie wywarły na Celi żadnego wrażenia. Mężczyźni z przypowieści babuni nigdy i w niczym nie przypominali jej Dermota. Postaci z książek pozostawały postaciami z książek. A przestrogi Miriam, zważywszy na jej nadzwyczajnie udane pożycie małżeńskie, brzmiały szczególnie zabawnie.

— Wiesz, mamó, tatuś nigdy nawet nie spojrzał na żadną inną kobietę. On poza tobą świata nie widział.

— To prawda, ale używał życia za młodych lat.

— Nie sądzę, byś lubiła Dermota albo mu ufała.

— Lubię go, a nawet uważam, że jest szalenie atrakcyjny.

Celia zaśmiała się.

— Och, mamó, ty uważasz, że nikt nie jest wystarczająco dobry ani atrakcyjny dla mnie, twego najdroższego jagniątka, nieopierzonej gołąbeczki. Prawda? No, dalej, przyznaj się. Żaden najwspanialszy z najwspanialszych mężczyzn.

Miriam zmuszona była przyznać, że być może tak jest w istocie.

A Celia i Dermot byli ze sobą szczęśliwi.

Przyglądając się ich szczęściu, Miriam powiedziała sobie, że chyba była przesadnie nieufna i wroga wobec mężczyzny, który zabrał jej córkę.

2

Dermot jako mąż był zupełnie inny, niż Celia sobie to wyobrażała. Nie miał w sobie ani śladu poprzedniej pyszałkowatości, władczości czy bezczelności. Był młody, nieśmiały, był bardzo zakochany, a Celia była jego pierwszą miłością.

W istocie w pewnym sensie przypominał Jima Granta. Lecz podczas gdy nieśmiałość Jima jedynie irytowała Celię, ponieważ nie była w nim zakochana, nieśmiałość Dermota czyniła go jeszcze droższym jej sercu.

Trochę, ledwo to sobie uświadamiając, bała się go. Był kimś obcym. Mimo swego zakochania zdawała sobie sprawę, że prawie nic o nim nie wie.

Johnnie de Burgh odwoływał się do jej instynktów fizycznych. Jim uwodził ją intelektualnie. Peter był jedną z nitek jej życia. W Dermocie odkryła kogoś, kogo dotychczas nie знаła — towarzysza zabaw dziecinnych.

W Dermocie było coś z wiecznej chłopięcości — coś, co wyszło naprzeciw dziecku tkwiącemu w Celii. Ich dążenia, ich myśli, ich charaktery znajdowały się na przeciwległych biegunach, lecz każde z nich chciało mieć towarzysza zabaw. I oto go sobie znalazła.

Małżeństwo było dla obojga kolejną zabawką. Zaczęli się nią bawić z całym entuzjazmem.

3

Co się najbardziej pamięta w życiu? Na pewno nie tak zwane ważne sprawy. Nie. To drobiazgi, niewiele znaczące błahostki mają stałe miejsce w naszej pamięci. To z nich nie można się otrząsnąć.

Patrząc wstecz, na początki swego małżeństwa, co Celia pamiętała?

Kupowanie sukni — pierwszej sukni, jaką sprawił jej Dermot. Przymierzała ją w ciasnej kabinie, a pomagała jej przy tym jakaś starsza kobieta. Potem poproszono Dermota, aby orzekł, czy mu się podoba.

Cała sytuacja ogromnie ich bawiła, a Dermot udawał, że nie pierwszy raz uczestniczy w takich zakupach. Nie zamierzali się przyznać (za nic w świecie!), że ich staż małżeński jest bardzo, ale to bardzo krótki.

Dermot posunął się nawet do tego, że w pewnym momencie powiedział, odpowiednio nonszalanckim tonem:

— Wiesz, ta różowa przypomina mi tamtą, którą kupiłem ci w Monte Cailo dwa lata temu.

Ostatecznie zdecydowali się na jasnobłękitną z małym bukiecikiem różyczek na ramieniu.

Celia zatrzymała tę suknię. Nigdy jej nie wyrzuciła.

4

Szukanie domu! Oczywiście musieli mieć umeblowany dom albo mieszkanie. Nie było wiadomo, kiedy Dermot może ponownie dostać rozkaz wyjazdu za granicę. No i ten dom powinien być tak tani, jak to możliwe.

Ani Celia, ani Dermot nie mieli pojęcia o tym, że cena zależy od dzielnicy. Śmiało sobie poczynając, wystartowali w samym sercu Mayfair!

Następnego dnia odwiedzili South Kensington, Chelsea i Bayswater. Dzień później oglądali mieszkania w West Kensington, Hammersmith, West Hampstead, Battersea i jeszcze dalej.

W końcu znaleźli dwa mieszkania. Jedno, z osobnym wejściem, za trzy gwinee tygodniowo. Znajdowało się w kwartale domów czynszowych w West Kensington, było w nim pedantycznie czysto i należało do wzbudzającej lęk starej panny o nazwisku Banks. Panna Banks była osobą nad wyraz praktyczną.

— Żadnych nakryć ani bielizny stołowej? To ułatwia sprawę. No i nigdy nie pozwalałam pośrednikom sporządzać inwentarza. Jestem pewna, że zgodzicie się ze mną, że to zwykła strata pieniędzy. Wystarczy, jak uzgodnimy wszystko między sobą.

Już dawno nikt tak nie przestraszył Celi jak panna Banks. Każde pytanie panny Banks ujawniało jej kompletny brak wiedzy o wynajmowaniu mieszkań.

Dermot obiecał dać odpowiedź i wyszli na ulicę.

— I co myślisz? — zapytała Celia, ogromnie przejęta. — Jest bardzo czyste. — Dotąd nigdy nie zastanawiała się nad kwestią czystości, lecz dwa dni chodzenia i szukania taniego umeblowanego mieszkania uświadomiły jej, że jest to pewien problem. — Niektóre z nich po prostu cuchną — dodała.

— Istotnie. A to jest całkiem przyzwoicie umeblowane i panna Banks zapewnia, że zakupy robi się w sąsiedztwie. Nie jestem pewien, czy ona sama mi się podoba. To herod-baba.

— Masz rację.

— Czuję, że dałaby się nam nieźle we znaki.

— Chodźmy obejrzyć to drugie. W końcu jest tańsze. To drugie było za dwie i pół gwinei tygodniowo.

Mieściło się na samej górze starego, zniszczonego budynku, najwyraźniej pamiętającego lepsze czasy. Były tam tylko dwa pokoje i wielka kuchnia, lecz pokoje były obszerne, szlachetne w kształcie, a do tego z widokiem na ogród, w którym rosły dwa drzewa.

Pod względem czystości, w żadnym wypadku nie mogło się równać z mieszkaniem praktycznej panny Banks, lecz Celia stwierdziła, że tutejszy brud jest całkiem przyjemnym rodzajem brudu. Wygląd tapet świadczył o wilgoci, farba na suficie się łuszczyła, a deski w podłodze wymagały naprawy. Ale kretonowe pokrycia były czyste, choć do tego stopnia wysłużone, że trudno było dopatrzeć się na nich oryginalnego deseni. No i były tu dwa duże, wygodne, sfatygowane fotele.

Dla Celia miało jeszcze jedną wielką zaletę. Kobieta, która mieszkała w suterenie zgodziłaby się im gotować, a przy tym sprawiała wrażenie miłej i dobrodusznej, a jej tusza i łagodne oczy przywiodły Celię na pamięć dawną Rouncy.

— Nie musielibyśmy rozglądać się za służącą.

— To prawda. Lecz czy jesteś pewna, że będzie ci tu dobrze? Mieszkanie nie ma oddzielnego wejścia i nie jest... no cóż, nie jest takie, w jakim się wychowałaś, Celio. Chcę powiedzieć, że twój dom jest przepiękny.

Tak, jej dom był przepiękny. Dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. Spokojna dostojność chippendali i hepplewhite'ów, porcelana, świeży chłód perkali... Może i popadał w ruinę — dach przeciekał, urządzenia kuchenne były przestarzałe, dywany były dość mocno przetarte, lecz mimo to dom nie tracił na swej urodzie...

— Jak tylko skończy się wojna — Dermot mówił pełen przekonania, wysunawszy brodę w typowy dla siebie sposób — zaczepię się gdzieś i zdobędę dla ciebie pieniądze.

— Nie chcę pieniędzy. A poza tym jesteś kapitanem. Gdyby nie wojna, nie awansowałbyś wcześniej niż za dziesięć lat.

— Gaża kapitana nie jest wysoka, a wojsko to żadna przyszłość. Trzeba się rozejrzeć za czymś lepszym. Teraz, kiedy mam dla kogo pracować, czuję, że mógłbym się podjąć każdej pracy. I podejmę się.

Celia zadrżała na jego słowa. Dermot był tak bardzo inny niż Peter. Nie godził się z życiem. Chciał je zmieniać. Czowała, że może mu się powieść. Miała rację, wychodząc za niego. Nie musi się dbać o to, co mówią inni. Któregoś dnia i tak jej będzie na wierzchu... Bo, oczywiście, nie obyło się bez krytycznych słów. Pani Luke (szczególnie ona!) czuła się w obowiązku okazać swoje prawdziwe przerażenie.

— Ależ, kochana Celio, to nie będzie życie, to będzie koszmar. Przecież nie będzie cię stać choćby na dziewczynę do zmywania. Będziesz mieszkać jak w chlewie.

Pani Lukę miała, jak widać, dość ograniczoną wyobraźnię, skoro brak dziewczyny do zmywania zdawał jej się ostateczną katastrofą. Celia była wielkoduszna. Przemilczała to, że mogą nie mieć nawet kucharki!

Następny był Cyril. Walczył gdzieś w Mezopotamii, lecz na wieść o jej zaręczynach zdobył się na napisanie długiego, pełnego przygany listu. „Nie będę owijał w bawełnę: cały ten interes to moim zdaniem czysty absurd...”

Lecz Dermot jest ambitny. Dermotowi się powiedzie. Dermot ma w sobie napęd. Ma siłę, która go pcha do przodu. Ma to coś, czego jej zawsze brakowało.

— Zdecydujemy się na to — powiedziała. — Jest całkiem niezłe, naprawdę. A poza tym panna Lestrangle jest o wiele miłsza od panny Banks.

Panna Lestrangle była sympatyczną, trzydziestoletnią kobietą. Uśmiechała się do nich życzliwie, a w oczach miała wesołe iskielki.

Jeśli owa traktująca siebie z niezmierną powagą para młodych ludzi rozbawiła ją, postarała się tego nie okazać. Przystała na wszystkie sugestie przyszłych lokatorów, udzieliła, w taktowny sposób, niezbędnych informacji i wyjaśniła, jak działa piecyk gazowy (tym ostatnim Celia była przerażona, przedtem bowiem nigdy nie spotkała się z takim urządzeniem).

— Ale i tak nie będzie się pani często kąpać — dodała pogodnie. — Gaz jest racjonowany. Jego przydział wynosi czterdzieści tysięcy stóp sześciennych. No a pamiętajmy o gotowaniu.

Celia i Dermot wprowadzili się na Lanchester Terrace, pod numer ósmy, na sześć miesięcy, a Celia weszła w rolę pani domu.

5

Tym, co Celii najbardziej dokuczało we wczesnym okresie małżeństwa, była samotność.

Dermot wyjeżdżał każdego ranka do Ministerstwa Wojny, a ona zostawała sama, mając przed sobą cały długi dzień.

Pender, ordynans Dermota, podawał śniadanie, czyli jajka na bekonie, sprzątał mieszkanie i wychodził wyfasować następną rację żywności. Wtedy przychodziła pani Steadman, aby omówić z Celią wieczorny posiłek.

Pani Steadman była uczynną i gadatliwą osobą, a także pełną dobrej woli, choć może nie zanadto utalentowaną kucharką. Jak sama przyznawała, „nie miała ręki do pieprzu”.

Istotnie, wyglądało na to, że nie jest w stanie utrafić w nic pośredniego między kompletnie nie przyprawioną potrawą albo czymś takim, co zamiast smakować, jedynie wyciskało łzy z oczu i dusiło w gardle.

— Zawsze taka byłam — godziła się pogodnie ze swymi niedostatkami — nawet za dziewczęcych lat. Nie mam też ręki do żadnych pasztecików ani ciasteczek.

Pani Steadman, widząc, że Celia za wszelką cenę chce być oszczędna, ale nie wie, jak się do tego zabrać, prędko wzięła się za matkowanie.

— To już lepiej mnie zostawić zakupy, moja złociutka. Młode gospodynie to żer dla oszustów. Przy— szłoby to komu do głowy, że się stawia śledzia na ogonie? Niby że taki świeży? A im przychodzi. Sprzedawcom ryb, ma się rozumieć. Nie brakuje im sprytu, nie powiem, przynajmniej niektórym.

Pani Steadman potrząsnęła głową w posępnej zadumie.

Prowadzenie domu podczas wojny było nie lada wyczynem. Za jedno jajko płaciło się osiem pensów. Celia i Dermot żywili się „substytutem jajek”, zupą w kostkach, nazywaną przez Dermota „zupą z brązowego piasku”, i wojskowymi racjami mięsa.

Racja mięsa podnieciła panią Steadman bardziej niż cokolwiek w ciągu ostatnich miesięcy, jeżeli nie lat. Kiedy Pender wrócił z pierwszym potężnym kawałem wołowiny, Celia i pani Steadman obchodziły ją w podziwie z każdej strony, przy czym pani Steadman usta się nie zamykały.

— No i proszę, czyż to nie piękny widok? Uczciwie mówię: aż mi ślinka cieknie. Od samiuteńkiego początku wojny nie widziałam tyle mięsa naraz. Toż to jak malowane. Żałuję, że mojego starego nie ma w domu, bo bym go tu migiem przyprowadziła. Niechby sobie oczy nacieszył, ma się rozumieć za paninym przyzwoleniem, moja złociutka. Ale co do pieczenia, to taki kawał wołu w żaden sposób nie zmieści się w tym piecyku. Lepiej będzie, jak przyrządzę ją na dole.

Celia nalegała, aby pani Steadman odkroiła sobie kilka plastrów upieczonego mięsa, i pani Steadman, po stosownym wzbranianiu się, przystała na to.

— Tylko ten jeden raz — bo to wcale nie chciałam się przymówić, moja złociutka.

Pani Steadman do tego stopnia nie ukrywała swego zachwytu, że w końcu sama Celia czuła się całkiem podekscytowana, kiedy ostatecznie jej „pieczone” dumnie stanęło na stole.

Na lunch Celia zazwyczaj przynosiła sobie coś z pobliskiej kuchni ludowej. Nie miała odwagi korzystać z gazu za często. Dzięki używaniu piecyka tylko wczesnym rankiem i

wieczorem, a także dzięki ograniczeniu kąpeli do dwóch razy w tygodniu, mogli się zmieścić w swoim przydziale i na dodatek pozwolić sobie na ogrzewanie salonu.

W kwestii masła i cukru pani Steadman była wysoko cenionym sojusznikiem, posiadała bowiem zapasy tych produktów w ilościach, do których nijak się miały racje wydzielane przez państwo.

— Ja jestem swoja, moja złociutka — zwierzyła się kiedyś Celi. — Jak tylko wchodzę, młody Alfred zawsze mruga do mnie porozumiewawczo. „Wszystko dla mamuski”, mówi. Ale nie dla każdej damulki, która wchodzi do sklepu, ma coś spod lady. On i ja znamy się na wylot.

W ten oto sposób pani Steadman matkowała Celi, a ona praktycznie cały dzień miała dla siebie. I coraz częściej nie wiedziała, co z nim zrobić!

W domu był ogród, było układanie kwiatów, pianino... No i była Miriam...

Tu nie było nikogo. Jej londyńskie przyjaciółki albo powychodziły za mąż, albo rozjechały się po świecie, albo na czas wojny zatrudniły się w szpitalach. Większość z nich była, w porównaniu z Celią, bardzo bogata. Będąc panną, dostawała sterty zaproszeń do cudzych domów, na tańce, na przyjęcia w Ranelagh i Hurlingham. Po zamążpójściu wszystko się urwało. Ona i Dermot nie mogliby w rewanżu podejmować gości u siebie. Dla niej ludzie nigdy wiele nie znaczyli, lecz teraz było inaczej, teraz boleśnie odczuwała swoją bezczynność. Powiedziała Dermotowi, że chciałaby podjąć pracę w szpitalu. Dermot zaprotestował gwałtownie. Nawet nie chciał jej słuchać. Celia ustąpiła, lecz ostatecznie stanęło na tym, że pójdzie na kurs maszynopisania i stenografii. A przy okazji także buchalterii. To zawód, powiedziała, który może się przydać, jeśli później zechce pracować.

Celia bardzo polubiła buchalterię, gdyż z natury była dokładna i systematyczna. No a od kiedy miała w ciągu dnia coś do zrobienia, życie zdało się jej odrobinę pogodniejsze.

Potem przychodziła radość z powrotów Dermota — ta. Obojgu przebywanie ze sobą dostarczało mnóstwo ciągłej ekscytacji i szczęścia.

Najprzyjemniejszą chwilą ze wszystkich spędzanych razem była ta, kiedy przed położeniem się spać zasiadali przed kominkiem. Dermot z filiżanką owałtyny, Celia z filiżanką bulionu. Tak jej, jak i jemu trudno było uwierzyć, że to prawda, że naprawdę są razem na zawsze.

Dermot nie był wylewny. Nigdy nie mówił „kocham cię” i rzadko kiedy pozwalał sobie na spontaniczne pieszczoty. Dla Celi było oczywiste, że jej mąż ma kłopoty z

uzewnętrznianiem swoich uczuć, toteż ze wzruszeniem i z zachwytem przyjmowała każde czulsze słowo i składała je na dnie swojego serca niby najdroższy skarb.

Siedzieli i rozmawiali o dziwactwach pani Steadman. Nagle Dermot przyciągał ją do siebie i dukał:

— Celio... taka jesteś piękna... taka piękna. Obiecuj mi, że zawsze będziesz piękna. — Kochałbyś mnie tak samo, nawet gdybym nie była.

— Całkiem tak samo? Nie, niemożliwe. Nie całkiem. A więc obiecuj. Powiedz, że zawsze będziesz piękna...

6

Trzy miesiące po osiedleniu się w Londynie Celia przyjechała do domu z tygodniową wizytą. Miriam sprawiała wrażenie chorej i zmęczonej. Babunia, zaś wyglądała kwitnąco i miała w zapasie bogaty repertuar historyjek o przeokropnych czynach Niemców.

Miriam była niby wędnący kwiat, który wstawiono do wody. Odżyła już nazajutrz po przyjeździe Celi i od nowa stała się sobą. — Tak strasznie za mną tęskniłaś, mamusiu? — Tak, kochanie. Nie mówmy o tym. To przecież i tak musiało kiedyś nastąpić. A ty jesteś szczęśliwa, a przynajmniej na taką wyglądasz.

— Tak, mamusiu, i wyobraź sobie, zupełnie się myliłaś, co do Dermota. On jest taki miły. Milszego męża nie mogłabym znaleźć. No i świetnie się bawimy. Wiesz, jak uwielbiam ostrygi, prawda? Dla żartu włożył mi do łóżka cały tuzin. Och, teraz to brzmi głupio, lecz my śmiałyśmy się i śmiałyśmy. Jest taki kochany. I taki dobry. Nie sądzę, by kiedykolwiek potrafił zrobić coś podłego albo niehonorowego. Pender, jego ordynans, świata nie widzi poza „panem kapitanem”. Wobec mnie jest dość krytyczny. Prawdopodobnie uważa, że nie jestem wystarczająco dobra dla jego bożyszczka. Wiesz, któregoś dnia powiedział: „Pan kapitan uwielbia cebulę, ale nie zdaje mi się, żeby w tym domu była choćby jedna”. No więc usmażyłyśmy cebulę. Pani Steadman zawsze jest po mojej stronie i upiera się, by gotować to, co ja lubię. Pani Steadman powiada, że i owszem, mężczyźni nie są źli, tylko niechby choć tak raz ustąpiła Steadmanowi, a już byłoby po niej.

Celia siedziała na łóżku matki. Usta jej się nie zamykały. Była szczęśliwa.

Jak to miło znów znaleźć się w domu. Już zapomniała, jaki jest ładny i zadbany. Że też kiedyś brała nieskazitelną biel obrusa i lśniące srebrne sztucce, a także wysmienite, choć niewymyślne jedzenie za rzecz całkiem oczywistą!

Matka powiedziała Celii, że Mary wybiera się do Kobiecej Służby Pomocniczej.

— Uważam, że to całkiem słuszny krok z jej strony. Jest młoda.

Gregg, od kiedy wybuchła wojna, wynajdywała coraz to nowe powody do wiecznych utyskiwań, a zwłaszcza wyrzekała na jedzenie. „Przyzwyczajona jestem do obiadów z gorącym daniem mięsnym. Te podróbki i ryba nie są ani zdrowe, ani pożywne”. Nadaremnie Miriam usiłowała tłumaczyć, że logicznym następstwem wojny są pewne ograniczenia. Gregg była za stara, by to zrozumieć. „Oszczędność to jedno, właściwe odżywianie to drugie. A margaryny jak nie jadłam, tak nie będę jadła. Mój ojciec przewróciłby się w grobie, gdyby się dowiedział, że jego córka jada margarynę, i to w prawdziwie pańskim domu”.

Miriam śmiała się, przytaczając Celii jej słowa.

— Najpierw ulegałam. Margarynę zostawiałam sobie, a jej dawałam masło. A potem, któregoś dnia, zamieniłam opakowania i powiedziałam, że mam niezwykle dobrą margarynę, po prostu jak masło, i czy zechciałaby jej spróbować. Spróbowała i natychmiast skrzywiła się. Nie, doprawdy, ona czegoś takiego nie będzie jeść. Wtedy podałam jej prawdziwą margarynę, w papierze po maśle, i znów poprosiłam o spróbowanie. „O tak, co masło, to masło”, powiedziała. Przyznałam się, dość poirytowana, do oszustwa, i od tej pory skończyły się niesnaski. Dzielimy się jednym i drugim po równo. Babunia w kwestii jedzenia także była nieugięta.

— Pamiętaj Celio, żebyś nie skąpiła sobie masła i jajek.

— Ależ babuniu, z masłem nie powinno się przesadzać.

— Nonsens, moja droga. W twoim wieku? Masz je jeść, i tyle. Córka pani Riley, taka piękna dziewczyna, umarła nie dalej jak przedwczoraj. Zagłodziła się na śmierć. Cały dzień nic tylko praca, a potem w domu dojadanie resztek. Najpierw miała grypę, a potem zapalenie płuc. Powiedziałabym jej, jak naprawdę powinna się prowadzić.

Babunia pogodnie pokiwała głową nad swoją robótką.

Biedna babunia, jej wzrok pogarszał się coraz bardziej. Używała już tylko grubych— drutów, lecz mimo to często gubiła oczka albo myliła wzór. „Na próżno tracę czas”, mawiała wówczas, płacząc cichutko. „Że też na to mi przyszło. Tracić czas”.

Robiła się coraz bardziej podejrzliwa względem swego otoczenia. Celia, wchodząc do jej sypialni na dzień dobry, często zastawała ją w potokach łez.

— Moje kolczyki, kochaneczko. Moje brylantowe kolczyki, te od twojego dziadka. To ta dziewczyna mi je zabrała.

— Jaka dziewczyna?

— Mary. I próbowała mnie otruć. Dodała coś do mojego gotowanego jajka. Wyczułam to.

— Och, babuniu, w gotowanym jajku?

— Wyczułam, kochaneczko. Wyczułam gorycz na języku. — Babunia skrzywiła się. — Kilka dni temu jakaś służąca otruła swoją panią. Było o tym w gazetach. Mary wie, że ja wiem, że to ona kradnie moją biżuterię. Już niejedno mi wyniosła. No a teraz, jak widać, przyszła kolej na moje piękne kolczyki.

— Jesteś pewna, że nie ma ich w szufladzie?

— Nawet nie masz co szukać, kochaneczko. Przepadły, wierz mi.

— Która to szuflada?

— Ta po prawej stronie. Mary zawsze przechodzi z tacą koło niej. Zawinęłam je w swoje mitenki. Ale szkoda twojego czasu, ja już przeszukałam każdy kąt.

Kolczyki były na swoim miejscu, choć nie w mitenkach, a w kawałku jakiejś starej koronki. Babunia dziwiła się uroczo i mówiła, że Celia to prawdziwie dobre i rozzgnięte dziecko, lecz nadal miała podejrzenia co do Mary.

Wychylała się w fotelu do przodu i sykała porozumiewawczo :

— Celio, twoja torebka. Twoja torebka! Gdzie ją masz?

— U siebie w pokoju, babuniu.

— One tam poszły. Na pewno, mówię ci.

— Tak, babuniu, sprzątają pokój.

— Ale są już za długo. Szukają twojej torebki. Zawsze noś ją przy sobie.

Babunia z powodu złego wzroku miała kłopoty z wypisywaniem czeków. To Celia była osobą, która towarzyszyła jej przy tej czynności. Wskazywała miejsce, gdzie należało zacząć pisać, a gdzie skończyć.

Babunia wypisywała czek, wzdychała, wręczała go Celii i wysyłała ją do banku.

— Zauważ, kochaneczko, że wypisałam dziesięć funtów, chociaż rachunek nie przekracza dziewięciu. Nigdy jednak nie wypełniaj czeku na dziewięć funtów, zapamiętaj to sobie. Dziewięć łatwo podrobić na dziewiętnaście.

Tylko Celia pobierała pieniądze babuni z banku, więc tylko ona miała okazję, by ów czek sfalszować. Babunia jakby nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Uważała, że każda forma asekuracji jest dobra, jeśli chodzi o własne bezpieczeństwo.

Babunię bardzo łatwo wyprowadzały z równowagi delikatne uwagi Miriam na temat jej sukien.

— Wiesz, mammo, ta, którą masz na sobie, jest przetarta prawie na wylot.

— Ten aksamit? Mój piękny aksamit?

— Tak, ty tego nie widzisz. Ale ta suknia jest naprawdę w okropnym stanie.

Babunia wzdychała żałośnie. W jej oczach pojawiały się łzy.

— Mój aksamit. Mój piękny aksamit. Paryski, moja droga.

Babunia cierpiała. Babunię wyrwano z korzeniami z jej środowiska. Po urokach Wimbledonu wieś ją koszmarnie nudziła. Prawie nikt jej nie odwiedzał. Nic się nie działo. Nigdy nie wychodziła do ogrodu, bo nadal panicznie bała się świeżego powietrza. Całymi dniami przesiadywała w pokoju stołowym tak samo jak niegdyś w swoim domu. Miriam czytywała jej gazety, ale poza tym — tak dla jednej, jak i dla drugiej — czas płynął wolno.

Jedyną rozrywką babuni było zamawianie olbrzymich ilości przeróżnych artykułów spożywczych, a kiedy już je dostarczono, wyszukiwanie odpowiednich kryjówek, tak by nikomu nie „pchały się przed oczy”. Puszki sardynek i paczki herbatników zalegały wierzchy komód, a sekretarzyki kryły w swych wnętrzach konserwowane ozorki i torebki cukru. Nawet osobiste kufry babuni pełne były puszek jakiegoś złocistego syropu.

— Ależ, babuniu, naprawdę nie powinnaś gromadzić takich zapasów.

Babunia uśmiechała się pogodnie. — Wy, młodzi — mówiła — niczego nie wiecie. Podczas oblężenia Paryża ludzie jedli szczury. Szczury, moja droga. W życiu nic się tak nie liczy jak przezorność, Celio. Przezorność i zapobiegliwość. No cóż, mnie wychowano w tym duchu... Nagle twarz babuni nieruchomiała. — Służące... chyba znów myszkują u ciebie. Celio, co z twoją biżuterią?

7

Przez kilka dni z rzędu, Celia miała lekkie mdłości. Potem mdłości przeszły w gwałtowne wymioty. Celia, wyczerpana, została w łóżku.

— Mammo, czy to znaczy, że będę miała dziecko?

— Obawiam się, że tak.

Miriam nie miała uszczęśliwionej miny. — Obawiasz się? — spytała Celia, zaskoczona.
— Nie chciałabyś, żebym miała dziecko?

— Nie, nie chciałabym. Nie teraz. A ty? Bardzo tego pragniesz?

— No cóż... — Celia zamyśliła się. — Właściwie to nawet nie zdążyłam się zastanowić. Nie rozmawiałam o tym z Dermotem, choć myślę, że po cichu każde z nas brało pod uwagę taką ewentualność. Nie chciałabym nie mieć dziecka. Zdawałoby mi się, że coś mnie ominęło...

W życiu nie zawsze bywa tak jak w książkach. Kiedy Dermot przyjechał na weekend, Celia nadal wymiotowała.

— Czy wiesz, co ci jest, Celio?

— Myślę, że będę miała dziecko. Dermot się zdenerwował. Okropnie.

— Nie chcę mieć żadnego dziecka. Czuję się jak brutal, jak skończony drań. Nie potrafię spokojnie patrzeć na to, co się z tobą dzieje.

— Ależ, kochany, ja się z tego bardzo cieszę. To takie straszne nie mieć dzieci.

— Nic mnie to nie obchodzi. Nie chcę żadnego dziecka. Będziesz tylko o nim myśleć, nie o mnie.

— Nie będę. Naprawdę, wierz mi.

— Będziesz. Kobiety już takie są. Uwielbiają siedzieć w domu i kręcić się przy dzieciach. Zapominają o mężach.

— Ja taka nie będę. Będę kochać dziecko dlatego, że jest twoje. Czy nie potrafisz tego zrozumieć? Nie zależy mi na dziecku w ogóle, zależy mi na twoim dziecku. A ciebie i tak będę kochać najbardziej... najbardziej i zawsze.

Dermot odwrócił się. Najwyraźniej chciał ukryć łzy.

— Nie zniosę tego. To moja, i tylko moja wina. Nie powinienem był do czegoś takiego dopuścić. Przecież możesz umrzeć.

— Nie umrę. Jestem bardzo silna.

— Twoja babka mówi, że jesteś niezwykle delikatną istotą.

— Och, to cała babunia. Ona wprost cierpnie na myśl, że ktoś się może cieszyć tęgim zdrowiem.

Dermot odetchnął z ulgą, a Celia była w siódmym niebie: on naprawdę ją kocha, on naprawdę się nią przejmuje.

Kiedy wrócili do Londynu, nie odstępował jej ani na krok. Nalegał, by jadła tylko domowe jedzenie i znosił lekarstwa, które miały powstrzymać wymioty.

— Po trzech miesiącach same miną. Wiem to z książek.

— Trzy miesiące to długo. Nie chcę, żebyś wymiotowała przez trzy miesiące.

— Wiem, że to okropne, ale nie potrafię się powstrzymać.

Spodziewane macierzyństwo okazało się dla Celi wyrażnym rozczarowaniem. W swoich marzeniach widziała siebie siedzącą z igłą w ręku i szyjącą malutkie ubranka, podczas gdy jej pogodne myśli krążyłyby wokół mającego się urodzić dziecka.

Lecz czy mogła mieć pogodne myśli, skoro czuła się jak pasażer statku parowego w czasie sztormu? Intensywne wymioty wymiotły z niej wszystkie myśli, nie tylko te pogodne! Celia była zdrową, lecz bardzo cierpiącą istotą.

Miała mdłości nie tylko wczesnym rankiem, lecz przez cały długi dzień, z pewnymi, nieregularnie występującymi przerwami. Poza tym, że cierpiała fizycznie, jej życie stało się koszmarem, nigdy bowiem nie było wiadomo, kiedy nastąpi kolejny atak. Dwa razy wyskoczyła z autobusu i zwymiotowała do rynsztoka. W takich okolicznościach korzystanie z zaproszeń, byłoby, najłagodniej rzecz ujmując, nieostrożnością.

Celia, nieszczęśliwa, zgnębiona fizycznie i psychicznie, przesiadywała w domu, jedynie od czasu do czasu ryzykując spacer dla zdrowia. Zarzuciła wszystkie kursy. Szycie przyprawiało ją o zawrót głowy. Leżała w fotelu i czytała albo przysłuchiwała się licznym położniczym wspomnieniom pani Steadman.

— Pamiętam, chodziłam wtedy z Beatrice. To mnie naszło w sklepie z warzywami (wstąpiłam tam po pół funta brukselki). Muszę mieć tamtą gruszkę! Była duża i soczysta, taka, jaką bogacze kupują na deser. Nim zdążyłam pomyśleć, już ją miałam w garści i już ją jadłam! Obsługującemu mnie chłopakowi mało oczy nie wyszły z orbit, i nic dziwnego. Właściciel, ojciec rodziny, powiedział tylko: „W porządku, synu”. I do mnie: „Niech pani nie zwraca na niego uwagi”. „Tak mi przykro”, ja na to. A on: „W porządku. Mam siedmioro swoich, a moja pani ostatnim razem nie miała ochoty na nic poza peklowaną wieprzowiną”. — Pani Steadman zrobiła przerwę dla złapania oddechu, po czym dodała: — Szkoda, moja złociutka, że nie masz przy sobie mamusi, choć to rozumiałe, starsza pani, twoja babka, też wymaga opieki.

Celia też żałowała, że matka nie może do niej przyjechać. Zima była mglista, mgła zalegała, ulice całymi dniami, a dni dłużyły się niezmiernie. Dermot, dzień po dniu, wracał późno.

Lecz po powrocie był wprost uroczy, no i wciąż tak bardzo o nią niespokojny. Często kupował nowe książki o ciąży i przy obiedzie czytał z nich co ciekawsze urywki.

Zdarza się, że kobiety w tym okresie miewają apetyt na coś nietypowego i egzotycznego. W dawnych czasach starano się zwykle zaspokajać tego rodzaju zachcianki. Dzisiaj zwracamy uwagę, by czymś takim nie zaszkodzić kobiecie.

— Czy zjadłabyś coś nietypowego i egzotycznego, Celio?

— Mało mnie obchodzi, co jem.

— Przeczytam ci coś o częściowej narkozie. To chyba niegłupia rzecz.

— Dermocie, jak myślisz, kiedy przestanę wymiotować? Minęły już cztery miesiące.

— Och, to musi się wkrótce skończyć. Wszystkie książki są zgodne co do tego.

Lecz, jakby na przekór książkom, to nie kończyło się. Celia wciąż wymiotowała.

Dermot sam z siebie zaproponował, żeby Celia wyjechała do domu.

— Wyobrażam sobie, jak koszmarne dłużą ci się tutaj dni.

Lecz Celia odmówiła. Gdyby wyjechała, on na pewno czułby się zraniony. Zresztą nie chciała jechać. Oczywiście, wszystko się dobrze skończy, ona nie umrze, jak to Dermot w absurdalny sposób sugerował, lecz, tak na wszelki wypadek (czasami kobiety umierają), nie chciała stracić ani minuty z ich wspólnego czasu...

Mimo swoich dolegliwości, wciąż kochała Dermota, może nawet bardziej niż kiedykolwiek.

No i był dla niej taki dobry i taki zabawny...

Któregoś wieczoru zauważyła, że porusza bezgłośnie ustami.

— Co ty wyprawiasz? Czyżbyś mówił sam do siebie?

Dermot spojrzał na nią dość nieprzytomnie.

— Wiesz, wyobrażałem sobie taką oto scenę: „Nie możemy uratować obojga, matki i dziecka”, mówi do mnie lekarz. A ja na to: „Proszę pociąć dziecko na kawałki”.

— Dermocie, jesteś brutalny.

— Nienawidzę go za to, co z tobą wyprawia, jeśli, oczywiście, to jest on. Chcę, żeby to była ona. Nie miałbym nic przeciwko niebieskookiej, długonogiej córce. Natomiast cierpnę na myśl o jakimś małym potworze rodzaju męskiego.

— To chłopiec. Ja chcę chłopca. Chłopca takiego jak ty.

— Będę go bił.

— Nawet nie chcę tego słuchać. Jesteś okropny. — To obowiązek ojców, bić swoje dzieci. — Jesteś zazdrosny, mój drogi.

Tak, Dermot był zazdrosny, potwornie zazdrosny.

— A ty jesteś piękna. Chcę cię mieć wyłącznie dla siebie.

Celia zaśmiała się.

— Piękna, mówisz? Zwłaszcza teraz, tak?

— Będziesz taka, jaka byłaś, już niedługo. Popatrz na Gladys Cooper. Ma dwoje dzieci, a wciąż jest śliczna. Myślenie o niej to dla mnie wielka pociecha. — Dermocie, wołałabym, żebyś nie powtarzał w kółko, jak ważna jest dla ciebie moja uroda. To mnie trochę przeraża.

— Dlaczego? Będziesz piękna przez lata, przez całe długie lata...

Celia skrzywiła się i poruszyła niezręcznie.

— Co ci jest? Coś zabolalo?

— Nie, coś mnie ubodło w bok, bardzo nieprzyjemnie. Poczulałam jakby kopnięcie.

— To jeszcze nie „to”. Wiem z ostatniej książki, że dziecko zaczyna kopać po piątym miesiącu...

— Och, Dermocie, chcesz powiedzieć, że „dzieciatko poruszyło się pod sercem”? To brzmi tak pięknie, tak poetycko... Myślę, że to będzie przyjemne uczucie. Nie, to nie może być to.

A jednak to było to!

Moje dziecko, mówiła Celia, jest bardzo aktywne. Cały czas kopie. To z powodu tej nadmiernej aktywności oboje zgodnie nazwali je Punchem.

— Czy Punch był dzisiaj bardzo aktywny? — pytał Dermot po powrocie.

— Strasznie — odpowiadała Celia. — Ani chwili spokoju, ale coś mi się zdaje, że teraz ucina sobie drzemkę.

— Spodziewam się, że wyrośnie z niego zawodowy bokser.

— Nie, nie chcę mieć syna ze złamanym nosem.

Tym, czego sobie Celia najbardziej życzyła, był przyjazd matki, lecz Miriam, której również marzył się wyjazd do córki, musiała zostać przy babuni. Babunia nie czuła się dobrze. Przechodziła lekki bronchit. Skarzyła się: „To z tego otwierania okien w mojej sypialni, moja droga”.

Zdaję sobie sprawę (pisała Miriam), że to ja odpowiadam za babunię, więc nie wolno mi jej zostawić pod opieką służby, wobec której, jak sama wiesz, w ostatnich czasach jest potwornie nieufna. Lecz, och, kochanie, jakże bardzo pragnę być przy Tobie. Nie mogłabyś Ty tutaj przyjechać?

Celia nie chciała opuszczać Dermota. W głębi ducha bowiem powracała do niej wciąż jedna i ta sama myśl: „Mogę umrzeć”.

Babunia wzięła sprawy w swoje ręce. Napisała do Celii. Stosownie do zanikającego wzroku, szpiczaste, pająkowate literki kapryśnie błąkały się po białym papierze.

Najdroższa Celio,

Nalegam, by Twoja matka pojechała do Ciebie. To bardzo niekorzystne dla kogoś w Twoim stanie, mieć pragnienia, których nie można zaspokoić. Przecież wiem, że Twoja droga matka wyrывa się do Ciebie myślami, tyle że nie chce mnie zostawić na łasce służby. Sprawę służby wolę jednak przemilczeć, bo nigdy nie wiadomo, kto czyta czyjeś listy.

Nie trać, drogie dziecko, równowagi ducha i pamiętaj, żebyś nie przykładała ręki do ciała, jeśli patrzysz na łososia albo na homara. Moja matka, będąc przy nadziei, dotknęła ręką szyi, a patrzyła właśnie na łososia, i stąd Twoja ciocia Caroline urodziła się z różowym znamieniem na szyi.

Dołączam pięć funtów (połówkę — drugą doślę oddzielnie). Koniecznie musisz kupować sobie wszystko, na co masz ochotę.

Twoja bardzo Cię kochająca babunia.

Wizyta Miriam sprawiła Celii ogromną radość. Oboje z Dermotem urządzili jej spanie w salonie na kanapie, a Dermot zachowywał się wobec swojej teściowej wyjątkowo szarmancko. Jeśli jednak Miriam patrzyła na niego cokolwiek łaskawszym okiem, to tylko dlatego, że wzruszała ją jego czułość dla Celii.

— Wiesz, czasami myślę, że to zazdrość była przyczyną mojej niechęci do niego — przyznała się Miriam. — Zresztą i teraz nie potrafiłabym darzyć sympatią nikogo, kto chciałby mi ciebie zabrać.

Na trzeci dzień dostała telegram i natychmiast wróciła do domu. Babunia umarła nazajutrz po jej przyjeździe. Niemal w ostatnich słowach poleciła przekazać Celii, by nigdy nie wyskakiwała ani nie wskakiwała do autobusu. „Młode mężatki nie myślą o takich rzeczach”.

Babunia nie miała pojęcia, że umiera. Złościło ją to, że nie skończyła jeszcze dawno rozpoczętej robótki — maleńkich wełnianych bucików dla dziecka Celii... Nawet nie przyszło jej na myśl, że mogłaby nie dożyć przyjscia na świat swojego prawnuka.

Śmierć babuni nie zaważyła na finansach Miriam i Celi. Znaczniejszą częścią jej kapitału byli żywotnie zainteresowani krewni jej trzeciego męża. Z pozostałych pieniędzy więcej niż połowa poszła na różne drobne legaty. Reszta przypadła Miriam i Celi. Podczas gdy Miriam, w ogólnym rozrachunku, okazała się stratna (dochody babuni pomagały jej prowadzić dom), to Celia zyskała — miała odtąd otrzymywać sto funtów rocznie. Za zgodą i aprobatą Dermota przekazała je Miriam, chcąc w ten sposób pomóc w konserwacji i utrzymaniu domu. Teraz bardziej niż kiedykolwiek cierpła na myśl o jego sprzedaży. Miriam zgadzała się z nią. Wyobrażała sobie, że to tutaj będzie zjeżdżać latem Celia z dziećmi.

— A poza tym, kochanie, w przyszłości, kiedy mnie już zabraknie, możesz go potrzebować dla siebie. Chciałabym mieć pewność, że ten dom zawsze będzie dla ciebie azylem.

Celia pomyślała, że słowo azyl jest w tym wypadku odrobinę zabawne. Poza tym nie miała nic przeciwko pomysłowi, aby dom matki stał się kiedyś domem jej i Dermota.

Dermot jednakże podchodził do sprawy inaczej.

— Rozumiem twoje przywiązanie, lecz nie sądzę, byśmy mieli z domu wiele pożytku.

— Możemy tam kiedyś zamieszkać.

— Tak, kiedy będziemy mieli po sto lat. Dopóki jesteśmy młodzi, lepiej abyśmy nie mieszkali zbyt daleko od Londynu.

— A gdy przejdziesz na wojskową emeryturę?

— Nawet wówczas nie zamierzam popaść w żaden marazm. Będę pracował. No i nie jestem taki pewny, czy po wojnie zostanę w wojsku. Choć to rozmowa nie na teraz.

Istotnie, po co wybiegać myślą w przyszłość? Wszak w każdej chwili mógł być znów wysłany do Francji. Mógł polec...

Będę miała jego dziecko, pomyślała Celia.

Wiedziała jednak, że żadne dziecko nie zastąpi w jej sercu Dermota. Dermot znaczył dla niej więcej niż ktokolwiek w świecie i tak miało pozostać zawsze.

11. MACIERZYŃSTWO

1

Dziecko przyszło na świat w lipcu, w tym samym pokoju, gdzie dwadzieścia dwa lata wcześniej urodziła się Celia.

Na zewnątrz ciemnozielone gałęzie buka stukały do okna.

Pomijając lęki (potworne!) o Celię, Dermot rozsądnie uznał, że rola matki spodziewającej się dziecka jest bardzo zabawna. Żadna inna postawa męża nie pomogłaby Celi tak dobrze znosić tego trudnego dla niej okresu. Celia aż do końca była silna i aktywna, lecz też do końca dolegliwości, które odczuwała wcześniej, nie ustąpiły.

Pojechała do Miriam mniej więcej na trzy tygodnie przed spodziewanym rozwiązaniem. Dermot wziął tygodniowy urlop i dołączył do niej w ostatnich dniach. Celia miała nadzieję, że jej dziecko urodzi się przy nim. Jej matka miała nadzieję, że urodzi się po jego odjeździe. Mężczyźni, jak mówiła, w taki czas są nieznośni i tylko przeszkadzają. Pielęgniarka, która zjawiała się w domu, tchnęła tak wielkim optymizmem i emanowała tak wielką pogodą ducha, że Celia bała się mówić o swoich lękach.

Któregoś wieczoru przy kolacji Celia upuściła nóż i widelec i zawołała: — Och, siostro!

Wyszły razem z pokoju. Pielęgniarka wróciła po upływie kilku minut i zwróciła się do Miriam.

— Bardzo punktualnie — powiedziała z uśmiechem. — Oby więcej takich pacjentek.

— Czy nie zamierza pani zadzwonić po lekarza? — zaniepokoił się Dermot.

— Och, nie ma pośpiechu. Nie będzie potrzebny jeszcze przez wiele godzin.

Celia też wróciła i dokończyła kolację. Potem Miriam i pielęgniarka wyszły razem. Szeptaly coś o płótnach i podzwaniały kluczami...

Celia i Dermot popatrywali na siebie z rozpaczą. Usiłowali żartować i śmiać się, lecz strach był silniejszy od nich.

— Nic mi nie będzie — powiedziała Celia. — Wiem, że nie.

— Oczywiście, że nie — przytaknął czym prędzej Dermot. — Jesteś bardzo silna.

— No właśnie. A dzieci rodzą się każdego dnia, co minutę, prawda?

Jej twarz wykrzywił spazm bólu.

— Celio!

— Wszystko w porządku. Wyjdźmy na dwór. Dom dziwnie mi się kojarzy ze szpitalem.

— To przez tę piekielną pielęgniarkę.

— Ach, trudno jej coś zarzucić. Jest przecież sympatyczna.

Spacerowali po ogrodzie. Był letni wieczór. Oboje czuli się dziwnie osamotnieni. Wewnątrz domu trwała krzątanina, przygotowania, słyszeli, jak pielęgniarka telefonuje, słyszeli jej „Tak, panie doktorze... Nie, panie doktorze... O, tak, koło dziesiątej, gdyby pan był łaskaw... Tak, wszystko w normie”.

Wieczór był rześki i zielony... Szumiał buk...

Dwoje samotnych dzieci krążyło tu i tam, trzymając się za ręce i nie znajdując dla siebie słów pocieszenia.

— Chce ci tylko powiedzieć — przerwała ciszę Celia — nie, żebym się czegoś spodziewała... ot, tak, na wszelki wypadek... Więc chcę ci powiedzieć, że jestem cudownie szczęśliwa i że liczy się tylko to. Obiecałeś mi, że uczynisz mnie szczęśliwą i dotrzymałeś słowa. Nie wyobrażam sobie, by był ktoś szczęśliwszy ode mnie.

— To przeze mnie to wszystko, przeze mnie — powiedział Dermot łamiącym się głosem.

— Rozumiem cię. Jest ci przez to trudniej... Ale, Dermocie, zważ na moje szczęście...

— Dodała.— — A poza tym zawsze będziemy się kochać.

— Zawsze, przez całe życie...

Dobiegł ich głos pielęgniarki:

— Raczej wróć już do domu, moja droga.

— Dobrze, siostró.

Stało się. Rozdzielono ich. Celia czuła, że najgorsze ze wszystkiego to opuścić Dermota i samej wyjść naprzeciw nieznanemu. Przytulili się do siebie, a w ich pocałunku zawarł się cały lęk rozstania.

Nigdy nie zapomnimy tego wieczoru, nigdy, pomyślała Celia.

Działo się to czternastego lipca. Weszła do domu.

2

Jest tak zmęczona... tak zmęczona... tak bardzo zmęczona...

Wirujący pokój, mgła... Mgła z wolna ustępuje,

pokój staje w miejscu i nabiera realnych kształtów. Powrót do rzeczywistości.

Pielęgniarka uśmiecha się do niej, lekarz myje ręce przy umywalce. Zna ją od dziecka.

— A zatem, Celio, moja kochana, masz dziecko — powiedział familiarnym tonem.

Ona ma dziecko? Naprawdę?

Nie zdawało jej się to nazbyt istotne. Była zmęczona. Po prostu zmęczona, i to wszystko.

Zdaje się, że tych dwoje oczekiwało, że coś zrobi albo coś powie...

Ale nie mogła...

Po prostu chciała być sama...
 Odpoczywać...
 Tylko że było coś takiego... był ktoś...
 — Gdzie jest Dermot? — zapytała cicho.

3

Zasnęła. Kiedy ponownie otworzyła oczy, był przy niej.

Lecz co się z nim stało? Wyglądał inaczej niż zawsze, wyglądał dziwnie. Był zakłopotany... czyżby przynosił jakieś złe wieści?

— Co takiego? — zapytała.

— Mała córeczka — odparł nieswoim głosem. — Ach, nie o to pytam. Chodzi mi o ciebie. Czy coś ci się stało?

Jego twarz skurczyła się i dziwnie pofałdowała. Płakał. Dermot płakał!

— To było takie straszne — powiedział urywanym głosem. — Tak długo trwało... Nie wiesz, jaki koszmar przeżyłem... Ukląkł przy łóżku i ukrył twarz w pościeli. Celia położyła mu rękę na głowie. Jakże bardzo się przejmuje... — Kochanie — powiedziała. — Już po wszystkim...

4

Zjawiała się matka. Już sam widok jej czule uśmiechniętej twarzy dodał Celi sił. Jeśli mamusia jest przy mnie, wszystko będzie dobrze, pomyślała jak w dzieciństwie.

— Nie odchodź, mamo.

— Nie, kochanie, przyszedłam z tobą posiedzieć. Celia zasnęła, trzymając rękę matki.

— Och, mamusiu — powiedziała, budząc się za moment — jakie to cudowne uczucie, nie mieć mdłości!

Miriam zaśmiała się.

— Za chwilę zobaczysz swoje dziecko. Siostra ci je przyniesie.

— Jesteś pewna, że to nie chłopiec? — Absolutnie. Dziewczynki są miłsze, Celio. Zawsze znaczyłaś dla mnie więcej niż Cyril.

— Tak, lecz byłam przekonana, że urodzi się chłopiec... Cóż, Dermot będzie się cieszył. Chciał mieć dziewczynkę i postawił na swoim.

— Jak zwykle — podsumowała oschle Miriam. — A oto i siostra.

Siostra, szeleszcząca wykrochmalonym fartuchem, zbliżała się do łóżka z miną osoby, której się zdaje, że jest najważniejsza na świecie.. Niosła na poduszce jakieś zawiniątko.

Celia była przygotowana na wszystko. Nowo narodzone dzieci bywają bardzo brzydkie. Koszmarnie brzydkie.

— Och! — zawołała zaskoczona, kiedy zawiniątko wylądowało w zgięciu jej łokcia.

Czyżby to małe stworzonko miało być jej dzieckiem? Ta mała śmieszna indiańska squaw z ciemną czuprynką? I ani trochę nie przypomina kawałka surowej wołowiny... Śmieszna, rozkoszna twarzyczka wprawiała ją raczej w zachwyt.

— Osiem i pół funta — powiedziała siostra z satysfakcją.

Jak wiele razy przedtem Celia poczuła się tak, jakby była kimś innym. Teraz miała grać rolę młodej matki.

W istocie nie czuła się ani żoną, ani matką. Czuła się jak mała dziewczynka, która wraca do domu z pełnego wrażeń, choć męczącego przyjęcia.

5

Celia nazwała swoją córkę Judy, ponieważ do Puncha pasowała jedynie Judy!

Judy dostarczała swoim rodzicom wiele radości. Z tygodnia na tydzień przybierała na wadze i rzadko kiedy zanosila się płaczem. Kiedy płakała, jej płacz przypominał rozwścieczony ryk miniaturowego tygrysa.

Korzystając, jakby to babunia nazwała, ze „swojego miesiąca”, Celia zostawiła Judy z Miriam i udała się do Londynu na poszukiwanie odpowiedniego domu.

Jej ponowne połączenie z Dermotem obojgu przyniosło niewypowiedzianą radość. Jak gdyby ponownie przeżywali miodowy miesiąc. Część satysfakcji Dermota brała się stąd (Celia to odkryła), iż Celia zostawiła Judy i przyjechała do niego.

— Bałem się, i to okropnie, że cała poświęcisz się domowi i o mnie nawet nie pomyślisz.

Dermot przestał być zazdrosny i kiedy tylko mógł, pomagał Celi w szukaniu nowego mieszkania. Celia zachowywała się teraz jak osoba wielce doświadczona i dalekie jej były dawne lęki wobec pierwszej lepszej praktycznej panny Banks. Mogłaby zajmować się poszukiwaniem domu do wynajęcia przez całe swoje życie.

Ze względu na cenę chcieli wynająć nie umeblowane mieszkanie. Miriam z łatwością mogłaby ich wyposażyć w meble z własnego domu.

Jednak nie umeblowane mieszkania trafiały się rzadko. A jeśli już, to żądano za nie wysokiego odstępnego. Z dnia na dzień Celia popadała w coraz większe przygnębienie.

Osobą, która przysłała im z pomocą, była pani Steadman.

Któregoś ranka zjawiła się w porze śniadania z dziwnie tajemniczą miną.

— Za przeproszeniem, proszę pana — powiedziała. — Wiem, że przychodzę w złej porze, lecz wczoraj wieczorem doszło do uszu mojego starego, że pod osiemnastką, w Lauceston Mansions, zaraz za rogiem, jest coś do wynajęcia. Wczoraj wieczorem pisali do pośredników, więc gdyby tam pani prędiutko pobiegła, nim ktokolwiek zwęszy sprawę, no to, żeby tak powiedzieć...

Celia już nie słuchała. Poderwała się od stołu, wcisnęła kapelusz na głowę i ruszyła biegiem niby pies za tropem.

Pod osiemnastką, w Lauceston Mansions, również jedzono śniadanie. Na zapowiedź flejtuchowatej służącej, że „ktoś przyszedł w sprawie mieszkania, proszę pani”, stojąca w hallu Celia usłyszała czyjąś głośniejszą skargę: „Przecież ledwo zdążyli dostać mój list. Jest dopiero wpół do dziewiątej”.

Z pokoju stołowego wyszła młoda kobieta w kimonie. Towarzyszył jej zapach wędzonego śledzia. — Naprawdę chce je pani obejrzyć? — Tak, jeśli można. — Och, w takim razie...

Celia została oprowadzona. Tak, robiło wspaniałe wrażenie. Cztery sypialnie, dwa salony. Wszystko nieźle zapuszczone. Osiemdziesiąt funtów za rok (fantastycznie tanio). Odstępne (niestety) sto pięćdziesiąt, i dodatkowa opłata za linoleum (Celia czuła wstręt do linoleum). Celia zaproponowała sto funtów odstępnego. Młoda kobieta w kimonie wzruszyła pogardliwie ramionami.

— W porządku — oświadczyła Celia zdecydowanym głosem. — Biorę je.

Kiedy schodziła po schodach minęła dwie kobiety. Każda z nich trzymała w ręku kartkę z adresem od pośrednika! Ubiegła je!

W ciągu trzech dni Dermotowi i Celii oferowano dwie setki odstępnego.

Ani było im to w głowie. Zapłacili swoje sto pięćdziesiąt funtów i wprowadzili się pod nowy adres: 18, Lauceston Mansions. W końcu mieli swój własny (bardzo brudny) dom.

Po miesiącu nikt by go nie poznał. Dermot i Celia zrobili cały remont mieszkania własnoręcznie — nie stać ich było na wynajęcie rzemieślników. To doświadczenie dostarczyło im wiele interesującej wiedzy z dziedziny malowania farbami klejowymi i tapetowania. Końcowy rezultat przeszedł ich własne oczekiwania. Tanie perkalowe obicia

rozjaśniały długie, odrapane korytarze; pomalowane na żółto ściany nadawały słoneczny wygląd pokojom wychodzącym na północ; bladokremowe, w salonie, stanowiły odpowiednie tło dla obrazów i porcelany. Co do linoleum, to zostało zdarte i sprezentowane pani Steadman, a pani Steadman rzuciła się na nie łapczywie. „Och, jakie śliczne linoleum, proszę pani...”

6

Tymczasem Celia przeszła pomyślnie przez inną ciężką próbę, jaką było biuro pani Barman. Biuro pani Barman pośredniczyło w wynajmowaniu piastunek do dzieci.

Zjawiwszy się w tej budzącej grozę instytucji, Celia została przyjęta przez wyniosłą, żółtowłosą istotę, która zażądała od niej wypełnienia imponujących rozmiarów kwestionariusza, o imponującej liczbie (34) pytań. Był to sposób na sprowadzenie na ziemię i skłonienie do skromności każdej kolejnej interesantki. Następnie zaprowadzono ją do ciasnej klitki, przypominającej wyglądem pomieszczenie szpitalne, zasunięto za nią kotarę i kazano oczekiwać na te kandydatki na nianie, które żółtowłosą istotą uzna za stosowne jej przysłać.

Zanim zjawiła się pierwsza z nich, poczucie niższości Celi zamieniło się w kompletne upokorzenie. Nie podniosła jej na duchu pierwsza kandydatka, duża, zwalista kobieta, lśniąca wyzywającą czystością, o majestatycznym sposobie bycia.

— Dzień dobry — wykrztusiła Celia.

— Dzień dobry, proszę pani. — Majestatyczna postać zajęła krzesło na wprost Celi i zaczęła taksować ją spojrzeniem. Wynik oględzin chyba nie był zbyt pomyślny dla ewentualnej pracodawczyni.

— Szukam piastunki do niemowlęcia — zaczęła Celia, modląc się w duchu, by rozmówczyni nie zorientowała się, że ma do czynienia z dyletantką.

— Tak, proszę pani. Miesięczne?

— Powiedzmy, dwu...

Pierwszy błąd. „Miesięczne” odnosiło się do dziecka, nie do wynagrodzenia. Celia czuła, że marnie zdaje swój egzamin.

— Są inne dzieci?

— Nie.

— Pierwsze dziecko. Jak duża rodzina?

— Ehm... ja i mój mąż.

— Ile służby, proszę pani?

Jakby tu określić jedną służącą do wszystkiego, jeszcze nie zatrudnioną?

— Żyjemy bardzo skromnie — wyznała Celia, cała w pąsach. — Jedna pokojówka.

— Pokoje dziecinne sprzątane i obsługiwane?

— Nie, musiałyby pani sama sprzątać pokój dziecinny.

— No cóż! — Majestatyczna osoba podniosła się i powiedziała bardziej ze smutkiem niż ze złością: — Obawiam się, proszę pani, że ta posada nie jest dokładnie taka, jakiej szukam. U pana Eldona Westa miałam do pomocy dziewczynę, a sprzątanie pokoi dziecinnych należało do pokojówki.

Celia przeklęła w duchu żółtowołą istotę. Najpierw każe wypełniać formularze i opisywać w nich to, czego człowiek oczekuje i jakie ma gospodarstwo, a potem przysyła kobietę, która najwyraźniej zgodziłaby się jedynie na posadę u Rothschildów i to pod warunkiem, że ci spełniliby każdy jej kaprys.

Następna kandydatka miała srogą minę i nastroszone, czarne brwi.

— Jedno dziecko? Miesięczne? Pani rozumie, madame, zaczynam od samych początków i biorę na siebie entire charge. Nie toleruję żadnej ingerencji. Utkwiła wzrok w Celi. Już ja nauczę tę świeżo upieczoną matkę, co to znaczy mi się naprzykrzać, mówiło jej spojrzenie.

Celia powiedziała, że trudno jej to obiecać. — Jestem oddana dzieciom, madame. Uwielbiam je, lecz nie mogę zgodzić się na matkę, która miesza się do wszystkiego.

Precz ze srogą miną i czarnymi brwiami. Trzecią z kolei była bardzo zaniedbana starowina, która od razu przedstawiła się jako nianusia. Nianusia niedowidziała, niedosłyszała, a także miała kłopoty ze zrozumieniem, co się do niej mówi. Albo tak przynajmniej Celi się zdawało. Precz z nianusią.

Następnie pojawiła się niegrzeczna młoda kobieta, która wykpiła pomysł własnoręcznego sprzątanego pokoju dziecinnego. Po niej weszła sympatyczna z wyglądu dziewczyna, która miała czerwone policzki, która pracowała gdzieś jako pokojówka, i której przyszło na myśl, że być może lepiej sobie poradzi z dziećmi.

Celia była bliska rozpaczy, kiedy stanęła przed nią kobieta mniej więcej trzydziestopięcioletnia. Miała pince-nez, przyjazne, niebieskie oczy i była niezwykle schludna.

Kiedy doszło do drażliwej kwestii sprzątanego pokoju dziecinnego, nie zareagowała w taki sposób jak jej poprzedniczki.

— Nie szkodzi, mogę wszystko sprzątać sama, poza paleniskiem. Bo widzi pani, przy czyszczeniu paleniska zapuszczają się ręce, a chyba pani tego nie chciała dla dobra dziecka. Ale cała reszta mi niestraszna. Byłam w koloniach i przykładałam się do każdej roboty.

Pokazała Celi kilka fotografii z poprzednich miejsc pracy. Celia powiedziała, że jeśli wykaże się odpowiednimi referencjami, to ją natychmiast przyjmie. Opuściła biuro pani Barman z westchnieniem ulgi. Referencje Mary Denman okazały się jak najbardziej zadowalające. Mary Denman była odpowiedzialną, doświadczoną piastunką. Teraz przysłała kolej na znalezienie służącej.

To okazało się chyba jeszcze bardziej kłopotliwe niż zdobycie piastunki. Tych ostatnich było całe mnóstwo, natomiast służące właściwie przestały istnieć. Wszystkie, dotychczasowe, znalazły sobie pracę w fabrykach zbrojeniowych lub w żeńskich służbach pomocniczych w armii czy w Marynarce wojennej. Wreszcie Celia upatrzyła sobie pulchną, dobroduszną pannę o imieniu Kate.

Jak wszystkie pozostałe Kate na samą wzmiankę o pokoju dziecinnym powiedziała krótko „nie”.

— Nie chodzi o dziecko, proszę pani. Ja lubię dzieci. Chodzi o nianię. Po moim ostatnim miejscu przysięgam sobie nigdy nie iść tam, gdzie jest niania. Jak jest niania, to będą i kłopoty.

Nadaremnie Celia przedstawiała Mary Denman jako skarbnicę wszelkich zalet. Kate powtarzała uparcie:

— Tam, gdzie jest niania, tam są kłopoty. Już ja swoje wiem, proszę pani.

Ostatecznie tym, kto zaważył na całej sprawie, był Dermot. Celia napuściła go na nieczułą na jej argumenty Kate, a Dermot, biegły w sztuce stawiania na swoim, osiągnął przynajmniej tyle, że Kate zgodziła się zostać u nich na próbę. „Choć sama nie wiem, co mnie naszło. Bo iść tam, gdzie jest niania — o nie, powiedziałam sobie, nigdy więcej. Tylko że pan kapitan umie tak ładnie mówić, no i mój chłopiec jest w pułku we Francji, a pan kapitan zna ten pułk, no i w ogóle. Dobrze, powiedziałam, możemy spróbować”.

No więc Kate uległa i pewnego triumfalnego dnia w październiku Celia, Dermot, Mary Denman, Kate i Judy przeprowadzili się do Lauceston Mansions, pod osiemnastkę. Rozpoczęło się życie rodzinne.

7

Jeśli chodziło o Judy, Dermot zachowywał się śmiesznie. Bał się jej. Kiedy Celia usiłowała wcisnąć mu ją w ramiona, cofał się nerwowo.

— Nie, nie mogę. Po prostu nie mogę. Nie utrzymam czegoś takiego.

— Kiedyś będziesz musiał, kiedy trochę podrośnie. A poza tym ona nie jest żadnym „czymś takim”!

— No więc niech „ona” trochę podrośnie. Kiedy zacznie mówić i chodzić, prawdopodobnie ją polubię. Teraz jest strasznie gruba. Jak myślisz, czy kiedykolwiek schudnie?

Dermot nie zamierzał podziwiać fałdek tłuszczu czy dołeczków.

— Chcę, żeby była szczupła i koścista.

— Nie teraz. Nie wymagaj czegoś takiego od trzymiesięcznego dziecka.

— Naprawdę myślisz, że kiedyś będzie szczupła?

— Na pewno. Będzie to miała po nas.

— Nie zniósłbym, gdyby wciąż tylko tyła i tyła.

Celia musiała szukać oparcia w pani Steadman, która teraz tak krążyła wokół dziecka jak swego czasu wokół sławetnej wołowej rąbanki.

— Wykapany pan kapitan, prawda? Tatuś nie mógłby się jej wyprzeć, jeśli pani wybaczy stare powiedzenie.

Ogólnie biorąc, Celia doszła do wniosku, że prowadzenie gospodarstwa jest dość zabawne. Było zabawne, ponieważ nie podchodziła do niego serio. Denman okazała się znakomitą i oddaną dziecku nianią i osobą nadzwyczaj uprzejmą i pełną dobrej woli, kiedy w domu panował bałagan związany z przeprowadzką. Potem, gdy codzienne zajęcia stały się kwestią rutyny i wszystko dobrze się układało, Denman pokazała swoje drugie oblicze. Wobec Judy, którą uwielbiała, zachowywała się jak należy, natomiast wściekała się na Celię i na Dermota. Wszyscy pracodawcy byli jej naturalnymi wrogami. Najbardziej niewinna uwaga wywoływała burzę. Celia mówiła: „Widziałam w nocy światło w dziecinnym pokoju. Mam nadzieję, że dziecku nic nie dolegało?” Denman wybuchała gniewem. „Chyba wolno mi włączyć światło, żeby zobaczyć, która godzina? Mogę być traktowana jak czarna niewolnica, lecz do pewnych granic. W Afryce sama rozkazywałam służbie, biednym, nieoświeconym poganom, lecz bez potrzeby nawet na nich nikt nie

patrzył krzywym okiem. Jeśli pani uważa, że wypalam za dużo światła, proszę to powiedzieć wprost”.

Kate, oczywiście, podśmiewywała się z Denman.

— Niania nigdy nie będzie zadowolona, nawet gdyby rządziła tuzinem czarnuchów. Jej w głowie tylko te afrykańskie diabły, a ja nie zniósłabym w kuchni nawet jednego... czarne paskudztwo...

Kate była bardzo cennym nabytkiem. Dobroduszna, spokojna, nie targana burzliwymi emocjami, robiła swoje — gotowała i sprzątała, i zagłębiała się we wspomnienia o poprzednich „miejscach”.

— Nigdy nie zapomnę pierwszego, nigdy. Byłam młodziutką panienką, nawet nie miałam siedemnastu lat. Głodzili mnie dość okrutnie. Wędzony śledź, to wszystko, co dostawałam na lunch, i margarynę zamiast masła. Tak wychudłam, że można mi było policzyć kości. Moja matka zamartwiała się mną...

Spoglądając na krzepką, pulchniejszą z dnia na dzień Kate, Celia z trudem dawała wiarę tej historii. — Mam nadzieję, że u nas nie głodujesz?

— Proszę się nie martwić, proszę pani. Ani w głowie mi narzekać. I nie ma potrzeby, aby pani coś robiła. Tylko się pani ubrudzi.

Celia zapaliła się do gotowania. Dokonawszy wstrząsającego odkrycia, że polega ono przede wszystkim na ścisłym trzymaniu się przepisów kulinarnych, pogrzyżyła się w nowym sporcie po uszy. Jednak w kuchni najwyraźniej nie było miejsca dla drugiej kucharki; kwaśna mina Kate zmusiła Celię do wycofania się z jej królestwa i do wyżywiania się w przyrządzaniu smakołyków dla Dermota tylko w te dni, kiedy ona miała wychodne.

Niesprawiedliwym zrządzeniem losu w te dni Dermot często wracał do domu z objawami niestrawności i domagał się słabej herbaty i suchej grzanki zamiast kotleta z homara i waniliowego sufletu.

Jeśli chodzi o Kate, ta przyrządzała proste, zwyczajne potrawy. Nie korzystała z żadnych przepisów, ponieważ miała w pogardzie wszelkie miary i wagi.

— Biorę trochę tego, trochę tamtego — mówiła. — Moja matka zawsze tak gotowała. Kucharki nigdy niczego nie ważą.

— Może byłoby lepiej, gdyby ważyły — sugerowała Celia.

— Oko to najlepsza waga — obstawała Kate przy swoim zdaniu. — A poza tym robię tak, jak robiła moja matka.

Jakie to zabawne, myślała Celia. Własny dom (dokładniej mówiąc — mieszkanie), mąż, dziecko, służąca. Wreszcie była dorosłą osobą, kimś rzeczywistym. Nawet uczyła się właściwego żargonu. Zaprzyjaźniła się z dwiema innymi młodymi mężatkami z sąsiedztwa. Te nie interesowały się niczym poza jakością mleka, straganem z najtańszą brukselką i nikczemnością służących. „Spojrzałam jej w oczy i powiedziałam: «Jane, czego jak czego, ale bezczelności nie znoszę— , mniej więcej tak. No, żebyście widziały tę pogardę w jej twarzy”.

Chyba nigdy nie rozmawiały o niczym innym.

Celia w cichości ducha obawiała się, że nigdy nie będzie prawdziwą gospodynią domową.

Na szczęście Dermot nic sobie z tego nie robił. Często powtarzał, że nienawidzi gospodyń domowych. Ich domy, mówił, zawsze są takie nieprzytulne.

I chyba coś w tym było. Zdawało się, że kobiety, które rozmawiały wyłącznie o służących, zawsze spotykały się z ich strony z bezczelnością, i że ich tak zwane skarby odchodziły w nieodpowiednich momentach i zostawiały całe gotowanie i sprzątanie na głowie pani domu. A kobiety, które całe ranki spędzały na zakupach i na tropieniu tanich produktów do kuchni, jadły gorzej niż inni.

Zdaniem Celii, robiło się zbyt dużo zamieszania wokół prowadzenia domu. Ludzie pokroju jej i Dermota na pewno są o wiele zabawniejsi. Ona nie jest jego gospodynią, lecz towarzyszką jego zabaw.

A któregoś dnia Judy będzie chodzić i szczebiotać. Będzie uwielbiać swoją matkę, tak jak Celia uwielbiała Miriam.

A latem, kiedy w Londynie będzie gorąco i duszno, ona zabierze Judy do domu i Judy będzie się bawiła w ogrodzie, i będzie wymyślała historie o księżniczkach i smokach, a ona, Celia, będzie jej czytała stare książki z bajkami z biblioteczki w pokoju dzieciennym...

12. POKÓJ

1

Zawieszenie broni było dla Celii prawdziwym zaskoczeniem. Celia do tego stopnia przyzwyczała się do wojny, że nie sądziła, by kiedykolwiek miał nadejść jej koniec...

Wojna była częścią jej życia...

A teraz się skończyła!

Podczas wojny nie było sensu niczego planować. Podczas wojny zawierzało się przyszłość losowi i żyło z dnia na dzień, mając nadzieję i modląc się, by Dermot nie został znów wysłany do Francji.

Ale teraz... teraz to było co innego.

Dermot miał wiele planów. Nie chciał zostać w wojsku. Nie widział tam dla siebie przyszłości. Tak prędko, jak to możliwe, chciał się zdemobilizować i szukać szczęścia w City. Miał na oku pewną dobrą firmę.

— Dermocie, czy jednak nie byłoby bezpieczniej zostać w wojsku? Mam na myśli emeryturę i tę całą resztę.

— W wojsku panuje marazm. A poza tym, cóż to za pożytek z jakiejś nędznej emerytury? Ja myślę o robieniu pieniędzy, prawdziwych pieniędzy. Nie boisz się ryzyka, prawda, Celio?

Nie, nie bała się. Skłonność Dermota do ryzykowania była czymś, co w nim najbardziej podziwiała. On nie bał się życia.

Dermot nigdy od życia nie uciekał. Dermot brał się z życiem za baily i dyktował mu swoje warunki.

Bezwzględny — oto jak kiedyś powiedziała o nim matka. No cóż, w pewnej mierze to była prawda. Dermot był bezwzględny wobec życia; nie liczyły się dla niego żadne sentymenty. Lecz Dermot nigdy nie był bezwzględny wobec niej. Proszę, ile czułości wykrzesał z siebie przed urodzeniem Judy...

2

Dermot zaryzykował.

Odszedł z wojska i ruszył na podbój City. Wystartował z małymi poborami, lecz z perspektywą dobrych zarobków w przyszłości.

Celia zastanawiała się, czy praca biurowa nie okaże się dla niego zbyt nużąca, ale nie wyglądało na to. Dermot wydawał się całkowicie usatysfakcjonowany nowym zajęciem.

Dermot lubił robić coś nowego.

Lubił także poznawać nowych ludzi.

Celię czasami szokowało to, że nigdy nie wyrażał chęci odwiedzenia dwóch starych ciotek, które mieszkały w Irlandii i które go wychowały.

Wysyłał im prezenty i pisywał listy, regularnie, raz w miesiącu, lecz nic poza tym.

— Czyżbyś nie lubił swoich ciotek?

— Oczywiście, że lubię, zwłaszcza ciotkę Lucy. Była dla mnie jak matka.

— No to dlaczego tam nie pojedziesz? Gdybyś chciał, mógłbyś je do nas zaprosić.

— Och, przypuszczam, że byłoby to dość męczące.

— Męczące? Przecież podobno je lubisz.

— No cóż, trudno im coś zarzucić. Są w porządku. Pogodne, szczęśliwe i tak dalej. Po prostu wolę nie mieć z nimi do czynienia. A poza tym, w miarę dojrzewania wyrasta się ze swoich krewnych. To całkiem naturalne. Ciotka Lucy i ciotka Kate już nic dla mnie nie znaczą. Przerosłem je.

Dermot jest nadzwyczajny, myślała Celia.

Lecz czy Dermot nie myślał, że to ona jest nadzwyczajna, z tym swoim przywiązaniem do miejsc i ludzi, których zna całe życie?

Tak naprawdę, Dermot nie myślał, że ona jest nadzwyczajna. Dermot się nie zastanawiał, jacy są ludzie. Dla Dermota rozmowa o myślach i uczuciach była stratą czasu.

On był realistą, człowiekiem czynu. Nie lubił świata myśli.

Czasami Celia go pytała: „Co byś zrobił, gdybym z kimś uciekła?” Albo: „Co byś zrobił, gdybym umarła?”

Dermot nie wiedział, co by zrobił. Jak mógł wiedzieć, jeśli to się jeszcze nie zdarzyło?

— Lecz czy nie mógłbyś sobie tego wyobrazić?

Nie, Dermot by nie mógł. Wyobrażanie sobie czegoś, czego nie ma, było dla Dermota potworną stratą czasu.

W czym zresztą miał rację.

Niemniej jednak wyobraźnia Celii pracowała nadal. Celia już taka była.

3

Któregoś dnia Dermot zranił Celię. Byli na proszonym przyjęciu. Celia wciąż bała się przyjęć, bała się napadów dawnej wstydlivosti, która wiązała jej język. Czasami to się jeszcze zdarzało.

Jednak to przyjęcie (tak przynajmniej Celia myślała) minęło wyjątkowo miło. Początkowo była odrobinę skrępowana, lecz potem odważyła się roześmiać z powodu jakiejś uwagi rzuconej przez rozmawiającego z nią mężczyznę.

Raz ośmielona Celia rozkręcała się coraz bardziej i już niedługo zapamiętała paplała. Wszyscy wokół śmiali się i przerzucali żartami. Ona też. Mówiła rzeczy, które w jej uszach brzmiały całkiem dowcipnie, i które (była tego prawie pewna) brzmiały dowcipnie w uszach reszty towarzystwa. Wróciła do domu w radosnym nastroju. Nie jestem taka głupia, jak by się zdawało. Tak czy inaczej, nie jestem taka głupia... powtarzała w duchu, uszczęśliwiona.

— Myślę, że to było udane przyjęcie — zawołała do Dermota przez drzwi do ubieralni.

— Dobrze się bawiłam. Szczęśliwie udało mi się w porę złapać oczko w pończosze.

— No, nie było takie złe.

— Och, Dermocie, nie podobało ci się?

— Miałem lekką niestrawność.

— Kochanie, tak mi przykro. Zaraz dam ci sody.

— Nie, dziękuję, już po wszystkim. Czy przydarzyło ci się coś szczególnego?

— Mnie?

— Tak, tobie. Byłaś dziś inna niż zawsze.

— Może byłam podekscytowana. Ale inna? W jaki sposób?

— Zwykle zachowujesz we wszystkim umiar, a dziś rozmawiałaś i śmiałaś się, jakbyś nie była sobą.

— Nie podobało ci się? Zdawało mi się, że choć raz nieźle sobie radzę.

Celia poczuła w sercu dziwne uczucie chłodu.

— No cóż, uważam, że twoje dowcipy były dość głupie, to wszystko.

— Tak — powiedziała Celia powoli. — Może masz rację... Choć innym chyba się podobały. Ludzie się śmiali.

— Och, ludzie!

— A poza tym ja też dobrze się bawiłam. To okropne, lecz zdaje mi się, że czasami lubię zachowywać się głupio.

— Zatem nie ma o czym mówić.

— Następnym razem już taka nie będę. Jeśli tobie to się nie podoba...

— To prawda. Nie podoba mi się, kiedy robisz z siebie głupią. Nie lubię głupich kobiet. To zabolowało. O tak, to zabolowało... Głupia... ona jest głupia. A jakże, jest, wiedziała o tym od dawna. Tylko miała nadzieję, że Dermotowi to nie powinno przeszkadzać. Że mógłby być, jakby to powiedzieć, mógłby być dla niej czuły mimo jej głupoty. Jeśli się kocha jakąś osobę, jej wady i słabostki przywiązują cię do niej bardziej, nie mniej. Mówi się do niej:

„Posłuchaj, czyż raczej nie jest to tak i tak?” Lecz mówi się to nie z rozdrażnieniem, lecz z czułością.

Widocznie mężczyźni nie lubią przesadzać z czułością...

Czyżby przeszył ją nagły lęk...?

Nie, mężczyźni nie są czuli...

Mężczyźni nie są tacy jak matki...

Nagle ogarnęło ją złe przeczucie. Tak naprawdę o mężczyznach nie wiedziała nic. Tak naprawdę nie wiedziała nic o Dermocie...

„Mężczyźni!” Wróciły do niej echem słowa babuni. Babunia chyba była przekonana o tym, że dokładnie wie, jacy oni są, co lubią i czego nie lubią. Lecz babunia, oczywiście, nie była głupia... Ona często śmiała się z babuni, lecz babunia nie była głupia.

A ona, Celia, tak... Ona jest głupia. Zawsze to wiedziała. Niemniej zdawało jej się, że przy Dermocie nie będzie to miało znaczenia. W porządku, ma.

W ciemności, łzy popłynęły po policzkach Celi mimo że próbowała je powstrzymać.

Powinna się wyplakać, teraz, w nocy, kiedy nikt nie widzi. A rano postara się być inna. Postara się już nigdy nie zachowywać głupio przy obcych ludziach.

Rozpieszczano ją, to wszystko. Wszyscy zawsze byli dla niej tacy mili... dodawali jej odwagi...

Lecz ona nie chce, by Dermot patrzył na nią tak, jak popatrzył przez ów krótki moment...

Przypomniała sobie coś. Coś, co działo się wiele lat temu.

Nie, lepiej sobie tego nie przypominać. Raczej powinna się postarać, by już nigdy więcej nie zachować się głupio.

13. PARTNERSTWO

1

Było kilka rzeczy, których Dermot w niej nie lubił. Irytował go każdy przejaw jej bezradności.

— Dlaczego chcesz, bym robił coś dla ciebie, kiedy sama doskonale sobie z tym radzisz?

— To prawda, ale ja bardzo lubię, kiedy coś dla mnie robisz.

— Bzdura. Gdybym ci raz ustąpił, pozwałałabyś sobie na coraz więcej.

— Możliwe — powiedziała Celia smutno. — Przecież wszystko potrafisz sama zrobić, i to

doskonale. Jesteś absolutnie rozsądna, jesteś inteligentna i jesteś zdolna.

— Przypuszczam — powiedziała Celia — że chodzi tu o moje lekko spadziste, wiktoriańskie ramiona. Kobiety z takimi ramionami chętnie się owijają wokół kogoś. Jak bluszcz.

— Nic z tego, moja droga. Wokół mnie nie uda ci się owinąć — odparł dobrodusznie Dermot. — Nie pozwolę ci na to.

— Czy bardzo masz mi za złe, Dermocie, moje marzenia i to, że wyobrażam sobie rzeczy, które mogłyby się wydarzyć, a także to, co bym zrobiła, gdyby się wydarzyły?

— Oczywiście, że nie. Jeżeli ciebie to bawi.

Dermot zawsze był sprawiedliwy. Sam był niezależny i respektował niezależność innych ludzi. Możliwe — na przypuszczać, że miał własne poglądy na życie, lecz nigdy nie przekładał ich na słowa ani z nikim się nimi nie dzielił.

Kłopot polegał na tym, że Celia chciała dzielić się z nim wszystkim. Kiedy na podwórzu zakwitło drzewo migdałowe, jej serce zapłonęło dziwnym uniesieniem. Natychmiast zapragnęła włożyć dłoń w rękę Dermota i zaciągnąć go do okna, i zrobić coś takiego, co by sprawiło, że poczułby to samo co ona. Ale Dermot nie znosił, jak ktoś go brał za rękę. Dermot, poza chwilami, kiedy popadał w kochliwy nastrój, w ogóle nie znosił, gdy go ktoś dotykał.

Kiedy Celia oparzyła rękę o piecyk, a chwilę później przycięła sobie palce kuchennym oknem, chciała podejść do Dermota i położyć mu głowę na ramieniu. Chciała, by ją pocieszył. Jednak czuła instynktownie, że taki gest tylko by go zirytował. (I miała rację.) Dermot nie lubił być dotykany, nie lubił, gdy ktoś szukał w nim oparcia, prosił o pocieszenie czy usiłował wciągać w obszar własnych uczuć.

Tak więc Celia heroicznie zwalczała w sobie potrzebę dzielenia się swoimi uczuciami, słabość do pieszczot i tęsknotę za poczuciem bezpieczeństwa.

Mówiła sobie, że jest dziecinna i głupia. Kochała Dermota, a Dermot kochał ją. On kochał ją prawdopodobnie mocniej niż ona jego, ponieważ mógł się obyć bez zewnętrznych oznak miłości.

Tym, co otrzymywała od niego, była namiętność i koleżeństwo. Nierozsądnie byłoby żądać, by obnosił się jeszcze z uczuciami. Babunia potrafiłaby to zrozumieć. „Mężczyźni”, w pojęciu babuni, nie byli tacy.

2

W weekendy Dermot i Celia wyjeżdżali na wieś. Zabierali sandwicze i jechali pociągiem albo autobusem w upatrzone miejsce, spacerowali po okolicy i wracali do domu innym pociągiem czy autobusem.

Celia czekała na weekendy przez cały tydzień. Dermot zawsze wracał z City krańcowo zmęczony, czasami z bólem głowy, a czasami z niestrawnością. Po obiedzie lubił siedzieć i czytać. Czasami opowiadał Celi o tym, co się zdarzyło w ciągu dnia, lecz na ogół nic nie mówił. Zwykle miał w zanadrzu jakąś książkę z dziedziny techniki i nie lubił, jak mu ktoś przeszkadzał w czytaniu.

Za to w weekendy Celia odzyskiwała swojego kompana. Wędrowali razem przez przydrożne laski i żartowali ze sobą, a czasami, wspinając się na jakieś wzgórze, Celia mówiła: „Jestem w tobie bardzo zakochana, Dermocie”, i wkładała mu rękę pod ramię. Robiła to, ponieważ Dermot sadił w górę wielkimi krokami, podczas gdy ona z trudem łapała oddech. Dermotowi nie przeszkadzało, że ktoś wisi u jego ramienia, jeśli działa się to w konwencji żartu i jeśli faktycznie pomagało Celi wspiąć się na wzgórze.

Pewnego dnia Dermot wspomniał o golfie. Stwierdził, że jest złym graczem, lecz chciałby trochę pograć. Celia, która dawno zdążyła zapomnieć o golfie i o swoich klubach, teraz pomyślała o Peterze Maitlandzie. Kochany Peter, kochany, bardzo kochany Peter... Nie zapomni o nim do końca życia. Peter jest częścią jej świata...

Znaleźli jakieś skromne pole golfowe. Opłata za korzystanie z niego nie była wysoka. To było zabawne — grać w golfa. Znów grać. Celia była przerażająco niezręczna, lecz Dermot nie był lepszy. Strzelał straszliwie długie i straszliwie niecelne piłki.

Wspólna gra — jakie to było zabawne.

Radość Celi nie trwała długo. Dermot, tak w sporcie, jak i w pracy, był dokładny i skuteczny. Kupił książkę i z uwagą ją przestudiował. Ćwiczył w domu obroty. Ćwiczył rzuty korkowymi piłkami.

W następny weekend nie rozegrali żadnej partii. Dermot ćwiczył uderzenia. Kazał Celi robić to samo.

Dermot zaczął żyć dla golfa. Celia też usiłowała żyć dla golfa, lecz bez większego powodzenia.

Dermot robił szalone postępy. Celia raczej stała w miejscu. Żałowała rozpaczliwie, że Dermot tak mało przypomina Petera Maitlanda...

A przecież zakochała się w Dermocie, przecież pociągało ją w nim dokładnie to, czym różnił się od Petera.

3

Któregoś dnia Dermot oznajmił:

— Posłuchaj, w sobotę jadę do Dalton Heath, z Andrewsem. W porządku?

Celia oczywiście odpowiedziała: „w porządku”.

Wrócił rozentuzjasmowany.

Golf był fantastyczny, gra na pierwszorzędnym poziomie. W następnym weekend Celia też musi pojechać do Dalton Heath. Kobiety nie mogą tam grywać w weekendy, lecz ona po prostu będzie mu towarzyszyć.

Wybrali się raz czy dwa na ich maleńkie, tanie półko, lecz Dermotowi zdecydowanie przestało się ono podobać. Powiedział, że tego rodzaju miejsce jest nie dla niego.

Miesiąc później oznajmił Celi, że zamierza zostać członkiem Dalton Heath.

— Wiem, że to drogi klub. Lecz ostatecznie mogę zaoszczędzić na czymś innym. Golf to jedyna rozrywka, jaką mam, a członkostwo Dalton Heath wprowadza mnie w inne układy towarzyskie. Należą do niego i Andrews, i Weston.

— A co ze mną? — zauważyła nieśmiało Celia. — Tobie na nic by się to nie zdało. Kobiety nie mogą grywać w weekendy, a nie przypuszczam, byś chciała jeździć tam sama w tygodniu.

— Chodzi mi o to, co ja miałabym robić w weekendy. Ty będziesz grywać z Andrewsem i z innymi.

— No cóż, chyba byłoby głupio należeć do klubu golfowego i nie bywać w nim.

— To prawda, ale do tej pory spędzaliśmy weekendy wspólnie.

— Och, rozumiem. No cóż, może byś się z kimś przeszła tu czy tam, nie sądzisz? Przypuszczam, że masz mnóstwo przyjaciół.

— Nie, nie mam. Nie teraz. Moje dawne londyńskie przyjaciółki powychodziły za mąż i wyjechały z miasta.

— No, jest jeszcze Doris Andrews, pani Weston, i parę innych.

— Trudno je nazwać przyjaciółkami. To żony twoich przyjaciół, a to nie to samo. A poza tym nie chodzi o przyjaciółki. Nic nie rozumiesz. Ja lubię przebywać z tobą. Lubię, kiedy wszystko robimy razem. Lubię nasze spacerunki i nasze sandwicze, i wspólną grę w golfa, i każdą inną zabawę. Przez cały tydzień jesteś zmęczony, więc wieczorami po prostu nie chcę ci zawracać głowy. Czekam na koniec tygodnia. Nawet nie wiesz, jak uwielbiam koniec tygodnia. Och, Dermocie, lubię być z tobą, a teraz już niczego nie będziemy robić razem.

Wolałaby, żeby jej głos nie drżał. Wolałaby, żeby jej oczy nie wzbierały łzami. Czy aż tak bardzo jest nierozsądna? Czy Dermot jest na nią zły? Czy jest samolubna? Owija się... tak, niewątpliwie chce się wokół niego owinać. Znów ten bluszcz!

Dermot starał się, jak mógł, by zachować spokój i rozsądek.

— Wiesz co, Celio, nie uważam, by to było fair. Ja się nie mieszam do tego, co robisz.

— Ale ja przecież nic nie robię.

— No to mogłabyś wreszcie zacząć. Nie miałbym nic przeciwko temu. Jeśli w jakiś weekend powiesz, że chcesz wyjść z Doris Andrews czy z paczką dawnych przyjaciół, będę całkiem szczęśliwy. Wówczas ja mógłbym pójść gdzie indziej. Ostatecznie umówiliśmy się przed ślubem, że każda ze stron będzie wolna i będzie robiła to, co zechce.

— Nie było między nami żadnej takiej umowy, ani nawet rozmowy — powiedziała Celia. — Najzwyczajniej w świecie kochaliśmy się i chcieliśmy się pobrać. Zdawało nam się, że będzie bosko przebywać zawsze ze sobą.

— W porządku, jest bosko. I wcale nie chodzi o to, że cię nie kocham. Kocham cię tak samo jak zawsze. Jednak mężczyzna lubi robić pewne rzeczy wyłącznie w męskim towarzystwie. Mężczyzna lubi się sprawdzać. Gdybym chciał wychodzić z innymi kobietami, to co innego. Miałabyś powód do uzalania się. Lecz mnie, poza tobą, nie obchodzi żadna inna kobieta. Nienawidzę kobiet. Jedyne, czego chcę, to rozegrać przyzwoitą partię golfa z drugim mężczyzną. Naprawdę uważam, że zachowujesz się dość nierozsądnie.

Tak, prawdopodobnie była nierozsądna...

To, co Dermot chciał robić, wyglądało tak niewinnie, tak naturalnie...

Poczuła wstyd...

Lecz on nie zdawał sobie sprawy, co miały oznaczać dla niej samotne weekendy... Nie chciała mieć Dermota jedynie w łóżku. Kochała Dermota jako towarzysza zabaw nawet bardziej niż jako kochanka...

Czyżby było prawdą to, co tak często powtarzały kobiety, że mężczyźni chcą je mieć wyłącznie jako partnerki do łóżka i jako gospodynie domowe?...

Czy istota tragedii małżeńskich polega na tym, że kobiety chcą być dla mężów kompanami, a mężczyźni to nudzi?

Powiedziała coś w tym rodzaju. Dermot, jak zwykle, był uczciwy.

— Myślę, Celio, że to prawda. Kobiety chcą wszystko robić wspólnie z mężczyznami, a mężczyźni na ogół woli towarzystwo innego mężczyzny.

Zatem wszystko było jasne. To Dermot miał rację, nie ona. Ona naprawdę była nierozsądna. Przyznała to głośno, a jemu twarz się rozpodziła.

— Jesteś słodka, Celio. Zobaczysz, sama będziesz zadowolona z takiego obrotu sprawy. Nie wątpię, że znajdziesz jakichś ludzi, którzy chętnie z tobą wyjdą i, porozmawiają o tym i o owym, i o uczuciach. Ja się do tego nie nadaję. Zobaczysz, oboje będziemy szczęśliwi. Jak przypuszczam, będę grywał jedynie albo w sobotę, albo w niedzielę. W ten drugi dzień będziemy wychodzić razem jak dotychczas.

W najbliższą sobotę wyszedł z domu rozpromieniony. W niedzielę sam zaproponował wspólną wycieczkę.

Pojechali, lecz to już nie było to samo. Dermot zachowywał się uroczo, mimo to Celia wiedziała, że jego myśli krążą wokół Dalton Heath. Weston zaproponował mu partię, lecz on mu odmówił.

Rozsadzała go duma z powodu własnego poświęcenia.

W następnym weekend Celia przekonała go, aby grał i w sobotę, i w niedzielę. Dermot był uszczęśliwiony.

Muszę znów nauczyć się bawić sama ze sobą albo muszę się z kimś zaprzyjaźnić, myślała Celia.

Pogardzała „paniami domu”. Była dumna z partnerowania swojemu mężowi. „Panie domu”, umęczone dziećmi, służbą, gospodarstwem, oddychały z ulgą, kiedy podczas weekendu Tom, Dick czy Fred wychodzili grać w golfa, ponieważ w domu było mniej zamieszania... „To ułatwia życie służbie, moja droga...” Mężczyźni byli niezbędni jako żywicieli rodziny, ale w domu zawadzali...

Być może mimo wszystko jedynym miejscem dla kobiety powinien być dom.

Cóż, na to wyglądało.

14. BLUSZCZ

1

Jak miło być w domu. Celia wyciągnęła się na zielonej trawie, która była zachwycająco ciepła i żywa...

Nad nią szeleścił buk... Zielono... zielono... cały świat był zielony... Ciągnąc za sobą drewnianego konia, Judy mozolnie wspinała się w górę pochyłego trawnika... Judy była urocza ze swoimi silnymi nóżkami, różowymi policzkami i niebieskimi oczami, z kasztanowymi, gęstymi lokami. Judy była jej małą dziewczynką, tak samo jak kiedyś ona była małą dziewczynką swojej matki.

Tylko oczywiście Judy była zupełnie inna... Judy nie chciała, by jej opowiadano historyjki. Szkoda, ponieważ Celia potrafiła wymyślać historyjki jedną po drugiej, i to bez żadnego wysiłku. Tak czy owak, Judy nie lubiła bajek.

Judy nie lubiła bawić się w udawanie. Kiedy Celia powiedziała jej, jak kiedyś ona sama wyobrażała sobie, że trawnik jest morzem, a jej kółko hipopotamem, Judy ledwo na nią spojrzała i odparła: „Ale to jest trawa. A kółko toczy się przed sobą. Nie można na nim jechać”.

Judy wyraźnie dała do zrozumienia, że uważa, iż jej matka była kiedyś raczej głupią dziewczynką. Celia zmieszana się. Najpierw Dermot uznał, że ona jest głupia, a teraz Judy!

Jak na czteroletnie dziecko Judy miała mnóstwo zdrowego rozsądku. A Celia z kolei uznawała, że nadmiar zdrowego rozsądku jest rzeczą samą w sobie dość przygnębiającą.

Co więcej, zdrowy rozsądek Judy źle odbijał się na Celi — starała się wypaść sensownie w niebieskich, chłodno szacujących świat oczach córki, lecz w rezultacie wypadła na głupszą niż była.

Judy stanowiła dla własnej matki kompletną zagadkę. Wszystko, co Celia lubiła robić, będąc dzieckiem, Judy nudziło. Judy nie potrafiła się sama bawić w ogrodzie dłużej niż trzy minuty. Po ich upływie wpadała do domu i oświadczała, że nie było tam „nic do roboty”.

Judy lubiła robić rzeczy realne, nie wymyślone. Nigdy nie nudziła się w mieszkaniu. Wycierała stoły z kurzu, asystowała przy słaniu łóżek, pomagała ojcu przy czyszczeniu kijów golfowych.

Dermot i Judy nieoczekiwanie stali się przyjaciółmi. Między tym dwojgiem z dnia na dzień zapanowała całkowita duchowa jedność. Dermot, mimo iż nadal ubolewał nad jej tłuściutką figurką, niewątpliwie był oczarowany nie ukrywanym zadowoleniem małej z jego towarzystwa. Judy i Dermot rozmawiali ze sobą poważnie niby dorośli ludzie. Kiedy Dermot dawał jej kije do czyszczenia, oczekiwał, że dziecko zrobi to właściwie. Kiedy Judy mówiła: „Prawda, jakie to ładne?”, o czymkolwiek — o domku, który właśnie budowała z klocków, o piłce, którą zrobiła z kłęбка wełny, albo o łyżce, którą czyściła — Dermot nigdy nie przytaknął, jeżeli uważał, że

to coś nie jest naprawdę ładne. Wytykał każdy błąd albo wadliwą konstrukcję.

— W ten sposób tylko ją peszysz — mawiała wówczas Celia.

Lecz Judy ani się nie peszyła, ani nie raniło to jej uczuć. Lubiała ojca bardziej niż matkę, ponieważ ojca trudniej było zadowolić. Judy lubiła robić rzeczy trudne.

Dermot był nieostrożny i niedelikatny. Kiedy on i Judy baraszkowali ze sobą, Judy prawie zawsze odnosiła jakieś obrażenia. Chyba nie było takiej zabawy, z której by nie wyszła albo z guzem, albo z zadrapaniem, albo z przyszczygniętym palcem. Judy wcale się tym nie przejmowała. Łagodniejsze zabawy wymyślane przez Celię zdawały się ją nudzić.

Matkę rezerwowała sobie jedynie na czas choroby.

— Nie odchodź, mamusiu. Nie odchodź. Zostań ze mną. Nie pozwól, by zaglądał tutaj tatuś. Nie chcę tatusia.

Dermot był z tego całkiem zadowolony. Nie lubił chorych ludzi. Ludzie chorzy czy nieszczęśliwi wprawiali go w zakłopotanie.

Judy była taka sama jak Dermot, jeśli chodzi o kontakt fizyczny. Nie znosiła, kiedy ją ktoś całował albo podnosił. Wytrzymywała jeden matczyzny pocałunek na dobranoc, lecz nic poza tym. Ojciec nigdy jej nie całował. Kiedy oboje mówili sobie „dobranoc”, uśmiechali się do siebie, to wszystko.

Judy i jej babka były w doskonałej komitywie. Miriam zachwycała się charakterem i inteligencją dziecka. — Ona jest fantastycznie bystra, Celio. Wszystko chwyta w lot.

W Miriam odżyła jej dawna skłonność do uczenia. Uczyła Judy liter i słów. Obie, babka i wnuczka, jednakowo cieszyły się tymi lekcjami.

Czasami Miriam mówiła do Celi:

— Jednak Judy jest zupełnie inna niż ty, mój skarbie...

Wyglądało to tak, jakby się tłumaczyła ze swego zainteresowania dzieckiem.

Miriam uwielbiała młode umysły. Miała w sobie typową dla nauczycieli radość z ich pobudzania. Judy była dla niej doskonałym poletkiem doświadczalnym.

A jednak jej serce należało do Celi. Miłość między nią i Celią była teraz silniejsza niż kiedykolwiek. Kiedy Celia zjawiała się w domu, jej matka miała wygląd kruchej starej kobiety, posiwiałej i wyblakłej. Lecz po kilku dniach odżyła. Policzki nabrały kolorów, a w oczach pojawiły się dawne iskierki.

— Znow mam swoją dziewczynkę — mówiła uszczęśliwiona.

Zawsze zapraszała do siebie Dermota i zawsze cieszyła się, kiedy z tego zaproszenia nie korzystał. Chciała mieć Celię wyłącznie dla siebie.

Celia z kolei uwielbiała przyjeżdżać do domu, bo właśnie wówczas mogła się cofnąć w przeszłość. W to życie, w którym zawsze była bezpieczna, zawsze kochana, w którym miała właściwe sobie miejsce...

Dla matki Celia była skończoną doskonałością... Jej matka nie chciała, żeby była inna...

Celia w domu matki, w swoim dawnym domu, mogła być po prostu sobą. Jakie to kojące uczucie — być sobą... Jakie to kojące — nie kryć się z czułością, mówić wszystko...

Mogłaby powiedzieć: „Tak bardzo jestem szczęśliwa”, i nikt by nie zmarszczył czoła, a ona nie pożałowałaby swoich słów. Dermot nie znosił, kiedy mówiło się do niego o tym, co się czuło. Uważał to w jakiś sposób za nieprzyzwoite...

W domu Celia mogła być tak nieprzyzwoita, jak tylko chciała...

W domu mogła rozmyślać sobie o tym, jak bardzo jest szczęśliwa z Dermotem i o tym, jak bardzo kocha jego i Judy...

A po istnym szaleństwie kochania wszystkiego i wszystkich i po orgii mówienia o wszystkim, co jej przyszło do głowy, mogła wrócić do męża i być rozsądną, niezależną osobą, taką, jaką Dermot chciał, żeby była.

Och, kochany dom... i buk... i trawa, dotykająca jej policzka.

Pomyślała sennie: „Ona żyje, ona jest Wielkim Zielonym Zwierzęciem — cała ziemia jest Wielkim Zielonym Zwierzęciem... Jest delikatna i ciepła, i żywa... a mnie rozpieszcza szczęście... tak, szczęście... mam wszystko, co może zaoferować świat...”

Dermot to zjawiał się w jej myślach, to gdzieś się zapodziawał. Był czymś w rodzaju motywu przewodniego melodii jej życia. Czasami tęskniła za nim strasznie.

Któregoś dnia powiedziała do Judy:

— Czy tęsknisz do tatusia?

— Nie.

— Ale chciałabyś, żeby był tutaj?

— Tak, chyba tak.

— Nie jesteś pewna? Przecież go uwielbiasz.

— Oczywiście, że tak, ale on jest w Londynie. To, dla Judy, rozstrzygało całą kwestię.

Kiedy Celia wróciła do Londynu, Dermot bardzo się ucieszył na jej widok. Spędzili szczęśliwy wieczór kochanków. Celia zwierzyła się szeptem:

— Bardzo za tobą tęskniłam. A ty?

— No cóż, nie zastanawiałem się nad tym.

— Chcesz powiedzieć, że w ogóle o mnie nie myślałeś?

— Nie. Bo i co by mi z tego przyszło? Myślenie o tobie nie sprowadziłoby cię tutaj.

Dermot, jak zwykle, miał rację.

— Ale teraz cieszysz się, że jestem?

Tym razem odpowiedź Dermota zadowolila ją.

Jednak później, kiedy on już spał, a ona leżała z otwartymi oczami, pogrążona w szczęśliwych marzeniach, pomyślała sobie: To straszne, lecz chciałabym, żeby Dermot był czasami choćby odrobinę mniej szczerzy... Niechby powiedział: „Tęskniłem za tobą okropnie, kochanie”. Jak by to mnie podniosło na duchu i jakie by to było miłe. Nieważne, czy mijałoby się z prawdą, czy nie...

Ale nie, Dermot jest Dermotem. Jej zabawnym, aż do bólu szczerym Dermotem. Judy jest taka jak on.

Możliwe, że postępowałyby mądrzej, nie zadając im pytań, na które nie chciała usłyszeć szczerzej odpowiedzi.

Zasypiała...

Ciekawe, czy kiedyś będę zazdrosna o Judy... Ona i Dermot rozumieją się nawzajem o wiele lepiej niż on i ja...

Judy, jak jej się zdawało, czasami była o nią zazdrosna. Judy lubiła, kiedy uwaga jej ojca skupiała się wyłącznie na niej.

Jakie to dziwne... Dermot był tak bardzo zazdrosny o nią przed urodzeniem się Judy, i nie tylko przed. Był zazdrosny nawet wtedy, kiedy Judy zjawiła się na świecie i kiedy była

maleńką okruszynką. To śmieszne, że człowiek czego innego się spodziewa, a czym innym los go obdarowuje...

Kochana Judy... kochany Dermot. Tacy do siebie podobni. Tacy zabawni i tacy mili, a przede wszystkim tacy... tacy jej. Są jej własnością. Nie, nie tak. To ona jest ich własnością. To brzmi lepiej. I cieplej. I bezpieczniej. Tak, to ona należy do nich.

2

Celia wymyśliła nową zabawę. To prawdziwie nowy okres w dziejach moich „dziewcząt”, myślała. Jej „dziewczęta” konały. Celia próbowała je wskrzesić, sprawić, by miały dzieci i stateczne domy otoczone parkami, i interesujące kariery, lecz wszystko na nic. Dziewczęta wzbraniały się przed powrotem do życia.

Celia wymyśliła nową postać. Nazwała ją Hazel i z wielkim zainteresowaniem śledziła jej drogę życiową. Hazel była nieszczęśliwym dzieckiem, a jej rodzina była uboga. Zyskała sobie u nianiek złą sławę, ponieważ nieustannie mruzczała pod nosem „Coś się zdarzy, coś się zdarzy”. A ponieważ nie było dnia bez jakiegoś, choćby drobnego, wydarzenia, choćby bez ukłucia się w palec przez niańkę, Hazel utwierdziła się w przekonaniu, że jest kimś w rodzaju domowej czarownicy i nim zdążyła dorosnąć, już wiedziała, jak łatwo jest nabierać łatwowiernych...

Celia z ciekawością podążyła za nią w tajemny świat spirytyzmu, wróżb, seansów i temu podobnych rzeczy. Hazel zainstalowała się jako zawodowa wróżka na Bond Street, gdzie zyskała wielki rozgłos i gdzie była subwencjonowana przez niewielką klikę jakichś miernot, uważających się za prawdziwych szpiegów.

Następnie zakochała się w młodym Walijszyku, oficerze marynarki wojennej, i przeniosła się ze swoimi seansami na walijską wieś. Powoli stawało się jasne (dla każdego poza samą Hazel), że jej szalbierskie praktyki to autentyczny talent.

W końcu Hazel, ku swemu przerażeniu, sama to zauważyła. Oszukiwała nadal, to znaczy, starała się oszukiwać, lecz jej niesamowite przepowiednie sprawdzały się... Hazel zawładnęła jakąś tajemną moc.

Owen, młody oficer marynarki wojennej, był dość mglistą postacią. Ostatecznie okazał się kanalią.

Celia powracała do tej historii w każdej wolnej chwili.

Któregoś dnia pomyślała sobie, czy by nie przenieść jej na papier...

Przecież był to całkiem niezły materiał na książkę...

Kupiła kilka tanich zeszytów i mnóstwo ołówków (z ołówkami nigdy nie umiała obchodzić się ostrożnie) i wystartowała...

Jednakże pisanie nie było sprawą prostą. Celia nieodmiennie wybiegała myślą do przodu o około sześć akapitów, a potem gdzieś po drodze gubiła właściwe sformułowania.

Mimo to czyniła postępy. To nie była dokładnie ta sama historia, jaka od dłuższego czasu zaprzętała jej umysł, lecz tak czy inaczej powstawała prawdziwa książka, z rozdziałami i całą resztą.

Celia dokupiła kilka kolejnych zeszytów.

Dermotowi nie wspomniała o niczym aż do chwili, kiedy przebrnęła przez relację z religijnego mityngu w Walii, podczas którego Hazel miała „widzenie”.

Ten szczególny rozdział wypadł lepiej, niż się spodziewała. Była upojona zwycięstwem. Czuła nieprzepartą potrzebę zwierzenia się komuś.

— Dermocie — powiedziała — czy sądzisz, że mogłabym napisać książkę?

— Och, to wspaniały pomysł — rzucił zachęcająco Dermot. — Na twoim miejscu to właśnie bym zrobił.

— Bo widzisz, chodzi o to, że ją piszę. Jestem w połowie.

— Świetnie — odparł Dermot i wrócił do swojej książki o ekonomii.

— To historia dziewczyny, która jest medium, choć sama o tym nie wie. Udaje wróżkę i oszukuje podczas seansów. Następnie zakochuje się w młodym Walińczyku i wyjeżdża do Walii, a tam zaczynają się dziać dziwne rzeczy.

— Przypuszczam, że to coś w rodzaju powieści?

— Oczywiście, tyle że źle ją opowiadam.

— Czy wiesz cokolwiek o mediach czy o seansach spirytystycznych i temu podobnych rzeczach?

— Nie — powiedziała Celia, lekko urażona.

— No więc czy to nie ryzyko, wdawać się — w tego rodzaju wywody? No a poza tym, jak mi wiadomo, nigdy nie byłeś w Walii.

— Nie, nie byłem.

— To czy nie lepiej pisać o czymś, co się zna? Powiedzmy o Londynie albo o twoim hrabstwie. Wygląda mi na to, że sama sobie utrudniasz pracę.

Celia zmieszala się. Jak zwykle Dermot miał rację. Chyba pokpiła sprawę. Dlaczego, u licha, wybrała coś, na czym się nie zna? Choćby te religijne mityngi. Nigdy na żadnym z nich nie była. Dlaczego zatem miałyby je opisywać?

Wszystko jedno, nie mogła porzucić Hazel i Owena. Oni istnieją... Nie, nie porzuci ich...

Przez następny miesiąc Celia czytała wszystko, co jej wpadło w ręce, o spirytyzmie, seansach, zdolnościach mediumistycznych i wszelkich szalbierczych praktykach. Potem, powoli i pracowicie, przepisała pierwszą część książki. Nie cieszyło jej to, co robi. Wszystkie zdania zdawały jej się ułomne, a poza tym, ni stąd, ni zowąd, wpadała w zdumiewające gramatyczne pułapki.

Kiedy przyszło lato, Dermot zgodził się — bardzo usłużnie — spędzić w Walii swój dwutygodniowy urlop. Celia miała „wejść w miejscowy koloryt”. Przystąpili do dzieła bardzo solennie, mimo to miejscowy koloryt zdawał się Celii jakiś nieuchwytny. Wszędzie nosiła ze sobą kieszonkowy notes, aby w każdej chwili móc zapisać to, co ją szczególnie zainteresowało czy uderzyło. Ale Celia nie była spostrzegawcza: urlop Dermota skończył się, a w notesie nie została zapisana ani jedna kartka.

Miała szaloną pokusę zostawić w spokoju Walię i zamienić Owena w szkockiego górala o imieniu Hector.

Jednak Dermot zauważył, że w ten sposób spiętrzyłyby się przed nią kolejne trudności. Celia o szkockich górach, podobnie jak o Walii, też nic nie wiedziała.

Zrozpaczona, odłożyła całą rzecz na bok. Tkwiła w martwym punkcie. Poza tym jej wyobraźnia już się zapełniała członkami pewnej rodziny rybackiej z Kornwalii...

Dobrym znajomym Celii stał się teraz Amos Polridge...

Nie zwierzyła się z kolejnego pomysłu Dermotowi. Czuła się winna. Nie wiedziała nic o rybakach ani o morzu. Oczywiście nie zamierzała zabrać się do pisania... Jaki z tego byłby pożytek... Lecz jakie to zabawne, myśleć sobie w skrytości ducha o Amosie i o jego starej, bezzębnej i cokolwiek złowieszczej babce...

Może kiedyś dokończy książkę o Hazel. Owen mógłby się wówczas wcielić w postać zdemoralizowanego młodego maklera z Londynu.

Tylko czy on na to przystanie...

Owen dąsał się. Owen był niezdecydowany. Wreszcie postać Owena zaczynała tracić kontury... Owen przestał istnieć.

Tymczasem Celia zdążyła się przyzwyczać do oszczędnego i dość skromnego życia.

Dermot spodziewał się, że pewnego dnia zbije fortunę. Właściwie był tego całkiem pewien. Celia nigdy nie spodziewała się być bogata. Była zadowolona z tego, co mają. Niechby tylko Dermot nie był rozczarowany.

Ale żadne z nich nie spodziewało się prawdziwej finansowej zapaści. Powojenny boom skończył się. Nastąpił krach.

Zlikwidowano firmę Dermota, a on sam pozostał bez pracy.

Mieli pięćdziesiąt funtów rocznych dochodów Dermota i sto Celi, mieli dwieście funtów w pożyczkach wojennych, no i Celia i Judy miały swój azyl, dom Miriam.

Nastaly ciężkie czasy. Celia odczuła to głównie z powodu Dermota. Dermot miał pecha — całkiem niezastuzonego (Dermot ciężko pracował). Zgorzkniał i zrobił się nieuprzejmy. Celia odprawiła Kate i to samo zamierzała zrobić z Denman. Powiedziała, że sama będzie prowadzić dom aż do czasu, kiedy Dermot dostanie pracę. Denman jednakże nie chciała odejść.

— Zostaję — burknęła. — To żaden argument. Z gażą mogę poczekać. Nie zostawię w takich czasach mojego maleństwa.

I tak Denman została. Ona i Celia wspólnie sprzątały, gotowały i zajmowały się Judy. Jednego ranka Celia zabierała Judy do parku, a Denman zajmowała się domem, drugiego było na odwrót.

Celia była zajęta przez cały dzień, lecz znajdowała w ciągłej pracy dziwną radość. Celia lubiła być zajęta. Wieczorami zabierała się do swojej Hazel. Po pewnym czasie skończyła książkę i wysłała ją do wydawnictwa. To mogło przynieść jakąś korzyść.

Książka jednakże została odesłana odwrotną pocztą. Celia wrzuciła ją do szuflady. Nie próbowała szczęścia gdzie indziej.

Największym zmartwieniem w życiu Celi stał się Dermot. Był tak drażliwy, że trudno było z nim wytrzymać. Irytował go dobry humor Celi (nie okazuje dostatecznego zrozumienia dla jego kłopotów) i tak samo irytowało go jej milczenie (nie podtrzymuje go na duchu, a jako żona powinna).

Celia czuła desperacko, że gdyby tylko Dermot wykazał się odrobiną dobrej woli, mogliby swoją obecną sytuację potraktować jak coś w rodzaju pikniku. Z pewnością nie ma lepszego lekarstwa na kłopoty niż śmiech.

Ale Dermot nie mógł się śmiać. Jego męska duma była urażona.

Dermot uprzykrzał Celii życie, ale jej nie ranił. Zranił ją kiedyś, po tamtym przyjęciu. Teraz Celia wiedziała, że jego nieuprzejmość wynika z kłopotów, z tego, że Dermot cierpi i że cierpi bardziej ze względu na nią niż na siebie.

Czasami usiłował wyrazić głośno to, co czuje.

— Dlaczego nie odejdziecie, ty i Judy? Zabierz ją do swojej matki. Żadna z was nie ma ze mnie żadnego pożytku. Wiem, że z trudem mnie znosisz. Ale już ci to kiedyś powiedziałem: nie bardzo wiem, co robić, kiedy mam kłopoty. Nie potrafię stanąć z nimi twarzą w twarz.

Jednak Celia nie odeszła. Została, aby było mu łatwiej, lecz nie na wiele to się zdało.

Mijał dzień za dniem, a Dermot wciąż nie mógł znaleźć pracy. Popadał w coraz to gorszy nastrój.

W końcu, kiedy Celia poczuła, że zupełnie opuszcza ją odwaga i kiedy już się prawie zdecydowała na wyjazd do Miriam, na co Dermot stale nalegał, sprawy przyjęły nowy obrót.

Któregoś popołudnia Dermot wszedł do mieszkania całkowicie odmieniony. Znow miał swój dawny, chłopięcy wygląd i roztańczone, radosne spojrzenie.

— Celio, udało mi się! Pamiętasz Tommy'ego Forbesa? Wpadłem do niego mimochodem, a on aż się poderwał na mój widok. Właśnie szukał kogoś takiego jak ja. Osiemset funtów rocznie na początek, a po roku czy dwóch mogę podgonić do półtora albo i do dwóch kawałków. Chodźmy gdzieś i uczcijmy to.

Co za szczęśliwy wieczór! Dermot był zupełnie inny, jak pełne werwy i podniecenia dziecko. Nalegał, by Celia kupiła sobie nową suknię.

— W tej liliwoniebieskiej wyglądasz uroczo. Ja, Celio... ja cię wciąż kocham, potwornie.

Kochankowie, tak, to im wciąż jeszcze pozostało.

Mam nadzieję, myślała Celia tamtej nocy, nie mogąc zasnąć, że Dermotowi wszystko dobrze się ułoży. On tak bardzo przejmuje się, kiedy coś jest nie tak.

Następnego ranka Judy zaskoczyła ją pytaniem: — Mamusiu, co to znaczy „przyjaciel na dobrą pogodę?” Niania nazywa tak swojego przyjaciela z Peckham.

— Tak się mówi o kimś, kto jest miły dla ciebie, kiedy wszystko dobrze się układa, lecz kiedy masz kłopoty, opuszcza cię.

— Och, rozumiem. To zupełnie jak tatuś.

— Nie, Judy, skądże znowu. Tatuś jest nieszczęśliwy i nie za bardzo wesoły, kiedy coś go gnębi, lecz gdyby któraś z nas była chora albo nieszczęśliwa, zrobiłby dla mnie i dla ciebie wszystko. Tatuś to najbardziej lojalny człowiek na świecie.

Judy popatrzyła na matkę w zamyśleniu.

— Nie lubię, jak ktoś jest chory — powiedziała. — Taki ktoś kładzie się do łóżka i nie może się bawić. Wczoraj, kiedy bawiliśmy się w parku, Margaret coś wpadło do oka. Nie mogła biegać. Chciała, żebym siedziała razem z nią, ale ja nie siedziałam.

— Judy, zachowałeś się nieładnie.

— Nie, nieprawda. Ja nie lubię siedzieć. Ja lubię biegać.

— A gdyby tobie wpadło coś do oka, czy nie chciałabyś, żeby ktoś przy tobie posiedział?

— Ani trochę... Poza tym to nie mnie coś wpadło, tylko Margaret.

15. POMYŚLNOŚĆ

1

Dermotowi powiodło się. Zarabiał prawie dwa tysiące funtów rocznie. Oboje byli w siódmym niebie. Oboje zgadzali się, że należy żyć oszczędnie i oboje zgadzali się, że może jeszcze nie teraz.

Ich pierwszym nabytkiem był używany samochód.

Potem Celia zaczęła tęsknic do życia na wsi. Wieś to odpowiednie miejsce dla małego dziecka, a poza tym ona nienawidzi Londynu, argumentowała. Dermot, który dotychczas uparcie twierdził, że ich na to nie stać, że w mieście żywność jest tańsza i że zbyt dużo by wydawał na podróżę pociągiem, nagle zmienił zdanie.

Mogliby rozejrzeć się za czymś niedaleko Dalton Heath...

Ostatecznie osiedlili się w jednym z małych domków, wybudowanych na terenie rozparcelowanej posiadłości ziemskiej. Pola golfowe w Dalton Heath leżały w odległości dziesięciu mil. Ponadto kupili psa, wspaniałego sealyhama, Aubreya.

Denman odmówiła wyjazdu na wieś. W ciężkich czasach Denman była aniołem. Kiedy wszystko zaczęło układać się pomyślnie, wstąpił w nią diabeł. Zrobiła się nieuprzejma, butnie podrzucała głową, aż ostatecznie wymówiła. Jeśli ludzie, których się zna, powiedziała, zaczynają zadzierać nosa, to najwyższa pora, aby się z nimi rozstać.

Przeprowadzili się na wiosnę. Na Celii największe wrażenie zrobił bez. Bez we wszystkich odcieniach lila i purpury. Przechadzając się wczesnym rankiem po ogrodzie z Aubreyem u nogi, Celia czuła, że jej życie nabrało prawie doskonałego kształtu. Koniec z brudem, kurzem i mgłą. To był Dom...

Celia uwielbiała życie na wsi i długie włóczęgi z Aubreyem. Judy spędzała ranki w pobliskiej niewielkiej szkole. Judy ciągnęła do szkoły jak kaczka do wody. Była bardzo nieśmiała wobec pojedynczych osób, lecz doskonale radziła sobie w tłumie. „Mamusiu, czy któregoś dnia pójdę do prawdziwej szkoły? Do takiej, w której są setki i tysiące dziewczynek? Gdzie jest największa szkoła w Anglii?”

Celia miała jedną potyczkę z Dermotem co do zagospodarowania nowego domu. Jeden z pokoi frontowych na piętrze przeznaczony był na ich sypialnię. W drugim Dermot chciał mieć swoją ubieralnię. Celia uważała, że ten drugi powinien być pokojem dzieciennym.

Dermot był rozdrażniony.

— Przypuszczam, że zrobisz tak, jak zechcesz. Będę jedyną osobą w tym domu, która nigdy nie zobaczy słońca w swoim pokoju.

— To raczej Judy powinna mieć słoneczny pokój.

— Nonsens. Ona cały dzień spędza na dworze. Tamten pokój z tyłu domu jest wystarczająco obszerny, by miała gdzie się „wybiegać”.

— Ale nie ma w nim słońca.

— Nie rozumiem, dlaczego słońce jest potrzebne wyłącznie Judy.

Jednakże ten jeden raz Celia postawiła na swoim. Bardzo chciała przydzielić Dermotowi słoneczny pokój, ale nie zrobiła tego. W końcu Dermot dobroduszenie pogodził się ze swoją porażką, choć nadal uważał, że jest pokrzywdzony i grał rolę tyranizowanego męża i ojca.

2

Mieli w pobliżu sporo sąsiadów. Wszyscy byli im przyjaźni. Kłopot polegał na tym, że Dermot nie miał ochoty gdziekolwiek bywać.

— Posłuchaj, Celio, wracam z Londynu zmęczony, a ty każesz mi się przebierać i gdzieś mnie ciągniesz. Nigdy nie zdążamy do domu przed północą. Nie wytrzymuję takiego trybu życia.

— Ależ, Dermocie, nikt nie mówi o każdym wieczorze. Natomiast nie sądzę, by wyjście raz w tygodniu było dla mężczyzny w twoim wieku wyczynem ponad siły.

— W porządku, po prostu nie chcę nigdzie chodzić. Możesz bywać u ludzi sama, proszę bardzo.

— Nie mogę bywać sama. Ludzie zapraszają na kolacje jedynie paty. A poza tym jak mam im wytłumaczyć, że nie wychodzisz z domu wieczorami. Przecież jesteś całkiem młody.

— Nie wątpię, że sobie z tym poradzisz. Jednak to nie było takie łatwe. Na wsi istotnie ludzie byli zapraszani parami albo wcale. Lecz czyż Dermotowi nie należało ustąpić? Przecież to on zarabia pieniądze, myślała Celia, i powinno mu się dać swobodny wybór co do zaprogramowania wspólnego życia. Tak więc Celia wymawiała się od zaproszeń. Oboje spędzali wieczory w domu. Dermot czytał książki ekonomiczne, a Celia czasami coś szyła, czasami siedziała z dłońmi na podolku, myśląc o rodzinie rybaka z Kornwalii.

3

Celia chciała mieć drugie dziecko.

Dermot nie chciał.

— W Londynie twierdziłeś, że nie ma dość miejsca — powiedziała Celia. — No i oczywiście byliśmy biedni. Lecz teraz nie brakuje nam ani miejsca, ani pieniędzy, a dwoje dzieci to niewiele więcej kłopotu niż jedno.

— Wcale nie jest nam teraz potrzebne. Tylko pomyśl, znów to całe zamieszanie i niepokój, i płacz, i butelki, i cała reszta.

— Jestem przekonana, że zawsze będziesz mówił to samo.

— Nieprawda. Chciałbym mieć dwoje dzieci. Ale nie teraz. Mamy mnóstwo czasu, daleko nam do starości. Kiedy wszystko nas znudzi, dziecko będzie czymś w rodzaju przygody. Teraz cieszymy się sobą. Chyba nie chciałabyś od nowa mieć mdłości. — Zmienił temat. — Wiesz, co dzisiaj oglądałem?

— Och, Dermocie!

— Samochód. Nasz to stary gruchot. A ten mi poleca Davis. To sportowy model, przejechał tylko osiem tysięcy mil.

Jakże ja go kocham, myślała Celia. Jest taki chłopiący. Tak się do wszystkiego zapala... No i ciężko pracuje. Dlaczego nie ma mieć czegoś, co lubi?... Jeszcze kiedyś będziemy

mieli drugie dziecko. Tymczasem niech ma ten swój samochód... W końcu bardziej mi zależy na nim niż na jakimkolwiek dziecku na świecie...

4

Celię intrygowało to, że Dermot nigdy nie chciał zaprosić żadnego ze swych dawnych przyjaciół.

— Przecież byłeś tak bardzo przywiązany do Andrews.

— Tak, lecz to już przeszłość. Przestaliśmy się spotykać. Ludzie się zmieniają...

— A Jim Lucas? Za czasów naszego narzeczeństwa sprawialiście wrażenie nierozłącznych.

— Och, nie mam zdrowia do nikogo ze starej paczki z wojska.

Któregoś dnia Celia dostała list od Ellie Peterson, dawnej Ellie Maitland.

— Dermocie, moja przyjaciółka, Ellie Peterson, wróciła z Indii. Byłam druhną na jej ślubie. Czy mogłabym zaprosić ją na weekend? Oczywiście z mężem.

— Jeśli masz ochotę... A czy on gra w golfa?

— Nie wiem.

— Będzie nudno, jeśli nie gra. Zresztą to bez znaczenia. Chyba nie chcesz, bym został w domu i ich zabawiał?

— A nie moglibyście zagrać w tenisa? — (Mieszkańcy ich kolonii domków mieli do dyspozycji kilka kortów). — Ellie kiedyś namiętnie grywała w tenisa, a Tom chyba też.

— Posłuchaj mnie, Celio. Nie będę grał w tenisa, jeśli mogę zagrać w golfa. A za trzy tygodnie mamy w Dal ton Heath rozgrywki pucharowe.

— Czy dla ciebie liczy się tylko golf? Przecież w ten sposób komplikujemy sobie życie.

— Czy naprawdę uważasz, że wszyscy muszą lubić to samo? Ja lubię grać w golfa, ty w tenisa. Sprowadź sobie swoich przyjaciół i rób sobie z nimi to, na co masz ochotę. Wiesz, że nigdy nie mieszam się do twoich spraw.

To była prawda. I wszystko brzmiało bardzo sensownie. Lecz jakoś, w praktyce idee Dermota komplikowały życie. Kiedy jest się mężatką, myślała Celia, jest się na swój sposób związaną z własnym mężem. Przecież nikt nie traktuje mężatki jako odrębnej istoty. Dermot mógłby sobie pójść z domu, gdyby zapowiedziała się sama Ellie, lecz nie wówczas, kiedy przyjeżdżają oboje.

Ostatecznie, kiedy Davis (z którym Dermot grywał prawie w każdy weekend) i jego żona przyjechali do nich, ona, Celia, musiała zabawiać panią Davis przez cały dzień. Pani Davis nie można było nic zarzucić poza tym, że była nudna. Siedziała i czekała, żeby z nią rozmawiać.

Nie powiedziała tego Dermotowi. Dermot nie lubił, jak mu się coś wypominało. Zaprosiła Petersonów i była dobrej myśli.

Ellie niewiele się zmieniła. Ona i Celia wspomniały dawne czasy. Tom siedział cicho. Trochę posiwiiał. To taki miły, mały człowieczek, pomyślała Celia. Zawsze zdawał się trochę roztargniony, lecz bardzo sympatyczny.

Dermot zachował się jak anioł. Wy tłumaczył się, że w sobotę musi grać w golfa (mąż Ellie nie grał). Na zabawianie gości poświęcił niedzielę. Zabrał ich nad rzekę, a takiego sposobu na spędzenie popołudnia to już na pewno nie cierpiał, Celia dobrze o tym wiedziała.

— No więc, byłem wielkoduszny czy nie? — zapytał po ich odejściu.

Dermot często mówił o sobie, że jest „wielkoduszny”. To słowo było jednym z ulubionych określeń Dermota. Słyszając je, Celia nigdy nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Byłeś. Byłeś aniołem.

— W porządku. Obyś zbyt prędko nie kazała mi wchodzić w tę samą rolę.

Celia, aczkolwiek nosiła się z zamiarem zaproszenia innej przyjaciółki z mężem, poprzestała na zamiarze; wiedząc, że ów mąż nie grywa w golfa, nie chciała zmuszać Dermota do następnego poświęcenia...

Celia myślała nieraz, że trudno jest żyć pod jednym dachem z kimś, kto się poświęca. Nie znosiła Dermota w roli męczennika. Lepiej się z nim żyło, kiedy był zadowolony...

No i tak czy inaczej, nie dbał o starych przyjaciół. W jego mniemaniu starzy przyjaciele zwykle byli nudziarzami.

Judy najwyraźniej podzielała poglądy ojca w tej materii, ponieważ kilka dni później, kiedy Celia wspomniała jej przyjaciółkę Margaret, Judy zrobiła zdziwioną minę.

— Kto to jest Margaret?

— Nie pamiętasz Margaret? To z nią bawiłaś się najczęściej w parku w Londynie.

— Nie. Nie pamiętam. Z tą jakąś Margaret nigdzie się nie bawiłam.

— Judy, musisz pamiętać. To było zaledwie rok temu.

Judy jednak nie mogła przypomnieć sobie żadnej Margaret. Nie mogła przypomnieć sobie nikogo, z kim bawiła się w Londynie.

— Znam jedynie dziewczynki ze szkoły — powiedziała zadowolona z siebie.

5

Zdarzyło się coś niezwykłego. Zaczęło się od tego, że zadzwoniono do Celi i zapytano, czy nie zastąpiłaby kogoś na przyjęciu. Zadzwoniono w ostatniej chwili.

— Wiem, że nie weźmiesz mi tego za złe, kochanie...

Celia nie wzięła. Celia była zadowolona. Szalenie cieszyła się na nadchodzący wieczór.

Nie była skrepowana. Rozmawiała swobodnie. Nie musiała się pilnować, by nie wypaść głupio. Nie oceniało jej krytyczne spojrzenie Dermota. Czuła się tak, jakby nagle znów była dziewczyną.

Mężczyzna po jej prawej stronie odbył wiele podróży na Wschód. Ponad wszystko na świecie Celia tęskniła za podróżami.

Czasami odnosiła wrażenie, że gdyby pojawiła się przed nią szansa podróżowania, zostawiłaby Dermota i Judy, i Aubreya, i całą resztę i rzuciłaby się w błękit przestworzy... Przemierzać świat...

Mężczyzna po jej prawej stronie mówił o Bagdadzie, o Kaszmirze, o Isfahanie i Teheranie, o Szirazie (jakie piękne nazwy... nawet jeśli się jej z niczym nie kojarzą). Opowiedział także o wędrówce przez Beludżystan, którą odbyło kilku podróżników.

Mężczyzna po jej lewej stronie był starszym, miłym panem. Podobało mu się młode, promienne stworzenie, które wreszcie zwróciło się ku niemu z jaśniejącą twarzą, jeszcze pełną zachwyty nad dalekimi krajami.

Zaczął mówić o książkach. Książki? Ach, książki, ona też napisała taką jedną, choć to było całkowite nieporozumienie. Śmiała się, lecz on odparł, że chętnie zapozna się z rękopisem. Celia powiedziała, że to bardzo zła książka. — Nieważne, chcę ją zobaczyć. Pokaże mi ją pani?

— Będzie pan rozczarowany.

Mężczyzna pomyślał, że prawdopodobnie będzie. To młode stworzenie z tą swoją skandynawską jasnością wcale mu nie wyglądało na pisarkę. Ale ponieważ było w tymże stworzeniu coś pociągającego, on był ciekaw, co też takiego ono potrafi napisać.

Celia wróciła do domu o pierwszej w nocy. Dermot wyglądał na pogrążonego w szczęśliwych snach, mimo to go zbudziła. Musiała go zbudzić, była zbyt podniecona...

— Dermocie, spędziłam bardzo udany wieczór. Naprawdę. To była świetna zabawa. Poznałam pewnego mężczyznę, który opowiadał mi mnóstwo ciekawych rzeczy o Persji i Beludżystanie, no i był tam także pewien miły wydawca. Po kolacji zmuszono mnie do śpiewu. Śpiewałam okropnie, lecz to chyba nikomu nie przeszkadzało. Potem wyszliśmy do ogrodu, a ja z moim podróżnikiem znalazłam się nad stawem z liliami wodnymi, no i wiesz, on próbował mnie pocałować, ale tak całkiem miło, no i wszystko było urocze, wszystko, i księżyc, i lilie, i naprawdę wszystko, tak że niewiele brakowało, bym pozwoliła się pocałować, ale oczywiście nie pozwoliłam, bo wiedziałam, że tobie by się to nie podobało.

— Jasne, że nie.

— Ale nie masz mi tego za złe, prawda?

— Ani trochę — powiedział Dermot uprzejmie. — To miło, że miałaś udany wieczór. Nie rozumiem tylko, dlaczego mnie obudziłaś.

— Dlatego, że tak bardzo się cieszę. I że chciałam ci to wszystko opowiedzieć. — Dodała przepaszająco: — Wiem, że nie lubisz, kiedy ci się zwierzam.

— Nieważne. Po prostu uważam, że to dość głupie. Przecież można się cieszyć, nie chwając się tym przed innymi.

— Ja nie mogę — przyznała Celia uczciwie. — Ja muszę mówić o wszystkim, inaczej chyba bym się rozleciała na kawałki.

— W porządku — powiedział Dermot, przewracając się na bok. — Powiedziałaś mi.

Zasnął na powrót.

Taki właśnie jest Dermot, myślała Celia z odrobiną goryczy, rozbierając się. Potrafi stłumić każdy zapach, lecz mimo to jest całkiem miły...

6

Celia zapomniała o obietnicy danej wydawcy. Ku jej wielkiemu zaskoczeniu, następnego popołudnia ten wmaszerował do jej domu i przypomniał wczorajszą rozmowę.

Celia wyciągnęła stertę zakurzonych rękopisów z jakiejś szafki na poddaszu i jeszcze raz powtórzyła, że książka jest bardzo głupia.

Dwa tygodnie później dostała list, w którym ów wydawca zapraszał ją do Londynu na spotkanie.

Siedział za zarzuconym stertami rękopisów stołem. Kiedy usiadła naprzeciw, mrugnął do niej spoza szkieł okularów.

— No więc — zaczął — rozumiem, że to miała być książka. Ale w moim posiadaniu znalazło się niewiele ponad połowę tekstu. Gdzie reszta? Czy ją pani zgubiła?

Celia, zaintrygowana, sięgnęła po rękopis. Aż jęknęła.

— Dałam panu nie tę, co trzeba. To jest ta pierwsza, ta, której nigdy nie dokończyłam.

Następnie wszystko mu wytłumaczyła. Wydawca wysłuchał jej z uwagą i poprosił o przysłanie poprawionej wersji. Tę, którą już miał, zatrzymał u siebie.

Tydzień później znów została wezwana. Tym razem oczy jej przyjaciela mrugały częściej niż poprzednio.

— Ten drugi tekst jest do niczego — usłyszała. — Nie znajdzie pani wydawcy, który chciałby na to choćby rzucić okiem. Ale ta pierwsza historyjka wcale nie jest zła. Jak pani sądzi, mogłaby ją pani dokończyć?

— Ależ ona jest zła od początku do końca. Pełno w niej błędów.

— Proszę mnie posłuchać, drogie dziecko. Chcę z panią porozmawiać całkiem szczerze. Nie jest pani zesłanym przez niebiosa geniuszem. Nie sądzę, by kiedykolwiek spod pani ręki wyszło jakieś arcydzieło. Ale jedno jest pewne: ma pani wrodzony dar opowiadania. Pani wyobrażenia o spirytyzmie, mediach i walijskich religijnych mityngach są spowite romantyczną mgiełką. Może pani mylić się co do nich, lecz widzi je pani tak, jak widzi je dziewięćdziesiąt dziewięć procent czytelników (którzy tak jak i pani niczego o tych sprawach nie wiedzą). Tych dziewięćdziesiąt dziewięć procent nie znajdzie przyjemności w lekturze starannie dobranych faktów. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent czytelników chce fikcji. Fikcji, która jest możliwym do zaakceptowania kłamstwem. Proszę zauważyć — możliwym do zaakceptowania. Zobacz pani, że tak samo będzie z rodziną kornwalijskiego rybaka, o której mi pani opowiadała. Proszę pisać o niej książkę, lecz, na litość boską, proszę nie wybierać się do Kornwalii ani do rybaków, nim jej pani nie skończy. Bo jeśli się tam pani wcześniej wybierze, napisze pani jakieś realistyczne, ponure sprawozdanie, takie, jakiego ludzie się spodziewają, kiedy biorą do ręki książkę poświęconą życiu kornwalijskich rybaków. A przecież pani nie chce udać się do Kornwalii i odkryć, że tamtejsi rybacy wcale nie są jakąś rasą samą w sobie, lecz ludźmi bardzo spokrewnionymi z hydraulikiem z Walworth Road w Londynie. Pani nigdy nie stworzy dobrego dzieła o niczym, co jest pani znajome, ponieważ pani jest uczciwa. Pani ma nieuczciwą wyobraźnię, lecz uczciwy rozum. Pani nie potrafi przedstawiać fałszywie

czegoś, co pani zna, lecz jest pani zdolna wymyślić najwspanialsze kłamstwa, jeśli pani czegoś nie zna. Pani ma pisać o rzeczach niewiarygodnych czy fantastycznych (w pani przekonaniu), a nie o rzeczach realnych. A zatem, proszę iść i zrobić tak, jak mówię.

Rok później została opublikowana pierwsza powieść Celii. Miała tytuł Odludna przystań. Wydawnictwo poprawiło wszystkie rażące nieścisłości.

Miriam uważała, że jest wspaniała. Dermot natomiast, że raczej okropna.

Celia wiedziała, że Dermot ma rację, lecz wdzięczna była matce.

Teraz, myślała, mogę udawać, że jestem pisarką. Zdaje mi się, że to jest jeszcze dziwniejsze niż udawanie, że jest się żoną czy matką.

16. STRATA

1

Miriam chorowała. Za każdym razem, kiedy Celia widziała swoją matkę, serce ścisnęło jej się z bólu.

Matka sprawiała wrażenie bardzo małej i bardzo żalostnej. I była tak bardzo samotna w tamtym dużym domu.

Celia pragnęła ją do siebie sprowadzić, lecz Miriam absolutnie nie chciała się na to zgodzić.

— Nic dobrego z tego nie wyniknie. To nie byłoby fair w stosunku do Dermota.

— Pytałam go, mamó. Jest pełen dobrej woli.

— To ładnie z jego strony, lecz nie powinnam o tym nawet marzyć. Młodych ludzi należy zostawiać samym sobie.

Matka przemawiała gwałtownie. Celia nie protestowała.

— Długo się zbierałam, żeby ci coś powiedzieć, Celio. Myliłam się, jeśli chodzi o Dermota. Kiedy wyszłaś za niego, nie ufałam mu. Nie zdawało mi się, by był uczciwy czy wierny... Podejrzewałam, że w jego życiu istnieją inne kobiety.

— Och, mamó, Dermot poza piłką do golfa świata nie widzi.

Miriam uśmiechnęła się.

— Myliłam się... Cieszę się, że się myliłam... Teraz wiem, że gdy mnie zabraknie, zostaniesz z kimś, kto będzie się o ciebie troszczył.

— Tak, mamó. On i teraz się o mnie troszczy.

— To prawda. Jestem z tego zadowolona... Celio, twój mąż jest bardzo pociągający... pociągający dla kobiet, pamiętaj o tym...

— Ależ, mammo, on jest okropnym domatorem.

— No tak, masz szczęście. No i myślę, że on naprawdę kocha Judy. Ona jest dokładnie taka jak on. Twoja córka nie jest podobna do ciebie, Celio. To dziecko Dermota.

— Wiem, mammo.

— Dużo czasu upłynęło, nim uwierzyłam, że Dermot będzie dla ciebie dobrym mężem... Nie uważałam tak na początku. Myślałam, że jest okrutny... bezwzględny...

— Nie, mammo, nie. On jest niezwykle dobry. I pamiętasz? Zanim Judy się urodziła, był taki słodki. Dermot po prostu należy do tych ludzi, którzy nie cierpią ujawniać swych uczuć. Dermot jest jak skała.

Miriam westchnęła.

— Byłam zazdrosna. Wołałam nie zauważać jego dobrych cech. Och, kochanie, tak bardzo pragnę, żebyś była szczęśliwa.

— Jestem, mammo, jestem.

— Tak, myślę, że jesteś...

Zapadła cisza.

— Jedynym, czego mi chyba brakuje — wyznała po chwili Celia — jest drugie dziecko. Wszystko mi jedno, czy byłby to chłopiec, czy dziewczynka.

Spodziewała się po matce zrozumienia i współczucia, jednak Miriam lekko zmarszczyła czoło.

— Nie wiem, czy byłoby to mądre posunięcie, skoro tak bardzo zależy ci na Dermocie. Dzieci odsuwają kobietę od mężczyzny. Sądzi się powszechnie, że powinny zbliżać małżonków, ale tak nie jest... nie, tak nie jest. — lecz ty i ojciec... Miriam znów westchnęła.

— To było trudne. Taka szarpanina w obie strony. To zawsze jest trudne.

— Lecz ty i ojciec byliście ze sobą doskonale szczęśliwi.

— To prawda, niemniej ja się zamartwiałam... Było mnóstwo spraw, którymi się zamartwiałam. Poza tym twój ojciec czasami się irytował, kiedy trzeba było zrezygnować z czegoś ze względu na dzieci. Kochał ciebie bezgranicznie, lecz nasze najszczęśliwsze chwile przypadały na krótkie wakacje tylko we dwoje... Nigdy nie zostawiaj męża samego na długo, Celio. Pamiętaj, mężczyzna łatwo zapomina...

— Ojciec nie widział nikogo poza tobą.

— Prawdopodobnie tak — odparła Miriam, rozbawiona. — Ale ja zawsze miałam się na baczości. Była taka pokojówka (duża, przystojna dziewczyna), typ kobiety, w którym, jak słyszałam, twój ojciec gustował. Pewnego razu, podając mu młotek i kilka gwoździ, położyła swoją dłoń na jego dłoni. Widziałam to. Twój ojciec wyglądał na zaskoczonego. Nie sądzę, by wziął to sobie do serca, prawdopodobnie pomyślał, że ów dotyk dłoni był przypadkowy; widzisz, mężczyźni są bardzo naiwni i prostoduszni... Lecz ja zwolniłam dziewczynę, i to od razu. Po prostu wystawiłam jej dobre referencje i powiedziałam, że mi nie odpowiada.

Celia była wstrząśnięta.

— Ojciec nigdy by...

— Prawdopodobnie nie. Ja jednak wolałam nie ryzykować. Widziałam w życiu wiele różnych sytuacji. Żona o słabym zdrowiu i guwernantka lub kobieta do towarzystwa — jakaś młoda, promienna dziewczyna. Celio, obiecaj mi, że będziesz ostrożna w doborze guwernantek dla Judy.

Celia zaśmiała się i pocałowała matkę.

— Nie zatrudnię żadnej młodej dziewczyny o bujnych kształtach — obiecała. — Wszystkie będą chude, stare i w okularach.

2

Miriam umarła, kiedy Judy miała osiem lat. Celia była w tym czasie za granicą. Dermot dostał na Wielkanoc dziesięć dni urlopu i chciał, by Celia pojechała z nim do Włoch. Celia niezbyt chętnie opuszczała Anglię. Wiedziała od lekarza, że matka coraz bardziej podupada na zdrowiu. Miała na stałe opiekunkę, a Celia odwiedzała ją co kilka tygodni.

Miriam jednakże nawet nie chciała słyszeć, by Dermot spędził urlop bez Celi. Wyjechała do Londynu i zatrzymała się u kuzynki Lottie (już owdowiałej). Do kuzynki Lottie udała się także Judy i jej guwernantka.

W Como Celia dostała telegram, z którego wynikało, że powinna jak najszybciej wrócić. Wsiadła do pierwszego pociągu. Dermot chciał jej towarzyszyć, lecz przekonała go, że powinien zostać i wypocząć. Potrzebował zmiany klimatu i otoczenia.

W pewnym momencie, kiedy przejeżdżali przez Francję, ogarnęło ją dziwne uczucie chłodu. To jasne, pomyślała. Nigdy już jej nie zobaczę. Umarła...

Po przybyciu na miejsce dowiedziała się, że Miriam umarła właśnie w tamtej godzinie.

3

Jej matka... jej mała dzielna matka...

Leży tak cicho i obco pośród kwiatów, z bladą, zimną, spokojną twarzą...

Jej matka, ze swymi napadami radości i przygnębienia, ze swym uroczym, niestałym spojrzeniem na świat... Matka, która ją zawsze kochała, zawsze ją ochraniała...

Jestem teraz sama, pomyślała Celia.

Dermot i Judy są obcy...

Nie ma nikogo, do kogo mogłaby się udać...

Ogarnęła ją panika, a potem przyszły wyrzuty sumienia.

Jak bardzo przez te ostatnie lata, była zajęta myślami o Dermocie i Judy, a jak mało przejmowała się matką... A jej matka wciąż trwała na swoim miejscu... zawsze i wciąż... Jej matka była tłem wszystkiego...

Znała matkę na wylot, a matka znała ją...

Ledwo odrosła od ziemi, a już uważała, że ma najlepszą, cudowną matkę...

Jej matka zawsze była wspaniała, zawsze była najlepszą z matek, a ona zawsze była z niej dumna...

A teraz jej matka odeszła...

Celii świat usunął się spod nóg. Jej mała, krucha matka...

17. KATASTROFA

1

Dermot starał się być miły. Nienawidził kłopotów i nieszczęścia, mimo to starał się być miły. Napisał z Paryża. zaproponował, by Celia przyjechała do niego na kilka dni dla nabrania sił.

Być może chciał w ten sposób okazać Celii dobroć, a być może starał się odsunąć w czasie powrót do domu żaloby...

Niemniej taki powrót był nieunikniony.

Zjawił się tuż przed kolacją. Celia leżała w łóżku. Czekwała na niego jak na ocalenie. Minęło napięcie związane z pogrzebem i teraz za wszelką cenę starała się, ze względu na Judy, unikać w domu atmosfery smutku. Mała Judy, mała słodka kruszyna, o wiele

ważniejsza od jej własnych spraw i zmartwień. Judy płakała po stracie babci, lecz wkrótce wydarzenia ostatnich dni zatarły się w jej pamięci. Tak powinno być. Dzieci powinny umieć zapominać.

Wkrótce wróci Dermot, a wówczas ona będzie mogła dać folgę swoim uczuciom.

Jakie to cudowne, myślała z ogromnym przejęciem, że mam Dermota. Gdyby nie on, chyba wolałabym umrzeć razem z matką...

Dermot zachowywał się nerwowo. To nerwy sprawiły, że wszedł do pokoju i powiedział:

— No i jak tam? Wszyscy promienni i w dobrych humorach?

Innym razem Celia starałaby się zrozumieć przyczynę jego nonszalancji. W tamtej chwili miała wrażenie, jakby wymierzył jej policzek.

Skurczyła się w sobie i wybuchnęła płaczem.

Dermot przeproszał i próbował się tłumaczyć.

Koniec końców Celia zasnęła, trzymając go za rękę. Wtedy on podniósł się z miejsca z uczuciem ulgi, wyszedł z sypialni i udał się do pokoju dziecinnego. Judy pomachała do ojca trzymaną w ręku łyżeczką. Właśnie piła swoją filizankę mleka.

— Jak się masz, tatusiu. W co się będziemy bawić?

Judy nie lubiła tracić czasu.

— To nie może być hałaśliwa zabawa — powiedział Dermot. — Twoja matka przed chwilą zasnęła.

Judy pokiwała głową ze zrozumieniem.

— Zabawmy się w „starą pannę”.

Dermot i Judy zaczęli się bawić w „starą pannę”.

2

Życie toczyło się zwykłym torem. Choć chyba niezupełnie.

Celia robiła to co zawsze. Nie okazywała smutku. Jednak przez całą wiosnę żyła jedynie z dnia na dzień. Była jak nie nakręcony zegar. Oboje, Dermot i Judy, odczuli zmianę i wcale im się to nie podobało.

Dwa tygodnie po przyjeździe Dermot chciał zaprosić na weekend swoich znajomych.

— Och, nie teraz — wyrwało się Celii. — Po prostu nie potrafię rozmawiać z jakąś obcą kobietą przez cały dzień.

Zaraz potem pożałowała swoich słów. Poszła do Dermota i powiedziała, że zachowała się niemądrze. To oczywiste, on powinien mieć jakichś przyjaciół. Znajomi Dermota przyjechali, ich wizyta nie była udana.

Po kilku dniach Celia dostała list od Ellie. List, który ją bardzo zaskoczył i bardzo zasmucił.

Moja droga Celio (pisała Ellie), czuję całym sercem, że sama powinnam ci powiedzieć, co się stało. (Przypuszczam, że znasz już tę historię, choć niewątpliwie ludzie ją nieźle zniekształcili). Otóż Tom odszedł ode mnie. Tak, to prawda. Odszedł z dziewczyną, którą spotkaliśmy na statku w drodze powrotnej. Wstrząsnęło mną to strasznie i strasznie zaboląło. Byliśmy ze sobą bardzo szczęśliwi, a Tom kochał dzieci. Wciąż mi się zdaje, że to jakiś koszmarny sen. Jestem zrozpaczona i nie wiem, co dalej robić. Tom był wspaniałym mężem. Nigdy się nie kłóciliśmy.

Nieszczęście przyjaciółki wytrąciło Celię z równowagi.

— Jak wiele smutnych rzeczy dzieje się na świecie — powiedziała do Dermota.

— Ten jej mężulek musiał być niezłą kanalią — stwierdził Dermot. — Wiesz co, Celio, ty chyba czasami myślisz, że jestem samolubny, lecz popatrz tylko, co mogłoby cię spotkać. Tak czy inaczej, jest ze mnie dobry, uczciwy, niezawodny mąż. Prawda?

W tonie jego głosu było coś komicznego. Celia pocałowała go i roześmiała się.

Trzy tygodnie później, zabrawszy ze sobą Judy, pojechała do domu Miriam. Dom trzeba było opróżnić i wysprzątać. Było to zadanie, przed którym się wzdragała. Niestety, nikt inny nie mógł tego zrobić. Dom bez matczynego uśmiechu? To nie do pomyślenia... Gdybyż tak Dermot mógł jej towarzyszyć.

Dermot usiłował ją pocieszać na swój własny sposób.

— Wierz mi, sprawi ci to przyjemność, Celio. Znajdziesz mnóstwo rzeczy, o których dawno zapomniałaś. I zobaczysz, jak tam teraz jest pięknie. Odrobina odmiany dobrze ci zrobi. Wystarczy, że ja zaharowuję się całymi dniami.

Na Dermota nie można było liczyć! Jak zwykle ignorował wszelkie uczucia. Uciekał od nich jak spłoszony koń.

— Mówisz tak, jakbym wyjeżdżała na wakacje! — wybuchnęła gniewem, przynajmniej raz.

Odwrócił od niej wzrok.

— No cóż, w pewnym sensie tak... On nie jest dobry... nie jest...

Celia poczuła się samotna. Przeszył ją strach. Jak nieprzyjazny był świat bez matki...

3

Następne miesiące były dla Celi ciężkim doświadczeniem. Musiała spotykać się z prawnikami i uzgadniać z nimi sprawy majątkowe.

Matka nie zostawiła prawie żadnych pieniędzy. Należało rozważyć, co zrobić z domem — utrzymywać go nadal czy sprzedać. W stanie, w jakim się znajdował, raczej trudno byłoby znaleźć zdecydowanego nabywcę. Żeby cała posiadłość nie popadła w ruinę, trzeba było prawie natychmiast wyłożyć sporą sumę. Tak czy inaczej remonty były nieuniknione, a Celia nie miała na nie odpowiednich funduszy.

Celia szarpało niezdecydowanie.

Nie mogła znieść myśli o rozstaniu z domem Miriam, a przecież zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że byłoby to najlepsze rozwiązanie. Dom leżał zbyt daleko od Londynu, aby ona i Dermot mogli w nim zamieszkać, nawet gdyby Dermot uległ jej namowom (a Celia była przekonana, że nie ulegnie). Dla Dermota wieś sprowadzała się do pierwszorzędných terenów golfowych.

Czy zatem uczucie, które kazało jej się kurczowo trzymać tego miejsca, nie było zwykłym, niewiele wartym sentymentalizmem?

A jednak nie zniosłaby tego rodzaju porażki. Miriam tyle lat dzielnie walczyła, by dom utrzymać, i to nie dla kogo innego, a tylko dla niej. To ona, Celia, odwiodła kiedyś matkę od zamiaru sprzedaży... Miriam zatrzymała go dla niej, dla niej i dla jej dzieci.

Czy Judy zależało na nim tak jak jej? Pomyślała, że nie. Judy zawsze odnosiła się do wszystkiego z rezerwą, Judy nie przywiązywała się do nikogo i do niczego, Judy była jak Dermot. Ludzie pokroju tych dwojga, myślała Celia, mieszkają w jakichś domach dlatego, że te domy są wygodne. Wreszcie postanowiła zapytać córkę o zdanie. Celia często odnosiła wrażenie, że Judy, przy swoich ośmiu latach, jest o wiele rozsądniejsza i praktyczniejsza od własnej matki.

— Czy dostaniesz dużo pieniędzy, jak go sprzedasz, mamusiu?

— Obawiam się, że nie. Widzisz, to staroświecki dom, no i położony na wsi, daleko od miasta. — No cóż, wobec tego raczej go zatrzymaj — powiedziała Judy. — Możemy tu przyjeżdżać latem.

— Naprawdę chciałybyś, Judy? Nie wolisz naszego małego domku?

— Nasz domek jest bardzo mały — odparła Judy. — Chciałabym mieszkać w internacie. Lubię wielkie, wielkie domy.

Celia roześmiała się. Pomyślała sobie, że Judy ma rację. Nie było sensu pozbywać się domu za parę funtów. Z handlowego punktu widzenia należało poczekać, aż domy na wsi znów staną się chodliwym towarem. Pomyślała, że trzeba ograniczyć się w wydatkach do najbardziej niezbędnych napraw, a potem rozejrzeć się za osobami chętnymi do wynajęcia umeblowanego domu.

Tak wyglądała praktyczna strona zagadnienia. Celia, pochłonięta sprawami remontowo–porządkowymi, nie miała czasu myśleć o swoim smutku i o żałobie.

Teraz przyszła pora na coś, co ją najbardziej przerażało. Na porządki. Jeśli dom miał być wynajęty, najpierw należało go opróżnić. Niektóre z pokoi były zamknięte od lat. Były w nich stare kufy, kredensy i niezliczone szuflady, wszystkie pełne pamiątek z przeszłości.

4

Pamiętki...

W domu pusto i obco. Nie ma Miriam...

Jedynie kufry pełne starych ubrań... szuflady pełne listów i fotografii...

To boli...

Pudełko z czarnej laki z bocianem na wieczku, które ją zachwycało, kiedy była dzieckiem. Wewnątrz — listy. Jeden od mamusi. Moje najdroższe jagniątko, nieopierzona gołąbeczko...Po policzkach Celi zaczęły spływać sznureczki palących łez...

Suknia wieczorowa z różowego jedwabiu, z bukiecikiem różyczek, upchnięta na dnie kufra („jeszcze się ją kiedyś odświeży”), zapomniana... Jedna z jej pierwszych wieczorowych sukien... Kiedy ostatni raz miała ją na sobie, była takim niezdnym, rozgorączkowanym, głupiotkiem stworzonkiem...

Listy babuni — cała skrzynia. Na pewno przywiozła je ze sobą w czasie przeprowadzki. Fotografia starego dżentelmena w wózku inwalidzkim, Twój oddany wielbiciel, poniżej niewyraźne inicjały. Babunia i jej „mężczyźni”. Nigdy nie mówiła o nich inaczej, nawet wówczas, kiedy pozostał im mały skrawek brzegu morskiego i wózek inwalidzki, nic ponadto...

Kubek, a na nim obrazek dwóch kotków — prezent od Susan na któreś urodziny...

Dalej i dalej w przeszłość...

Dlaczego to aż tak bardzo boli?

Gdyby tylko nie była tu sama... Gdyby był z nią Dermot!

Lecz Dermot powiedziałby: „Dlaczego nie spalić wszystkiego naraz, bez wdawania się w szczegóły?”

Tak, to byłoby rozsądne, a jednak coś ją przed tym powstrzymywało.

Otwierała następne szuflady.

Wiersze. Kartki z wierszami... pochyłe, wyblakłe litery. Pismo matki, z jej panieńskich lat... Celia zaczęła czytać... Sentymentalne, koturnowe, w stylu epoki. Tak, lecz było w nich coś — niekonwencjonalna myśl, zaskakująco oryginalna fraza — coś, co bezbłędnie wskazywało na autorkę, jej matkę... Na jej błyskotliwy umysł...

Wiersz dla Johna na jego urodziny...

Ojciec... jej brodaty, jowialny ojciec...

Obok wiersza dagerotyp. Chłopiec o skupionym wyrazie twarzy, ledwo wchodzący w wiek męski...

Młodość, potem dorastanie, starzenie się — jakie to wszystko dziwne, jakie straszne. Czy w życiu człowieka bywa taki szczególny moment, w którym się jest bardziej sobą niż w jakimkolwiek innym?

Przyszłość... Co ją, czeka w przyszłości?...

Cóż, to przynajmniej było dość przejrzyste. Dermot, zarabiający pieniądze... duży dom... kolejne dziecko... może dwoje. Choroby dzieci, dziecięce dolegliwości... Dermot trochę bardziej nieprzystępny, z trochę większym zniecierpliwieniem broniący swoich praw do robienia tego, na co ma ochotę... Dorastająca Judy... stanowcza, zdecydowana, pełna energii... Dermot i Judy, jak zwykle razem... Ona sama, trochę grubsza, trochę bledsza, traktowana przez tych dwoje odrobinę pogardliwie... „Mamo, to, co mówisz, nie brzmi najmądrzej...” No cóż, z trudem przychodzi maskowanie swojej głupoty, kiedy zawodzi wygląd. (Nagły błysk pamięci: „Obiecuj, że zawsze będziesz piękna, Celio”). Tak, lecz teraz to nie ma aż takiego znaczenia. Żyją ze sobą wystarczająco długo, by coś takiego jak piękna twarz przestało się liczyć. Miała Dermota we krwi, a on miał ją. Tak bardzo sobie obcy, należeli do siebie. Kochała go, ponieważ był inny, ponieważ — choć wiedziała, jak zareaguje na każde jej słowo — nie wiedziała i nigdy się nie dowie, dlaczego jego reakcje są takie, a nie inne. Prawdopodobnie on czuł to samo, jeśli chodzi o nią. Chociaż nie. Dermot akceptował rzeczy takimi, jakimi są. Nigdy nie wdawał się w

żadne rozmyślenia. Dermot uważał myślenie za stratę czasu. Postąpiłam słusznie, myślała Celia. Miałam rację, wychodząc za męża za kogoś, kogo kochałam. Pieniądze się nie liczą. Ani cała reszta. Zawsze powinnam być szczęśliwa z Dermotem, nawet gdyby przyszło nam mieszkać w małej chatce i gdybym sama musiała gotować, sprzątać i co tam jeszcze. Tylko że Dermot wcale nie zamierzał żyć skromnie. Dermot odnosił sukcesy. Dermot prawdopodobnie zawsze będzie odnosić sukcesy. Tacy jak on zawsze odnoszą sukcesy. Jego niestrawność? No tak, to jedno, z czym może być gorzej. Poza tym Dermot dalej będzie grać w golfa... I tak będzie im mijał rok za rokiem, może w Dalton Heath, a może w miejscu podobnym do Dalton Heath... Ona nigdy niczego nie zobaczy... żadnych dalekich krajów... ani Indii, ani Chin, ani pustynnego Beludżystanu, ani Persji, gdzie nazwy brzmią słodko jak muzyka: Isfahan, Teheran, Sziraz...

Zadrżała... Gdyby tak być wolną... zupełnie wolną... nie mieć nic, żadnych osobistych związków, żadnych domów, żadnego męża, żadnych dzieci, niczego, co człowieka wiąże i szarpie za serce...

Chcę uciec, pomyślała...

Miriam czuła kiedyś to samo.

Mimo całej miłości do męża i dzieci, czasami chciała się wyrwać...

Celia wyciągnęła następną szufladę. Listy. Listy od jej ojca do jej matki. Podniosła ten, który leżał na samym wierzchu. Był datowany na rok przed śmiercią ojca.

Najdroższa Miriam,

Mam nadzieję, że niedługo do mnie dołączysz. Matce dopisuje zdrowie i pogoda ducha; jedno i drugie, a przynajmniej tak mi się zdaje. Ma kłopoty z oczami, może przez to ciągle robienie skarpetek do łóżka dla swoich odwiecznych adoratorów?

Odbyłem długą rozmowę z Armourem o Cyrilu. Armour utrzymuje, że chłopiec jest niegłupi, tyle że nie ma żadnych zainteresowań. Rozmawiałem także z Cyrilem i, jak sądzę, zrobiło to na nim pewne wrażenie.

Postaraj się być tu już w piątek, moja najdroższa. To nasza dwudziesta druga rocznica. Trudno mi znaleźć odpowiednie słowa, by wyrazić, ile dla mnie znaczysz, najdroższa. Bardziej oddanej żony nie mógłby mieć żaden mężczyzna. Jestem pokornie wdzięczny Bogu za Ciebie, moje kochanie.

Uściski dla naszej malej kruszyny

Oddany Ci mąż, John

Celia miała łzy w oczach.

Któregoś dnia, pomyślała, ona i Dermot też będą obchodzić swoją dwudziestą drugą rocznicę. Dermot na pewno nie napisze takiego listu jak ten, lecz w głębi serca być może będzie czuł to samo.

Biedny Dermot. W ciągu ostatniego miesiąca przeżył przez nią tyle ponurych chwil. Dermot nie lubi nieszczęść. Nie pozostaje jej nic innego, tylko uporać się ze swoim zadaniem i przestać się obnosić ze swoimi smutkami. Miriam za życia ani razu nie stanęła między nią a Dermotem. Po śmierci też nie powinna tego robić...

Ona i Dermot mają iść dalej razem, szczęśliwi i radośni.

To cieszyłoby jej matkę najbardziej...

Wyjęła z szuflady listy ojca, ułożyła z nich stos w kominku i przytknęła zapałkę. Należały do zmarłych. Zatrzymała ten jeden, który przeczytała.

Na dnie szuflady leżał wyblakły, stary kieszonkowy notatnik, wyszywany złotą nicią. Wewnątrz tkwiło kilka złożonych kartek, bardzo starych i bardzo pożółkłych. Na jednej z nich był napis: „Wiersz od Miriam. Na moje urodziny”.

Jakie to sentymentalne...

W dzisiejszych czasach świat pogardza sentymentalizmem...

Jednak dla Celi, w tamtej chwili, pożółkła kartka z notesu ojca była czymś niewypowiedzianie słodkim...

5

Celia czuła się chora. Samotność i pustka działały jej na nerwy. Chciałaby mieć kogoś, z kim mogłaby porozmawiać. Była Judy i była panna Hood, lecz obie należały do tak bardzo obcego świata, że przebywanie w ich towarzystwie przynosiło jej więcej napięcia niż ulgi. Celia musiała kontrolować swoje zachowanie, musiała uważać, by żadna ciemna chmura nie przysłaniała życia Judy. Judy kipiała radością, a więc Celia też się śmiała. Grywały często w wolanta, walcząc bardzo zacięcie.

Kiedy Judy szła do łóżka, Celia siedziała przed kominkiem, spowita w ciszę niby w całun. Dom wydawał się przerażająco pusty... Jeszcze niedawno spędzała podobne wieczory na rozmowach z matką, rozmowach o Dermocie, o Judy, o książkach, o ludziach i o ideach.

Teraz nie miała z kim rozmawiać...

Listy od Dermota były krótkie i nieczęste. Zrobił partię w siedemdziesięciu dwóch... grał z Andrewsem... Rossiterowi nawaliła siostrzenica. Dobrał sobie Marjorie Connell. Grali w Hillborough — marne pole. Kobiety są nieznośne, jeśli chodzi o grę w golfa. Ma nadzieję, że Celia miło spędza czas. Czy mogłaby podziękować Judy za list?

Celia zaczęła źle sypiać. Często leżała przez pół nocy w ciemnościach, a przed oczami przesuwały się jej sceny z przeszłości. Często budziła się przestraszona nie wiadomo czym. Źle wyglądała — wystarczyło przejrzeć się w lustrze.

Napisała do Dermota, błagając go, by przyjechał na weekend.

Odpisał:

Kochana Celio,

Przejrzałem rozkład pociągów i wierz mi — wyprawa do Ciebie nie ma nijakiego sensu. Albo bym musiał wrócić w niedzielę rano, albo wylądować w Londynie o drugiej nad ranem w poniedziałek. Samochód ostatnio trochę mi szwankuje; nie obejdzie się bez gruntownego przeglądu. Chyba zdajesz sobie sprawę, że w ciągu tygodnia wcale się nie oszczędzam, toteż kiedy przychodzi weekend, czuję się skonany i nie mam ochoty ani na pakowanie się, ani na podróż.

Za trzy tygodnie będę miał urlop. Myślę, że twój pomysł z wyjazdem do Dinard jest całkiem niezły. Napiszę w sprawie rezerwacji pokoi. Nie pracuj za wiele i nie przemęczaj się. Przebywaj dużo na świeżym powietrzu.

Pamiętasz Marjorie Connell, taką dość miłą, ciemnowłosą dziewczynę, siostrzenicę Barrettów? Właśnie straciła pracę. Być może załatwię jej coś u siebie. Jest całkiem rzeczowa. Zabrałem ją któregoś wieczoru do teatru, kiedy miała złą passę.

Dbaj o siebie i niczym się nie przejmuj. Chyba masz rację, nie chcąc teraz sprzedawać domu. Trzeba poczekać na wyższe ceny. Nie przypuszczam, byśmy kiedykolwiek z niego korzystali, ale jeśli wciąż darzysz go sentymentem, to go zamknij i zostaw pod opieką stróża. Koszty czegoś takiego chyba nie są wysokie. No a poza tym możesz go wynająć. Pieniądze, jakie dostajesz za książki, na pewno wystarczą na opłacenie podatków i ogrodnika. Ja ci zresztą pomogę, jeśli zechcesz. Pracuję potwornie ciężko i prawie każdego wieczoru wracam do domu z bólem głowy.

Powinienem jak najprędzej wyjechać.

Całuski dla Judy

Twój kochający Dermot

W ostatnim tygodniu Celia poszła do lekarza i poprosiła o coś na sen. Znal ją od urodzenia. Zapytał, co jej dolega, zbadał i powiedział:

— Chyba nie powinnaś siedzieć tu sama.

— Za tydzień przyjeżdża mój mąż. Wyjeżdżamy razem za granicę.

— Ach, to wspaniale! Bo widzisz, moja droga, twoje zdrowie wisi na włosku. Jesteś krańcowo wyczerpana, przeżyłaś wstrząs i nadal się zamartwiasz. Bardzo naturalne. Wiem, jak byłaś przywiązana do matki. Doradzam zmianę otoczenia. Im prędzej wyjedziecie, tym prędzej wrócisz do siebie. Poklepał ją po ramieniu, dał jakąś receptę i odprawił.

Celia odliczała kolejne dni. Czekala na przyjazd Dermota. Miał się zjawić dzień przed urodzinami Judy. Mieli urządzić małej przyjęcie, a potem wyruszyć w podróż do Dinard.

Zacznie się nowe życie... Smutki i wspomnienia zostaną za nią... Ona i Dermot mają przed sobą wspólną przyszłość.

Dermot powinien być tutaj za cztery dni...

Za trzy dni...

Za dwa...

Dzisiaj!

6

Coś było nie tak... Dermot przyjechał, lecz to nie był ten sam Dermot. To był ktoś obcy, ktoś, kto obrzucał ją ukradkowymi spojrzeniami i szybko odwracał wzrok...

Coś jest nie tak, myślała.

Jest chory...

Ma kłopoty...

Nie, to coś innego.

Dermot był...

Tak, Dermot był kimś obcym...

7

— Dermocie, czy coś się stało?

— A co miałyby się stad?

Byli sami w sypialni Celi. Celia przygotowywała urodzinowe prezenty dla Judy. Zawijała je w bibułkę i przewiązywała wstążeczką.

Dlaczego tak bardzo się bała? Skąd brało się w niej tyle chorobliwego strachu?

Jego oczy... takie dalekie... wciąż umykające przed jej wzrokiem...

To nie był Dermot, ten wyprostowany, przystojny, roześmiany Dermot...

To był ktoś, w kim krył się jakiś fałsz, kto kurczył się w sobie... ktoś, kto wyglądał prawie jak przestępca...

Celia nie wytrzymała. Zapytała wprost:

— Dermocie, chyba nie chodzi o pieniądze? To znaczy, nie popełniłeś czegoś...

Jak to nazwać? Dermot, człowiek honoru, defraudantem? Ponosi ją fantazja!

Lecz te dalekie oczy, to wymijające spojrzenie... Zupełnie, jakby się jej bał! Dermot spojrział na nią, zdziwiony.

— Pieniądze? Och nie, z pieniędzmi jest wszystko w porządku, bądź spokojna.

Odetchnęła z ulgą.

— Bo wiesz, pomyślałam sobie, całkiem niemądrze, oczywiście...

Nie dał jej dokończyć.

— Chodzi o coś innego... Spodziewam się, że się domyślasz.

Nie, nie domyślała się. Jeśli w grę nie wchodziły pieniądze (pomyślała, że przecież mogła splajtować jego firma), to brakowało jej wyobraźni.

— Powiedz mi — poprosiła.

To nie był... to nie mógł być... to naprawdę nie mógł być rak...

Choć czasami rak atakuje silnych, młodych ludzi. Dermot podniósł się. Jego głos miał obce, niesympatyczne brzmienie.

— Chodzi o... Och, w porządku, chodzi o Marjorie Connell. Często się z nią spotykałem i bardzo mi na niej zależy.

Co za ulga! A więc żaden rak... Ale Marjorie Connell...? Dlaczego, na litość boską, Marjorie Connell? Miałby Dermot... jej Dermot, ten, który nigdy nie spojrział na żadną dziewczynę...

— To się nie liczy, Dermocie — powiedziała cicho. — Głupstwa zdarzają się każdemu...

Flirt. Dermot nie miał zwyczaju flirtować. Tak czy inaczej, była zaskoczona. Zaskoczona i zraniona. Podczas kiedy ona znajdowała się w czarnej rozpacz, kiedy tęskniła za jego obecnością, jego dobrym słowem, on flirtował z Marjorie Connell. Marjorie Connell była całkiem miłą dziewczyną, nawet dość przystojną. Celia pomyślała, że kto jak kto, ale

babunia nie byłaby zaskoczona. Pomyślała, że chyba jednak babunia знаła się na mężczyznach...

— Niczego nie rozumiesz — wybuchnął Dermot. — To nie jest tak, jak ci się wydaje. Nie było między nami niczego... niczego...

Celia poczerwieniała.

— Oczywiście. Nie sądzę, by było... Dermot ciągnął dalej:

— Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Widzisz, to nie jej wina... Ona jest bardzo przygnębiona całą sytuacją, przygnębiona z twojego powodu... Och, Boże! — Usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

Celia popatrzyła na niego z niedowierzaniem. — Czyżbyś aż tak się nią przejmował? Przykro mi... Biedny Dermot, taki zaskoczony własną namiętnością. Taki nieszczęśliwy. Nie powinna zachowywać się nieludzko. Zamiast robić wyrzuty, powinna pomóc mu przez to przejść. To nie jego wina. Nie było jej przy nim... był samotny... zatem to całkiem naturalne...

— Tak bardzo mi przykro za ciebie — powiedziała. Dermot poderwał się z miejsca.

— Niczego nie rozumiesz. To nie mnie masz żałować. Ja jestem kanalią. Czuję się jak oszust. Nie powinnaś liczyć na moją uczciwość. Nie będziecie miały ze mnie pożytku ani ty, ani Judy... Najlepiej będzie, jak skończysz ze mną od razu...

Wpatrywała się w niego...

— Czy to znaczy — powiedziała „wolno — że już mnie nie kochasz? Tak w ogóle? Przecież byliśmy ze sobą szczęśliwi... bardzo szczęśliwi.

— Tak, na swój sposób... mieliśmy ciche, spokojne szczęście. To, co mnie teraz spotkało, jest czymś zupełnie innym.

— Sądzę, że ciche, spokojne szczęście jest najlepszą rzeczą na świecie.

Dermot machnął ręką.

— Chcesz od nas odejść? — zapytała z niedowierzaniem. — Nie zobaczyć więcej ani mnie, ani Judy? Ale przecież jesteś jej ojcem... Ona ciebie kocha.

— Wiem. I bardzo się tym przejmuję. Lecz to na nic. Nie mogę się zmusić do robienia czegoś, na co nie mam ochoty. Taki już jestem. Nieszczęście czy niepowodzenie sprawia, że zachowuję się nieprzyzwoicie. Gdybym z wami został, byłbym zapewne szorstki i brutalny.

— Czy odchodzisz do niej?

— Ależ skąd. To nie jest tego typu dziewczyna. Nigdy jej o czymś takim nie wspomniałem.

Dermot czuł się dotknięty.

— Zatem nie rozumiem. Chcesz odejść od nas ot tak sobie?

— Tak, ponieważ nie będziecie miały ze mnie nijakiego pożytku. Prawdopodobnie zachowywałbym się podle.

— Lecz przecież byliśmy tacy szczęśliwi, tacy szczęśliwi, Dermocie — Celia obstawała przy swoim.

— Tak, to prawda — powiedział Dermot, zniecierpliwiony. — Byliśmy. Lecz nasze małżeństwo trwa już jedenaście lat. Zdarza się, że po jedenastu latach ktoś potrzebuje jakiejś odmiany.

Celia skrzywiła się.

Dermot mówił dalej, coraz bardziej odzyskując pewność siebie.

— Mam całkiem niezłe dochody. Wyasygnuję na Judy przyzwoitą sumę. Jeśli chodzi o ciebie, teraz potrafisz się sama utrzymać. Będiesz mogła jeździć za granicę, podróżować, robić to wszystko, na co zawsze miałaś ochotę...

Celia podniosła rękę, jakby chciała osłonić się przed uderzeniem.

— ...Jestem pewien, że to ci się spodoba. Okaze się, że jesteś o wiele szczęśliwsza, niż byłabyś ze mną...

— Dostyc!

Zapadło milczenie. Po kilku minutach Celia przemówiła cichym głosem:

— To właśnie takiego wieczoru, dziewięć lat temu, Judy zaczynała się rodzić. Czy pamiętasz? I czy to nic dla ciebie nie znaczy? Czy nie ma żadnej różnicy między mną a... a jakąś kochanką, której usiłowałbyś się pozbyć za odpowiednim wynagrodzeniem?

— Już ci powiedziałem, że przykro mi z powodu Judy — rzucił z nadąsaną miną. — A poza tym oboje zgodziliśmy się kiedyś, że to drugie będzie mogło zachować całkowitą swobodę...

— Naprawdę? Kiedy?

— Jestem pewien, że tak było. Ludzie przyzwoici tylko tak powinni rozumieć instytucję małżeństwa.

— A mnie się zdaje, że ludzie przyzwoici nie opuszczają dziecka, które sprowadzili na świat.

— Wszyscy moi przyjaciele uważają, że idea małżeństwa powinna się opierać na prawdziwej wolności...

Zaśmiała się. Jego przyjaciele. Ależ on jest niesamowity; wciągać w to wszystko swoich przyjaciół.

— Jesteś wolny — powiedziała. — Możesz nas opuścić, jeśli taki jest twój wybór... uczciwy wybór... Lecz czy nie mógłbyś trochę odczekać, choćby po to, żeby się co do tego wyboru upewnić? Masz za sobą jedenaście lat szczęścia i chcesz przeciwstawić je jednemu miesiącowi zaślepienia? Zaczekaj jakiś rok, upewnij się, nim spalisz za sobą mosty...

— Nie chcę czekać. Nie chcę znosić męki oczekiwania...

Nagle Celia — wyrzuciła ramiona w powietrze i chwyciła się klamki u drzwi.

To wszystko nie dzieje się naprawdę... to nie może być prawda...

— Dermocie! — zawołała. Pokój pociemniał i zawirował...

Kiedy wróciła do przytomności, leżała w łóżku. Obok stał Dermot i trzymał szklanekę wody.

— Nie zamierzałem cię zdenerwować — powiedział. Powstrzymała się od histerycznego śmiechu...

Wzięła z jego rąk szklanekę i wypła do dna...

— Nic mi nie jest. Wszystko w porządku... Możesz robić to, na co masz ochotę... Możesz sobie iść, kiedy zechcesz. Mnie naprawdę nic nie jest. Rób, co ci się podoba. Tylko pozwól, by jutro Judy miała swoje urodziny.

— Naturalnie... — Dodał: — Jeśli jesteś pewna, że nic ci nie jest...

Wszedł wolnym krokiem do swojego pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Jutro są urodziny Judy...

Dziewięć lat temu ona i Dermot przechadzali się po ogrodzie... rozłączono ich... ona została ze swoim bólem i strachem... on ze swoim cierpieniem...

To pewne, nikt na świecie nie mógłby być tak okrutny, by wybrać taki dzień jak ten, na takie wyznania...

Nikt poza Dermotem...

Dermot... Jak on mógł...?

Jej serce zawołało rozpaczliwie: Jak on mógł, jak mógł być tak okrutny właśnie dla mnie...?"

8

Judy miała swoje urodziny.

Prezenty... specjalne śniadanie... piknik... zasiadanie do obiadu... zabawy...

Ten dzień ciągnie się w nieskończoność... w nieskończoność, myślała Celia. Chyba oszaleję. Gdyby chociaż Dermot udawał trochę lepiej.

Judy niczego nie zauważyła. Niczego poza prezentami, zabawą i tym, że każdy był gotów robić to, na co miała ochotę.

Była bardzo szczęśliwa i tak nieświadoma rzeczywistości, że Celi z bólu krajało się serce.

9

Następnego dnia Dermot wyjechał.

— Napiszę z Londynu, jeśli pozwolisz. Na razie zostaniesz tutaj, tak?

— Nie tutaj... Nie, nie tutaj.

Tutaj, w tej pustce, w samotności, bez Miriam, która by ją pocieszała?

Och, mamó, mamó, wróć do mnie, mamó...

Och, mamó, gdybyś ty tu była...

Zostać tutaj? W tym domu, tak pełnym szczęśliwych wspomnień? Także wspomnień o Dermocie?

— Chyba wrócę do domu. Przyjedziemy jutro.

— Jak chcesz. Ja zatrzymam się w Londynie. Cóż, myślałem, że jesteś przywiązana do tego miejsca.

Nie odpowiedziała. Czasami nie da się nic powiedzieć. Ludzie albo coś rozumieją, albo nie. Ich sprawa.

Kiedy Dermot odjechał, bawiła się z Judy. Powiedziała jej, że nie wyjadą do Francji. Judy przyjęła tę wiadomość spokojnie i obojętnie.

Celia czuła się okropnie chora. Bolały ją nogi i miała zawroty głowy. Czuła się jak stara, bardzo stara kobieta. Ból w głowie narastał tak, że mogłaby krzyknąć. Zażyła aspirynę, lecz aspiryna nie zadziałała. Miała mdłości, a myśl o jedzeniu budziła w niej odrazę.

10

Celia bała się dwóch rzeczy: tego, że oszaleje, i tego, że Judy coś zauważy...

Nie wiedziała, czy panna Hood coś zauważyła. Panna Hood nie była wścibska. Panna Hood była osobą spokojną i zrównoważoną i Celia czuła się przy niej bezpieczna.

To panna Hood zorganizowała wyjazd. Zdawało się, że nie widzi niczego niezwykłego w fakcie, że Celia i Dermot nie wybierają się do Francji.

Celia była zadowolona z powrotu do swojego małego domku. Tak jest lepiej, myślała. Tu, mimo wszystko, chyba nie zwariuję.

Poczuła się lepiej, jeśli chodzi o psychikę. Natomiast zupełnie opadała z sił i miała potworne mdłości...

Będę chora, myślała. Dlaczego umysł zawsze poraża ciało?

Dermot przyjechał dwa dni później, lecz to już nie był Dermot... Dziwne i straszne — znaleźć kogoś obcego w ciele własnego męża...

To przerażało Celię tak bardzo, że chciała krzyknąć...

Dermot mówił wyłącznie o rzeczach nieistotnych.

Jak ktoś, kto wpada na chwilę, pomyślała.

W końcu nie wytrzymał.

— Nie zgodzisz się ze mną, że to najlepsze, co moglibyśmy zrobić? Mam na myśli rozstanie.

— Najlepsze? Dla kogo?

— Dla nas wszystkich.

— Nie sądzę, by była to najlepsza rzecz dla Judy czy dla mnie. Wiesz dobrze, że nie.

— Wszyscy nie mogą być szczęśliwi.

— Chcesz przez to powiedzieć, że zdecydowałeś, iż to ty masz być szczęśliwy, a ja i Judy nie... Nie rozumiem, doprawdy, dlaczego nie odwrotnie. Och, Dermocie, czy nie mógłbyś już sobie pójść i robić, co ci się podoba, a nie upierać się przy podobnej rozmowie? Musisz wybrać między Marjorie a mną. Nie, nie między Marjorie a mną. Ty się mną zmęczyłeś i być może to moja wina, może powinnam dostrzec nadchodzące niebezpieczeństwo, może powinnam bardziej się o ciebie starać, to prawda, tylko ja nigdy nie miałam cienia wątpliwości, że mnie kochasz; wierzyłam w ciebie tak, jak się wierzy w Boga. To było głupie, jakby powiedziała babunia. Nie, ty musisz dokonać wyboru między Marjorie a Judy. Ty naprawdę kochasz Judy, ona jest twoją nieodrodną córką. Ja nigdy nie będę dla niej tym, kim ty możesz być. Między wami Dermocie, jest więź, której nie ma

między mną a nią. Kocham ją, lecz jej nie rozumiem. Nie chcę, żebyś zostawił Judy, nie chcę, by miała okaleczone życie. Nigdy nie posunęłabym się do walki o siebie, lecz będę walczyć dla Judy. To podłość, porzucić własne dziecko. Wierzę, że jeśli to zrobisz, nigdy nie będziesz szczęśliwy. Dermocie, drogi Dermocie, naprawdę nie spróbujesz? Nie poświęcisz jednego roku z własnego życia? Jeśli po roku będziesz czuł, że mimo wszystko musisz odejść do Marjorie, to cóż, odejdiesz. Będę jednak wiedziała, że przynajmniej miałeś dobrą wolę.

— Nie chcę czekać — powiedział Dermot. — Rok, to bardzo długo...

Celia, zniechęcona, machnęła ręką. (Och, te potworne mdłości).

— Bardzo dobrze — rzekła. — Dokonałeś wyboru... Lecz wiedz, że jeśli zechcesz kiedyś wrócić, będziemy na ciebie czekały, a ja nie przywitam cię wymówkami... Idź, i bądź szczęśliwy. Być może wrócisz... Myślę, że wrócisz... Myślę, że pod powłoką chwilowej namiętności kryje się prawdziwa miłość do mnie i do Judy... I myślę także, że w głębi serca jesteś prawy i lojalny...

Dermot odchrząknął. Był wyraźnie zakłopotany.

Celia marzyła o tym, by już sobie poszedł. Cała ta rozmowa... Tak bardzo go kochała, że patrzenie na niego było męką... Niechby już sobie poszedł. Niechby robił to, na co ma ochotę. Niechby przestał ją zdręczać...

Nie przestał.

— Bo widzisz — powiedział niepewnie — chodzi o to, jak prędko mógłbym odzyskać wolność.

— Przecież jesteś wolny. Możesz wyjść stąd w każdej chwili.

— Nie sądzę, byś zrozumiała, do czego zmierzam. Wszyscy moi przyjaciele uważają, że rozwód powinien nastąpić jak najprędzej.

— Jak to? Czyż sam nie powiedziałaś, że nie było... że między wami... no, że nie ma żadnych podstaw do rozwodu?

— Oczywiście, że nie ma. Marjorie jest bezwzględnie uczciwa.

Celia miała szaloną ochotę wybuchnąć śmiechem. Powstrzymała się w ostatniej chwili.

— No więc?

— Nigdy nie proponowałem jej czegoś takiego — powiedział Dermot, oburzony. — Choć przypuszczam, że gdybym był wolny, wyszłaby za mnie.

— Ale na razie jesteś moim mężem.

— Dlatego najpierw musi być rozwód. Wszystko da się załatwić łatwo i prędko. Nie będziesz miała żadnych kłopotów. No i cały koszt wezmę na siebie.

— Czy to znaczy, że ujawnisz swój związek z Marjorie, mimo wszystko?

— Myślisz, że ciągałbym taką dziewczynę po sądach? Nie, cała rzecz może się odbyć całkiem łatwo. Nazwisko Marjorie nie musi się wcale pojawić.

Celia wstała. Jej oczy rozbłysły gniewem.

— Chcesz powiedzieć... chcesz powiedzieć... och, przecież to odrażające! Gdybym kochała mężczyznę, odeszłabym z nim, nawet gdyby to było godne potępienia. Mogłabym zrobić wszystko, mogłabym odebrać mężczyznę jego żonie... no tak, nie sądzę, bym odebrała ojca dziecku, chociaż nigdy nic nie wiadomo. Lecz zrobiłabym to w sposób uczciwy. Nie kryłabym się w cieniu, pozwalając, by ten ktoś drugi sam wykonywał brudną robotę. Myślę, że oboje, ty i Marjorie, jesteście odrażający. Właśnie tak — odrażający. Jeślibyście się naprawdę kochali i nie mogli żyć jedno bez drugiego, to przynajmniej miałabym dla was szacunek. Mogę zgodzić się na rozwód, jeśli tego oczekujesz, chociaż uważam, że rozwód nie jest niczym dobrym. Natomiast nie przyłożę ręki do kłamstwa, udawania ani żadnego innego oszustwa.

— Nonsens, wszyscy tak postępują.

— To mnie nie obchodzi. Dermot podszedł do niej.

— Posłuchaj mnie, Celio. Ja naprawdę zamierzam dostać ten rozwód. Nie będę czekał, Bóg wie ile i nie będę wciągał w to Marjorie. A ty musisz się na to zgodzić.

Celia popatrzyła mu prosto w oczy.

— Nie zgodzę się — powiedziała.

18. STRACH

1

To w tym momencie Dermot popełnił błąd.

Gdyby prosił Celię, gdyby zdał się na jej łaskę, gdyby powiedział, że kocha Marjorie i nie wyobraża sobie bez niej życia, Celia pewnie by się wzruszyła i zgodziła na wszystko, czego by chciał, bez względu na własne uczucia. Nie oparłaby się nieszczęśliwemu Dermotowi. Zawsze dawała mu wszystko, czego chciał, i nie byłaby zdolna powstrzymać się od zrobienia tego po raz ostatni.

Była po stronie Judy przeciwko Dermotowi, lecz gdyby podszedł ją we właściwy sposób, mogłaby poświęcić dla niego nawet Judy, choć prawdopodobnie znienawidziłaby za to samą siebie.

Jednak Dermot przyjął zupełnie inną taktykę. Uznał, że czego żąda, należy się mu i próbował wymusić na niej zgodę.

Znał Celię jako istotę łagodną i ustępliwą, toteż jej opór go zaskoczył. A Celia prawie nie jadła, prawie nie spała, nogi się pod nią uginały, torturował ją ból głowy i uszu, a mimo to — nie ustępowała. Celia trwała w uporze, a on wszelkimi sposobami usiłował wymusić na niej zgodę.

Powiedział jej, że zachowała się haniebnie, że jest wulgarną, czepiającą się mężczyzny kobietą, że powinna wstydzić się za siebie, że on wstydzi się za nią. To nie dało żadnego rezultatu.

To znaczy, rezultatu widocznego gołym okiem. Wewnątrz jego słowa paliły ją jak otwarta rana. Jak Dermot... Dermot!... mógł o niej myśleć w ten sposób.

W Celi narastał strach o własną kondycję fizyczną. Coraz częściej gubiła wątek w rozmowie i coraz częściej plątały jej się myśli.

Budziła się w środku nocy, sparaliżowana strachem. Była pewna, że Dermot, aby się jej pozbyć, czymś ją truje. Za dnia zdawała sobie sprawę, że ten strach to jedynie szalone senne urojenia, mimo to szopkę z narzędziami ogrodniczymi, w której stała torba z trucizną na chwasty, zamknęła na klucz. To, co robię, jest przecież nierozsądne, myślała, nie powinnam poddawać się szaleństwu, naprawdę nie powinnam...

Wstawała w nocy i chodziła po domu, jakby czegoś szukała. Którejś nocy zaczęła szukać naprawdę. Zaczęła szukać swojej matki...

Musi znaleźć matkę. Ubrała się, włożyła płaszcz i kapelusz. Wzięła jej fotografię. Pomyślała, że przecież może udać się na posterunek policji i ubłagać policjantów, by pomogli w poszukiwaniach. Jej matka zniknęła, lecz policja mogłaby ją odnaleźć... A kiedy już raz odnajdzie matkę, wszystko znów będzie dobrze...

Szła długo. Padał deszcz i było mokro... Nie mogła sobie przypomnieć, dokąd idzie. Ach tak, na posterunek. Gdzie jest posterunek? Na pewno gdzieś w mieście, a nie na otwartej przestrzeni, pośród pól.

Zawróciła i poszła w drugą stronę...

Policjanci powinni być uprzejmi i pomocni. Ona poda im nazwisko matki... Jak nazywała się jej matka? Jak miała na imię? Dziwne, nie mogła sobie przypomnieć... A jak ona ma na imię?

Jakie to straszne... ona nie pamięta własnego imienia...

Sybil? A może Yvonne... jakie to straszne, nie móc sobie przypomnieć...

Ona musi przypomnieć sobie własne imię...

Potknęła się... To był rów...

Rów pełen wody...

W wodzie przynajmniej można się utopić...

Zawsze lepiej się utopić niż powiesić. Jeśli człowiek położy się w wodzie...

Och, jaka zimna! Ona nie mogłaby... Nie, nie mogłaby...

Powinna znaleźć matkę... Jej matka przywróciłaby rzeczom właściwy porządek.

Omali się nie utopiłam w rowie, mamo...

Kochanie, to by było bardzo niemądre...

Bardzo niemądre, tak, to prawda. Dermot kiedyś też tak o niej myślał, że jest bardzo niemądra, że jest głupia. Ale to było dawno temu. Powiedział to, a jego twarz coś jej przypomniała.

Ależ tak! Oczywiście! Uzbrojonego Bandytę!

To był strach przed Uzbrojonym Bandytą. Przez cały czas Dermot tak naprawdę był Uzbrojonym Bandytą...

Zrobiło jej się niedobrze ze strachu.

Musi dostać się do domu... Musi się ukryć... Szuka ją Uzbrojony Bandyta... Dermot... Uzbrojony Bandyta...

W końcu doszła do domu. Była druga w nocy. Cały dom spał...

Skradała się w górę schodów...

To potworne, Uzbrojony Bandyta był tam, za drzwiami... słyszała jego oddech... Dermot, Uzbrojony Bandyta...

Nie ośmieliła się wrócić do swojego pokoju. Dermot chciał się jej pozbyć, więc mógł się tam zakraść...

Biegiem pokonała jedną kondygnację schodów. Wpadła do panny Hood, guwernantki Judy.

— Proszę nie pozwolić, by mnie znalazł, proszę nie pozwolić...

Panna Hood była cudownie uprzejma. Panna Hood zapewniła, że nie pozwoli...

Następnie sprowadziła Celię do jej pokoju i została przy niej.

Celia, zasypiając, powiedziała nagle:

— Jakie to głupie. Nie mogłam znaleźć mojej matki. Ona nie żyje, przecież wiem...

2

Panna Hood wprowadziła do sypialni lekarza. Był miły i wyrozumiały. Celia miała się oddać pod wyłączną opiekę panny Hood.

Lekarz przeprowadził wywiad z Dermotem. Powiedział mu wyraźnie, że Celia jest w bardzo złym stanie. Ostrzegł, co się zdarzy, jeśli nie zostanie całkowicie uwolniona od wszystkich kłopotów.

Panna Hood — weszła w rolę opiekunki z wielką skrupulatnością. W miarę swoich możliwości, nie zostawiała Celii i Dermota sam na sam. Celia przylgnęła do niej. Z panną Hood czuła się bezpiecznie... Panna Hood była dobra...

Któregoś dnia Dermot wszedł do sypialni i przystanął przy łóżku... — Przykro mi z powodu twojej choroby...

To Dermot przemawiał do niej, nie ktoś obcy. Czuła, że coś ściska ją za gardło... Następnego dnia panna Hood weszła do niej ze zmartwioną twarzą.

— Odszedł, prawda? — spytała Celia.

Panna Hood skinęła potakująco głową. Pannie Hood zrobiło się lżej na sercu, kiedy zobaczyła, że Celia przyjmuje tę wiadomość ze spokojem.

Celia leżała bez ruchu. Nie czuła żalu ani bólu... Była jak odrętwiała...

Odszedł...

Któregoś dnia trzeba będzie się podnieść i zacząć żyć od nowa, z Judy...

Wszystko minęło...

Biedny Dermot...

Zasnęła i spała nieprzerwanie prawie przez dwie doby.

3

A potem wrócił.

Wrócił Dermot, nie tamten obcy człowiek.

Powiedział, że jest mu przykro, że ledwo zdążył odejść, a już poczuł się nieszczęśliwy. Powiedział, że wszystko przemyślał i że uważa, iż jego miejsce jest przy niej i przy Judy. A przynajmniej powinien spróbować...

— Ale musisz wydobrzeć. Nie znoszę chorób ani nieszczęść. To dlatego, po części, zaprzyjaźniłem się z Marjorie, że tej wiosny na milę wiało od ciebie nieszczęściem. Potrzebowałem kogoś, z kim mógłbym się rozerwać...

— Wiem. Powinam zawsze być piękna, jak mi to kiedyś powiedziałaś. — Zawahała się chwilę. Dodała: — Czy naprawdę chcesz dać nam tę szansę? Bo widzisz, niewiele mam sił... Spróbuj, uczciwie, wytrzymać trzy miesiące. Jeśli po ich upływie okaże się, że to na nic, wtedy odejdz. Lecz... lecz... obawiam się, że ze mną znów coś się stanie...

Obiecał, że podda się trzymiesięcznej próbie. Że nie będzie spotykać się z Marjorie. Jeszcze raz przeprosił Celię.

4

A jednak wcale tak nie było.

Panny Hood, o czym Celia wiedziała, wcale nie ucieszył powrót Dermota.

Później sama doszła do wniosku, że panna Hood miała rację.

Zaczął się od małych kroczków.

Dermot zaczął miewać humory.

Celia go żałowała, lecz nie ośmieliła się nic powiedzieć.

Powoli sprawy przyjmowały coraz gorszy obrót.

Kiedy Celia wchodziła do pokoju, Dermot wychodził.

Jeśli coś do niego mówiła, nie odpowiadał. Rozmawiał jedynie z panną Hood i z Judy.

Dermot nigdy nie zagadywał do niej ani na nią nie patrzył. Czasami zabierał gdzieś Judy samochodem.

— Czy mamusia też z nami pojedzie? — pytała Judy.

— Tak, jeśli zechce.

Kiedy Celia była gotowa, Dermot mówił: — Lepiej będzie, jak pojedziesz tylko z mamusią. Przypomniało mi się, że mam coś pilnego do załatwienia.

Czasami Celia mówiła że jest zajęta, a wówczas Judy jechała z Dermotem.

Nie do wiary — Judy niczego nie zauważała. Przynajmniej tak myślała Celia.

A jednak od czasu do czasu Judy potrafiła powiedzieć coś takiego, co Celię zaskakiwało.

Rozmawiały o tym, że należy być miłym dla Aubreya, który już i tak był ulubieńcem całego domu, kiedy Judy powiedziała:

— Ty jesteś miła, jesteś bardzo miła. Tatuś nie jest miły, za to jest bardzo, bardzo zabawny...

Innym razem stwierdziła z zadumą:

— Tatuś niezbyt cię lubi. — Po czym dodała, z nie ukrywaną satysfakcją: — Ale mnie tak. Mnie lubi.

Kiedyś Celia zwierzyła się dziecku:

— Judy, twój ojciec chce nas opuścić. Uważa, że będzie szczęśliwszy z kimś innym. Może byłoby ładniej z naszej strony, pozwolić mu odejść? Co ty na to?

— Nie chcę, żeby odszedł — powiedziała Judy bez chwili namysłu. — Proszę, proszę, mamusiu, nie pozwól, by to zrobił. On jest taki szczęśliwy, kiedy się ze mną bawi, a poza tym... a poza tym jest moim ojcem.

Jest moim ojcem! Ileż w tych słowach było dumy i pewności siebie!

Celia zastanawiała się: Judy czy Dermot? Powinam stanąć po czyjejś stronie... A Judy jest tylko dzieckiem, muszę, naprawdę muszę trzymać z nią...

Nie zniosę dłużej zachowania Dermota, myślała po chwili. Na powrót zawodzą mnie nerwy... Zaczynam się bać...

Dermot znów zniknął, a jego miejsce zajął obcy. Ten obcy patrzył na nią zimnymi, wrogimi oczami...

To straszne, kiedy człowiek, którego się kocha najbardziej na świecie, patrzy na ciebie w ten sposób. Celia potrafiła zrozumieć niewierność, lecz nie mogła pojąć, jak uczucie, które trwało jedenaście lat, mogło z dnia na dzień zamienić się w niechęć...

Namiętność może wygasnąć i umrzeć, lecz czy poza namiętnością, nie było między nimi niczego? Kochała go i żyła z nim, i urodziła mu dziecko, i trwała przy nim, gdy stracił pracę, a on na chłodno podejmuje decyzję, by już nigdy więcej jej nie zobaczyć... Och, to straszne, potwornie...

Była Przeszkodą... Gdyby umarła...

Chce jej śmierci...

Na pewno chce jej śmierci; w przeciwnym wypadku nie bałaby się aż tak bardzo.

5

Celia uchyliła drzwi do pokoju dziecinnego. Judy spała głęboko. Na palcach wycofała się na korytarz, zeszła na dół i podeszła do drzwi frontowych.

Aubrey, jakby tylko na to czekał, wybiegł z salonu.

„Witaj — powiedziało jego spojrzenie. — Spacer? O tej porze? W nocy? Ech, niech ci będzie...”

Jego pani była jednak innego zdania. Ujęła w dłonie pysk Aubreya i pocałowała go w nos.

— Zostań w domu. Dobry piesek. Nie możesz iść z panią. Nie możesz iść z panią, piesku, doprawdy, nie! Nikt nie może iść z panią tam, dokąd ona się wybiera...

Teraz już wiedziała, że nie znieśie więcej... Musiała uciec...

Czuła się wyczerpana długą sceną z Dermotem... Ale także czuła się zrozpaczona... Musiała uciec...

Panna Hood pojechała do Londynu odwiedzić siostrę, która wróciła z zagranicy. Dermot skwapliwie skorzystał z okazji, aby wreszcie „mieć to za sobą”.

Przyznał od razu, że widywał się z Marjorie. No tak, obiecał, lecz nie był w stanie dotrzymać obietnicy...

To wszystko jest bez znaczenia, myślała Celia, gdyby tylko znów nie próbował jej zniszczyć... Lecz on próbował...

Teraz nie pamiętała wiele... Okrutne, raniące słowa... Wrogie, obce oczy... Dermot, którego kochała, nienawidził jej...

Nie mogła tego znieść...

Zatem najłatwiejszym wyjściem było to....

Usłyszawszy, że on wyjeżdża, lecz że może wrócić po dwóch dniach, powiedziała: „Nie znajdziesz mnie tutaj”. Zdradziło go drgnięcie powiek. Nie miała wątpliwości, że wie, co to znaczy... „Proszę bardzo, chcesz wyjechać, to wyjeżdżaj”, rzucił pośpiesznie.

Nie odpowiedziała... Potem, kiedy byłoby po wszystkim, mógłby rozpowiadać na prawo i lewo (i przekonać samego siebie), że nie rozumiał, co miała na myśli... W ten sposób ułatwiłby sobie życie...

Wiedział... ona dostrzegła w nim tę maleńką iskierkę nadziei. On być może sam sobie z tego nie zdawał sprawy, sam być może byłby tym zszokowany, lecz ta iskierka była...

On, oczywiście, nie przedkładał takiego rozwiązania nad inne. Najbardziej odpowiadałoby mu, gdyby ona przyznała, że także chce „odmiany”. On chciał, by ona także chciała wolności. Jednym słowem: chciał robić to, na co miał ochotę, i jednocześnie obnosić się z czystym sumieniem. Chciał, żeby ona była szczęśliwa i żeby odbywała te swoje zagraniczne podróże, tak, by móc sobie powiedzieć: „No cóż, to naprawdę było doskonale rozwiązanie dla nas obojga”.

Chciał być szczęśliwy i chciał mieć czyste sumienie. Nie akceptował istniejących faktów, widział je takimi, jakie chciał, żeby były.

Lecz śmierć — tak, śmierć była jakimś rozwiązaniem... On we własnym sumieniu nie czułby się za nią odpowiedzialny. Prędko by przekonał sam siebie, że od czasu śmierci jej matki z Celią było coś nie tak. Dermot był geniuszem w przekonywaniu samego siebie...

Bawiła się przez minutę myślą, że mógłby po niej płakać, że mógłby mieć okropne wyrzuty sumienia... Kiedy umrę, myślała jak dziecko, będzie mu przykro...

Jednak wiedziała, że tak nie będzie... Byłoby po nim, gdyby przyznał się przed sobą, że jest w jakiś sposób odpowiedzialny za jej śmierć. Załamałby się. Jego jedynym ratunkiem było oszukiwanie samego siebie... A on był zdolny do oszukiwania samego siebie...

Tak, ona zamierzała odejść, odejść definitywnie.

Nie zniósłaby już niczego więcej.

To za bardzo raniło... Nie myślała już o Judy... to była przeszłość... Nic już nie liczyło się dla niej poza własną męką i pragnieniem ucieczki...

Rzeka...

Dawno temu była taka rzeka w dolinie i były pierwiosnki... dawno temu, nim cokolwiek się wydarzyło...

Szła szybkim krokiem. Doszła do miejsca, w którym droga wchodziła na most.

Rzeka, bystry nurt rzeczny... tam, w dole...

Nikogo nie było w pobliżu...

Nieoczekiwanie dla samej siebie pomyślała o Peterze Maitlandzie. Był żonaty... ożenił się po wojnie. Peter pewnie byłby miły i dobry. Pewnie byłaby szczęśliwa z Peterem... szczęśliwa i bezpieczna...

A jednak nigdy nie kochała go tak, jak kochała Dermota...

Dermot... Dermot...

Taki okrutny...

Cały świat jest okrutny, doprawdy, okrutny i zdradziecki...

Rzeka jest lepsza...

Wspięła się na balustradę i skoczyła...

KSIĘGA III

WYSPA

1. REZYGNACJA

1

Dla Celii to był koniec historii.

Wszystko, co wydarzyło się potem, chyba nie miało dla niej żadnego znaczenia. Dochodzenie policyjne, zeznania młodego londyńczyka, który wyłowił ją z rzeki, zarzuty sędziego, notatki w prasie, irytacja Dermota, lojalność panny Hood, wszystko to — tamtej nocy, w tamtym hotelu, kiedy opowiadała mi swoją historię — zdawało się Celii nieważne i niemal nierealne.

Nie podejmowała dalszych prób samobójczych.

Przyznała, że postąpiła niegodziwie, ważąc się na coś takiego. Zrobiła dokładnie to samo, o co oskarżała Dermota — chciała porzucić Judy.

— Czułam — powiedziała — że jedyną rzeczą, którą naprawdę powinnam zrobić, to żyć dla Judy i nigdy więcej nie myśleć o sobie... Wstydziałam się, za siebie...

Ona, panna Hood i Judy wyjechały do Szwajcarii.

Tam dostała list od Dermota. W kopercie znajdowały się także formularze rozwodowe.

Przez jakiś czas nic z nimi nie robiła.

— Widzi pan — powiedziała — czułam się zbyt oszołomiona. Skłonna byłam przystać na każdą jego prośbę, dla świętego spokoju... Bałam się, by znów coś się ze mną nie stało... Od tamtego czasu wciąż się boję... No więc nie wiedziałam, co z nimi zrobić... Dermot sądził, że przeciągam sprawę z chęci odwetu... To nie było tak. Ja przecież obiecałam kiedyś Judy, że nie pozwolę jej ojcu odejść... A oto byłam gotowa poddać się z powodu zwykłego, wstrętnego tchórzostwa... Pragnęłam, och, jak bardzo pragnęłam, by on i Marjorie odeszli razem, bo wówczas mogłabym dać mu rozwód... Później mogłabym powiedzieć Judy: „Nie miałam wyboru...” Dermot napisał do mnie, że wszyscy jego przyjaciele uważają, iż postępuję niegodziwie... wszyscy jego przyjaciele, jakby nie mógł czegoś innego wymyślić!

Czekałam... Po prostu chciałam odpocząć... odpocząć bezpiecznie, gdzieś, gdzie Dermot nie mógłby mnie dopaść. Bałam się, że się zjawi i znów będzie mnie zamęczał... Nie można ulec ze zwykłego strachu. To nieuczciwe. Wiem, że jestem tchórzem... zawsze byłam tchórzliwa... nienawidzę hałasu, awantur, scen... zrobię wszystko... wszystko, byleby tylko zostawiono mnie w spokoju... Lecz nie chciałam ulec ze strachu. Chciałam to przetrzymać...

W Szwajcarii wróciłam do sił... Nie potrafię opisać panu słowami, jakie to było cudowne; nie chciać płakać za każdym podejściem pod górę; nie czuć mdłości na sam widok jedzenia. No i minęły mi te koszmarne bóle głowy. Jednoczesne cierpienia ciała i duszy, to za ciężkie brzemie... Można udźwignąć jedno, można drugie, ale nie oba naraz...

W końcu, kiedy poczułam się całkowicie wyleczona i silna, wróciłam do Anglii. Napisałam do Dermota. Napisałam, że nie wierzę w rozwody... Że w moim przekonaniu (choć on zapewne mógł uznać je za staroświeckie i błędne) małżonkowie powinni być razem i dla dobra dzieci pogodzić się z losem... Że ludzie często uważają, iż, dla dobra dzieci, rodzice, którym się ze sobą nie układa, powinni się rozstać, lecz że ja tak nie uważam... Że nie uważam, by to była prawda. Dzieci potrzebują obojga rodziców, ponieważ są zrodzone z ich ciała i z ich krwi — kłótnie czy nieporozumienia nie znaczą dla dzieci ani połowy tego, co dorośli sobie wyobrażają, a, być może, w pewnym sensie są pozytywne. Pokazują dzieciom, jakie jest życie... Mój dom był domem zbyt szczęśliwym. Sprawiał, że wyrosłam na głupią... Napisałam ponadto, że on i ja nigdy się nie kłóciliśmy. Że zawsze żyliśmy zgodnie...

Napisałam, że nie sędzę, by romanse małżonków miały jakieś większe znaczenie... Mógłby sobie być zupełnie wolny... wolny tak długo, dopóki byłby dla Judy dobrym ojcem. I napisałam mu raz jeszcze, że zdaję sobie sprawę, iż on znaczy dla naszego dziecka więcej, niż ja będę znaczyć kiedykolwiek. Że Judy potrzebuje mnie jedynie w sensie fizycznym, niby małe zwierzątko — w czasie choroby — lecz duchowo to on i ona są ze sobą złączeni.

Napisałam, że jeśli wróci, nie będę mu czynić żadnych wyrzutów. Spytałam, czy nie moglibyśmy być dla siebie uprzejmi... przecież oboje cierpieliśmy.

Napisałam, że wybór należy do niego, lecz powinien pamiętać, że ani nie chcę rozwodu, ani nie jestem do niego przekonana, więc jeśli on będzie przy nim obstawał, odpowiedzialność spadnie wyłącznie na niego.

W odpowiedzi i przysłał mi nowe formularze...

Zgodziłam się na rozwód... To wszystko było raczej okropne...

Stad przed mnóstwem obcych ludzi... odpowiadać na pytania... intymne pytania... słuchać zeznań pokojówek...

Znosiłam to z trudem... Dostałam mdłości...

Powinno się to odbywać inaczej. Zainteresowane osoby nie powinny się znajdować na sali sądowej...

Więc, jak pan widzi, Dermot wygrał. W końcu się poddałam. Równie dobrze mogłam zrobić to na samym początku, a tym samym oszczędzić sobie bólu i strachu...

Nawet nie wiem, czy cieszę się swoim długim oporem, czy nie...

Nie wiem też, dlaczego się poddałam — z powodu zmęczenia i dlatego, że chciałam mieć spokój, czy dlatego, że przekonałam się, iż nic innego zrobić nie mogę, czy może, mimo wszystko, zrobiłam to dla Dermota...

Myślę, czasami, że powodowało mną to ostatnie...

To dlatego, od tamtej pory, kiedy Judy na mnie patrzy, czuję się winna...

W końcu, widzi pan, zdradziłam Judy dla Dermota.

2. REFLEKSJA

1

Dermot ożenił się z Marjorie Connell w kilka miesięcy po zatwierdzeniu wyroku.

Ja byłem ciekaw postawy Celi wobec tej drugiej kobiety. W jej historii ta kobieta zajmowała tak niewiele miejsca, że można było odnieść wrażenie, jakby w ogóle nie istniała. Celia nigdy nie usiłowała sugerować, że ów słaby Dermot został po prostu sprowadzony na manowce, chociaż zdradzane żony tak zwykle uważają.

Celia odpowiedziała na moje pytanie uczciwie i bez chwili namysłu.

— Nie sądzę, by Dermot był sprowadzony na manowce. Marjorie? Co myślałam o Marjorie? Nie bardzo sobie przypominam. Ona nie wydawała mi się istotna. Chodziło o Dermota i o mnie, nie o Marjorie. To z okrucieństwem z jego strony nie mogłam sobie poradzić...

I tu, jak myślę, zrozumiałem coś, czego Celia nigdy nie będzie w stanie zrozumieć. Celia była z natury wrażliwa na cudze cierpienie. Mały Dermot nigdy by nie płakał z powodu przypiętego do kapelusza motyla. Dermot prawdopodobnie uznałby z całym przekonaniem, że motylowi to się podoba!

Tę samą linię postępowania przyjął wobec Celi. Kochał Celię, lecz tak się złożyło, że pożądał Marjorie. Dermot był z natury uczciwym młodym człowiekiem. Aby wejść w związek z Marjorie, chciał się najpierw uwolnić od Celi. Ponieważ się z nią liczył, chciał, by mu przyklasnęła. Kiedy tego nie zrobiła, był na nią zły. Zranił ją, a czując się z tym podle, ranił ją coraz bardziej i był wobec niej bezsensownie brutalny... Mogę to zrozumieć, mogę mu nawet współczuć...

Gdyby dopuścił do siebie świadomość, że jest okrutny wobec Celi, nie mógłby zrobić tego, co zamierzał... Dermot był, jak wielu prawych do ostateczności mężczyzn, nieuczciwy wobec samego siebie. Myślał o sobie lepiej, niż na to zasługiwał...

Pragnął Marjorie i musiał ją mieć. On zawsze miał to, czego pragnął, a życie z Celią nie nauczyło go pokory.

Kochał Celię, jak myślę, za jej urodę i tylko za to...

Ona kochała go stale i dozgonnie. Miała go, że przytoczę jej słowa, we krwi...

No i owinęła się wokół niego. A Dermot był typem mężczyzny, który nie znosi, kiedy się ktoś wokół niego owija. W Celi nie siedział diabeł, a kobieta, która nie ma diabła za skórą, ma marne szansę u mężczyzny.

Miriam miała diabła za skórą. Mimo jej całej miłości do Johna, nie wierzę, by łatwo mu się z nią żyło. Przynajmniej nie zawsze. Miriam uwielbiała go, lecz także poddawała próbom. Mężczyzna to takie zwierzę, które lubi, kiedy mu się rzuca wyzwania...

Miriam miała coś, czego Celi brakowało. To coś, co się rozumie pod słowem „charakter”, choć niektórzy ludzie preferują dosadniejsze określenie...

Celia sprzeciwiła się Dermotowi za późno...

Sama przyznała, że wizerunek Dermota, w jej oczach, zaczął się zmieniać dopiero wówczas, gdy Dermot już niczym nie mógł jej zaskoczyć; gdy było całkiem oczywiste, że brakuje mu zwykłych ludzkich odruchów.

— Początkowo — powiedziała — zdawało mi się to całkiem normalne: kocham go, więc robię wszystko, czego ode mnie żąda. Ale kiedyś przyszedł ten pierwszy raz, kiedy go naprawdę potrzebowałam, kiedy miałam zmartwienia. A on? On się ode mnie odwrócił i wbił mi nóż w plecy. To brzmi jak fragment z jakiegoś brukowca, lecz wyraża dokładnie to, co czuję. Jest taki werset w Biblii, który mówi właśnie o tym. — Zamilkła na chwilę, a potem zacytowała: — Gdybyż to lżył mnie nieprzyjaciel, z pewnością bym to znosił; .. .Lecz jesteś nim ty, równy ze mną, przyjaciel, mój zaufany*. Oto, kto mnie zranił: przyjaciel mój zaufany... No, a jeśli zdradził mnie Dermot, mogłam się spodziewać zdrady ze strony

każdego człowieka. Świat zatrzęsł się w swych posadach. Nie mogłam już zawierzyć nikomu ani niczemu...

To jest straszne. To jest przerażające. Nawet nie zdaje pan sobie sprawy jak bardzo. Człowiek nagle widzi, że na całej kuli ziemskiej nie ma takiego miejsca, w którym mógłby się czuć bezpiecznie. Widzi... tak, wszędzie widzi Uzbrojonego Bandytę... Lecz, oczywiście, sama sobie byłam winna. Za bardzo zaufałam Dermotowi. Nikomu nie powinno się ufać tak, jak ja ufałam jemu. To przeczy wszelkim regułom życia.

Przez te wszystkie lata, kiedy dorastała Judy, miałam dość czasu na myślenie... Tak, to prawda, myślałam dużo... Zrozumiałam, na czym polegał prawdziwy kłopot: na tym, że byłam głupia... Głupia i butna! Kochałam Dermota, a mimo to nie potrafiłam zatrzymać go przy sobie. Powinnam wiedzieć, co lubi i czego pragnie... powinnam zdawać sobie sprawę (jak sam kiedyś powiedział), że mógł „chcieć odmiany”... Matka mówiła mi, że nie powinnam wyjeżdżać i zostawiać go samego... A ja go zostawiałam. Byłam tak butna, że nigdy w mojej głowie nie powstała myśl o czymś takim, jak to, co się zdarzyło. Byłam absolutnie przekonana, że jestem jedyną osobą, którą on kocha i którą zawsze będzie kochał. Jak powiedziałam, to przeczy wszelkim regułom życia, ufać ludziom za bardzo, stawiać im zbyt wysokie wymagania, wynosić ich na piedestały tylko dlatego, że się widzi w nich to, co się chce zobaczyć. Nigdy nie znałam Dermota tak, jak powinnam była znać... Przecież mogłam, gdyby nie moja buta, dopuścić do siebie myśl, że to, co przytrafia się innym kobietom, może przytrafić się i mnie... Byłam głupia.

Dlatego też teraz nie obwiniam Dermota. On po prostu był ulepiony z takiej, a nie innej gliny. Powinnam o tym wiedzieć i mieć się na baczności, i nie być tak bardzo zadowolonym z siebie i tak w sobie zadufanym stworzeniem. Jeśli się coś przedkłada nad własne życie, to powinno się na to chuchać i dmuchać... Ja tego nie robiłam...

To bardzo pospolita historia. Teraz wiem to sama. Wystarczy poczytać gazety. Zwłaszcza niedzielne. Kobiety, które wkładają głowy do piecyków gazowych albo połykają garść tabletek nasennych. Świat jest taki — pełen okrucieństwa i bólu — ponieważ ludzie są głupi.

Byłam głupia. Żyłam w świecie, który sobie sama stworzyłam. Tak, byłam głupia.

3. UCIECZKA

— A potem? — zapytałem Celię. — Co robiła pani potem? To wszystko działo się jakiś czas temu.

— Tak, przed dziesięcioma laty. No cóż, podróżowałyśmy. Odwiedzałam miejsca, które chciałam odwiedzić, zawierałam wiele przyjaźni, miewałam przygody. Myślę, że czas upływał mi całkiem przyjemnie.

Wyglądało na to, że nie przywiązywała większej wagi do tego okresu swojego życia.

— Oczywiście, były też wakacje Judy. Zawsze czułam się wobec niej winna... Ona chyba zdawała sobie z tego sprawę. Nigdy nie usłyszałam od niej choćby słowa, lecz sądzę, że w skrytości ducha to mnie obwinięła za stratę ojca... Cóż, miała rację. Powiedziała kiedyś: „To ciebie tatuś nie lubił. Mnie uwielbiał”. Zawiodłam ją. Matka powinna zadbać o to, by ojciec kochał dziecko. To jeden z matczynych obowiązków. Ja się z niego nie wywiązałam. Judy bywała okrutna, lecz tylko nieświadomie. Judy była po prostu bezkompromisowo uczciwa.

Nie wiem, czy z Judy mi się powiodło, czy też nie. Nie wiem także, czy mnie kocha, czy nie. Zadbałam o jej potrzeby materialne. Niczego innego — tego, co liczyło się dla mnie — nie mogłam jej dać, ponieważ ona tego czegoś nie chciała. Mogłam zrobić jedynie to, co mogłam: kochałam ją, zatem ofiarowałam jej wolność. Nie usiłowałam narzucać swoich poglądów ani swoich wierzeń. Próbowałam zachowywać się tak, by miała mnie pod ręką tylko wówczas, kiedy przychodziła jej na to ochota. Lecz ona mnie nie potrzebowała. Ktoś taki jak ja nie jest potrzebny komuś takiemu jak ona, wyjąwszy, jak to już powiedziałam, kwestie natury materialnej... Kochałam ją tak, jak kochałam Dermota, lecz jej nie rozumiałam. Próbowałam dać jej swobodę, lecz nie chciałam ustępować w czymkolwiek ze zwykłego tchórzostwa... Czy miała ze mnie jakiś pożytek, tego chyba nigdy nie będę wiedziała. Mam nadzieję, że tak... mam, przyznaję, wielką nadzieję... bo widzi pan, ja ją bardzo kocham...

— Gdzie jest teraz?

— Wyszła za męża. To dlatego jestem tutaj. Chcę powiedzieć, że przedtem nie dysponowałam swoim czasem. Zajmowałam się Judy. Wyszła za męża mając osiemnaście lat. To bardzo dobry człowiek; starszy od niej, prawy, miły, dobrze sytuowany, taki, jakiego tylko mogłabym jej życzyć. Chciałam, żeby trochę poczekała, żeby była pewna swego wyboru, ale nie poczekała. Lecz czy można walczyć z ludźmi pokroju jej i Dermota? Tacy ludzie idą przez życie własną drogą i nie słuchają nikogo. A poza tym, jak można

rozsądzać w cudzej sprawie? Chce się komuś pomóc, gdy tymczasem rujnuje mu się życie. Nie powinno się mieszać w nie swoje sprawy...

Jest w Afryce Wschodniej. Pisze do mnie od czasu do czasu, krótkie, szczęśliwe listy, podobne do dawnych listów Dermota; nie ma w nich niczego poza faktami. Mimo to czuję, że miewa się dobrze.

2

— A potem — powiedziałem — zjawiała się pani tutaj. Dlaczego?

— Nie wiem — zaczęła z namysłem — czy potrafię to panu wytłumaczyć... Pewien młody człowiek powiedział mi kiedyś coś, co zrobiło na mnie spore wrażenie. Opowiedziałam mu trochę z tego, co mi się przydarzyło. Był rozumnym człowiekiem. „Co zamierza pani zrobić ze swoim życiem”, zapytał. Jest pani jeszcze młoda”. Odpowiedziałam, że mam Judy i moje podróże, i przyglądanie się różnym rzeczom i różnym miejscom. „To pani nie wystarczy. Weźmie sobie pani kochanka albo kilku kochanków. Będzie się pani musiała zdecydować, co lepsze”.

I, widzi pan, to mnie przestraszyło. Wiedziałam, że ten człowiek ma rację... Ludzie, zwykli bezmyślni ludzie, mówili mi: „Och, moja droga, któregoś dnia znów wyjdiesz za mąż. Wyjdiesz za człowieka, który ci to wszystko wynagrodzi”.

Wyjść za mąż? Bałabym się wyjść za mąż. Nikt nie potrafi cię zranić oprócz męża, nikt inny nie jest wystarczająco bliski...

Zresztą ja w ogóle nie zamierzałam mieć do czynienia z mężczyznami...

A jednak ów młody człowiek przestraszył mnie... Nie byłam stara... nie dość stara...

Zatem... może spróbować? Kochanka nie trzeba się tak bać jak męża; od kochanka nigdy nie jest się tak bardzo zależną... Z mężem, mówiłam sobie, łączy cię poufałość i intymność, wynikające ze wspólnego przeżywania życia. Kiedy rozstajesz się z mężem, pęka ci serce... Z kochankiem spotykasz się od czasu do czasu, a szara codzienność należy wyłącznie do ciebie...

Kochanek... czy kochankowie...

Chyba kochankowie, zdecydowałam w końcu. Z kochankami można się czuć prawie bezpiecznie!

Mimo to byłam przekonana, że do czegoś takiego nie dojdzie. Miałam nadzieję, że nauczę się żyć samotnie. Spróbowałam.

Zamilkła na kilka minut. „Spróbowałam”, powiedziała. To jedno słowo kryło w sobie wiele treści.

— No więc? — zapytałem w końcu.

— Spotkałam kogoś — powiedziała powoli — kiedy Judy miała piętnaście lat... Ten ktoś trochę mi przypominał Petera Maitlanda... Miły, łagodny, nie za bystry. Kochał mnie...

Powiedział, że tym, czego potrzebuję, jest czułość. Był dla mnie bardzo dobry. Jego żona umarła przy pierwszym porodzie. Razem z dzieckiem. Więc, jak pan widzi, on też był nieszczęśliwy. Rozumiał mnie.

Cieszyliśmy się wspólnie wieloma rzeczami. Mieliśmy podobne upodobania. Co więcej: przy nim mogłam być sobą. Chcę powiedzieć, że nie wstydziłam się własnej radości czy entuzjazmu; nie bałam się, że w jego oczach wyjdę na głupią... On był, choć dziwnie to zabrzmiało, on naprawdę był dla mnie jak matka. Matka, nie ojciec! Był tak łagodny...

Głos Celii też złagodniał. Jej twarz była twarzą dziecka, ufną i szczęśliwą...

— No i?

— Chciał, bym wyszła za niego. Powiedziałam, że nie mogłabym wyjść za nikogo... Powiedziałam, że mam stargane nerwy. To także zrozumiał...

Działo się to trzy lata temu. Miałam w nim przyjaciela, cudownego przyjaciela... Zawsze zjawiał się w momencie, kiedy był mi potrzebny. Czułam się zakochana... To przyjemny stan...

Po ślubie Judy ponownie poprosił mnie o rękę. Powiedział, że teraz chyba mogę mu już zaufać. Chciał się mną opiekować. Powiedział, że moglibyśmy wrócić do domu, do mojego domu. Przez te wszystkie lata dom znajdował się pod opieką stróża. Nigdy tam nie zaglądałam, nie miałam na to dość siły i odwagi, lecz mój dom na mnie czekał... Po prostu czekał... Powiedział zatem, że moglibyśmy się tam osiedlić na stałe i że zapomniałabym o wszystkich zmarnowanych latach...

A ja, ja chyba tego chciałam...

Chciałam, ale sama nie wiem czemu, powiedziałam „nie”. Powiedziałam, że jeśli chce, możemy dalej być kochankami. Teraz, kiedy Judy wyszła za męża, nie miało to znaczenia. No a poza tym, gdyby chciał odzyskać wolność, mógłby odejść w każdej chwili. Nie musiałby mnie nienawidzić, bo nie byłabym mu przeszkodą, gdyby kiedykolwiek zechciał poślubić inną...

Nie chciał na to przystać. Zaprotestował w sposób miły, lecz stanowczy. To był lekarz, chirurg, cieszący się sporą sławą. Powiedział, że najwyższa pora, bym przestała się wszystkiego bać. Powiedział, że kiedy się pobierzemy, ustaną wszelkie lęki...

W końcu się zgodziłam...

3

Milczałem. Po kilku minutach Celia podjęła wątek: — Czułam się szczęśliwa, prawdziwie szczęśliwa.

Spokojna i chyba bezpieczna...

I wówczas to się zdarzyło. Dzień przed naszym ślubem.

Wyjechaliśmy za miasto na kolację. Był upalny wieczór... Siedzieliśmy w ogrodzie nad rzeką. Pocałował mnie i powiedział, że jestem piękna... Miałam trzydzieści dziewięć lat, byłam wyniszczona i zmęczona, lecz on powiedział, że jestem piękna.

A następnie powiedział coś, co mnie przeraziło, co mnie sprowadziło z obłoków na ziemię.

— Co takiego?

„Obiecuj, że zawsze będziesz tak samo piękna...”

Powiedział to tym samym głosem co kiedyś Dermot...

4

Przypuszczam, że pan nie rozumie. Nikt by nie zrozumiał.

A to takie proste — wszędzie czai się Uzbrojony Bandyta...

Szczęście, spokój i nagle człowiek czuje, że on jest tuż, tuż...

Wszystko wróciło... wrócił strach...

Nie mogłam stawić temu czoła, nie mogłam zaczynać tego — wszystkiego od początku... Być szczęśliwą przez lata — a potem znów popaść w chorobę czy coś takiego... jeszcze raz przeżywać tamten koszmar...

Nie mogłam ryzykować...

Myślę teraz, że chodziło mi o to, iż nie potrafiłabym jeszcze raz zmierzyć się z dawnym strachem... Bałam się, że tamto doświadczenie mogłoby się powtórzyć, że z każdym dniem szczęścia byłabym bliższa dnia strachu...

Nie mogłam zmierzyć się z niepewnością... ze stanem zawieszenia...

No więc uciekałam...

Po prostu...

Zostawiłam Michaela. Nie sądzę, by wiedział, dlaczego naprawdę wstałam od stolika — posłużyłam się jakąś wymówką — weszłam do naszej małej gospody i zapytałam o drogę na stację kolejową. Po dziesięciu minutach wskoczyłam do pociągu.

W Londynie udałam się prosto do domu, wzięłam paszport i przesiedziałam noc w damskiej poczekalni na Victoria Station. Bałam się, że Michael może mnie szukać i usiłować przekonywać... A możliwe, że dałabym się przekonać, ponieważ, jak pan już wie, kochałam go... No i zawsze był dla mnie taki słodki...

Lecz przecież, powtarzałam sobie, nie mogę jeszcze raz przechodzić przez to samo...

Nie dam rady...

To zbyt upiorne — żyć w ciągłym strachu...

Zbyt upiorne — nie mieć zaufania...

A ja po prostu nie miałam zaufania do nikogo... nawet do Michaela.

Brak zaufania to piekło na ziemi również dla tych, którym się nie ufa...

5

— To było rok temu... Nigdy nie napisałam do Michaela... Nigdy nie wytłumaczyłam mu, dlaczego tak się zachowałam...

Potraktowałam go nikczemnie...

Nieważne. Od czasów Dermota moje serce stało się twarde jak gład... Przestałam się przejmować nawet tym, czy ranie ludzi, czy też nie. Jeśli jest się samemu zbyt mocno zranionym, trudno się przejmować innymi...

Podróżowałam, usiłowałam interesować się tym i owym i jakoś ułożyć sobie życie...

To prawda, nie udało mi się...

Nie mogę żyć sama... nie mogę wdawać się w żadne historie z innymi ludźmi... i nie myślę, bym w przyszłości mogła...

A to skazuje mnie na samotność, nawet w tłumie...

Mimo to nie mogę żyć z nikim... Jestem tak potwornie wystraszona...

Jestem pokonana...

Nie potrafię stawić czoła życiu, przez, powiedzmy, kolejne trzydzieści lat. Widzi pan, nie jestem dostatecznie dzielna...

Westchnęła... Powieki jej opadły...

— Zapamiętałam to miejsce, i przyjechałam tutaj celowo... To bardzo przyjemne miejsce...

Dodała jeszcze:

— Opowiedziałam panu rozwlekłą i bardzo głupią historię... Mówiłam i mówiłam... na pewno już świta...

Celia zasnęła.

4. POCZĄTEK

1

No więc, oto gdzie jesteśmy, poza jednym incydentem, o którym wspomniałem na początku mojej opowieści.

Cała rzecz sprowadza się do tego, czy ma on jakieś znaczenie, czy nie ma.

Jeśli mam rację, całe życie Celi zmierzało do tego miejsca i osiągnęło punkt kulminacyjny w tamtej jednej minucie.

To zdarzyło się wówczas, kiedy zegnałem się z nią na statku.

Spała kamiennym snem. Obudziłem ją i pomogłem się ubrać. Chciałem wyprawić ją z wyspy jak najprędzej.

Była jak zmęczone dziecko: posłuszna, rozczulająca i kompletnie otumaniona.

Pomyślałem, że być może się mylę, lecz że niebezpieczeństwo chyba zostało zażegnane...

I wówczas, nieoczekiwanie, kiedy mówiłem to swoje „do widzenia”, ona jak gdyby się wreszcie obudziła i zobaczyła mnie po raz pierwszy.

— Nawet nie znam pańskiego nazwiska...

— To nieważne — rzuciłem. — Niewiele by pani powiedziało. Byłem kiedyś dość sławnym portrecistą, ale to było dawno temu.

— A teraz?

— Teraz nie jestem. Coś mi się przytrafiło na wojnie.

— Co takiego?

— Proszę popatrzeć...

Z rękawa, gdzie powinna być ręka, wysunąłem swój kikut.

2

Uderzono w dzwon i musiałem zbiegać na dół. Tak więc to było tylko wrażenie... Choć to wrażenie było bardzo wyraźne... Jej oczy...

Przerażenie... a potem ulga... Ulga, to za mało — to było coś więcej. Należałoby tu raczej użyć słowa „wyzwolenie”.

To był Uzbrojony Bandyta, symbol jej strachu... Uzbrojony Bandyta ścigał ją przez te wszystkie lata...

A teraz, w końcu, spotkała go twarzą w twarz...

Okazał się zwykłą ludzką istotą.

Mną...

3

Co dalej...?

Jestem niewzruszenie przekonany, że Celia wróciła do świata i zaczęła nowe życie...

Wróciła, mając czterdzieści lat, aby dorosnąć...

Swoje lęki i swoją historię zostawiła mnie...

Nie wiem, dokąd odpłynęła. Nawet nie znam jej prawdziwego imienia. Nazwałem ją Celią, ponieważ to imię zdawało się odpowiadać jej naturze. Mógłbym się dowiedzieć, jak ma na imię, jak się nazywa, w jednym czy drugim hotelu. Jednak nie chcę tego robić... Przypuszczam, że nie zobaczę jej już nigdy...

* Sitowie — w jęz. ang. bulrush; bull — byk, rush — sitowie, tłok, ścisk, pęd (przyp. tłum.)

* Tabльдote — table d'hôte (wym. tabldót), posiłki w hotelu podawane o ustalonych porach i cenach; wspólny stół (przyp. tłum.).

* Cribbage — (wym. kribidź) stara angielska gra w karty (przyp. tłum.).

* Fulham Palace — siedziba biskupów Londynu (przyp. tłum.).

* Mary Baker Eddy (1821–1910) — przywódczyni religijna, powołała do życia (1866) organizację religijną praktykującą metody leczenia wiarą (przyp. tłum.).

* Sir William Gilbert i sir Arthur Sullivan — para angielskich dziewiętnastowiecznych kompozytorów operetek (przyp. tłum.).

* Annie Besant — angielska teozofka z przełomu XIX i XX w. (przyp. tłum.).

* Księga Psalmów (por. Ps 55), Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Biblia Tysiąclecia, wyd. III popr., Poznań–Warszawa 1995 (przyp. tłum.).